

**POLECAMY:**

- Urszula M. Benka, Piskliwa ścieżka
- Boris Nosik, La Ruche
- Barbara Janina Sokołowska, wiersze
- Konrad Gromek, wiersze

- Andriej Sien – Sienkow, poezja
- Jan Smalewski, Żołnierze wyklęci, historia
- Aleksandra Naróg, Beksiński
- Rozmowa z prof. Januszem Deglerem
- Anna Krasuska, Słowostrzępy, esej

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

*Końce świata zdarzają się,  
co kilka minut,  
Anna Milewska*

# Migotania

## Gazeta Literacka

Nr 4 (61) 2018 kwartalnik  
cena 15 złotych w tym VAT 8%

Setna rocznica urodzin

**WITOLD WIRPSZA**

**W JEDNEJ CHWILI**

Popołudnie: jasne i ciepłe.  
Wiejska droga. Dwa granaty  
Zaszumiały od zachodu  
I pękły przede mną niewysoko  
I z trzaskiem. Odpryski  
Metalowe rozsypały się czerwonym  
Żarem po bruku. Nie zatrzymałem się  
I nic mi się nie stało.  
Ale już nie byłem wolny.

BERLIN, 7 PAŹDZIERNIKA 1983, 44 LATA I 22 DNI PÓŹNIEJ

Wiersz opublikowany w tomie „Utwory ostatnie” (Mikolów 2007) z błędem korektorskim.  
Nawiązanie do doświadczenia w czasie obrony Oksywia w roku 1939, przed uwięzieniem  
w obozie jenieckim.

W numerze swoje grafiki prezentuje Katarzyna Gościńiewicz  
Plakat artystyczny: Katarzyna Gościńiewicz  
Plakat poetycki Alina Biernacka

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2018

Marek Wawrzkiwicz

Krzysztof Boczkowski: „Dolina Chochołowska”. Wydawnictwo ASTRA, 2018 Na tym tomiku wierszy nie będę miał dedykacji. Krzysio nie doczekał, zmarł niespełna miesiąc przed jego ukazaniem się. A bardzo mu na książeczce zależało. Jest tam mały wiersz, który znam na pamięć:

### Własnowolne odejście

Miasteczko w Rosji w lecie z rana  
Domek i ganek wokół drzewa  
Sznurem do haka przywiązana  
Wisi wychudła Cwietajewa.

Napisał ten wiersz kilka lat temu, znam jego warianty. Było „do żyrandola”, było „do klamki przywiązana”. W końcu zostało tak jak jest, pojawił się tylko przypis: „Dokładny opis śmierci Cwietajewej”.

Dwa miesiące przed śmiercią (zgodził się na nią, powiedział, że nie podda się ani chemioterapii, ani naświetleniom) zadzwonił do mnie z pytaniem, czy mam jeszcze jego ostatni wybór wierszy „Drzwi nocy”. Wydawnictwo, które za duże pieniądze tę książkę wydało było łaskawe zbankrutować, wydrukowano

Dedykacje

KRZYSZTOF

pewnie 10 egz i nie wysłano jej do żadnej biblioteki. Krzysztof zażądał, żebym mu oddał książkę, bo on chce ją przekazać Bibliotece Jagiellońskiej. Zaprotekowałem mówiąc, że jest na niej czuła dedykacja, ale był niewzruszony, powiedział: a to nie szkodzi. Kiedy przygotowywałem się do wieczoru wspomnień o Boczkowskim wypożyczyłem tom z biblioteki Domu Literatury – jest zwyczaj, że autorzy darują jej nowe książki. I zobaczyłem, że autor naniósł na wiele wierszy liczne poprawki. Taki był: bez przerwy i bez wytchnienia poprawiał. „Ziemię jałową” Eliota w jego drukowałem w roku 1979 lub 1980 w Nowym Wyrazie, któremu wówczas szefowałem. Poprawiał ten przekład – i publikował kolejne wersje – siedmiokrotnie, za każdym razem zarzekając się, że to ostatni raz. Dwa lata temu wyszły Eliota „Szepty nieśmiertelności” w jego przekładzie z adnotacją na stronie tytułowej: „Wydanie VII ostateczne”. Wtedy nie uwierzyłem. Gdyby żył dążyłby do doskonałości – poprawiał dalej.

Był oryginalną i bogatą osobowością. Profesor doktor nauk medycznych, genetyk, autor wielu prac naukowych, szczególnie o homoseksualizmie, transwe-

tyzmie, nagradzany za te prace nagrodami państwowymi. Ale przede wszystkim był wspaniałym poetą. Już na początku poetyckiej drogi dowartościowano go nagrodą Peleryny (jeśli to komuś dzisiaj mówić), nagradzano za książki roku; był laureatem nagród im. Norwida i im. Słowackiego. Nie należał do żadnej z poetyckich grup, trzymał się trochę osobno. Wołał górskie wędrówki, biblioteki w Szkocji, był melomanem i koneserem malarstwa. I ciągle czytał – potrafił późnym wieczorem zadzwonić, żeby powiedzieć mi o wrażeniach z lektury jakiegoś tomu wierszy.

Był – pamiętam o wybitnych poprzednikach – najlepszym tłumaczem i komentatorem Eliota, antologią, świetnie przekładał licznych poetów języka angielskiego, człowiekiem nawiedzonym.

Trzymam w rękę tego „ostatecznego” Eliota. Jest tam dedykacja: *Drogiemu Markowi na pamiątkę 40 lat przyjaźni – Krzysztof.*

W ostatniej woli nie życzył sobie hucznego pogrzebu i przemówień nad mogiłą.

Więc chociaż to.

MAREK WAWRZKIWICZ

Marian Lech Bednarek

Dzwonię do Basi Płocicy z pytaniem czy dostała moją książkę, którą jej wysłałem. Odpowiedziała że tak. Właśnie wróciłam z poczty, mówi. Czytałam ją już na ulicy, bo taki mam zwyczaj, że nigdy nie potrafię się powstrzymać. Ale o mało co wpadłabym pod autobus. Kierowca tak mnie zbęształ że siedzę teraz cała rozdygotana i poirytowana tą sytuacją, bardzo mnie zeszmacił ten kierowca, prawdziwy polski kierowca, wie pan?

Najpierw się bardzo ucieszyłem, że moja książka tak ją wciągnęła, że o mało co straciłaby życie. A potem było mi jej żal, zwłaszcza ze względu na chamstwo kierowcy, bo sama śmierć, czy to na masce autobusu, czy na scenie, czy w łóżku, że się tak bez ceregieli wyrażę, to już nie ma faktycznie istotnego znaczenia. Byłby to pewnie pogrzeb spektakularny – znana w kraju Basia Płocica, miłośniczka i znawczyni teatru i poezji, jurorka festiwalu, zginęła pod kołami autobusu czytając mój „Sianoskręć”. Czyż można sobie wymarzyć lepszą reklamę własnej twórczości? Lanserka o największych podwalinach ludzkiej pychy. Ale ja zaraz rozwijam tę scenę i mówię. Ależ pani Basiu, przecież było inaczej. Pani tylko lekko przykleiła się do maski autobusu i nadal czytała sobie książkę. Kierowca zawiózł panią pod sam dom i zrobił sprytny manewr hamulcami by pani delikatnie odkleiła się od tej blachy autobusu i dalej mogła sobie czytać tę moją książkę w drodze aż pod same drzwi.

Ta wizja spodobała się bardzo pani Basi, bo zaczęła chichrać się do słuchawki. Ależ panie Mariane, mówi. Chciałam bardzo odwzajemnić się za tę książkę i poszłam do znajomej księgarni w Jarosławiu, gdzie znalazłam kilka dni temu znakomite wiersze „Drohobycz” Serhija Żadana. A dziś przekopaliśmy z księgarzami całą księgarnię i książki nie było. Ktoś ją po prostu ukradł, wie pan? O ja głupia, po co ja ją tak zachwalałam głośno przy wszystkich klientach – że to znakomita książka, arcydzieło, aż wszyscy się zbiegli i zaczęli ją obmacywać jak panienkę. Była mała i słodka, mieściła się w kieszeni. Wszystko było jasne. O ja głupia....

Powiedziałem że to daje do myślenia, że w tych czasach, kiedy najważniejsza jest duża kasa i bezdusność, ktoś kradnie poezję. To może ta Polska nie jest aż taka najgorsza? W odpowiedzi Basia obiecała że skseruje swój egzemplarz prywatny i mi wyśle. Tak ten temat zakończyliśmy w naszym Telefonicznym Salonie Literackim, w którym co jakiś czas spotykamy się i opowiadamy sobie różne wydarzenia i zdarzenia różnego kalibru, żeby nie powiedzieć, że czasem przemkną nam przez usta jakieś bzdury.

Do tego Salonu jak wydedukowałem po długich rozmowach z panią Basią, należą też Jacek Dehnel,

## TELEFONICZNY SALON LITERACKI

Michał Rusinek, Krystyna Lenkowska, Magdalena Jankowska no i ja. Nie wiem czy oni o tym Salonie coś wiedzą. Ale najważniejsze, że ja go sobie wymyśliłem a oni być może dowiedzą się o nim potem. I albo zostaną w nim albo obruszeni wyjdą. Na razie Salon żyje. Pani Basia zawsze swoich gości częstuje swoją kawusią z dźwięków „f-e-n-o-m-e-n-a-l-n-e”. A podstawką do filiżanki jest monolit ze słów „wiepan?” Natomiast w cieniach naszych rozmów, ukrywających się gdzieś w kontekstach leżą dodane na talerzyku przysmaki na przegryzkę o nazwie „a guzik mnie to obchodzi”, całkiem niezłe, lekkie, o posmaku pieprzno-solnym, z dodatkiem cynamonu i imbiru. Każdy z nas siedzi w swoim kącie i popijając od czasu do czasu coś powie, próbując oddać istotę naszych czasów pod każdym względem, włącznie z obecną sytuacją w Polsce, gdzie kultura z polityką szarpną się ciągle za kudły. Gdy Dehnel popieści się już ze swym partnerem, Rusinek wysublimuje zdanie o wartości tego czym się obecnie zajmuje, Lenkowska, Jankowska i ja dopełniamy to naszymi spostrzeżeniami. Ale dziś ogłosiliśmy wspólny spacer. Wychodzimy więc na spacer. No to idziemy.

W powietrzu jakaś transgresja. Po drodze mijamy Plac Pozbawionych Humoru, odwrócony do góry nogami. Wszystko wisi jak nieżywe, niczym wyprana bielizna. Jedyna mowa i język to było schnięcie tej bielizny, wzajemne się suszenie. Gdy suszenie się skończyło, wszyscy zaczęli się obgadzać na miarę skuteczności proszków do prania dostępnych na rynku. Światowe i krajowe tragedie – ilu ludzi się w to lato utopiło, ilu spaliło w pożarze, ilu zostało zastrzelonych, ilu zginęło w wypadkach samochodowych, ilu spadło z zerwanego mostu w przepaść znajomej rzeki, nie wystrzyży nikomu krytycznego spojrzenia na ludzką kondycję, gdyż dalej żądano jedynie wzorowego ordnungu w szafach i przy wycieraczkach. Geometria idealna ma być!, krzyżowano morderczą moralnością pani Dulskiej, musi być równiutko! A moje gatki, koszulkę i buty tak zawsze byle jak pozostawiam, pomysłatem. Pewnie mnie kiedyś ukarzą za to grzywną, albo zamkną do więzienia. Boję się tego idealnego porządku, którym teraz rządzi technologia cyfrowa. Już na niejednego cyborga w życiu natknąłem się. Miał zimną rękę a w oczach same megabajty.

Gdy się zegnaliśmy po spacerze, wciąż coś przedłużało to nasze pożegnanie, jakiś niedokończony wątek, jak zwykle. Proszę uściskać ode mnie swoją uroczą żonę, w której jestem zakochana. Nie, nie jestem lesbijką, tylko bardzo proszę ją ucałować ode mnie. I proszę sobie koniecznie przemyć uszy po tym moim długim gadaniu. Do usłyszenia.

Gdy odłożyłem telefon, w palcach chodziły mi mrowki, ręka mnie bolała a ucho było bardzo rozgrzane. Jednak nie poszedłem go przepłukać, bo po tym zabiegu pani Basia pewnie by gdzieś zniknęła ze swoim niepowtarzalnym Salonem. A do salonów żartocznego konsumpcjonizmu z tymi błyszczącymi efekcikami nie chce mi się chodzić, ani tam dzwonić. Niech żyją książki czytane na maskach autobusów. I na kominie i na linie cyrkowej, jeśli to ma czegoś nauczyć. I odjechani czytelnicy niech żyją, tacy jak pani Basia. Nie wiem czy się podążą do tego mojego entuzjazmu organizatorzy narodowego czytania.

MARIAN LECH BEDNAREK  
SIERPIEŃ 2018



Grafika Katarzyna Gościńiewicz

## Spis treści 4/2018

Marek Wawrzekiewicz, Krzysztof, Dedykacje, FELIETON .....	str.2
Marian Lech Bednarek, Telefoniczny salon literacki, FELIETON.....	str.2
Maria Jentys-Borelowska, Rzec o tęsknocie, KSIĄŻKA ROKU.....	str.3
Katarzyna Gościńiewicz, POEZJA.....	str.3
Urszula M. Benka, Piskliwa ścieżka, ESEJ.....	str.5
Jacek Jaszczak, wiersze.....	str.8
Boris Nosik, La Ruche, PROZA OBCA.....	str.9
Barbara Janina Sokołowska, wiersze.....	str.13
Roman Warszawski, Skrzydła, PROZA.....	str.14
Michał Sokołowski, wiersze.....	str.17
Beata Gradowska, Między muzyką a polityką, MUZYKA.....	str.18
Andrzej Katzenmark, Tektoniczny uskok milczenia, ESEJ.....	str.20
Adrian Ligęza, wiersze.....	str.23
Paweł Marciszewski, O obrotach ciał niebieskich, PROZA.....	str.24
Jacek Mirczak, wiersze.....	str.25
Michał Frąckiewicz, Peryferia ponowoczesności, ESEJ.....	str.26
Martyna Franke, wiersze.....	str.27
Konrad Gromek, wiersze.....	str.27
Anna Milewska, wiersze.....	str.28
Katarzyna Buczyńska, Widokówka, PROZA.....	str.29
Andrzej Sien-Sienkow, LITERATURA OBCA.....	str.30
Jan Stanisław Smalewski, Żołnierze wyklęci, HISTORIA.....	str.32
Katarzyna Michalska, wiersze.....	str.35
Zofia Smalewska, Kisielice, ESEJ historyczny.....	str.36
Aleksandra Naróg, Beksiński, OMÓWIENIE WYDARZENIA.....	str.37
Prof. Janusz Degler – Zbigniew Kresowaty, ROZMOWA.....	str.38
Anna Krasuska, Słowostrzępy, ESEJ.....	str.42
INTERPRETACJE	
Michał Frąckiewicz, Lepsze jutro było.....	str.44
Andrzej Walter, Emilios Salomou.....	str.44
Ilona Mikołajczak, Pionki w grze.....	str.46
RECENZJE.....str.47-51	
Roman Warszawski, Wolność	
Paweł M. Wiśniewski, Obecne kwestie...	
Aneta Kielan-Pietrzyk, Interesuje mnie chropowatość...	
Jerzy Stasiewicz, Antologia pokoju,	
Jerzy Stasiewicz, Poeta pytań...	
Paweł M. Wiśniewski., Sam na sam	
Andrzej Walter, Gdzie by tu zrobić kupę	
Paweł M. Wiśniewski, Post scriptum	
Andrzej Walter, Już dawno się winno... (teb ukręcić...)	
Zbigniew Joachimiak, Stan wojenny, ANEKS DO KALENDARZA (3).....	str.52
Joanna Wójtowicz, 2 wiersze, DEBIUT.....	str.56
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (27).....	str.56

Maria Jentys-Borelowska

# RZECZ O TĘSKNOCIE I BEZRADNOŚCI

KSIĄŻKA ROKU

Pierwszego października 2018 roku w Teatrze Powszechnym w Warszawie odbyła się premiera nowej powieści Wiesława Myśliwskiego pt. *Ucho Igielne*. Na długo przed rozpoczęciem imprezy foyer teatru było pełne oczekujących, a gdy otwarto drzwi do sali widowiskowej, w jednej chwili tłum admiratorów Pisarza wypełnił ją po brzegi. O dziwo, dominowali w tym tłumie ludzie młodzi, a w każdym razie to ich reakcje na jego słowa – te z książki, czytane przez Roberta Więckiewicza, i te, które wyszły potem z ust Autora – były najwyższe i najgorętsze. Po raz drugi w życiu (od czasu słynnych okiennych rozmów Jana Pawła II z młodzieżą krakowską) zobaczyłam na własne oczy rzecz zadziwiającą: Starość i Młodość w pełnej komitywie, w nie dającym się precyzyjnie określić sprzężeniu zwrotnym. Stary Mędrzec – pomyślałam – ktoś, w kim widzą Nauczyciela i Przewodnika, tak pożądanego w tym naszym świecie pomyślonych wartości... „On mógłby ich poderwać do czynu!” – entuzjazmował się mój sąsiad, bijąc brawo i jemu, i młodemu.

Nie inaczej wyglądała ponoć promocja *Ucha Igielnego* w Krakowie: obliczona na kilkaset osób sala konferencyjna Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” pękła w szwach, a komunikacja między Gospodarzem spotkania a jego gośćmi była ekscytująca.

Pięć lat wcześniej w warszawskim Teatrze Syrena, przy podobnie wypełnionej po brzegi widowni, Znak promował *Ostatnie rozdanie*, poprzednią powieść Wiesława Myśliwskiego, ale w tłumie mieszały się wtedy ze sobą przedstawiciele wszystkich pokoleń bez czyjejkolwiek widocznej przewagi. Z tamtego spotkania z Pisarzem wryły mi się w pamięć słowa, które padły z sali, z dalekich rzędów, i wydały mi się wielce znaczące: „Dobrze, że pan jest, panie Myśliwski! Dobrze, że pan jest!” Anonimowa czytelniczka, niemłoda i najwyraźniej nieskłonna do krasomówstwa, prostymi słowami wyjaśniła fenomen popularności Pisarza, samemu Pisarzowi zaś dała do zrozumienia, jak bardzo jest

ludziom potrzebny, może wcale nie mniej albo niewiele mniej niż chleb i woda, niż przyodziewek i dach nad głową, niż czyste powietrze... Niewiele mniej, bo bez stawy duchowej żyć – co prawda można, głód poczucia sensu, celu i treści nie zabija, w każdym razie nie każdego i nie od razu, ale jakież to życie, jakie czcze i jałowe wegetowanie! Jakże bolesne trwanie w pustce! Może to tej bezimiennej czytelniczce dedykował Twórca – ważne, a krzepiące słowa o naszej, często bezwiednej, wspólnotce, o ożywczej, choć półświadomej wymianie doświadczeń: „[...] a ze wszystkiego, z czym zetknęliśmy się choćby bezwiednie, zabieramy coś dla siebie. Dzięki temu, można by powiedzieć, w każdym z nas jest jakaś odrobina całej ludzkości. I nie ma znaczenia, czy żyją, czy żyli kiedyś, dawniej. Zawdzięczamy im, że i my żyjemy teraz i kiedyś, i dawniej. I jesteśmy o tyle bogatsi, że mamy poczucie jakby mniejszej dolegliwości mijającego czasu” (*Ucho Igielne*, s. 75).

Jeszcze dobitniej zakomunikował Pisarzowi to samo co owa nieznaną czytelniczką pewien żarliwy czciciel jego dzieł z Holandii, który zapisem testamentowym przekazał autorowi *Widnokrepu* cały swój majątek. Nie znam treści owego zapisu, ale wydaje się oczywiste, że rozumieć go należy tak właśnie albo bardzo podobnie: Daję Tobie, co mam, co zdobyłem własną ciężką całonocną pracą, bo Ty dałeś mi coś, co też wypracowałem przez lata twórczego trudu, a co odmieniło mnie i moją jałową egzystencję, nauczyło mnie widzieć, nauczyło słyszeć, nauczyło czuć... Pokazało Piękno i Wielkość ludzkich spraw. Ocaliłeś mnie przed Pustką, która zabija.

Wiesław Myśliwski rzekł się, rzecz jasna, spadku na rzecz pewnej szacownej instytucji kultury w Holandii, lecz nie zmieniło to faktu, że symbolicznie pozostał spadkobiercą Holendra. Nie trudno sobie dziś wyobrazić, jak delektowałby się ów niezujący

cd. str.4

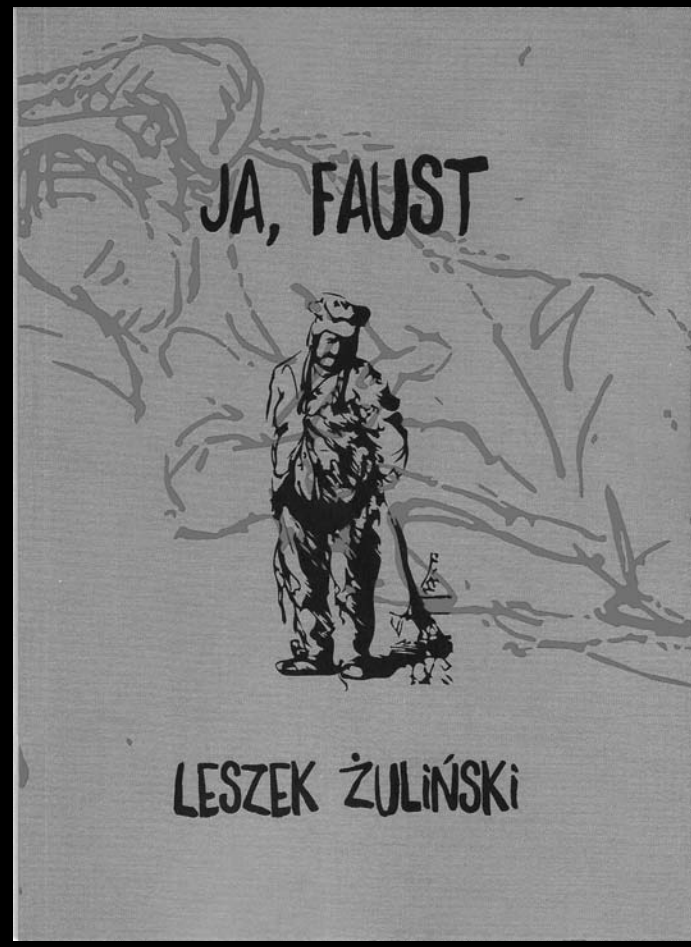
## Katarzyna Gościńiewicz

### Powiedz mi

powiedz mi jak to jest kiedy  
ukrywasz się w chmurze  
białej, jak puch rozpięchłej  
lekko  
srebrzyście  
z góry spoglądasz na mnie, i  
gorącymi promieniami słońca chwytasz mnie  
za serce  
powiedz mi jak to jest kiedy  
przysiadasz cichutko na mym ramieniu  
niewidzialnie  
bezszelestnie

pięknie  
i jak sowa mądra  
na świat moimi oczami się patrzysz  
ja Cię nie widzę, ale czuję  
powiedz mi jak to jest kiedy  
razem z wiatrem piszczącym cicho  
pogwizdujesz i  
piruety frywolnie wykonujesz z liściem  
lekko tańczącym  
Ty otaczasz mnie swą miękkością, jak szalem  
w ciemną noc,  
i płyniesz, tak  
nieposłyszanie, przed siebie, beztrosko jakby,  
czujnie jednak  
powiedz mi jak to jest,  
jak tam jest

## Migotania polecają lektury



już holenderski czytelnik *Uchem Igielnym*, jak radował głębią, mądrością i urodą tej nowej powieści ukochanego polskiego Pisarza, gdyby mógł ją przeczytać. Ile krzepiącej inspiracji znalazłby dla siebie w takim chociażby fragmencie:

„Stało się więc, co się miało stać. Tak że musiałem wziąć jego życie na siebie. Cóż, nikt nie żyje tylko własnym życiem. Można by nawet powiedzieć, że powtarzamy to, co inni już przeżyli, poczynawszy od swojego urodzenia po śmierć. Może dzięki tej powtarzalności udaje nam się przetrwać. Bo trudno sobie wyobrazić, że to od nas zaczynałby się świat. Za nami nic, a przed nami co? Nawet zbuntować się za to, że żyjemy, nie byłoby przeciw komu. Szlibyśmy w przyszłość po omacku, pełni lęków, trwogi, nie wiedząc, gdzie idziemy. A tak przynajmniej idziemy już po jakichś śladach, nieważne w jakim kierunku. Ślady są ważniejsze od wszelkich kierunków” (*Ucho Igielne*, s. 219).

Lektura *Ucha Igielnego* to porywająca przygoda, na pewno jednak nie dla wszystkich. To przygoda dla tych tylko, którzy pytają o rzeczy najważniejsze i szukają odpowiedzi. To nietatwa, wymagająca rzetelności i samozaparcia wyprawa w głąb siebie w celu osiągnięcia stanu samoświadomości, który pozwala na rozbudzenie i rozwijanie uczuć takich, jak współczucie, cierpliwość, wielkoduszość, zdolność przebaczenia, miłość. Jeżeli ktoś ma potrzebę zatopienia się w sobie i rozejrzenia we własnym wnętrzu, jeżeli przekłada przygodę duchową nad rozrywkę, podąży chętnie i z radością za Myśliwskim. Bo właśnie on jest w tej dziedzinie przewodnikiem niezrównanym i każdego chętnego doprowadzi do wąskiej niby ucho igielne furty samopoznania i poprowadzi dalej, ku „tej dawnej, dzikiej zielonej dolinie”, w której, być może, znajduje się to, za czym tęsknimy, czego pragniemy, bez czego żyć nie potrafimy. Bo to coś to MIŁOŚĆ – zasada życia, fundament świata, esencja bytu. A także zasada twórczości Wiesława Myśliwskiego, jej źródło, jej podglebie.

Być może – zastrzegłam w ślad za narratorem – bo kto wie, czy dzika zielona dolina jeszcze tam jest i czy w ogóle kiedykolwiek była. Przewodnik niczego nie gwarantuje prócz długiego i mozolnego schodzenia i na przemian podchodzenia, jako że do doliny prowadzą strome schody, a po drodze trzeba precyzyjnie się przez ową wąską bramę samopoznania zwaną Uchem Igielnym. Niczego nie gwarantuje, bo wie – dość długo już żyje, by przynajmniej to wiedzieć – że nic nie jest pewne, nic stałe, nic zgodne z naszymi nadziejami, oczekiwaniami, pragnieniami, wysiłkami, a nawet złudzeniami, nasza pamięć zaś jest wielką

zwodnicą i konfabulatorką. Mimo to bohater-narrator niestrudzenie podąża do owego miejsca w niegasnącej nadziei, że raz jeszcze „ją” tam spotka – „ją”, czyli swoją dziewczynę, swoją duszę, swoje drugie ja, które nie wiadomo dlaczego utracił i bez którego jest tylko połową siebie.

Dziewczyna, podobnie jak narrator-bohater, nie ma imienia i go nie potrzebuje. Istnieje przecież tylko w jego umyśle (pamięci) i tylko dla niego, jako jego najświętsza tajemnica. Kilka razy jawi się jako „Żydówka”, ale Żydówką z urodzenia nie jest, jest nią symbolicznie, przez solidarność z napiętowanymi i skazanymi. Może dlatego musi zniknąć, rozwiać się jak dym?! Zbyt wrażliwa i czuła, i piękna, żeby przetrwać?!

Lektura *Ucha Igielnego* utwierdziła mnie w nieco wcześniej (przy *Ostatnim rozdaniu*) powziętym podejrzeniu, że Wiesław Myśliwski, największy prozaik kilku ostatnich dekad, jest w gruncie rzeczy poetą, a jego wielkie powieści o tematyce społeczno-obyczajowej są w swej istocie najczystsza liryką wywodzącą się ze źródeł zdumienia, wzruszenia i zachwycenia światem. Dla przypomnienia sobie, czym jest liryka w rozumieniu teoretyków literatury, sięgnęłam po definicję sformułowaną przez profesora Janusza Sławińskiego w *Podręcznym słowniku terminów literackich* (1996). I wszystko stało się jasne. Bo liryka to „jeden z trzech rodzajów literackich, obejmujący utwory, których materiałem tematycznym są przede wszystkim wewnętrzne przeżycia, emocje i przekonania jednostki, przekazywane w wypowiedziach monologowych o silnym nacechowaniu subiektywnym. Ośrodkowym elementem w utworze tego rodzaju jest podmiot liryczny, którego uczucia lub myśli organizują całość świata przedstawionego; swoistą sytuacją liryczną, warunkującą jego sposób wypowiedzenia się, czyli ukształtowanie monologu lirycznego, jest sytuacja wyznania”.

Otóż zarówno w *Ostatnim rozdaniu*, jak też – w niepomier- nie większym stopniu – w *Uchu Igielnym* narrator-bohater jest klasycznym, wręcz definicyjnym podmiotem lirycznym, który spowiada się ze swojego życia w trybie konfesyjno - medytacyjnym, podporządkowując monologową narrację nadrzędnemu motywowi – tęsknocie, i głównemu wątkowi fabularnemu – rozciągniętemu na dziesięciolecia podążaniu do *Ucha Igielnego* na spotkanie „jej”, swojej duszy, swojej drugiej połowy, swojej świętości. Ów podmiot liryczny jest wielopostaciowy w jednej i tej samej osobie: na przemian młody, w kwiecie wieku, w sile wieku, postarzały, wreszcie sędziwy, ale zawsze jeden, w każdej postaci wiedziony tą samą, niezmienną tęsknotą do „tej dawnej, dzikiej, zielonej doliny”, gdzie za dawnych, dziecięcych czasów

pojawiała się „ona”. Tylko ta tęsknota ich wiąże i scala, bo poza tym są sobie obcy i nawet niechętni, wrodzy. Zwłaszcza starzec nie odnajduje w sobie żadnej wspólnoty ze swoim młodzień- czym „ją”, z wcześniejszym o dziesięciolecie sobą. Gdy spotykają się przy Uchu Igielnym, młody spycha stariego (intencjonalnie) ze schodów ze skutkiem śmiertelnym. Zabija (symbolicznie) swoją starość.

A „ona” już się nie pojawi – co minęło, minęło bezpowrot- nie. Jeden jedyny raz ukaże się we śnie, we wspólnym śnie młodzieńca i starca, ale odejdzie – niezmiennie młoda – ze starcem. Bo on dłużej czeka.

Nie sposób zdać sprawę, tak jak by się chciało, z nowej powieści Wiesława Myśliwskiego nie tylko ze względu na wie- łość składających się na nią wątków, bogactwo myśli, wzruszeń i uczuć, ważność zdarzeń i faktów historycznych, społecznych, gospodarczych, kulturalnych, które warunkowały życie narrators- bohatera, podobnie zresztą jak i życie Pisarza, który przyszedł na świat w roku 1932. Nie da się tego uczynić także dlatego, że narrator-bohater – albo lepiej: podmiot liryczny – gubi się raz po raz sam w sobie, a razem z nim czytelnik traci orientację, który to... Na chwilę tylko ją traci, bo autor panuje nad postaciami, które powołał i które są posłuszne jego woli. Czyni to w sposób mistrzowski, budzący podziw.

Tak więc, reasumując, Wiesław Myśliwski objawił się w swej nowej powieści, o symbolicznym, poetyckim tytule, jako pro- zaik obdarzony wrażliwością poetycką i zdolnością medytacyjną, a zarazem jako poeta zdolny połączyć mocny, choć subtelny nurt liryczny z potężnym nurtem epickim w jedną, integralną i harmonijną narrację poetycko-prozatorską o niepowtarzalnym, oszałamiająco bogatym brzemieniu z dominującym motywem nostalgicznym.

Po raz pierwszy też nasycił Pisarz swój utwór autobiogra- fizm, którego przedtem unikał. I nie tyle o autobiografizm faktograficzny tu chodzi, czyli o czas życia, o topografię miejsc z dzieciństwa etc., ile o ową warstwę liryczno-medytacyjną, która tworzy z *Ucha Igielnego* autobiografię duchową Pisarza.

Na koniec pozostaje powtórzyć za ową cytowaną wyżej, nieznaną czytelniczką: Dobrze, że Pan jest, Panie Myśliwski! I niech Pan będzie jak najdłużej!

MARIA JENTYS-BORELOWSKA  
W LISTOPADZIE 2018 R.

Wiesław Myśliwski: *Ucho Igielne*. Wydawnictwo Znak, Kraków 2018, s. 424.

Grafika Katarzyna Gościńiewicz



Powszechny gniew na ustawę ACTA, która zapowiadała uczciwy, honorujący prawo autorskie i własność intelektualną, dostęp do Internetu, dał posmak, jak mocno Sieć nas pochwyliła i z jaką natomiast energią odsąca szanowane wzorce, probierze jakości. Internet rozsądniej uznać za przestrzeń nie tyle norm, co uniesień; postępujemy się tutaj czasownikami *lubić* albo *nienawidzić*. Jednak opis tego zjawiska będzie chybił w terminach ustrojowych, tak przydatnych do objaśnienia licznych uwikłań rzeczywistości totalitarnej. Mówiąc o władzy nad informacją, o zarządzaniu kryteriami ocen, modelowaniu świadomości, względnie o wartościowaniu informacji stopniem emocji, jakie mogą wzbudzić, przeoczyłoby się, tak jak 30 lat temu, uwikłanie kluczowe: **brak społeczeństwa**.

„Wprowadzenie socjalizmu równa się obaleniu społeczeństwa”, adresata zmian, w tej sytuacji obojętne już, czy narzuconych w drodze rewolucji, czy w toku jakiegoś spowolnionego procesu, gdyż niezmiennie jest to dzielenie przez zero. Jeśli przyjmując powyższą diagnozę, zauważymy, że socjalizm nie wyczerpuje sprawy. Do obalenia społeczeństwa, rozbicia go na koterie, wiedzy oczywiście każda faszyzacja; istota faszyzacji polega na uśmięciowaniu międzyludzkich powinności i zobowiązań. Grupy ludzi zaczynają przypominać rozebrane na części auto. Rozłożone na plandecę części mogą mieć świetną markę jak radziecki balet, jak raporty klimatologów na katowickim szczycie COP24 2018; mogą być tedy sprawne, zgadza się ich liczbowy stan, ale całość nie spełnia swojej funkcji. Internet zatem, zjawisko postkomunistyczne, posttotalitarne, od samych narodzin rozporządza wysypiskiem gruzu.

To znaczy, że nie mamy kultury. Już Simone Weil, „mistyczka-buntownicza”, „ta szalona! ta wariatka!”, jak nazywał ją Józef Czapski, odkrywała (z konsternacją, ponieważ przyszło jej żyć w epoce kultu masowości i jedynomyślności – zmarła w 1943): **nie ma sztuki poza społeczeństwem**. Ale nie ma też kultury bez sztuki. Sztuka nie jest tylko zbiorem dzieł: Kafki, Manna, Babla, Strzemińskiego, Prokofiewa, Brunona Schulza. Ostawione twarde, oparte na strachu więzi społeczne chroniły wyłącznie sam (anarchiczny, bo śmieciowość faszyzmu to anarchia) proces produkcji.

Zamiast odwarzać społeczeństwo, po 1989 odtworzyliśmy zaledwie skromną ilość instytucji dobra publicznego. Miały na celu ochronę jednostki, w praktyce jednostki już potężnej, wpływowej, okopanej na swoim, a nie jakość więzi międzyludzkich w pracy, kościele, mediach, banku, szkole i sklepie, które stały się prawie natychmiast ponownie uśmięciowane i niech za przykład wystarczy kredyt na papierosy, jakim kioskarz służył małej córce swojej stałej, lubianej klientki. Żalną społeczną ruinę puściliśmy na przemiał w tryby wolnego rynku. Rynek zaś stał się **faszystowski** z momentem potężności śmieciowości oraz fascynacji. Wykluczał kopniakami całe grupy, całe środowiska, przerzucał się na sfery trwożnie dotąd chronione, przykładowo miłość i świętość. Zamiast społeczeństw reanimowaliśmy bowiem państwa. Stały się znów podmiotami na politycznej mapie; wymieniono w nich aparat przemocy na mniej dolegliwy; w Polsce upaństwowiony został nawet największy związek wyznaniowy, państwo wraz z nim wessało i mieli naszą moralność. Po półwieczu desocjalizacji upaństwowiona moralność nie wyklucza się z przestępczością, chciwością, mściwością, podejrzliwością, rozpadem rodzin, znieczulicą, nałogami. Lecz powtórzę, chodzi o ludność, jaka przed desocjalizacją komunistyczną i na skutek wypędzeń, przeszła desocjalizację w postaci II wojny światowej z jej składową, a mianowicie zagładą Żydów. O tej wyrwanej dziurze nie było jak myśleć, bo na to, co się stało, nie istniała żadna nazwa. A jednocześnie, jak skonstatował Theodor Adorno, rozrost słownika o neologizmy w rodzaju *holokaust*, czy, w sensie już ściśle prawniczym, *ludobójstwo*, dał początek „uśpómiernieniu”, przyswojenia, ustawienia „tego” w jednym rzędzie obok innych zbrodni. Tyle, że ludobójstwo nie jest zbrodnią w tradycyjnym znaczeniu występku przeciw powszechnie uznawanemu systemowi wartości, i dlatego popełnianą przez *margins*. Ono wynika z powszechnego systemu wartości; tylko *margins* mu się przeciwstawia.

Z drugiej strony, przy ogromie tej dziury było nam łatwiej o uniki. Na gruncie filozofii uniwersyteckiej, oczywiście każdy potrafił zdyskredytować tezy ludo-

bójczej ideologii, zwłaszcza upadłej już, jak nazizm, atoli fenomen nietykliwości Heideggera pozostawał nietykalny. Punktowe skupienie na błędach logicznych, na naruszeniach standardów myślenia i aksjomatów światopoglądowych, wygłuszyło głębinowe emocje zupełnie tak, jak u korektora naukowego artykułu, pochłoniętego poprawnością interpunkcji, spacjami, dysgrafią – lecz nie treścią. Powoduje też znużenie w wypadku zbyt odległych, zbyt swobodnych ekstrapolacji, jakie mogłyby zaintrygować. Unikaliśmy więc przez długie 50 lat namysłu nad faktem, że poza Czechami, w całej środkowo-wschodniej Europie już przedtem doszły do władzy zabójcze dla więzi społecznych systemy albo wręcz oddolnie organizowane formy współpracy z totalitaryzmem, że pewnymi fluidami wniknęły nawet do myślenia o psychice czyniąc ją śmieciową, bądź też teorii artysty, czyniąc go śmieciowym. Zanik społeczeństwa oznacza porwanie na strzępy więzi już rozpaczliwie zasuplonych. Owszem, są one wciąż między-ludzkie, ale u nikogo nie prowadzą do pokładów autentyczności. U jednostek, które straciły kontakt z własnym ja, więzi z innymi dostarczają okazji do pozerstwa, kłamstwa, manipulacji. Tak więc do Sieci wpadł gruz, a wraz z nim człowiek, wszakże tylko jako obywatel, konsument oraz towar.

Jednostka zmienia się w niepochwytym zgoła kierunku. Kultura, nawet w ujęciu strukturalizmów, nie da się wyobrazić bez jednostki. Społeczeństwo istnieje tylko tak długo, jak długo konkretny człowiek jest drożny psychicznie, jak długo to szanuje i tedy godzi się na własną tożsamość. Rolą społeczeństwa jest mu to **zapewnić**. Kultura ustala formę zbiorowej zgody na drożność; jest ową formą.

Sztuka odpowiadałaby ujawnianiu kontestatorskich „wrażen” doznawanych podczas przechadzek po psychicznych wnętrznościach, niczym podziemnymi kanałami. Sztuka obrazowa i literacka pozwoli tu na dystans niemożliwy w wypadku sztuk operujących takimi zmysłami jak dotyk, smak, węch i równowaga. Jednak „wszystkie wrażenia zmysłowe odebrane od rzeczy świata materialnego, budzą najpierw w człowieku uśpione władze duszy i wprawiają je w czynność, a będąc początkiem wszystkich działań umysłu, są zarazem początkiem wszystkich działań i myśli” – powtórzę za Ryszardem Przybylskim słowa Jana Śniadeckiego, oświeceniowego matematyka i astronoma, skasowanego jedną pseudoballadą *Romantyczność* przez nasz zadufany, obraźliwy romantyzm. O tym za chwilę, bo jeśli chodzi o dziurę wyrwanego żydostwa, i jeśli je wolno tutaj wstępnie potraktować jako **nieco inne wzorce** społeczne i ludzkie niż kulturowane wokół, jako mianowicie implanty mikro społeczeństw<sup>2</sup>, to sztuka po 1945 uniknęła **ukazywania** stanów ducha karta oraz świadka, choćby ich gotowości do tworzenia nazizmu „z ludzką twarzą”, choćby miał on polegać na urządzaniu sobie nocy kryształowych bez płacenia za to wielodniowym kulieniem się w schronach przeciwlotniczych.

To, o czym teraz mowa, pozostawiało uśpione „władze duszy”. trwało ukryte za upozowanym choć szczerym oburzeniem, ukryte za słowem-kluczem „och, to jest nieludzkie”, podczas kiedy było jak najbardziej ludzkie, doświadczane wcale nie tylko pod przymusem, niekoniecznie ze względu na czyjeś osobiste konflikty, prawdopodobnie wysoce skomplikowane, ze skazanymi na śmierć. Pisałam kiedyś w „Notatniku Teatralnym”, że istnieje aspekt Auschwitz jako ohydny spektakl toczącego się w *body language*: każdy niuans odkłada się w ciele (widza też, ma się rozumieć!) wyrazem oczu, zmianami cery, ubywaniem wagi, mimowolnymi reakcjami na huk, na krzyk blisko ucha, na pewne potrawy, zmianą potrzeb seksualnych i, osobno, zachowań seksualnych, problemami z pamięcią, snem i koncentracją. Chodzi o to, że **nie da się oddać inaczej** wydarzenia, ponieważ każde odstępstwo ‘plastyki’ wypacza treść spektaklu. Czyli wglądu we własne ja.

Otóż doświadczenie demolki psychicznej i społecznej ujmowano artystycznie językiem „sprzed”, a publikowano wyłącznie jako doświadczenie ofiar, a nie katów, także biernych – bierność otoczenia to przecież bierna agresja. Zresztą, przytaczała skala tego doświadczenia. Adorno zadał pytanie, czy aby w ogóle po Auschwitz jeszcze jest możliwa poezja; być może przedwcześnie, pochopnie Adorno wycofał się i ostatecznie zbagatelizował swe przesłanki, jakkolwiek gdzieś właśnie w tym czasie poezja faktycznie utraciła impet twórczej radości profanatora-odkrywcy, traci frenetyczną moc. Filozof zdobywa się raczej na stwierdzenia w rodzaju „poezja stanowi zawsze w pewnym sensie przeciwieństwo poezji”<sup>3</sup>. Nikt już nie tworzy wysokiej liryki wyśmiewającej jak Bertolt Brecht, trupy na pobojuwisku. Ani porywającej w bój o cokolwiek. Po I wojnie światowej artyści krzyczeli,

# ŚCIEŻKA PISKIWA

że wojna jest idiotyzmem, Bertolt Brecht wyśmiewał trupy na pobojuwisku. Po II wojnie błazen nie może już być bardem. Błazen staje się intelektualistą. Prawda duszy i wysokie C absurdu będą odtąd domeną muzyki. Dla Paula Celana, ocalałego rumuńskiego Żyda, błyski genialnych poetyckich skojarzeń były bynajmniej nie metaforami, a raczej przełamaniem oddechu w trwającym jeszcze szoku, były **faktem** wykrztuszonym „przez kraty słów”.

Internauta protestuje znacznie zaciekłej niż opozycjonista końca lat 80', lecz przedstawia sobą nieomal dowolne zlepki osobistych pragnień oraz potrzeb – z zachowaniami. Upostaciawia deprymującą jednocześnie bycia na niby i naprawdę, bycia sygnaturą, buchalteryjnym numerem konta względnie hasłem, z byciem najdosłowniej – każdym z nas. Zwycięski w tym sporze, wciąż wolny internauta (będę mówić o polskim) w obu swoich wcieleniach, mianowicie konesera zastuchanego w podkradane piosenki Hołdysa, oraz abnegata, który chrolemi zarobki 'elyty', nie znał szczegółów ustawy, z jaką walczył. Wierzy do dzisiaj, iż po to upubliczniono wersję oficjalną ACTA czyli *Anti-Counterfeiting Trade Agreement*, aby ukryć tajne klauzule. Aż dygoce na myśl o naiwnym sprzeczaniu mocodawców ACTA do nazwisk pod cyrografem, skoro są labiryntalni, są wielkimi korporacjami, hackerami w służbie zbrojących się po zęby generatów Państwa Środka, trollami Putina i jego sobowtórów, siatką dżihadu, zachodnimi bankami albo Opus Dei, Greenpeace i zarazem lożą masońską, i zamieszczają swoje fotografie wyłącznie w celu kodowania podtych instrukcji w pliku graficznym. Fotka to tylko zbiór pikseli, które, przetozone na język cyfrowy, pozwalają utworzyć ze 300 000 znaków, 150 stron maszynopisu. Dla internauty to najlepszy dowód, że pokonał znowu mrocznych sił. Pokonał ją, ponieważ odważa się odrzucać normy etyczne, religijne, językowe, dyscyplinę interesów, dobrego smaku oraz tzw. wiedzy ogólnokształcącej. Na portalach powiada, że nie ma pieniędzy na kulturę. Jedyne, co ma, to perspektywa bezrobocia wobec najwyższego w Unii uśmięciwienia rynku pracy. Trudno w takiej sytuacji oczekiwać, by stanął do światowych zawodów palenia fajki jak Bronisław Geremek i w przerwie nienaganną francuszczyzną rozmawiał o Quattrocento.

Znowu cofnę się w czasie. Ludzie opozycji lat 80' poznawali przepisy, kodeksy a także konkretnych polityków „systemu”. Pisali do nich listy otwarte, wypijali bruderszafft. Popatrzmy: panował istic jaspersowski

personalizm na poziomie konferencyjnym. W wypadku internauty nie wiem, czy jest młody, czy siwowłosy, czy jest skinem, biskupem, goprowcem czy galerianką. Czy pójdzie na wybory, czy też od komputerowej gry, polegającej na snajperskim strzelaniu do własnego prezydenta, zbyt się uzależnił, aby podnieść tyłek ze stołka, wyrysować krzyżyk i wrzucić kartę do urny. Hejtuje dziennikarzy, skutkiem czego Polska spadła na 58 miejsce w Rankingu Wolności Prasy, opracowanym w 2018 przez organizację Reporterzy Bez Granic. Przy pozorach wszechwiedzy czerpanej z Sieci jego kontakt z rzeczywistym światem bywa wątłutki, bo nawet obiad matka stawia mu pod zamkniętymi drzwiami pokoju. Nie wiem tedy, czy on istnieje, czy nie jest sztuczką speców od technologii cyfrowych, widzem swojej matki. Tak czy inaczej, nikt nie ma pojęcia, kim jest ktoś, czyj nick brzmi na przykład klaps, *Yiorg 14 albo banan w soczku*.

Internet wymknął się spod kontroli, co internauta czuje. Chce więc labiryntalności. Chce błyskawicznych rekonstrukcji siebie-składaka, operuje fikcyjnymi tożsamościami. Internetowe „wszystko” właśnie dzięki chaosowi oraz anonimowości oddaje, bardzo precyzyjnie, nasz rzeczywisty świat.

Internet jest na wskroś rzeczywisty, ponieważ jest magiczny. Jakie to dziecinne? Ba, Internet jest dziecinny. Klikasz, jak na desce surfingowej wnikasz do Wikipedii, pobierasz wiedzę o czym chcesz, o Dwurniku czy pornolach, Babie Jadze i UFO, nie musisz łamać sobie głowy, gdzie jest biblioteka i opera, ani dlaczego przytulne dzielnicowe kino za 2 złote znikło i mam Multiplex za 24 złote, w nim na szczęście *Wenus w futrze*. Osobno, nie łamiesz sobie głowy tym, co dzieje się ze złotowłosym chłopczykiem, aktorem w Pasoliniego *Salo czyli 120 dni Sodomy*. Internauta mówi mi, że to bezprawne wścibstwo, skoro żyjemy w epoce, gdzie codziennie spotyka nas najmniej przemocy i nie wolno jej stosować nawet wobec zwierząt. To prawda, aczkolwiek sam Pier Paolo „został rano 2 listopada 1975 znaleziony na plaży w Ostii. Zginął w noc Wszystkich Świętych. Miał zgniecioną klatkę piersiową, potamane żebra, twarz czarną od sińców, zmiażdżony nos i szczękę. Palce rąk były potamane albo obcięte”, podawały gazety. Internautka: „bez aluzji do księdza Popietuszki!”

Tworzą się niemniej pokłady wiedzy fikcyjnej, po części magazynowanej poza mózgiem, gdzie z kolei krąży ona trochę analogicznie do zjawisk zachodzących w atmosferze, bo dochodzi do skupisk pewnych drobiny, do ich miękkich lub gwałtownych przemieszczczeń, tornad, śnieżycy, jaka zasypuje nam ekrany monitora wbijanymi głęboko, samą swoją piktograficznością, memami w rodzaju zdjęcia Józefa Stalina z 1902 roku; ukazuje się ono bardzo często z patriotycznym podpisem jako młodego Piłsudskiego. Setki lajków! Tu przypomnę cechę myślenia opozycjonistów lat 80', których moralny sukces otworzył na oścież bramę Internetu: uznali mit za zbiorową utudę, za celowo aplikowaną masom fake-prawdę i w takim znaczeniu termin mityczności króluje w polszczyźnie. Paradoksalnie, masowy odbiorca przyjmuje fake - prawdę za własny najprawdziwszy mit, wszakże w znaczeniu nadanym mu w etnologii, mianowicie – trafiający w sedno, jak mit smoleński – że polskie elity zdolne są do wszystkiego. Ale mit nie ma nic z ogólnikowości. Jest precyzyjny, rzetelny. Mówi o problemie, którego usunięcie wymagałoby zmiany paradygmatu kultury. Mit diagnozuje miejsca, gdzie kultura się sypie i gdzie narasta problem ze śmieciowym społeczeństwem: państwa takich społeczeństw są niebezpieczne, napytują jedynie kłopotów i przysparzają wstydu. Dodam, że koterii, na jakie atomizuje się społeczeństwo, nie należy mylić z antagonizmem klas; klasy posiadają jakiś wspólny interes i dlatego mogą istnieć w symbiozie z resztą populacji. Koterie są pasożytnicze. Właśnie dlatego mit przemawia językiem magicznym; tylko w takim ośmielamy się na prawdomówność.

Powtórzę, nie wyśmiewam galerianki i nudnego gimnazjalisty wciągającego dymek z dopalacza, są bowiem owocem szlachetnych opozycjonistów tańczących na ruinie Muru Berlińskiego. Próbuję sobie odtworzyć dojrzewanie tego owocu. Kulturowo kształtuje jej sztuka. Doktryny edukacyjne mogły mieć przyjaznym tonem, ale sztuka ery Solidarności była niemilosierdzie hieratyczna. Była niezdolna do zabawy jako źródła kultury. Wartości. Przybijany do krzyża Zbawiciel a nad nim rozkraczony zomowiec. Czerń i biel. Negacja prawomocności absurdu. Negacja uroku absurdu. Już od lat 70' sztuka świadomie ograniczała symbol, oderwanie od tu i teraz; coś, co było w wypadku Celana albo Różewicza odruchem albo niemożnością, artystycznie opuszczeniem rąk, dostąpiło rangi obowiązującej konwencji literackiej.

Konwencji niekoniecznie zresztą osobiście lubianej, niemniej gwarantującej pozycję na literackim rynku; należy pamiętać, że mówię tu o rodzicach pokolenia, które „nic nie czyta” a książka rangi Paula Celana bez jego markowego nazwiska byłaby dla wydawcy nieoptyczna.

Komunistyczne 'tu i teraz' podlegało cenzurze, w rezultacie wszystko, co ukazywało się w obiegu oficjalnym, miało przyzwolenie cenzorskie, a to, co w drugim obiegu, przyzwolenie Kościoła i zachodnich, z reguły politycznych mecenasów. Chodzi mi o wyczuwalny nad sztuką niski pułap publicystyki, układności, zatem rodzaj manipulacji, ta zaś zawsze powoduje konflikt z wielkim realizmem. Nie jest trudno o wyniosły stosunek opozycjonisty do realizmu, na jakim wyrastał zachodni underground; opozycjonista nie miał i nie chciał mieć doświadczenia wykluczonego.

Z tego punktu widzenia realizm opozycjonistów był zarazem koturnowo apolliński. Poezja Jawienia, Barańczaka, Herberta, którzy nigdy nie posunęli się do zatracenia własnego ja ani do bluźnierstwa, ani odrzucenia świata pojmowanego jako własność człowieka, i *nie odzyskiwali wzroku* innego niż podsuwany z zewnątrz w gotowych formułach, wytyczała pionku niebiosom. Przyświecała jej kultura jasna. Mickiewiczowska. Sprawiedliwa, acz wyrozumiała. Godna czci. Mało kto wtedy orientował się dokładniej w mitologii Apollona. Przemawiały do wyobraźni obrazy takie: oto wyprostowany Apollon gra na Parnasie w otoczeniu Muz, spokojnych dziewczyc. Trzyma lirę lub harfę, ucho czułe jak u Chopina w łazienkach. On nie uwodzi Muz, nie pozwala sobie na absolutnie żaden obleśny gest. Wzniosłość, jaka wymaga usytuowanego niżej audytorium, słodki smutek samowystarczalnej duchowej emigracji z uczt olimpijskich! Hierarchizacja zamiast spazmu! A zatem lira i harfa. Apollonowi przynależą instrumenty niosące uporządkowane ukojenie. Nigdy nie wydają dźwięków hataśliwych, piskliwych, burzących ład jak Dionizosa fujarki, flety, syringi, aulosy, jerychońskie trąby czy saksofony. Dionizos lubi dęte instrumenty, a w ekstazy uniesieniu nie trąca się w nie ani nie muska struną ręką subtelną jak strusia pióro. Na dętych gra się pełną piersią, całym ciałem. Orgia to znaczy pełnia. Dionizyjskość bez orgii jest nie do wyobrażenia, jest nonsensem. Orgia bywa pokraczna, tragikomiczna. Zezwierzęcona – czyste przeciwieństwo apollińskiego spokoju. I agresywna, a w tym zwracająca się z pazurami przeciw wszelkim Orfeuszom. Aczkolwiek Apollon co jakiś czas opuszczał słoneczną Helladę i udawał się hen, na zaśnieżone północne stępy, nad górny Dniepr i Don, i tam zamieniał się w skowyczącego wilka. Mógłby mieć zarośniętą twarz Jacka Nickolsona w *Wilku Mike'a* Nicholsa. Przemieszczał się też powozem zaprzęgniętym w mnóstwo piszczących myszy, te zaś uważano za zwiastunki śmierci.

W swoim znakomitym esejie przed laty Ignacy Danką przedstawiał, jak zdumiewająco konsekwentnie mity ukazują tego boga jako zimnokrwistego zabójcę. Makabryczna natura Apollona i apollińskość została całkowicie wyparta z obrazu, jakim delektuje się koneser: jego Apollo z Bellac. Apollo Belwederski nie ma nic wspólnego z ujuszonym Zazdrosnym Bogiem, dyszącym nad ochłapami rozdartej właśnie rywala, Marsjasza, świetnego twórcy, ale zaledwie człowieka. Marsjasz stanął do rywalizacji, przegrał. Co powtórzyło się w duchowym inkubatorze lat 80' i 90', przy czym Apollon pożarł także sztukę, czy też, ściślej to ujmując, wyżarł ze sztuki *mana*. Ze sztuki w jej rozumieniu tradycyjnym: podziwianych dzieł, wobec jakich stawaliśmy pokorni a dzisiaj je mijamy bez zaciekawienia. Pokora to uszanowanie autonomii, przeciwieństwo władzy. Daniel Olbrychski wprowadził prymat impulsywnego gestu nad autonomią dzieła. Wbiegł z szablą na wystawę i pochlastał niestosowne fotografie. Ten genialny aktor, rewelacyjny odtwórca roli pana Kmicica, wcelował się zarazem głęboko w podświadomość polską, ta zaś jest wciąż sarmacka. Zawładnął galerią. Przetarł drogę swoim następcom w brutalności. Masowy odbiorca woli coraz intensywniejsze obrazy w cyberprzestrzeni, woli mowę internautki Ruchadełko leśne od *Pana Cogito* a nawet *Ziemi jałowej*, *Wycinki*, *Wujaszka Wani* – oklaskuje takie utwory z zupełnym innym powodem, oklaskuje po prostu wypatrzone za plecami idola konfitury.

Jeśli sztuka oddaje to, co podświadome, artefakty zaś są tylko jednym z elementów sztuki jako zjawiska, wolno rzec, iż sztuka zmierzchu realnego komunizmu oddawała skryte pragnienie charyzmatycznej władzy w odpowiedzi na brak spazmu. Ponieważ władza była konfiturami, do stoika sztuki wkładano palce, aby ukradkiem jej chociaż obliżać. Zwykle na skromnym poziomie szlachciury bez pretensji do wojewodziankiej butawy. Nikt zgoła nie pragnął cytować markiza de Sade, iż „Nie ma nic bardziej fundamentalnie, dogłęb-

nie anarchicznego niż Władza – jakakolwiek władza”, artystycznie zmagać się z wielkością wymienionych tu już Andrzeja Jawienia, Zbigniewa Herberta, osobno, skoro trzymamy się poezji, Czesława Miłosza, raczej przystawano do ich orszaków, pyszniono barwami jak hajdudy księcia Dominika Zastawskiego i odpowiednio traktowano gardłujących za Jaremq. Przy takim sarmackim, feudalnym oddawaniu wolności w zamian za bezpieczeństwo, marzeniem była władza dobrośliwa, akceptowana bez zastrzeżeń jak car ze szkolnej czytanki.

Tu przystańmy na dłuższą chwilę. Chodzi mi o wychowawcze czytanki co do jednego przodków każdego, kto szczyli się dziś pochodzeniem z Kresów, Litwy czy Warszawy. Rodzice Witkacego, organizujący dziecku wyłącznie domową naukę, należeli do wyjątków. Chlubny przodek otóż w razie wizytacji jakiegoś rewizora nie odbiegał wiele od postaci w *Rewizorze*, tyle że w jego papce edukacyjnej nie brakowało pitych aż do zadyszki strof *Pana Tadeusza*

Wszystko tutaj Polską żyje, wszystko tutaj Polską dyszy.

Norwid i Słowacki jeszcze nie istnieli w świadomości. Tym bardziej Nerval ani Nodier, ani Baudelaire. Ani zachodni mit arturiański, jaki stworzył glebę romantyczną, na jakim rozkwitł romantyzm. Co więcej, na wieszcz-cara nadrukowany został mały Polak Wincentego Poll von Pollenburg, wykładowcy języka i literatury niemieckiej na uniwersytecie wileńskim po reformie Nowosilcowa, polskiego neofity, który ceniał ordnung, aczkolwiek, jak to za caratu, i arystokratyzm, po matce wszak Eleonorze Longchamps de Bérier

Dokąd idziesz?

Z braćmi swemi –

byłby nie po swojemu. Wincentemu Polowi przyznało Virtuti militari. Za co? Za patriotyzm krwią i blizną w powstaniu 1830, za pomoc chętnym do emigracji – tym nielicznym statystycznie szlachcom, którzy przystali do buntu, co oczyściło kraj z najaktywniejszych oburzonych. Każdy tedy, kto dzisiaj szczyli się przodkami z Kresów i walczącej Warszawy, ma wdrukowane przyjmowanie na baczność 'wartości' o mocy pięści, a jego myślenie o sztuce ujawnia jeszcze wiele następujących po sobie ścianek inkubatora – choćby tę, że czcimy romantyzm nigdy go nie tworząc i nie przeżywając. W świadomości rzeczywistego Polakasybiraka, powtórzę, nie istnieli Słowacki ani Norwid, dopiero w międzywojniu wywołani z nicości; ich fenomen romantyzmu wyczerpywał Mickiewicz, wedle Miłosza „klasyczny z ducha”, a który „stworzył swoje główne dzieła poza romantyzmem”<sup>5</sup>; zresztą i Miłosz chętnie wartościuje dzieje i literaturę w mało psychologicznie skomplikowanych kategoriach zdrowia i choroby<sup>6</sup>.

Cofam **problem** człowieka w Sieci w czas, kiedy kształtował się kult przywództwa, rządu dusz, a kształtował się w odruchu chwywania za kij sztandar wolności. Mówię zaś o internaucie polskim, wychowanym przez spragnionych rządu dusz (z ich namolnym używaniem kategorii autorytetów, czyli konkretnych ludzi mających wcielić autorytet), a dysponujących jeno kijem od chorągwi. Klasycznie prostym, wysmukłym „jak litera Alif” kijem Apollona.

Strach przed oskarżeniem właściwego autora zła obraca kij ku innej ofierze. Włącza do manipulacji obrazami. Przy powszechności Internetu coraz rozsądniej widzieć w internaucie konsumenta pop kultury. Ta zaś – wróć do Dionizosa, do mitu – stała się dionizyjska nie tylko dlatego, że jej masowo akceptowane dzieło, mianowicie muzyka pop, nie ma nic wspólnego z lirą ani harfą.

Nie po to jest dionizyjskość, aby koić. Ona oszałamia. Zaburza nasze potoczne, pełne mechanizmów samozachowawczych i społecznych funkcjonalnych przekonań, jakimi psychika nauczyła się brnąć na smycz swą nieokiełznaną, bydlęcą - bestialską naturę. W Rzymie starożytnym, tak z pozoru racjonalnym, dawanie upustu bydlęcości i bestialstwu było z całą powagą uznawane za dowód boskości. W korowodzie dionizyjskim aż roi się od półludzkich, półzwierzęcych istot, są one na domiar pijane winem i na haju, narękotycznie walą w tamburyny – jak prorocy Starego Testamentu. Posuwają się w tanecznych podskokach prastarego karnawału, strząsają kiść po kiści nasze owoce kulturowe – i te słoje z konfiturami. Po swoim dionizyjskim doświadczeniu Orfeusz dla jednych, rozerwany na strzępy, umiera, ale istnieje mit inny. Otóż głowa rozszarpanego przez wielbicielki Dionizosa Orfeusza toczy się, toczy, wpada w strumień i wypływa na morską toń. Tu najdostojniej nieogarnięty

żywiot niesie ją aż na Lesbos. Głowa śpiewa przez cały czas pielgrzymki do sanktuarium boga piękna, kapłani Apollona wnoszą ją i składają na ołtarzu, zachwyceni. Jednak Apollon wpada w furję. Rozkazuje tę głowę Chopina starożytności cisnąć wieprzkom. I jest zećpana. Co w dzisiejszej scenografii wyglądałoby tak na przykład, że zmartwychwstały Michael Jackson koncertuje wpadłszy na czele zombies do bazyliki św. Piotra, a widownia nanosi graffiti. Choćby smartmarkerami. Masowy internauta nie szuka dionizyjskiego sztafu w sztuce rozumianej tradycyjnie. Szuka reality show. Godzinami narkotycznie, gapit się w samoloty walące w wieże World Trade Center. A gdyby transmisja na żywo z eksplozji nuklearnej? Co za oglądalność!

Internauta jest więc właśnie taki. Niekoniecznie nastoletni. Równie dobrze bywa on kimś, kto strajkował na styropianie albo konsekruje kleryków, i ucieka w wirtualne labirynty od swoich strasznych, nieposłusznych, tępych, mogących go wydać na publiczny wstyd, żądnych kasy *enfants terribles*. Odreagowujemy życie w gruzach jak wszystkie dzieci rewolucji. Ze wszystkimi tego śmiesznościami, bo przecież można śmiać się do łez patrząc jak Charlie Chaplin podczas wieczerzy wigilijnej nad Klondike w skupieniu, z białą serwetką na kolanach, kroi but. I można śmiać się do łez patrząc na mem, gdzie ojciec głaszcze synka i z czułością: ty też zginiesz za Ojczyznę, córeczko zaś z tymi samymi słowami pokazuje obraz Marcelego Harasymowicza *Zdobycz kruków*.

URSZULA M. BENKA

<sup>1</sup> DS53EDS <https://mises.pl/blog/2016/03/31/mccafrey>  
M. MacCaffrey, *Kłopotliwy socjalizm Oscara Wilde'a*, przeł. A. Sugier,

<sup>2</sup> *Przynajmniej do nastania kapitalizmu, w gminach żydowskich właśnie środkowo i wschodnioeuropejskich, gdzie asymilacja przebiegała wolniej.*

<sup>3</sup> G. Bataille, *Literatura a zło*, s. 42.

<sup>4</sup> *Za listem do „Gazety Wyborczej”, 26 XI 2018.*

<sup>5</sup> *Por. znakomitą analizę Elżbiety Kiślak, Walka Jakuba z aniołem, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000, s. 200.*

<sup>6</sup> *Tamże, s. 201.*



## Jacek Jaszczuk

\* \* \*

Do pustego pokoju, w którym oplakuję tęsknotę twoich ust,  
przyszła pocieszyć mnie Pearl Buck, powiedziała:  
*Prawdziwa miłość to miłość do kogoś,  
od kogo nie oczekuje się żadnych korzyści.*

W samo południe, przechodząc obok mego domu,  
odwiedził mnie Blaise Pascal.  
Miał na sobie żółty płaszcz.  
Powiedział: *Kropla miłości znaczy więcej niż ocean rozumu.*

Rozmawialiśmy o samotności Jeana Paula,  
który idąc samotnie przez pustynię, wyszeptał:  
*Wspomnienia są jedynym rajem,  
z którego nie możemy zostać wypędzeni.*

Żegnając dzień w pajęczynach,  
spotkałem Carla Spittelera.  
Był staruszkciem.  
Kłęczał pośród malin, spoglądając w niebo.  
Usłyszałem, że płacze nade mną od kilku nocy i dodał:  
*Znaleźć wrażliwych ludzi, którzy czują to co my,  
jest największym szczęściem na ziemi.*

\* \* \*

Jeśli dotykasz tego wiersza,  
znaczy... żyję.  
Serce bije, żyłami wciąż płyną dni.

Jeśli widzisz go pod powieką,  
znaczy... oddycham...  
każdym ruchem twojego istnienia,  
twoimi oczami, które są mi potrzebne.

Jeśli trzymasz ten wiersz w zakamarkach nocy,  
przy lampie zgaszonych gwiazd,  
oznacza to, że stworzyłem jedną z nich.

I może dlatego czasem spokojnie zasypiam,  
na szklistym rydwanie obłoków.

### Błogostan

We mnie złotokap – księżycy gumiak  
Papiak w obcas – szorstki bluszcz

Pokrzewkowate to i śpiewające  
Woskiem wymoszczone tli  
Zegar kuka – z wiosny skrzy  
Kwiczoł maznął nie kukułka  
Tak mi marcem w żyłach rozstaj  
Bosak w ziemię – kilof w nurt  
Gronostajem puchnie wawrzyn  
W zębach wiatru zipie sierść  
Szkłanka skwierczy jasnym gwintem  
Na klucz ściska jutra deszcz  
A we mnie parzenicą w zygzak Trynka  
Gwiazdom tańczy pośród morw  
Mostem szarpie w żleb przeżartym  
Nie na żarty śni przeze mnie

### Geniusze

Tańczą w nas życia geniusze  
w kwiatach koszul i garsonkach  
żyrandolom trzeszczą do hejnału  
kominom śpiewają do ramion  
mrozem sypią między progami  
i na oścież noce kładą parapetom  
gładkim kłamkom wieszają uśmiechy  
gwiazdom skaczące mandarynki  
bujają w nas maskami maskarady  
pochmurnymi sufitymi drżą na talerzach  
korkami w uszach gwizdzą zjeżone  
w morwach lamp strugają pajęczyny  
i do snu kładą spać szorstkie ściany  
oknom zapatrzonym śniąc niewyśnione  
tańczą w nas życia geniusze  
oddechem pierwszym  
deską ostatnią

### Teatr

Ode mnie do siebie na gałęziach wietrzą myśli gołębie.  
W akcie pierwszym: pacyfikacja.  
Spasowana na miarę bez miary.  
Jesienie wyją, jak psy na sznurkach garbatych obłoków,  
kołyszą wierzchołkami.  
Jaskrawe okna zamykają w dziuplach widnokrąg.  
Ode mnie do siebie  
nie moje dłonie lepią przyływy i odpływy.

Akt drugi: kapitulacja.  
Na lufach proch nagi jak cynamon.  
Szablami biorą mnie w cugle.  
Zostawiam liście, które wciąż śnią.  
Przez dziurę w drzwiach i szczeliny nocy  
wpadają gwiazdy.

Akt trzeci: odwrót.  
Manifestuje pacyfikacja,  
kapitulacja nie ma twarzy.  
Wyrwam sobie tatuaże dni.

Księżyc mi świadkiem w akcie czwartym.  
Suflerem ty.

\* \* \*

Myślę o narodzinach muzyki Aborygenów  
i Karnawale weneckim  
w którym Paganini na strunach skrzypiec  
trafił do nieba

Przystaję nad krawędzią pierwszej myśli Giuseppe Verdiego  
komponującego *Bal Maskowy*  
i ostatnich oklasków w trzecim akcie  
które przebiegały ze mną przez chłód piwnic  
opery La Scala

Dotykam połamanych skrzypiec Johanna Straussa  
i ostatnich nut walca *Aeols-Töne* op.88  
dedykowanego Ojcu

Słyszac jak w sklepieniu Katedry Duomo  
rdzewieje we mnie Święty Gwóźdź  
i łyż św. Heleny opuszczane na obłoku  
płynącym przez moją modlitwę

\* \* \*

ubywa mnie  
między zakamarkami twoich rąk  
sercem w którym żyje sto dwadzieścia oddechów  
strzegących nowego tysiąclecia

wyżej gdzie wierzchołkiem Aill Na Searrach  
zamszowymi ścieżkami Scablands  
przez ramię patrzą sny  
sący się wyschnięty wodospad  
szepczący o źródle które płynęło  
zanim przestało śnić

tutaj gdzie od granitowych kamieni  
i postrzępionych liści  
bardziej zmęczona jest jedynie pokuta  
bliżej mi do rozsypanych łusek grzechu  
zamkniętych w tobie ścian

#### Jacek Jaszczuk

Urodził się w 1972 r. w Grudziądzu. Publikował m.in. w *Gazecie Grudziądzkiej*, *Gazecie Pomorskiej*, *Przeglądzie Artystyczno-Literackim*, *Miesięczniku literackim Akant*, *Ilustrowanym Kurierze Polskim*, *Dzienniku Pojezierza*. Jego wiersze wielokrotnie ukazywały się w *Grudziądzkim Arkuszu Literackim*.

Debiutował również w Irlandii, gdzie obecnie mieszka. Jego wiersze publikowane były w polonijnej prasie wydawanej na Zielonej Wyspie.

We wrześniu 2018 r. ukazał się jego debiutancki tomik wierszy *Tańczą w nas życia geniusze*.

Dziennikarz, radiowiec. Twórca i autor pierwszego polskiego programu radiowego w Irlandii, realizowanego na antenach Radia Sunrise oraz Dublin City FM.

Autor jest mocno zaangażowany w życie Polonii, na co dzień stara się jak najszerzej i jak najlepiej promować w Irlandii swoją ojczyznę – Polskę.



Boris Nosik

Z książki: Żydowskie zakazy i paryska życzliwość

## LA RUCHE

(Tutaj albo zdychało się z głodu, albo zostawało geniuszem...)

Na południe od Montparnasse, pomiędzy stacjami metra Plaisance i Porte de Versailles, w pobliżu passage de Dantzig, na wąziutkim przejeździe o tej samej nazwie, skromnie, na uboczu, stoi znany wyznawcom sztuki, nie zdeptany jeszcze przez tłumy pątników, okrągły budynek la Ruche<sup>1</sup>. O jego losie i losie jego „pracowitych pszczołek” jest właśnie ta opowieść. A oto, jak w jednym zdaniu streścić historię mieszkańców Ula jeden z najznakomitszych, statych jego mieszkańców, który oficjalnie zyskał miano geniusza: „Tutaj albo się zdychało z głodu, albo zostawało geniuszem...”. Zakładamy, że nie do końca mówił prawdę znany mistyfikador, genialny Marc Chagall, bo jednak wielu z nich przeżyło, choć nie stali się sławni. Natomiast innych zabito w czasie wojny za coś, o czym sami już dawno zdążyli zapomnieć (bo bardzo chcieli zapomnieć, że gdzieś tam pozostał sztetl, pozostał rabin, rytualne obrzezania... i pogromy), a są i tacy, którzy wciąż jeszcze czekają na uznanie, bo ono jest gdzieś w drodze, jednak ciągle się spóźnia. A przecież i ci pierwi, i ci drudzy, i nawet ci trzeci, zostawili po sobie ślady, prace własnych rąk, świadectwa niespokojnej duszy... Więc jakże mamy nie wspominać ich wszystkich, pokonując impasse de Dantzig i powoli wspinając się ku żelaznej kutej bramie Ula, która zdobiła niegdyś Żeński Pawilon Wystawy Światowej.

(...) Powstanie tej unikatowej wylęgarni wybitnych twórców na południowym krańcu Paryża, poprzedzało wiele zbiegów okoliczności; wśród których historycy sztuki, zwracając szczególną uwagę na zaczynającą się już pod koniec dziewiętnastego stulecia migrację artystów z północy (wzgórze Montmartre'u), na południe (bulwar Montparnasse). Był to sprzeciw twórców jeszcze nie uznanych, wobec tych, którzy uznanie zdobyli, a także protest przeciwko akademizmowi w sztuce, przeciw wszelkim ograniczeniom (wszelkim... nie tylko wolna miłość i pokusy świata), protest przeciwko nędzy i anonimowości. Specjaliści od kwestii narodowościowych przypominają też, że

Żydzi we Wschodniej Europie nie mieli równych praw, i to właśnie młodzież mniejszości narodowych buntując się przeciwko ostrym religijnym normom, twardym prawom gmin wyznaniowych, izolacji i małomiasteczkowej biedzie, uciekała z terenów Rosji i całej Europy Wschodniej do Paryża, najczęściej bez znajomości języka, znając tylko słowo - Paris.

Początków tej historii należy szukać w wodolecznicy kurortach Aix-les-Bains, miejscu wypoczynku władców rumuńskich, a także innych władców<sup>2</sup>... i nie tylko. Tam doszło do spotkania Ich Wysokości z przyszłym dobroczyńcą Szkoły Paryskiej Alfredem Boucherem. Jako rzeźbiarz o międzynarodowej już sławie Boucher szczęśliwie osiadł w tej uzdrowiskowej miejscowości, gdzie wszelcy luminarze, a także monarchowie przyjeżdżający tutaj, zarówno dla wypoczynku, jak i poratowania zdrowia, zamawiali „swe popiersia” u słynnego rzeźbiarza. Boucher nikomu nie odmawiał, w rezultacie zbijając fortunę. Osobliwą szlachetnością wykazała się rumuńska królowa (znana na przełomie ubiegłego stulecia)<sup>3</sup>, która pisała powieści i dramaty, nieźle rysowała, organizowała spektakle teatralne, rzeźbiła w drewnie, a na dodatek była piękna i hojna. Chcąc uniknąć przesadnych pochwał swoje prace podpisywała pseudonimem Carmen Sylva. Zadowolona (podobnie jak pozostali) z prac artysty, który potrafił schlebiać zamawiającym... najbardziej na świecie ceniąc w ludziach ich urodę (sic), królowa nie tylko rozliczyła się z brodatym rzeźbiarzem według wyższych

stawek, niż było to umówione, ale dodatkowo podarowała mu ozdobione królewskim herbem eleganckie wydanie swoich utworów, dorzucając do tego lekką kolaskę, konia i drogą uprząż. Znakomity i wszystkim już znany rzeźbiarz oraz jego przyjaciel Simon Aleksandr Toudouze, także znany twórca, którego nie mało prac znajduje się w Sorbonie i Operze Komicznej, lubili bardzo tym podarowanym powozikiem odbywać przejażdżki po peryferiach Paryża. I oto w czasie jednego z takich spacerów, zmęczeni upałem, zatrzymali konia na pustkowiu w południowej części miasta i chroniąc się w cieniu gospody postanowili lekko przepłukać sobie gardła.

Czekając, aż przyniosą zamówione napoje Boucher zaczął zagadywać karczmarza;

- Przypuszczam, że ziemia tutaj nie jest droga!

- Ziemia tutaj jest tania – odpowiedział karczmarz Victor Libion - tuż obok mam około pięciu tysięcy metrów, gdyby ktoś zaproponował mi pięć tysięcy franków, oddałbym mu ją natychmiast, bez targów.

- Kupuję - odpowiedział na to Boucher i wyjął z portfela tysiąc franków zadatku – bo niewątpliwie, właśnie w tym momencie, w jego głowie narodził się genialny pomysł.

Było to pod koniec 1900 roku; w Paryżu zaczęto demontować pawilony Wystawy Światowej i na pniu sprzedawano części budowli. Początkowo Boucher kupił duży pawilon win z Bordeaux – budynek w kształcie rotundy – następnie kilka innych lekkich pawilonów. → cd. str 10



cd. ze str 9

PROZA OBCA

Połączony zakup łatwiej przewyciężył trudy transportu na rogatki Paryża. Później wielu spośród mieszkańców tego domu zdobyło sławę. Wśród nich, Marc Chagall...

Tak, mniej lub bardziej dokładnie, przekazują dzieje Szkoły Paryskiej historycy, którzy jednak z jakiegoś powodu nie dziwili się temu, że właściwie żaden z młodych wychowanków Ula; artystów, którzy osiągnęli sukces, stali się sławni i bogaci, nie napisał wspomnień o swojej trudnej drodze do sławy, a także żaden z nich, nie powtórzył altruistycznego wyczynu bogatego Alfreda Bouchera, a nawet nie wspomnieli o swoim dobroczyńcy (chociażby Chagall!). A jeżeli już wspominali (na przykład Jacques Chapiro) to nie bez sztycherstwa; z drwiną opowiadając o rzeźbiarzu, który rzeźbi staromodnie, naśladując Rodina, jest kolekcjonerem, lecz gust kolekcjonerski ma delikatnie mówiąc, zadziwiający. Pisano o nim, jak o starcu, chociaż miał wtedy niewiele ponad pięćdziesiąt lat. W takim wieku współczesny artysta dopiero zaczyna szukać kolejnej i z pewnością nie ostatniej żony. Na dodatek, podobno w pustych miejscach pomiędzy roślinnością (za budynkiem rozciągał się duży ogród) ustawiał swoje rzeźby, a nie te, które powinien.

Wiedząc, że przecież ludzka dobroć ważniejsza jest od wszelkich rzeźb trzeba przede wszystkim podkreślić ten staroświecki – prawie idylliczny charakter początków wspólnoty, tę aurę filantropijnej dobroci, która także i obecnie otacza kulistę pawilon, stawiący niegdyś wina z okolic Bordeaux. Do dziś wieczorami widać światła w oknach atelier sławnej rotundy, stojącej tuż obok kawiarni „Dantzig”, przy passage de Dantzig, gdzie doszło do tak wyjątkowej transakcji z karczmarzem... Wszystko tutaj przetrwało i chociaż nie towarzyszą nam wieczorne tłumy, sznury samochodów, światła reklam i blask sklepowych witryn, za to jest tutaj tak jak dawniej; prosto i zwyczajnie. Zachowała się i drzemie pośród rzadkiej luźno rosnącej roślinności, ta przedziwna architektura rotunda, którą możemy uważać za skromne (według jednych miejsce święte, według drugich absolutnie bezbożne) Betlejem Szkoły Paryskiej.

W samą porę restaurator (w tamtych czasach karczmarz), ojczulek Libion, podpisał umowę i dzięki

temu wszystko poszło zgodnie z jego przewidywaniami, po pierwsze: uchronił się od płacenia podatku za ziemię, dzięki La Ruche zdobył wielu nowych klientów, następnie został właścicielem La Rotonde a z czasem kupił na Montparnassie (dla tych samych artystów lub już innych) drugą wspaniałą kawiarnię La Coupole. A filantrop Boucher, on także na tym nie stracił... – bo cóż można w życiu stracić, oprócz zdrowia i samego zainteresowania życiem? Natomiast na starość znany rzeźbiarz, poprawiając na piersi order Legii Honorowej, powtarzał, że w życiu udało mu się znieść złote jajko...

Początkowo Boucher snuł plany założenia tam akademii i sam ciesząc się tym pomysłem nieustannie inwestował: otworzył teatr, stworzył salon wystawowy. Ludzi w Ulu przybywało, zaczęli się tam osiedlać nie tylko malarze, lecz także aktorzy, ludzie różnych zawodów: jacyś rzemieślnicy, rękodzielnicy, handlarze, poeci, jacyś rewolucyjniści bez paszportu, a nawet... kłozardzi. Zaglądali też anarchiści; rozmaici Eremburgowie, Łunaczarscy, Sawinkowowie, przychodzili dziewczyny lekkich obyczajów.

Ponadto „ci inni” mieszkańcy Ula, gdy już napatrzili się na pracę malarzy, próbowali ich naśladować. Policja nie niepokoiła zbyt tych nieposiadających paszportów (tutejszych mniejszości). Artysta Chaïm Soutine (rodem z Białorusi) swój pierwszy francuski paszport otrzymał po siedmiu latach mieszkania w Ulu. Ale i do tego czasu nie musiał unikać policji.

Znalazłszy się przypadkiem w La Ruche (trochę z ciekawości, ale z pewnością trochę z obowiązku) komisarz Zamaron był tak zadziwiony tym szczególnym zajęciem, że postanowił poświęcić się kolekcjonowaniu, ze zrozumieniem i delikatnością traktując twórców, jak niegroźnych szaleńców. Oto ktoś krzyczy do słuchawki - Leży na samym środku bulwaru! – Kto leży? – pyta Zamaron: - Artysta? - Przywieźcie go do mnie! - Więc gdyby nie hazard, ten zgubny natóg komisarza, to kolekcja pozostawiona następcom znanego z dobroci policjanta, byłaby bezcenna...

A tymczasem ludzi w Ulu ciągle przybywało i Boucher wciąż dobudowywał wyglądające jak cele ciasne pokoiki. Chagallowi przypadł pokój studio na trzecim piętrze byłego winnego pawilonu. Na tym sa-

mym piętrze, na którym w różnych okresach mieszkali; Kikoïne, Massine, Indenbaum, Czajkow, Krémègne; Epstein, Granowski, Szterenberga i inni „sarmaci oczyszczonych stepów”, jak nazywał ich Wiaczesław Iwanow. Na zbitym z desek stole – pisał Chagall – leżały obok siebie; reprodukcje El Greca, Cézanne'a, i resztki śledzia (każdą rybę dzieliłem na połowę; dziś głowa - reszta jutro - i - jeśli Bóg łaskaw! – skórki chleba, a jeśli będę miał szczęście, przyjdzie Cendrars i zaproponuje obiad).

W głębi ogrodu, za winnym pawilonem mieszkał poeta i malarz, Ardengo Soffici. Było to jeszcze na samym początku, gdy w Ulu osiedlali się pierwsi mieszkańcy, a pięknego Soffici w tym romantycznym zakątku odwiedzała famme fatale o imieniu Jadwiga. Być może nie szukałbym jej śladów na drózkach tego zapuszczonego już dziś ogrodu, gdyby Soffici nie odkrył przede mną jej pseudonimu i gdyby jej czasopismo nie odegrało tak ważnej roli w życiu innego artysty. Córka polskiej księżnej, baronessa Hélène d'Oettingen, w Paryżu pojawiła się w towarzystwie swojego rosyjskiego „brata” Serge'a Féra-f-Jastrebzoffa; to ona była tą tajemniczą Jadwigą i to szelest jej sukienki można było usłyszeć o poranku, w alejkach ogrodu otaczającego Ul. Natomiast pismo *Les Soirées de Paris*, w którym zatrudniono Guillaume'a Apollinaire'a, „rodzeństwo” wydawało za własne pieniądze.

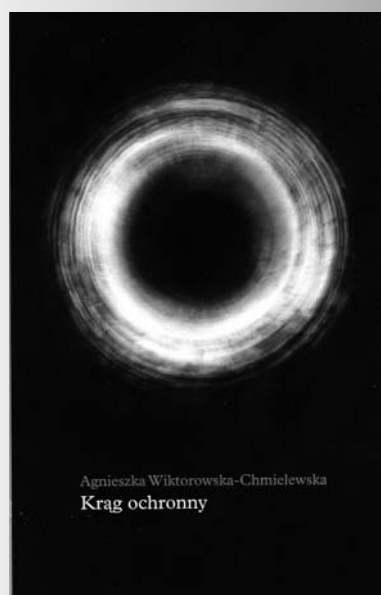
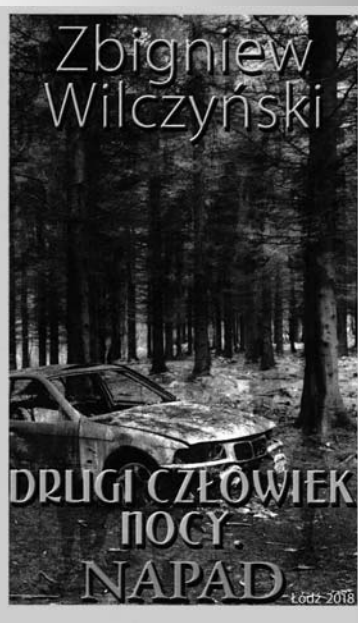
W Ulu była też część pomieszczeń o wyższym standardzie – tak zwany „Patac Królów”. Otwarto duże atelier, w którym malarze mogli pracować razem i wspólnie opłacać jednego modela. W cieszącym się powodzeniem teatrze artyści Odeonu wystawiali spektakle teatralne. Ale dach nad głową, to było najważniejsze dla wszystkich tych biedaków w Paryżu ... i ten „dach” faktycznie był tani (trzydzieści siedem franków lub nawet mniej za trzy miesiące, czy gdzieś jeszcze można coś takiego spotkać?). Nie koniec na tym; bo ci którzy płacić nie mieli z czego, a i ci złośliwie zalegający, mieszkali nie ukrywając się ani przed konsjerżką, ani urzędnikiem sądowym, z którego pomocy dobroczyńca Boucher nigdy nie korzystał. A konsjerżka, zacna, ale mało praktyczna madame Segondet, litując się nad biednymi artysta-



mi, podkarmiła tych najbardziej głodnych zupa, lub gotowaną fasolą. Była tam jeszcze znana z dobroci i gościnności rosyjska rodzina Ostrunów. Madame Ostrun karmiła artystów za minimalną opłatą, a jej mąż, monsieur Ostrun, po powrocie z pracy (choć przecież nie wracał wypoczęty), od razu zabierał się do zbijania blejtramów. Tuż obok, na placu targowym (piętnasta dzielnica) przy rue Covention, można było kupić całkiem tanie owoce. Mając w pamięci smak domowych: kluseczek, racuchów, pampuchów, w tym prawie rosyjskim La Ruche, firmową potrawę z ziemniaków i pomidorów ochrzczono rosyjską nazwą „racuszki”. Na dodatek - wszędzie roznosił się zapach śledzi, doprowadzający do wściekłości młodego Simenona, którymi jego matka częstowała wiecznie głodnych studentów ze wschodu. Ziemniaki ze śledziami albo zsiadłym mlekiem, to było ich ulubione danie. Rzeźbiarz Lew Indenbaum, dobry samarytanin, tak pisał wtedy do siostry, która pozostała w „gościnnej Rosji”: <<Jakimś cudem być może uda nam się tutaj przeżyć>>. Odpowiedziała na to nie pozbawionym poczucia humoru zdaniem... „a u nas, jakimś cudem, czasami udaje się umierać w domu”... Ale przecież w Ulu, na przekór legendom, z głodu nie umierano... Oczywiście nie zawsze starczyło na butelkę, ale też i nie wszyscy pili, a Indenbaum tym co sam miał, mógł jeszcze dzielić się z ptakami. W związku z czym na wszystkich jego rzeźbach były ślady czegoś białego.

Za ogrodem Ula zaczęły się tereny niezabudowane, jeszcze dalej były wiejskie chałupy, chaszcze, słynna ubojnia Vaugirard, skąd dochodziło rżenie koni i przedśmiertny płacz krów, ale tuż obok, w parku, było całkiem miło i nawet zdaniem niektórych - tych pierwszych mieszkańców - zupełnie tak, jak u bourgeoisie. Z czasem zbyt wiele rzeźb nieznanego pochodzenia pojawiło się pomiędzy krzewami, zbyt wiele nabierało się tam różnych śmieci (wszystkiego przecież nie da się uprzątnąć), zbyt wiele dzieci biegało po alejkach tego parku bawiąc się w Indian, albo kozaków-rozbójników... wszystkiego zrobiło się zbyt wiele - zwłaszcza dla tych, którzy dzieci niezszególnie lubią. Natomiast stary Lew Indenbaum i małeńki Jacques (Michel) Kikoïne (jako dojrzali mężczyzna używał imienia Jankiel), uważali to skupisko domów i park za istny raj. Była tam także oślica (być może to ona znalazła się na płótnach Chagalla, utwierdzając cały Montparnasse w przekonaniu, że Rosja - podobnie jak Hiszpania jest krajem mułów). Była też małpka miejscowego kowala. Niekiedy, wieczorami, młody, tysięcący artysta Paul de Yves (a właściwie Vladimir Ionowicz Polissadov, były podchorąży z Ukrainy) wyciągał swoją czarnoksiężką magiczną latarnię. Za Dziadka Mroza i Babę-Jagę ku radości dzieci, przebierał się Litwin, rzeźbiarz Jucaifis. Przez cały dzień rzeźbił w kamieniu karaluchy i różne inne paskudztwa, które teraz znajdują się w muzeum w Kownie. Paul de Yves - Polissadov, stworzył zespół o nazwie „Czarna Nęcza”, a później przygotował kostiumy i zaczął załatwiać zezwolenia na zorganizowanie balu - pod tą samą nazwą! Członkowie tej grupy i bez balu chodzili w nędznej odzieży, więc łatwo można sobie wyobrazić jak mogli wystroić się na bal (którego władze na wszelki wypadek przegromie zabroniły). Kędzierzawy Lipszic (Morice Lipsi), gdy nie był zajęty rzeźbieniem, grał na wiolonczeli. Był tam też Jacques Lipszic. Ponieważ w La Ruche było już ich dwóch, to ten drugi, Jacques Lipszic (lub Lipchitz, a właściwie - Chaïm Jacob) pewnego razu przyszedł do Maurice'a i powiedział: „Jest tylko jeden rzeźbiarz Lipchitz i tym rzeźbiarzem jestem ja!”. Czas pokazał, że miał rację - i to właśnie jemu willę w Lasku Bulońskim wybudował sam Le Corbusier. Natomiast dobroduszny kudłacz, Maurice Lipszic, dla wszystkich pozostał Lipsi i daleko nie zaszedł. Jacques Lipchitz, był synem popa z litewskich Druskiennik i córki właściciela hotelu. To właśnie matka, w tajemnicy przed ojcem, dała mu pieniądze na wyjazd do Paryża... i w tamtych latach mieszkał w Ulu, a na Montparnassie znał wszystkich, i jego też wszyscy znali (i Modigliani, i Picasso, i Soutine, i Max Jacob, i nawet Diego Rivera).

(...) Z okien Ula często słychać było śpiewy. Śpiewali Włosi i Ukraińcy. Rzeźbiarz Archipenko śpiewał basem. W książce Jeanine Warnod znajdziemy fragment, w którym Ferdynand Léger opowiada, jak to on, Léger, przyszły komunista, chcąc zarobić choć trochę pieniędzy postanowił śpiewać na podwórkach i do współpracy zaprosił Archipenkę, ale rzeźbiarz dojechawszy z nim do placu Bastylli, nagle stwierdził, że on, dumny Ukrainiec nie będzie śpiewał bez akompaniamentu. Więc Léger zmuszony był wracać do Ula i stamtąd taszczyć na plecach harfę rzeźbiarza. Archipenko śpiewał, jednak przechodnie nie zając języka ukraińskiego, w ogóle nie zwracali na niego uwagi.



Migotania

poLecaja

Lektury

Co jakiś czas; w ciągu dnia, lub nocą, przez otwarte okno pawilonu winnego niósł się triumfalny okrzyk: - Hura! Jestem geniuszem! -

Był to głos Sama Granowskiego, pseudonim „Kowboj”, albo, jeżeli wierzyć temu, co mówił szwagierce Lazare Volovick, to raczej miał on pseudonim „Grano”. Oczywiście w domu, w Jekaterynostawiu (teraz Dniepropietrowsk), a później w odesskiej pracowni wołano na niego nie Kowboj i nie Grano, i nawet nie Sam, a zwyczajnie Chaïm, ale skoro człowiek zapragnął być Samem, i chodzić po Montparnassie w kowbojskim kapeluszu i wysokich butach, to kto mógł mu tego zabronić w wolnym mieście Paryżu.

Nie mniej barwną postacią, a właściwie legendą Ula był drugi Chaïm, który nie zmienił swego imienia i znany był jako Chaïm Soutine. Pod tym imieniem znalazł się w podręcznikach historii sztuki, a w 1922 roku na Montparnassie był prawdziwą sensacją. Dwadzieścia lat później, chociaż udało mu się uciec przed hitlerowskimi obtawami, zmarł po operacji wrzodu żołądka i pochowano go na Montparnasskim cmentarzu.

Ale w czym przejawiał się jego geniusz! Ten wiecznie pałający się po Ulu i narzucający wszystkim, wiecznie o coś proszący Soutine, nagle brał do ręki pędzle i zaczynał malować z pasją - aż do

zupelnego wyczerpania. Co malował? Najchętniej „martwą naturę”, przy czym chętniej niż cokolwiek innego, nie martwą, ale... skruszałe już kury, zdechłego indyka, wołu obdartego ze skóry...

Kikoïne opowiadał, że znoszono mu te jego „martwe natury” z pobliskiej rzeźni. Być może i Kikoïne też przynosił. Był okres gdy Soutine ukrywał się w Paryżu, a aktorka Simone Signoret chodziła kupować dla niego farby w sklepiku dla artystów, w którym nastawieni antyżydowsko mieszkańcy dzielnicy mogliby go rozpoznać. Mieszkał w Ulu lubiany przez wszystkich, łatwo nawiązujący kontakty, wesoły hulaka, Polak, student Akademii Krakowskiej, Moïse Kisling, to on najczęściej użyczał swojej pracowni Modiglianemu. Z początkiem Wielkiej Wojny Kikoïne wstąpił do francuskiej armii. Nie był jedynym, który to zrobił - Rosjanie wyrwali się by bronić drugiej ojczyzny, sojuszniczki Rosji.

Serge'a Férat-Jastrebzoffa, przydzielono do oddziałów sanitarnych i wyśłano do włoskiego szpitala wojskowego, tego samego, do którego przywieziono później jego rannego przyjaciela i bożyszczkę, Apollinaire'a - Kostrowickiego. Zadkine, który uległ zatruciu gazami bojowymi, służył w szpitalu polowym pod Spurn, a Zinowij Pieszkow stracił rękę jako francuski żołnierz.

PROZA OBSCA

cd. str.12

cd. ze str.11

Kikoïne'a szybko zwolniono z wojska i mógł wrócić do Paryża i Ula.

W 1923 roku pojawił się w Ulu młody wysmukły chłopiec z Ukrainy – Lazare Volovick. Mając osiemnaście lat wyruszył z miasteczka Kremenczug do Kijowa, by rozpocząć naukę w Akademii i już wtedy zaczęły się marzenia o Paryżu. Z Kijowa przedostał się do Sewastopola, stamtąd do Sztambułu i dalej razem z przyjacielem, Kostią Tereszkowiczem (przyszłą sławą), bez pieniędzy, bez dokumentów, chowając się w ładowni okrętu, przedostali się do Marsylii – a stamtąd do Paryża. Był rok 1921.

Lazarem w Paryżu zaopiekował się obrotny rzeźbiarz i pieśniarz, Vladimir Poliakov-Baidaroff, który Francji podarował trzy piękne dziewczyny aktorki: starszą z nich Rosjanie do dziś pamiętają jako wdowę po Włodzimierzu Wysockim.

(...) Razem z malarzami w tym unikatowym przytulisku Alfreda Bouchera przyciągało także wielu znakomitych, i nie bardzo znakomitych, rzeźbiarzy. Znakomici mieszkali tutaj niedługo, wyjeżdżali, gdy tylko stanęli na nogi. Archipenko przeżył w Ulu dwa lata, Ossip Zadkine – niewiele więcej (i wyjechał nie zaptaciwszy), a Idenbaum – dobrych sześć lat. Przyjaciel Soutine'a, Marewny i wielu innych, Oskar Mieszczaninow zamieszkał w Ulu wcześniej, niż Aleksandr Archipenko, ale on nie przyjechał, jak Archipenko ze stołecznego miasta Kijowa, a z bardzo ubogiego Witebska, które w przyszłości będzie stolicą założonej przez Malewicza artystycznej grupy Unowis. W Witebsku Mieszczaninow uczył się u tego samego skromnego nauczyciela Jehudy Pena, u którego nauki pobierał Marc Chagall.

A jaki los spotkał na koniec ukochane dziecko papy Bouchera, przestawny Ul?

W 1934 roku pochowano Bouchera. W czasie wojny większości niepełnowartościowym rasowo mieszkańcom Ula udało się uciec za ocean, za granicę, lub chociażby do wolnej strefy, gdzie chronili się przed gestapo i francuską policją. A wszyscy ci którzy nie ukryli się, nie uciekli, lub nie obnosili z „żółtą gwiazdą” jak R. Schwarz, spłonęli w piecach krematoryjnych, lub umarli w obozach (Sam Granowski, Epstein, Savely Schleifer, Adolphe Feder, Erna Dam, Moisey Kogan, Maks Jacob i wielu innych).

Po wojnie ponownie nawiązywano kontakty. W 1952 roku powrócił do Ula Jacques Kikoïne.

Przyjeżdżali tutaj też nowi mieszkańcy – Hiszpanie, Chilijczycy, Włosi, Japończycy... Ktoś nawet posadził tam japońskie wiśnie na miejscu dawnych topoli. Nikt się już więcej nie błąkał pomiędzy drzewami (jak Zadkine) w poszukiwaniu czeremchy... powtarzając to dziwne brzmiące „czeriomucha”. Po nieludzkim przelewie krwi Litwę, Białoruś i Ukrainę zamknięto za żelazną kurtyną.

Gdy władze Paryża postanowiły wyburzyć Ul, by zbudować na tym miejscu czteropiętrowe bloki dla robotników, mieszkańcy winnego pawilonu stanęli w obronie i wygrali. Na czele tej grupy była artystka Simone Dał. Założono Komitet Obrony La Ruche, honorowym przewodniczącym wybrano Marca Chagalla. Przyjechał na impasse de Dantzig, stanął na wprost już na wprost zapomnianej rotundy i patrząc w jej okna wspominał mieszkańców. Ale o czym myślał otoczony tłumem fotoreporterów, w szumie migawek, stary Marc Chagall?<sup>4</sup>

(...)

Nie tak dawno spacerując wokół byłego Winnego Pawilonu, wszedłem by odwiedzić młodą rzeźbiarkę, która w rotundzie kupiła sobie atelier. Rozmawiając jednocześnie przez trzy telefony, nerwowo usiłowała znaleźć w swoim kalendarzu wolny termin, starając się nie obrazić żadnego z trzech rozmówców. W wyjątkowym momencie, gdy nie dzwonił żaden telefon, zapytała:

- Który z rzeźbiarzy, mieszkańców Ula, przypadł panu najbardziej do serca?

- Odpowiedziałem:

- Alfred Boucher.

- Dlaczego? – zdziwiła się.

Zacząłem dokładnie wyjaśniać, że genialnych twórców było tam wielu, ale dobrego człowieka spotyka się rzadko, tak, że ci, którym uda się urzeczywistnić swą szlachetną ideę... ale mówiąc zauważyłem, że ona już mnie nie słucha, że znowu rozmawia przez telefon – a właściwie przez dwa....

*Носик Б., Еврейская лимита и Парижская доброта, Москва, 2010.*

**PRZEKLAD: KRYSZYNA ŚMIECHOWICZ**

<sup>1</sup> Ul

<sup>2</sup> Wielcy książęta Rosji, król Grecji, ale także Alfred de Musset – (wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumacza).

<sup>3</sup> Elżbieta – żona Wied, królowa Rumunii, żona Karola I.

<sup>4</sup> Było to w 1968 roku.



## TWOJA KSIĄŻKA W SERII WYDAWNICZEJ Literatura XXI wieku - Współczesna poezja polska, Najnowsza proza polska

Zapraszamy autorów chcących wydać swoją książkę pod patronatem „Migotań” w Fundacji Światło Literatury do nadsyłania propozycji.

### Oferujemy:

- Wysoką **jakość** wydania.
- Profesjonalną **redakcję**.
- **Oprawę graficzną i wydawniczą** (zależnie od potrzeb i koncepcji dostępna jest oprawa wydawnicza lub zamówiona u zewnętrznego artysty).
- **Recenzję wewnętrzną** (opcjonalnie na zamówienie autora).
- **Okladkę miękką** na długich skrzydełkach (lakierowaną lub foliowaną).
- Opcjonalnie: **rekomendacje książki** w postaci recenzji w „Migotaniach” oraz reklamę wraz ze skanem okładki i/lub fragment książki na profilu Fb „Migotań”.
- **Dystrybucję ogólnopolską** prowadzoną przez renomowaną hurtownię Azymut.
- **Standardowy format wydania**, publikacje w stałych seriach: **Literatura XXI wieku - Współczesna poezja polska, Najnowsza proza polska**

Łączny koszt wydania jest ustalany indywidualnie.

Propozycje prosimy nadsyłać na adres: [joalike@gmail.com](mailto:joalike@gmail.com)

w temacie wiadomości wpisując:

imię, nazwisko, tytuł książki, „Seria Wydawnicza”

Pliki tekstowe w formatach: „.doc”, „.odt”, „.rtf”.

Prosimy o dołączenie krótkiej noty biograficznej.

Barbara Janina Sokołowska

### Miasto i miasteczko

chodząc po parku szukamy ławki. ptaki wróciły  
do Zagłębia – mówi znajoma. trzeba czekać aż ślady  
zmyje deszcz. wiesz. tak długo nie było tu wróbli

kiedy to miasto stało się moje? miasto kamienne  
brudne kaszlące dymem. gościnne. ciągiem ulic  
twarzy zapisanych na dysku wciągnęło w swój tryb  
za plecami terkotanie przydrożnych łbów i kłikiwy śpiew  
szyn. roztraskana dusza kuśtyka w resztkach pamięci

ciche miasteczko skurczyło się. to ja jestem tam obca  
nie. to nie ja. nie tamta wesoła dziewczyna ze zdjęcia  
torba na zakupy przypomina: nie zapomnij kupić mięsa  
przy Kościuszki. będzie na jutro

### Przedwieczorny grill

będzie nas mniej niż tamtego lata wykuszamy się  
z tego świata. i dodając sobie odwagi mówię na głos:  
z naszej półki już biorą

kroję w plastry mięso posypuję bazylią. ponoć to roślina  
święta na stole władców. co więc znaczą sunące obłoki  
jak statki wiozące zmarłych do przystani  
tyle ich jest ile kształtów w wietrznym powietrzu

a przecież buchał ogień pod korony sosen  
my śpiewaliśmy o nieboszczyku *co był dumny*  
*gdy wchodził do trumny*  
bo nam się zdawało że wykpiemy się śmierci

choć gorycz wyśpiewuje w ciszy i trzeba dostrzec  
migające świetliki by nie patrzeć żałobnie

ze sterty suchych drewnien unosi się dym  
gdzieś znika. jak my. bezszelestnie

### Książka 80. w prawie lustrzanym odbiciu

możemy skreślić cały ten rozdział  
i przemycaną nadzieję

z liści starych drzew zmyć drobinki  
pełzającej pamięci

pominać niedorzeczne pochody  
dla upamiętnienia robotniczej krwi

zburzyć pomniki i groby niechcianych  
bohaterów wrośniętych w zmarzlinę  
zupełnie bezkarnie

przywołać chaos osiemdziesiątego  
wymachując flagą na świeżym powietrzu

no i przynigdy nie zamykać naszej historii  
bo nie wiadomo kiedy się powtórzy

widzicie kochani na ostatniej stronie  
to światło w kawałkach. które nadejdzie?

\*\*\*

jak królowa mgły grzebiesz  
wśród imion i twarzy  
wokoło noc i listopady  
biegną przez cmentarne  
kamienne murawy

pozwól ciszy być krzykiem  
martwemu sercu bić z uporem  
wypiwszy gorzkie gdy trzeba  
doświadczać w całej pełni

nędzne to rady garść słów  
rzuconych w próżnię  
zwątpienie bierze górę  
nie wzywam Boga nadaremno

kres się zbliża i starość  
nieudana Bogu. bluźnię  
więc ogień i piekło?  
za szybą chmury i we mnie  
coś obumarło uciekło

w przestwór doliny  
roztrzęsione ciało  
Boga nie ma. jest. jak słońce  
jak nadzieja na postronku  
jak krwawiąca rana

### Przyjaźń

zbladła jak cera podczas długich godzin  
przy komputerze. letarg oplata schwytnie w sieć  
światło by objąć ciemnym  
otwarte na przestrzał drzwi duszy rozsiewają sny  
wirując z wiatrem daleko w przestrzeni

to ja jestem jak okruch wielkiego kosmosu  
jeśli tam nie ma ciebie to nie istniejesz – mówisz

ty rozgadana w tym wyimaginowanym świecie  
a ja za dnia opuszczam w pokoju żaluzje  
niektórych snów wolałabym nie pamiętać

### PRL

nie było tak źle jak mówią

jeździło się na zakładowe wczasy  
dzieci na półdarmowe kolonie

dziewczęta szyły w rękach „szwedów”  
chłopcy ścierali pumeksem džinsy z peweksu

kobiety nie piły piwa  
mężczyźni smakowali „czystą z czerwoną kartką”

w klasach wisiał symbol narodowy  
zamiast krzyża

partyjni ukradkiem szli do kościoła  
o czym wiedzieli wszyscy

słuchało się bitelsów i czerwono-czarnych  
paradując z tranzystorowym radiem

obchodziliśmy październikowe rocznice  
wyrzutu z aury

ale przecież żyło się jak się żyło

„Chyba zgubiłem drogę”. Przyszło mi to do głowy dopiero po półgodzinnym marszu. Bezwiednie zagłębiałem się w las, trzymając się wątej ścieżki, a las jak to las, niczym woda, zwykle wszędzie jest taki sam. Więc trochę to trwało zanim zorientowałem się, że coś jest nie tak, że coś – jak mówią Niemcy – nie sztytuje: że wbrew pozorom jestem nie tam, gdzie zamierzałem. I jak tylko przyszło mi to do głowy, w jednej chwili las przestał być taki, jaki był przed chwilą. Momentalnie stał się jakimś całkiem innym lasem. Jakby mniej mi znanym, bardziej liściastym niż iglastym w swej mieszanej fakturze, groźniejszym, bardziej przepastnym, obcym, brrr, innym.

Tak to jest. Tak się dzieje, gdy nagle przerwana zostaje jakaś rutyna, koleina, reguła, nawyk. Wtedy my – dokładnie jak ten las – też nagle stajemy się inni. Wtedy w jednej chwili tracimy na pewności siebie, nasze ruchy od razu stają się bardziej wydumane, wymuszone, tracą zwartość – nazwijmy to tak – swój automatyzm i bezosobowość. Jeśli idziemy beztroško sobie pogwizdując, raptem przestajemy pogwizdywać. Jeśli kroczymy lekko podskakując, podskakiwać też przestajemy. W jednej chwili stajemy się skupieniem, uwagą, zrzucamy z siebie tę twardą skórę, która mamy na sobie, gdy wszystko przebiega jak zawsze, a spod niej natychmiast wyciera nasza skóra nowa, cieńsza: bardziej wrażliwa i wyczulona na wszystko, co dzieje się wokół. Bardziej będąca radarem niż skórą.

Właśnie tak się stało teraz. Sygnał, że najpewniej zboczyłem z trasy mojego spontanicznego spaceru (właściwie nie wiem, dlaczego nagle zapragnąłem pójść do lasu: bo jaśniej zaświeciło słońce?, czy może opadła mnie owa urzekająca lekkość serca, która co jakiś czas każdemu się zdarza?) dobiegł mnie od strony nozdrzy, od strony zapachu. (Ale nie myślcie, że jestem jakimś zwierzem – psem czy łosiem, tak jak poprzednio nie powinniście byli sądzić, że jestem zmieniającym skórę węzem). Las zaczął jakoś inaczej pachnieć niż zwykle. (Powonienie to ponoć najbardziej archaiczny zmysł.) Nagle ogarnął mnie jakiś tajemniczy wyziew, oddech, tuman – dużo chłodniejszy niż można było się spodziewać. Jakby to najlepiej określić? Bardziej puszczański niż leśny?

Zatrzymałem się i rozejrzałem dookoła. Tak, najwyraźniej coś było nie tak, byłem w całkiem innym miejscu niż chciałem. Nawet światło przebijające się przez czarne korony drzew, było jakieś inne, a ścieżka – gdzie ona właściwie jest? – była tak nikła, anemiczna i natychmiast zamykająca się za moimi plecami, że stawała się praktycznie niewidoczna. O mały włos – jeszcze chwila, dwie – a nie potrafiłbym powiedzieć skąd, z której strony przyszedłem.

Było oczywiste, że powinienem się wycofać. Tak samo oczywiste było, iż powinienem wrócić do miejsca, w którym najpewniej pomyliłem szlak. Na pewno je poznam – nie miałem wątpliwości. Na pewno, bo musiał to być punkt, w którym las zaczął się zmieniać: w którym to, co dobrze mi znane z poprzednich wypadów (równie spontanicznych) nagle zaczynało się przepoczwarzać w to, co teraz mnie otaczało.

Niepokój, który na chwilę mnie opadł, natychmiast rozpierzchnął się i zginął. Już wiedziałem, co robić – to najważniejsze. Zawrócić, jasne. Za parę chwil znów powinienem znaleźć się na dobrze znanej mi ścieżce. Jeszcze tam nie będąc, znów byłem jakby u siebie.

Tak mi się przynajmniej wydawało. Bo doszedłem do wniosku, że błąd, który popełniłem wybierając w pewne chwili niewłaściwą ścieżkę, musiałem – najpewniej – popełnić przy kamieniu, który jakiś czas temu minąłem. Musiały od niego odchodzić dwie ścieżki, a nie jedna, jak mi się dotąd wydawało. Tam musiała nastąpić pomyłka. Widząc przed sobą odchodzącą od kamienia ścieżkę, bezwiednie ją wybrałem, nie zdając sobie sprawy, że obok jest jeszcze jedna, ta właściwa.

Cofałem się i byłem zdumiony, jak gęste są zarośla, które zamykały się ponad ścieżką i po obu jej

stronach. Poprzednio – idąc w przeciwnym kierunku – jakoś tego nie dostrzegałem. Pomyślałem: „Jak wszystko zależy od psychiki, od – jest takie słowo, uwierzcie – percepcji. Teraz, jak zbłądziłem i gdy czuję się przez to mniej pewnie, wszystko od razu wydaje mi się bardziej niegościnnie i bardziej groźne. A przecież tak nie jest. To złudzenie.”

Kamienia, którego szukałem, nigdzie jednak nie było. Wracałem już co najmniej dziesięć minut – a tu nic. Ani śladu rozwidlenia dróg, ani głązu, za którym ono miało się kryć. A drzew i krzaków, jakby przybywało.

W pewnej chwili dostrzegłem prześwit pośród ciemnej zieleni. I serce zabiło mi żywej. „To najpewniej otwarta przestrzeń ponad poszukiwanym przeze mnie kamieniem” – pomyślałem. Bo, jak pamiętałem, kamień był sporych rozmiarów.

Jeszcze raz, drugi i trzeci rozgarnąłem gałęzie i niespodziewanie znalazłem się na polanie. Na dużej polanie. Na dużej i ciemnej polanie – to chyba warte zaznaczenia. Co najdziwniejsze, nie pamiętałem, bym przez nią przechodził, gdy szedłem w przeciwną stronę. „Znów coś pokręci...”

Ale nie zdążyłem skończyć tej myśli. Bo na polanie (dużej i ciemnej), pod jednym z drzew, na wystających z ziemi korzeniach, zauważyłem skuloną postać. Ucieszyłem się. Bardzo się ucieszyłem, bo pomyślałem: „Będę miał kogo zapytać o drogę, o to, czy idę w dobrą stronę”.

On – od razu wiedziałem, że to mężczyzna – w pierwszej chwili mnie nie zauważył, bo siedział na wpół odwrócony plecami do kierunku, z którego nadchodziłem. Dlatego, zbliżając się, starałem się robić jak najwięcej hałasu i stąpałem po porozzucanych wokół gałęziach – jak najgrubszych i jak najsuchszych: pękających pod moim ciężarem z takim trzaskiem, jakby strzelały na wiwat.

Tamten robił wrażenie przygarbionego i bardzo zaniedbanego. Miał długie siwe włosy, które w nieładzie spadały mu na ramiona. Ubrany był w jakieś straszne szmaty – w coś w rodzaju wymiętej tuniki koloru starego worka i w spodnie przypominające szarawary. Był też chyba przygłuchy, lub mocno zatopiony w myślach, bo mimo moich starań, by go nie wystraszyć i mimo salwy hałasu, którą wokół siebie strzelałem, nie odwrócił się w stronę, z której nadchodziłem.

– Dzień dobry! – zawołałem z daleka, chcąc jeszcze bardziej spotęgować ilość wyprzedających mnie dźwięków.

Reakcji jednak nie było.

– Dzień dobry! – powtórzyłem, gdy dzieliły nas już tylko dwa kroki. „Teraz już nie ma wyjścia, już nie może nie usłyszeć” – pomyślałem.

Aż podskoczył. Wtedy zobaczyłem jego twarz. Była stara i lekko zaczerwieniona, jak u osób, które dużo czasu spędzają na świeżym powietrzu lub obficie podlewają się alkoholem. Miał też jasnobłękitne oczy, jakoś mocno rozwodnione. I trudno było określić, ile miał lat. Pewnie nie tak mało, ale jednocześnie nie aż tyle, na ile wyglądał. Przyszło mi do głowy, że to najpewniej ktoś, kto miał trudne życie i przez to przedwcześnie się postarzał.

– Dzień dobry! – odpowiedział zaskoczony. Jednym spojrzeniem zlustrował mnie od stóp do głowy. I natychmiast dodał: – A więc to pan! – tak jakby się mnie spodziewał.

– Pan mnie zna? – zdziwiłem się.

– Znam, czy nie znam, jaka to różnica? – w jego głosie można było wystyszeć radość i zaczepkę. – Bo jeśli nawet się nie znamy, to zaraz się poznamy i będzie tak, jakbyśmy znali się już wcześniej.



Grafika Katarzyna Gościńicz

Na chwilę zapadło milczenie. Zgłupiałem. Wydawało mi się, że to dziwna odpowiedź, na dodatek jakby trochę bezczelna. I żeby z tego zgłupienia jakoś wybrnąć, powiedziałem:

– Cieszę się, że pana tu spotkałem...

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo chyba się zgubiłem. Nie wiem, jak wrócić do



kamienia, przy którym, jak sądzę, pomyliłem ścieżki.

– Tu jest ten kamień – przesunął się nieco w bok.  
– Na nim siedzę.

Dopiero teraz spostrzegłem, że wcale nie siedzi na wystających z ziemi korzeniach, tworzących coś w rodzaju siedziska.

– Ach tak – zgłupiałem jeszcze bardziej. „Jak mogłem tego nie zauważyć?”

– Chce się pan przysiąść? – przesunął się jeszcze bardziej, robiąc mi więcej miejsca.

– Och, dziękuję. Dostanę miejsce.

– Może i racja – powiedział. – I tak zaraz musiałby pan wstać.

– Niby dlaczego? – zdziwiła mnie pewność z jaką to powiedział.

– Żeby polecieć.

– Co takiego? Polecieć? – myślałem, że się przesłyszałem.

– Tak, polecieć. Teraz będzie pana kolej...

Nic nie rozumiałem. Zgłupiałem ponownie mimo krótkiego czasu, jaki minął od poprzedniego zgłupienia.

– To może jednak usiądę – zdziwiony, ciężko opadłem na kamień.

– OK. Niech się pan nie martwi. Zaraz panu wszystko wytłumaczę.

Pachniał świeżym powietrzem. Nie cuchnął ani brudem, ani dymem ogniska, czego można było się spodziewać po kimś o jego twarzy. Zamiast tego otaczała go radosna aura lasu, ziół i jasnego słońca – poczułem to, jak tylko do niego się przysiadłem. „Jak to możliwe – przemknęło mi przez myśl – że ktoś, kto wygląda, jak on, tak przyjemnie pachnie?” Gdyby tego wszystkiego nie było już za dużo i gdybym powoli nie przestawał się już czemukolwiek dziwić, pewnie znów pomyślałbym: „Zgłupiałem”. Ale nie pomyślałem. Słuchałem dalej.

– Bo chciałbym dać panu skrzydła.

– Co takiego? Skrzydła? – nie wierzyłem, co słyszę. – Po co?

– Żeby pan sobie polatał...

Wskazał za kamień, za nasze plecy. Dopiero teraz je zauważyłem: stały tam podparte o pień dwa wygięte w pałki drzewce, do których przymocowane były duże – orle?, jastrzębie? – pióra. Już nie pierwszej młodości, ale kompletne i nie postrzępione. Było widać, że ktoś od dawna bardzo o nie dba, regularnie stroczy, odkurza...

Poderwałem się dużo łatwiej niż przed chwilą usiadłem. Podszedłem do drzewa i patrzyłem z niedowierzaniem. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem! Oba wygięte drzewce miały kształt skrzydeł. Ich dolne końce zostały zaopatrzone w coś w rodzaju rękawów, w które – jak przypuszczałem – należało wsunąć ręce. Z kolei rękawy do ciała można było przymocować kilkoma rzemieniami, zakończonymi metalowymi sprzączkami. Gdyby je zaciągnąć, drzewce (czyli skrzydła) mogłyby mocno trzymać się ramion. A gdyby nimi poruszyć, a ruchy dobrze skoordynować, pióra zaszumiałyby, jak skrzydła prawdziwego ptaka i zaczęłyby rozganiać powietrze. Nad skrzydłami utworzyłoby się podciśnienie, pod nimi – nadciśnienie. Zagęszczone powietrze z dołu naparłoby na pióra, które zadziałyby niczym żagle, z tą tylko różnicą, że nie ustawione w pionie, lecz w poziomie. Cała konstrukcja, wraz z przymocowaną do niej rzemieniami osobą, niechybnie uniosłaby się w górę. Tak, przy pomocy tego urządzenia – tych skrzydeł! – bez wątplenia można było latać! Hen! Wysoko! Daleko przed siebie! Pomyślałem: „Przed wiekami, w dalekiej Italii, właśnie coś takiego najpewniej skonstruował wielki Leonardo.”

– Skąd pan to ma? – zapytałem.

– Dostałem przed laty od kogoś, kogo jak pan

mnie, spotkałem w lesie. Nawet chwili się nie wahałem – bardzo chętnie przyjąłem ten dar, bo któż nie marzy o lataniu i o wolności, którą obiecują skrzydła? Pokłoniłem mu się, zapytałem, czy na pewno w zamian nie chce żadnych pieniędzy i natychmiast przypiąłem je do ramion. Odleciałem. Ku mojemu zdziwieniu, latanie okazało się dużo łatwiejsze niż sądziłem. Także niezwykle interesujące. Od tamtej chwili latałem właściwie bez przerwy. Pauzy robię tylko na posiłki (bo latanie wymaga sporej liczby kalorii) i by konserwować sprzęt.

– Skrzydła?

– Tak, oczywiście. Lewe i prawe.

– Wie pan, kim był człowiek, który panu je dał?

Zamyślił się na chwilę. Potem odpowiedział pytaniem:

– Ten, który chciał się ich pozbyć?

Trochę zdziwiłem się, że użył akurat tego słowa i z niemiecka pomyślałem „coś tu znowu nie sztykuje”, ale na wszelki wypadek potwierdziłem:

– Właśnie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział nieco zmieszany. – Ale szczerze mówiąc, nie za bardzo mnie to interesuje.

Dalej spoglądałem na skrzydła z niedowierzaniem. Że coś takiego istnieje! Dotknąłem je zrazu nieśmiało, niemalże z pietyzmem, potem mocniej i bardziej zdecydowanie. Jakbym się z nimi witał. Pióra lekko zaszeleściły, drzewce zaskrzyptały, uprząż – bo te rzemienie i sprzączki były przecież uprzężą – metalicznie jęknęła...

– Tym naprawdę można latać?

– Oczywiście – zachnął się. – Latam tym od bardzo wiele lat – już mówiłem. Nawet nie wyobraża pan sobie, jakie to wspaniałe! Jak tam wysoko jest pięknie! Ile widać – jakie są widoki! Czym jest niczym nieograniczona wolność i przestrzeń! – mówił jak katarynka.

Miałem chyba niezbyt tęgą minę.

– Chce się pan przekonać? – zapytał.

– W jaki sposób?

– W jedyny możliwy: na własne oczy...

Podszedł do drzewa. Pewnym, dobrze wytrenowanym ruchem zarzucił sobie skrzydła na plecy. Jego ręce bezbłędnie trafiły w oba rękawy, a rzemienie i sprzączki jakby same odnalazły drogę do odpowiednich szlufek i dziurek. – Łata wprawdy – rzucił z uśmiechem, upewniając się, czy wszystko dobrze jest zamocowane. – Niech pan patrzy!

Cofnął się do linii lasu, z soczystym szelestem rozłożył skrzydła i wziął rozbieg. Biegł może dwadzieścia, trzydzieści metrów, zaczynając po tej stronie polany, która była położona wyżej. Bardzo mu to pomogło w rozbiegu. Było widać, że wie, co robi, że w swoim fachu jest mistrzem. Moje uszy wypełnił szum piór w skrzydłach i tyle go widziałem na ziemi.

Po kilku sekundach był w powietrzu!

Leciał! Leciał spokojnie, pewnie, bezpiecznie. Kółował nad polaną. Spiralał o coraz szerszych kręgach piął się wyżej i wyżej, aż wzniósł się ponad najwyższe drzewa, których wysokość dochodziła do trzydziestu, a może nawet czterdziestu metrów.

Usłyszałem jak woła:

– To kwestia odpowiednich proporcji! Odpowiedniego stosunku między powierzchnią skrzydeł, sprężystością piór i wagą ciała lotnika! Jeśli to wszystko jest zgrane i dostosowane do siebie, do startu nie potrzeba wcale dużej przestrzeni, ani długiego rozbiegu! Wystarczy nawet taka polana!

Reszty jego słów nie słyszałem, szybko znalazł się bardzo wysoko. Zrobił kilka kótek nad polaną i lasem, i tak samo miękko, jak wzniósł się w górę, łagodnie zszedł do lądowania. Cały czas coś mówił, ale nie

cd. str.16

byłem w stanie tego dostyszeć. Dotarła do mnie tylko końcówka jego wywodu, gdy był już tuż nad ziemią:

– Nie masz pojęcia, ile stamtąd widać! Jak tam jest pięknie! Jak tam, w górze, człowiek czuje się wolny i niczym nie ograniczony!

Dopiero po chwili zorientowałem się, że zwracając się do mnie, przeszedł na „ty”. Dlaczego? Już był na ziemi, już odpinał skrzydła. Ale wbrew temu, co mówił o pięknie, cudownym widoku i wolności, na jego twarzy nie byłem w stanie dostrzec zadowolenia. Mimo krótkiego lotu, zdawał się być wyczerpany, jakiś niezadowolony – wkurzony? – że musiał wznieść się w powietrze.

„Przecież sam tego chciał!”

– Widziałeś? – zapytał.

Co miałem odpowiedzieć? Było jasne, że widziałem, jak latał. Zamiast potwierdzić, zapytałem:

– Skoro widok jest stamtąd tak piękny, dlaczego – jak tamten sprzed lat – też chcesz pozbyć się skrzydeł? – ja też, biorąc przykład z niego, bezwiednie przeszedłem na „ty”.

Nie odpowiedział. Znowu zdawał się być zmieszany. Zamiast odpowiedzi usłyszałem:

– Teraz twoja kolej!

Zdębiałem. „Co takiego?!”

Chciałem zaprotestować, ale zostało to powiedziane w taki sposób, że było jasne, iż mój sprzeciw na nic się nie zda; że nie mam wyboru; że nie ma po co go przekonywać mówiąc: „Coś ty, człowieku, upadłeś na głowę?”, przecież ja tylko chciałem zapytać o drogę...”

– Ubieraj to!

Podszedł do drzewa i na nowo szeroko rozpostarł oba pałkowato wygięte drzewce zakończone piórami. Po chwili oba rękawy miałem już na rękach. Trzema pewnymi ruchami zaciągnął rzemienie, co skrzydła ustawiło pod odpowiednim kątem. Byłem – chyba można tak powiedzieć – uzbrojony.

– Niczego się nie bój – uspokajał. – Wszystko będzie dobrze. Skrzydła są tak skonstruowane, że nic złego nie może ci się przydarzyć. Nawet za pierwszym razem. Nawet jak nigdy jeszcze tego nie robiłeś.

– Przecież to niemożliwe! – próbowałem się jeszcze bronić, ale wychodziło mi to bardzo anemicznie.

– Możliwe. Bo to, co będziesz robił, to tak naprawdę stan naturalny!

Poprowadził mnie na wyższy kraniec polany, a ja – sam nie wiem dlaczego – byłem posłuszny jak najgłupszy baran. „No nic, zgłupiałem, totalnie zgłupiałem, zgłupiałem do reszty!” – to była jedyna myśl, którą w tamtym momencie potrafiłem z siebie wyrzesać. A za chwilę, nie wiedząc dlaczego, rozkładałem skrzydła i starałem się nimi równomiernie i niezbyt szybko pracować. I raz, i dwa. W górę i w dół. Z uwagą wstuchiwałem się w szum piór. W zależności od jego brzmienia, tonu i jakości szelstu, zgrzywałem ruchy ramion. Gdy szum wypełnił się i zaczął brzmieć lekko metalicznie, wiedziałem, że zbliża się chwila, o którą skrzydłom chodziło. Tak, bo to one mną w tamtej chwili zawładnęły – całkowicie mnie zdominowały. Nic, absolutnie nic już nie miałem do gadania. Były tylko one – skrzydła, przestrzeń i powietrze, a ja stanowiłem tylko dodatek do tego wszystkiego: drobną kropelką spoiwa, wczepionego między trzy żywioły. Biegłem coraz szybciej, chętniej i równiej. Pędziłem coraz bardziej i było mi coraz łatwiej. Ciężar skrzydeł, które miałem na plecach, stopniowo rozpyływał się na boki i po chwili już go w ogóle nie czułem...

Uniosłem się nad ziemię! Leciałem!

Starłem się naśladować to, co widziałem przed chwilą w wykonaniu tamtego. A więc spokojnie. Równno. Pewnie, dobrze mierzonymi ruchami. Poruszałem skrzydłami tak, jakbym wiosłował. Po okręgu,

po spirali sprawnie piąłem się w górę.

Nie czułem strachu. Skrzydła były naprawdę dobrze wyważone, pióra w doskonałym stanie, a ja miałem wagę i posturę w przybliżeniu taką samą, jak tajemniczy незнаjomy (który, prawdę mówiąc, stawał się zwolna moim znajomym). Co prawda drewniane pałki i rzemienie, które mnie opinały, to skrzyptały, to nieco trzeszczały, ale było to takie skrzywienie i takie trzeszczenie, które tchnęło solidnością: raczej uspokajało, niż napawało obawą.

I raz, i dwa. Po dwóch kręgach znalazłem się w połowie wysokości drzew. Im wyżej, tym stawało się jaśniej, tym szerzej i cieplej rozlewało się słońce. Skrzydła rwały do przodu – ku niebu. Pracowały coraz rytmiczniej. Ja razem z nimi.

Bo tak jak mówiłem, w tej chwili to one były mną, a ja stałem się tylko apendyksem do ich siły i potęgi. To one mnie niósły, a nie ja je, mimo że niczym brzemień, miałem je przytwierdzone do pleców. One lepiej niż ja wiedziały, dokąd lecieć i jak to robić. Było widać i czuć, że to dobre, rasowe, wielce zasłużone skrzydła. Nie bez powodu w psychologii, jak coś idzie wyśmienicie i jakby z głębin naszego jestestwa, mówi się o tym z angielska „flow” – lot, strumień. Właśnie teraz takiego stanu doświadczałem, nomen omen, lećąc...

Skrzydła lekko i z gracją wyniosły mnie poza korony drzew, ponad którymi otwierała się niczym nieograniczona, jasna przestrzeń. Teraz ja postanowiłem zacząć grać pierwsze skrzypce i – mocując się z nimi przez chwilę – począłem przejmować inicjatywę. „Ostatecznie, skoro już lecę, niech będzie to mój lot – nie ich” – pomyślałem. „One już i tak mają ich na swoim koncie nieskończoną liczbę. Teraz – skoro tak zdecydował los – była moja kolej”.

Byłem już tak wysoko, że nie miałem mieścić się już w czworoboku polany. Mogłem skierować się dokądkolwiek – mogłem lecieć wyżej i wyżej, hen, przed siebie, kosztując takiej swobody, jak nigdy dotąd. Skrzydła z wolną odpuszczają. Została chyba między nami nawiązana jakaś nić porozumienia. Tak jak ja rozumiałem, że w ich obecności nic im nie grozi, tak i one – być może – postanowiły okazać mi nieco zaufania.

Wtedy po raz pierwszy w życiu doświadczyłem uczucia, że nie ogranicza mnie już dosłownie nic, że mogę wszystko. I że to niezwykle przyzwolenie, ta możliwość, nie są obwarowane żadnym warunkiem, zastrzeżeniem, czy ceną w postaci strachu i bólu. Że mogę być sobą i że przestwór i światło, które mnie otaczają są tożsame ze mną.

Było to wspaniałe i niepowtarzalne uczucie!

A światła przybywało i coraz szerszy stawał się widok, który przede mną się otwierał. Był wielki, piękny – tak wielki i tak piękny, że aż trudno było ogarnąć detale i szczegóły, które na co dzień skrywał, a teraz odsłaniał

„Zaraz się tego dowiem, dowiem się wszystkiego” – pomyślałem i poczułem z tego powodu ogromną radość, choć... – zdziwiłem się – chyba nie aż tak wielką i tak bezwarunkową, jak można by było się spodziewać. I zamiast stworzyć jak najszerzej oczy, niespodziewanie najpierw je zmrzyżyłem, a następnie zamknąłem. „Co się dzieje?” – nie rozumiałem. „Co, do cholery, jest grane?” Rozlewając się przede mną jasność zaczęła mnie razić, a piękno, którego w całej jego potęgę za chwilę miałem doświadczyć, nagle poczęło mnie przerażać. Radość, którą czułem jeszcze przed chwilą, została niespodziewanie podcięta i w przyspieszonym tempie wiodła, wiodła, wiodła... Coś zaczęło mnie nagle przerażać i dawać do myślenia. Trudno w zasadzie było powiedzieć, co to było. Bo nie było to coś pojedynczego. Przerażające nagle stało się po prostu wszystko!

Skrzydła nagle zaczęły skrzypieć przerażająco, a rzemienie poczęły stękać potępięńczo. Byłem bardzo daleko i bardzo wysoko, a ziemia była tak nisko! Zamiast jakiejś solidnej podpory i oparcia, wokół siebie miałem tylko powietrze i pustkę. To, co robiłem, nie mogło skończyć się dobrze. Było to dla mnie oczywiste!

Jak mogłem dać się wypuścić tak wysoko – na dodatek w taki niezmierny bezkres? Jak mogłem

zaufać tym wątłym drzewcom i jakiemuś odzianemu w szmaty nieznanemu? Wolność? Przestrzeń? Swoboda? Co właściwie znaczą te słowa? Co można z nimi począć? Czy można na nich ugotować choć jedną marną zupę? O ileż ważniejsze jest, by mieć oparcie i twardy grunt pod nogami, i nie bać się, że zaraz gdzieś runie się w przepaść na złamanie karku i skrzydeł. Życie, prawdziwe życie, jest tam, na dole, a nie tu, w powietrzu. Nie pośród jasności, przestrzeni i słońca, lecz tam, w cieniu...

Jednym podwinięciem skrzydła zmieniłem kierunek lotu i szybko, pod sobą, odnalazłem ciemny prostokąt polany, a nawet – jak mi się wydawało – byłem w stanie dostrzec mikrą sylwetkę właściciela skrzydeł. Co za ulga! Tam był ratunek i wybawienie. Najpierw jeden zwrot, potem drugi i ostrym skosem, jakby na skróty, poszybowałem ku ziemi. Miałem wyglądać jak ptak, którego ktoś niespodziewanie ustrzełił w pełnym locie; jak orzeł lub jastrzęb z podciętymi skrzydłami.

Po chwili byłem na ziemi. Ku mojej radości (i zaskoczeniu) udało mi się bardzo łatwo, bezawaryjnie, wylądować. Tamten, rozradowany, już biegł w moją stronę. Wołał:

– I jak? Czyż to nie cudne? Jak się czujesz? Chyba teraz jesteś mi wdzięczny, że chcę ci oddać ten wspaniały wehikuł?

Po wysiłku i po wszystkich emocjach oddech udało mi się opanować ze sporą trudnością. Ale na tyle skutecznie, że mogłem powtórzyć pytanie, które mu zadałem – a na które on nie odpowiedział – gdy pospiesznie wypychał mnie do lotu.

– Właściwie dlaczego – skoro latanie jest tak wspaniałe – chcesz mi oddać te skrzydła?

„Choć nie jest taki stary, ma twarz starca” – znowu zauważyłem to, co już poprzednio wzbudziło mój niepokój. „Wygłąda jak ktoś niezmiernie sterany i wykończony życiem. Czym? Lataniem? Spoglądaniem w nieskończoność – w wielką jasność?”

Wtedy doznałem olśnienia – zrozumiałem! Jednym drapieżnym ruchem zdarłem z pleców skrzydła, a ramiona z równą gwałtownością wytrząsnąłem z rękawów. Oba drzewce schwyciłem oburącz jak narty i wcisnąłem mu je w jego zaskoczony łonie. Nie spodziewał się tego. Uśmiech w jednej chwili zamarł mu na ustach. Był równie zaskoczony jak ja, a może jeszcze bardziej. Znowu poczułem życiodajny „flow” – tym razem jednak pchał mnie on w przeciwną stronę.

Jak opętany zerwałem się do biegu. Wiedziałem, że za wszelką cenę, jak najszybciej, muszę oddalić się od niego i od tego miejsca. Nieważne, w którą stronę. W którąkolwiek. Teraz każdy kierunek będzie lepszy niż ta polana. Nieistotne, ile razy przewrócę się, w ilu miejscach się skaleczę i ile nabiję sobie guzów. Ważne było tylko jedno: daleko i szybko. A im szybciej, im dalej, tym lepiej. Żeby nikt nie był w stanie mnie dopaść, dogonić. Bo nie wykluczałem, że on, gdy zrozumie, iż jego podstępny plan spalił na panewce, ruszy w pogoń i będzie mnie ścigał.

Przecież on cały czas przede mną tylko grał i udawał! Jak tylko mnie zobaczył, swoją szansę dostrzegł w tym, że byłem jego posturą i że ważyłem mniej więcej tyle samo, co on. A więc pasowałem do skrzydeł! Wszystko, co mówił i opowiadał, to była jedna wielka maskarada i mistyfikacja. Tylko udawał swój zachwyt i radość z latania – z tego, że przed laty od kogoś nieopatrznie skrzydła przyjął w prezencie. Bo to, co dzięki nim od lat doświadczał, tak naprawdę stało się dlań udręką i cierpieniem. Wszak skrzydła – skoro już je miał – były wielką pokusą i stałe zmuszały go do latania: do obcowania ze światłem, bezmiarem, wolnością. A kto może coś takiego zdzierżyć, wytrzymać – na stałe? Kto może trwać w ciągłym – choćby najpiękniejszym – zawieszaniu ponad nicością i pustką?

Mknąłem przed siebie co sił w coraz bardziej poobijanych nogach. Gałęzie wściekle biły mnie po twarzy. W myślach, niczym mantra, kotatały mi się tylko trzy zdania: „Na pewno nie przyjmę od niego tych skrzydeł! Na pewno go od nich nie uwolnię! Nie dam się na nie skazać – w coś takiego zrobić!”



Michał Sokołowski

\*\*\*

kiedyś znajdę kogoś z kim powoli  
 pozdejmuję ze wszystkich znaczeń słowa  
 ostrożnie by nie uszkodzić  
 zetrę je z każdego z osobna  
 wówczas wszystko stanie się  
 naprawdę to znaczy absolutnie  
 zbędne i konieczne zarazem

\*\*\*

jeśli świat powstał  
 w miejscu braku boga  
 jak uczy Kabała  
 człowiek mógł powstać  
 wokół braku duszy  
 wyrosnąć z ziarna  
 intensywnej pustki  
 w niej mieć sedno  
 i uzasadnienie

stąd sam próbuje  
 gliną i ziemią  
 wypełnić ją  
 czymś na kształt duszy  
 dokończyć dzieło stworzenia  
 złączyć palce  
 na fresku Michała Anioła

\*\*\*

gdy zdejmę z oczu  
 taśmę z filmu który leci w mojej głowie  
 na przestrzał zrozumieć na wskroś zapomnę  
 pierwszy dzień wiosny kraków niedzielę palmową  
 szczęście jakim było móc jechać do ciebie  
 składać meble z ikei  
 oglądać filmy jedząc w łóżku pizzę

\*\*\*

między mordorem na domaniewskiej  
 a blokiem na białoleśce  
 mimo kokainy pornografii literatury filozofii  
 darmowych rozmów w sieci pakietu multi-  
 sport  
 nadal będąc sobą nieuzasadnionym  
 ciągle nie wiesz czy patrzysz  
 czy ktoś przez ciebie patrzy  
 czemu służy ta drzazga w źrenicy duszy  
 kiedy w końcu życie się stanie  
 na zawsze i aż do nigdy

\*\*\*

a więc siedzimy  
 ja na krześle ty na podłodze  
 stykają się stopy  
 ty rysujesz ja czytam książkę  
 w tle muzyka  
 szum ulicy  
 wino i papierosy  
 papryka i awokado  
 (robiliśmy sushi)

....  
 i to jest cudem  
 nie lewitacja  
 chodzenie po wodzie  
 czy rozżarzonych węglach  
 lecz to że jesteśmy  
 pozwalamy sobie  
 na bycie

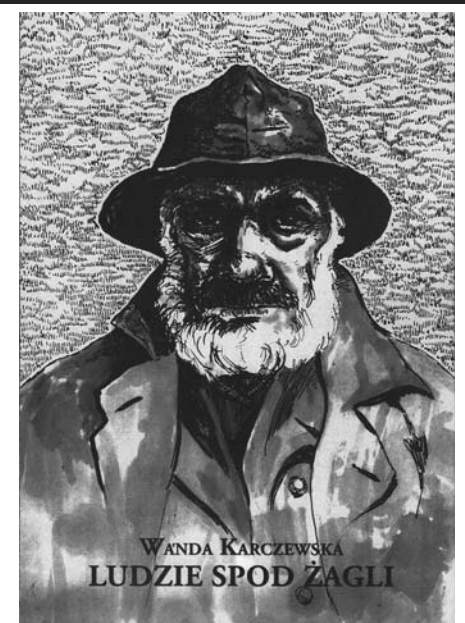
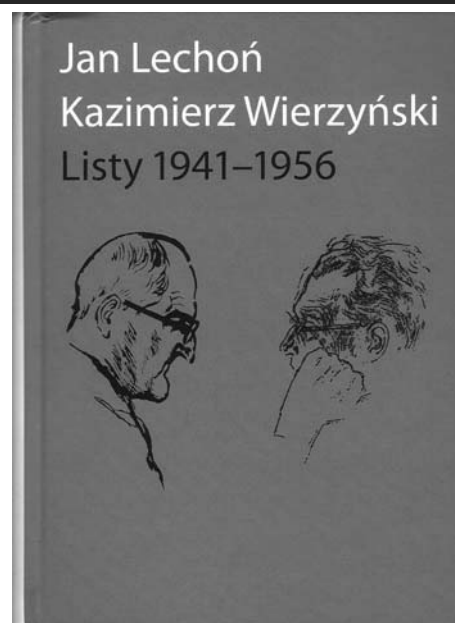
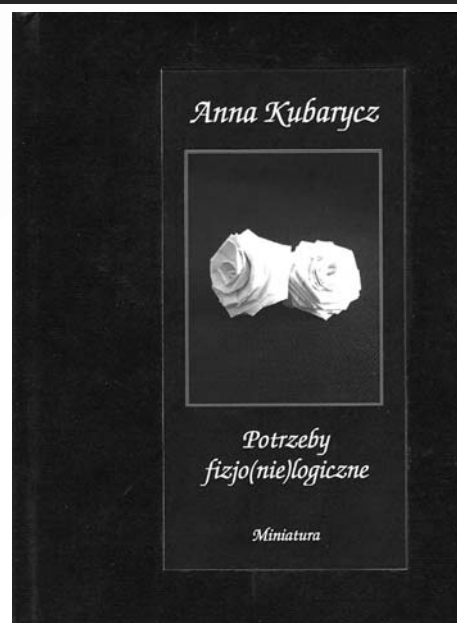
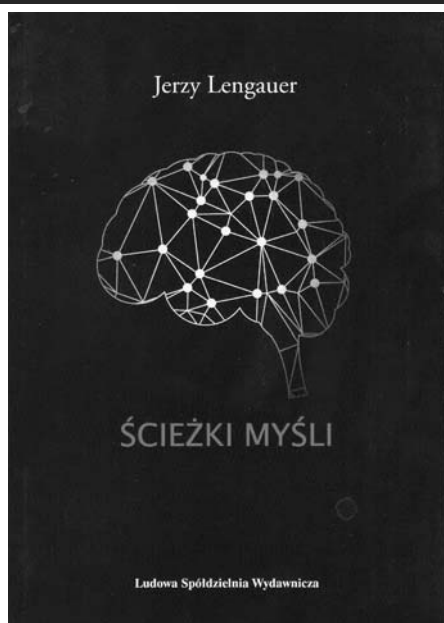
pierwszego listopada  
 odległe światła  
 miasta nocą jak cmentarze  
 żywych

Przeszły barman, a także (okazjonalnie) robotnik, sprzątac, pomywacz, budowlanec, ulotkarz, malarz pokojowy, niedoszły aktor, poeta

Autor publikacji (popularno)naukowych, wyróżniany w ogólnopolskich konkursach poetyckich. Wydał tomiki poetyckie: *Asymptoty* (Kraków 2013, nominowany do Nagrody im. Kazimierza Iłakowiczówny na Najlepszy Debiut Poetycki Roku), *Przebytyski* (Poznań 2016).

Jego wiersze publikowane były na łamach na łamach „2Miesięcznika”, „Inter-”, „Helikopter”, w antologii „Grała w nas gra. Antologia wierszy ludzi przelotowych, Fundacja Kultury Akademickiej, 2017).

## Migotania polecają lektury



Beata Gradowska

# Między muzyką a polityką:

## Czeska scena muzyczna lat 70-tych na przykładzie muzyki undergroundowej Plastic People of the Universe



Grafika Katarzyna Gościńiewicz

Na początku rozważań na temat rozwoju czeskiej sceny muzycznej w latach 70-tych ubiegłego wieku należy mocno podkreślić jej związek z wydarzeniami jakie miały miejsce mniej więcej dekadę wcześniej.

W pracy nawiązano do polityczno-kulturowego „odgrodzenia” żelazną kurtyną ówczesnej Czechosłowacji od liberalnych wpływów Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. Mowa tu między innymi o rozwijającym się w połowie lat 60-tych ruchu hipisowskim „dzieci kwiaty”, buncie młodości przeciwko światowi dorosłych (wojnie, pracy, nakazom, religii, rodzinie czy szkole itp.), umiłowaniu wszystkiego tego, co naturalne, sposobu obcowania z naturą, zwierzętami, innymi ludźmi.

Modne stały się luźne związki partnerskie, wychowanie dzieci w dużym związku z naturą, oddzielenie ich od dziadków i pozostałej „dorostej” części rodziny czy znajomych. Młodzież jak przysłowiowa gąbka chłonęła ten społeczno-kulturowy wzorzec. Głównie Wschód przyswajał je poprzez rzadkie wyjazdy zagraniczne, o które trzeba się było mocno „postarać”, przywożone z za „żelaznej granicy” płyty zachodnich modnych wykonawców (Courtney Joe McDonald, John Lennon, The Doors, The Animals, późniejsza twórczość The Beatles i inni), słuchanie zachodnich stacji radiowych, czy przywożoną z zagranicy prasę, jak również poprzez zewnętrzne atrybuty w postaci na przykład sposobu uczesania. Modne stały się fryzury na kształt artystycznego nieładu na głowie. Luźne warkocze, koki czy też rozwichrzane włosy z zaplecionymi pasmami ozdobione wiankami i opaskami. Dodatkowo uroku i świeżości dodawały młodym kwieciste koszule męskie, jeansy dzwony z rozszerzonym dołem, skórzane pasy z klamrą, a u dziewcząt zwiewne sukienki i wzorzyste dodatki charakterystyczne dla mody hipisowskiej. Związek z naturą podkreślano brakiem obuwia, w miarę możliwości chodzono boso. Można wręcz mówić o romantyzmie ubioru i fryzury. Są to niewątpliwie ważne elementy, gdyż muzykę tworzą ludzie, a ci lansują pewną modę poprzez ubiór, fryzurę, sposób zachowania, bunt, który ma przyciągnąć uwagę, itp. To cechy artystów z różnego czasu i współczesnych celebrytów. Zaraz znajdują się naśladowcy chętni zakupić okulary a la John Lennon, krawat czy skarpetki a la zespół The Beatles czy jak obecnie obserwujemy kapelusze a la królowa Elżbieta II, sukienka a la księżna Kate czy torebka a la Anna Lewandowska

Artyści wywodzący się z ruchu hippie tworzyli na scenie muzycznej poczucie wyjątkowego braterstwa muzyka z publicznością. Nastąpiła eksplozja muzyki rockowej, a później rocka psychodelicznego. Modne w owym czasie stały się zloty i festiwale muzyczne. Muzyka płynęła z zachodu a berliński mur drżał. Ostatecznie muzyka Beatlesów wyraźnie go naruszyła i skruszyła. Nagle, w jednej chwili, pojawiły się setki i tysiące podwórkowych zespołów, czy garażowych kapel, a w samej stolicy Czechosłowacji były ich setki. Rozpoczęła się era bigbitu „mocnego uderzenia”.

Dodatkowo ruch hipisowski musiał się przebijać nie tylko przez mur społeczno-kulturowy wzniesiony przez świat dorosłych, ale również mur ustroju politycznego, którego umowna granica jest granicą państwa socjalistycznego (Czechosłowacja, NRD, Polska itp.). Panujące władze w zdecydowany sposób tępiły wszelkie przejawy kultury zachodniej na swoim terenie. Przykładem tego było aresztowanie znanego poety, Alana Ginsberga<sup>1</sup>, który przybył do Pragi na zaproszenie studentów Uniwersytetu Karola. Na zorganizowanych wówczas wieczorach poetyckich, artysta wystąpił z krytyką ówczesnych władz



Grafika Katarzyna Gościńiewicz

i nawoływaniem do stawienia oporu, co skończyło się jego wydaleniem z kraju.

Te wydarzenia, jak również późniejsza Praska Wiosna w 1968 roku oraz ingerencja wojsk Układu Warszawskiego, niewątpliwie miały wpływ na rozwój czeskiej muzyki undergroundowej w latach 70-tych. Rozwinęła się kultura hippisowska jako przejaw buntu wobec władzy, a wraz z nią muzyka tego nurtu. Jedną z czeskich kapel „Aktual” występująca w praskich piwnicach, garażach czy zaułkach śpiewała wiele mówiące utwory „Dzieci Bolszewizmu” czy „Kocham ciebie i Lenina”<sup>12</sup> I tu, na czeskosłowackiej scenie muzycznej, zaraz po sowieckiej inwazji pojawia się nowa grupa Plastic People of the Universe<sup>3</sup> wzorująca się m.in. na The Doors, a reprezentująca rockową muzykę psychodeliczną oraz rock symfoniczny. Ich występy zmieniają się w surrealistyczne performanse. Początkowo zespoły czeskie wykonują utwory na wzór zachodnich kolegów w języku angielskim, nadając sobie nazwy w tym języku. Władze Czechosłowacji nie pozostają bierne. Zespołowi cofnięto licencję, skończyły się środki na koncerty i inne przywileje, jak możliwość korzystania z sal podczas prób. Zespół został zdegradowany do roli zespołu amatorskiego i jest to widoczny przykład walki systemu z nowym nurtem kulturowym, który wymyka się narzuconym normom i nakazom. Szykany kończą się na krótko, gdy do zespołu dołącza znany saksofonista jazzowy, Vratislav Brabeneč<sup>4</sup>. Stawia jednak warunek. Koniec z muzyką „odtworzenia”. Gramy utwory własne w języku czeskim. Muzykę wzbogaca domieszka jazzu i folku, a treści stają się symbolem czeskiej opozycji wobec władzy. Czeska muzyka schodzi do podziemia. Okres tej dekady kończą narodziny innej grupy reprezentującej rock alternatywny Psi vojáci (Psi żołnierze), zespół grający w latach 1979-2011. Jaka widać grupy późniejszych lat 70-tych przyjmują już nazewnictwo w języku ojczystym.

W niniejszej pracy kilkakrotnie użyto terminu underground, muzyka undergroundowa. Czymże jest ów underground w kulturze? Rozwińmy tę definicję. Underground – w znaczeniu artystycznym oznacza twórczość „podziemną”, często półamatorską, przetwarzającą rozmaite tabu estetyczne, społeczne, obyczajowe czy polityczne<sup>5</sup>. Nierzadko twórczość powstająca poza zasięgiem twórczości głównego nurtu oraz popkultury, a czasem również cenzury.<sup>6</sup>

Czeski underground ma różne oblicza. Fascynuje się prymitywizmem, pragnieniem przełamania pewnych konwencji, barier, obfituje w ironię, promuje anarchię. Jest wyrazem nieustannych artystycznych poszukiwań i oporu wobec absurdów socjalizmu przejawiających się w życiu codziennym. Absurd m.in. w postaci braku na rynku instrumentów muzycznych, zmusza muzyków do tworzenia konstrukcji ze złomu czy innych dostępnych materiałów. Wybór miejsca i czasu koncertu był dla grup undergroundowych niczym działania agenta Jamesa Bonda. Wybierano miejsca z dala od dużych miast, w miarę odizolowane, a informacje przekazywano pocztą pantoflową zaufanym osobom, a nie jak dziś szeroko rozumianym anonimowym odbiorcom za pomocą mediów jak: radio, telewizja, billboardy, internet, mobilna reklama w środkach MPK, czy bezpośrednia reklama trafiająca do skrzynki e-mailowej.

Ale władza miała też swoich agentów. Władza czuwała. W roku 1974 miała miejsce masakra tłum w Czeskich Budziejowicach.<sup>7</sup> Na zaplanowanym koncercie Plastików pojawił się tłum liczący ponad tysiąc osób. Wieść dotarła już wcześniej do oddziałów szturmowej milicji, która czekała na miejscu. Setki aresztowano, pobito pałkami i spisano. Wielu studentów aresztowano, a kilkudziesięciu wydano z uczelni. Niemal dwa lata później podczas kolejnego koncertu aresztowano członków zespołu i ich znajomych. Oskarżono ich o demoralizację czeskiej młodzieży poprzez niestosowne teksty wykonywanych przez nich utworów, noszenie długich włosów i unikanie pracy. Proces ten przeszedł do niestawnej historii tamtego okresu. Podczas spotkań na korytarzach sądowych, członkowie zespołu poznali innych działaczy podziemia – naukowców, artystów, wyrzuconych po 1968 r. członków partii. Dało to początek głównemu ruchowi demokratycznej opozycji, znanego pod nazwą - Karta 77. Tak narodziła się ich znajomość z Vaclavem Havlem, późniejszym pierwszym prezydentem Czech (1993-2003).<sup>8</sup> Plastikowi, podobnie jak inni przedstawiciele czeskich zespołów undergroundowych, politycy, naukowcy, literaci razem wkroczyli na drogę ku wolności, choć przed nimi wiodła kolejna trudna dekada lat 80-tych, stając się symbolem walki z reżimem i ustrojem socjalistycznym.

BEATA GRADOWSKA

1 Maciej Ł. Gołębiowski, „Od plastiku ku wolności”, „Hi-Fi muzyka” 9/2012, s. 76

2 Ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi

3 Maciej Ł. Gołębiowski, „Od plastiku ku wolności”, „Hi-Fi muzyka” 9/2012, s. 77

4 Tamże, s. 77

5 Baluch Jacek, Gierowski Piotr, „Czesko-polski słownik terminów literackich”. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2016, s. 393

6 Sobolewski Tadeusz, „Underground istniał w PRL-u” wyborcza.pl. [dostęp 2017-01-10].

7 Maciej Ł. Gołębiowski, „Od plastiku ku wolności”, „Hi-Fi muzyka” 9/2012, s. 78

8 <https://ludzie.wprost.pl/sylwetka/4032036/Vaclav-Havel.html>

#### Bibliografia:

- Baluch Jacek, Gierowski Piotr, „Czesko-polski słownik terminów literackich”. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2016.

- Czaplínska J., *Magiczne noce – współpraca Egona Bondy’ego z The Plastic People Of The Universe, w: Unisono w wielogłosie (2). W kręgu nazw i wartości*, red. R. Marcinkiewicz, Sosnowiec 2011, s. 209–217.

- D. Czopnik-Żygadło, „Ważne, aby nie znikła radość”. *O duchowym patronie czeskiego undergroundu Ivanie Martinie Jirousie*, w: *Unisono w wielogłosie (4). Rock a media*, red. R. Marcinkiewicz, Sosnowiec 2013, s. 178–187.

- Filipiak M., *Od subkultury do kultury alternatywnej. Wprowadzenie do subkultur młodzieżowych*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1999.

- Gołębiowski Maciej Ł., „Od plastiku ku wolności”, „Hi-Fi muzyka” 9/2012.

- Jirous I., *Sprawozdanie o trzecim muzycznym odrodzeniu w Czechach*, w: *Czeski underground. Wybór tekstów z lat 1969–1989*, Wrocław 2008, s. 93–100.

- Pęczak M., *Mały słownik subkultur młodzieżowych*, Warszawa 1992.

- Prejs M., *Bunt nie przemija: bardzo podręczny słownik subkultur młodzieżowych*, Warszawa 2004.

- Sobolewski Tadeusz, „Underground istniał w PRL-u” wyborcza.pl.

- <http://opcje.net.pl/weronika-parfianowicz-vertun-porazka-kultury-porazki-czeski-underground-na-rozdrozu/>

- <https://ludzie.wprost.pl/sylwetka/4032036/Vaclav-Havel.html>

## Andrzej Katzenmark

## I

## Ex lingua res novae

Rozważanie roli języka, operowanie nim jako poręcznym instrumentum a zarazem unoszenie się ponad jego wszechstronnością wszędobylstwem, wydaje się teomorficzną megalomanią, wdzieraniem się tam, gdzie bez transcendentalistycznej różdżki nie mamy

się kroku w stronę tego, co tyleż pewne, ileż zwiewne i ulotne jak ptasie pióro. Wiemy zatem, że ech zarania mowy ludzkiej nie wysłucha nasze ucho, ale też za lingwistyczny aksjomat należy uznać istnienie takiego początku.

Podstawą mowy jest zdanie, językowa cellula, obiekt zamknięty i niezależny, obrazujący pojedynczą myśl. „4.21 Najprostsze zdanie – zdanie elementarne – stwierdza istnienie pewnego stanu rzeczy”<sup>3</sup>. Kiedy to jedno elementarne zdanie znalazło ujście, świat wypełnił się zdaniami. Oczywiście, wchodziły one w aliansy i rozbraty z innymi. U zarania wystarczyło jedno zdanie, łącznie świadomość i świat napięcie, żeby człowiek wyfrunął z samotnej szarej dziupli instynktu i z zewnątrz ujrzał kolory swoje i świata. W skład zdania wchodzi nazwy, czyli słowa oznaczające przedmioty. „4.22 Zdanie elementarne składa

słów, jako względnie niesamodzielnych jego składników”<sup>9</sup>. Podobnie do Ingardena twierdzili Humboldt i Wittgenstein. Powtórzę więc za mistrzami: jedynym tworem samoistnym i sensownym jest zdanie.

„Jestem!”, nieodparta pokusa eksploratorów początku, uwodzi prostotą wypowiedzi i głębią ukrytego w tym zdaniu świata. Homo sapiens zwracał się ku temu, co na zewnątrz, lecz nie dopełniłby miary dyskursu zawartego w zdaniu, gdyby nie postąpił w swej wypowiedzi responsu, który powiadał o nim i o zdaniu jako o takich samych częściach świata jak dzięki zwierzę czy firmament niebieski. Narodził się człowiek jako subiectum. Tak wybrzmiała po raz pierwszy poezja otwartego kosmosu i otwartego umysłu. „Zdanie i dyskurs pojawiają się wówczas, gdy stwierdza się między dwiema rzeczami związek orzeczenia, gdy mówi się, że to jest tym. [...] Cała istota języka

# TEKTONICZNY USKOK MILCZENIA I MOWY

co szukać. A jednak intelektualne kwerendy Bergsona czy Nitzschego pokazują nadludzkie możliwości człowieka. Wzlecieć ponad świat wydawało się niemożliwe, lecz konstrukcja takich skrzydeł, aby nie będąc ptakiem szybować tak wysoko, że wszechświat wydaje się małym... Człowiek z jaskini nie marzył o niczym innym jak tylko o wyjściu poza siebie, bo własne wnętrze zamykało przed nim wszelkie obiectum, ba zamykało przed nim jego samego, zawężając zewnętrzność do konieczności i unikursalnego biegu przez życie. Jaspers zrównuje rozmiary świata z aktem namaszczenia jego elementów przez język, który poszerza i ogranicza zarazem. „Tylko to, co zyskuje język, jest rzeczywiście obecne, ujawnia się, wychodzi na światło dzienne i zarazem wprawiane jest w ruch. [...] Z tego, co po prostu inne, nieme, rozumiem to, co przemieniam w język. Sprawiam, że ożywa i zaczyna jakby samo przemawiać”<sup>1</sup>. Język, studząc usta wachlarzem o baśniowych barwach probabilizmu, otwiera szeroko świat, znacznie szerzej, niż realizował dotąd tę misję wzrok czy inne zmysły, czy myślny obraz. Zagrzytały wrzeciądże ludzkiej mowy. Otwarta się brama świata nie tylko rzeczywistego, ale przede wszystkim rozlicznych wyobrażeń kompensujących długotrwałe zamknięcie człowieka w sobie. Wyobrażam sobie oczarowanie doznane przez pierwszych ludzi, którzy ujrzeli rzeczywistość w jej moltiplikacyjnych możliwościach. Mówili zapewne bez przerwy, bez znaczenia, czy było to konieczne czy nie. Smakowali piękno mowy.

Jednakże zdobyczą człowieka mówiącego nie było tylko otwarcie możliwości smakowania świata w przeświadczeniu o wolnej selekcji. „Dokonaniem języka jest zarazem objawienie i przekazanie tego, co istnieje. Język umożliwia przechowywanie”<sup>2</sup>. Kolejne dobrodziejstwo spłynęło więc na człowieka. Nie ulegamy atoli pozajęzykowym mechanizmom wznoszenia. Są niepewne jak wosk w lkarowych skrzydłach. Za każde beneficjum płacimy cenę antagonistycznej możliwości. Również za pamięć. Tyleż rodzi egzystencjalnego szczęścia, ileż bólu. Owszem, ta domena języka potrafi układać i prasować zdania, aby lokować je w niszach naszego umysłu. Czy wielka summa zalet języka nie staje się matematyczną nicością? Już samo pytanie przekonuje, iż język w czasach kamienia łupanego nie był niezbędny, tym bardziej nie mógł przedwcześnie ulokować się w świadomości niemego człowieka. Przeto nie współczesnym odczuwaniem uzusu języka powinniśmy się kierować w eksploracji tych zdarzeń pradawnych i nieodnotowanych najmniejszym znakiem stamtąd, a tylko wyobraźnią. Choćby nauka wpiła się w język igłami najprzemysłniejszej metodologii, nie uszczknie ani jednego słowa z prehistorycznej mowy, z pierwszej lokucyjnej eksplozji.

Czy mogę posuwać się drogą intuicyjną, drogą imaginacji tego, co jest przedmiotem i środkiem dociekań? To pytanie już padało i pojawi się nieraz. Umaję je tylko bardziej osobistym kwiecikiem: czy wolno mi podejmować problem naruszany przez naukę tylko napomknieniem? Stojąc co prawda za mną nie lada mistrzowie, podpowiadają, lecz sami obawiają

się z nazw. Jest związkiem, splotem nazw.”<sup>4</sup> oraz „3.3 Tylko zdanie ma sens; tylko w kontekście zdania nazwa ma znaczenie”<sup>5</sup>. Analiza semantyczna i syntaktyczna podstawowej jednostki języka, nazwanej przeze mnie cellulą, rozbiór na poszczególne fragmenty, nie ma żadnego znaczenia dla sensu wypowiedzi. Myśleć głęboko nie znaczy więc poddawać analizie słowa, lecz sens zdania. „4.024 Rozumieć zdanie, znaczy wiedzieć, co jest faktem, gdy jest prawdziwe. (Można je więc rozumieć nie wiedząc, czy jest prawdziwe)”<sup>6</sup>. Uwaga w nawiasie jest niezbędna, żeby zmieścić w niej pogląd o probabilistycznej rozszerzalności języka, o kreśleniu dróg życiowych wyborów bez baczenia na życie, tylko na marzenia, i o dystansie dzielącym język i to, co przezeń nazywane.

Podobnie mówi Foucault: „Zdanie jest tym dla języka, czym reprezentacja dla myślenia: jego najogólniejszą i zarazem najelementarniejszą formą, po jego rozbiore bowiem nie mamy już do czynienia z dyskursem, ale z jego elementami na kształt surowego materiału”<sup>7</sup>. Cellula, po prostu komórka. Ma swoje wnętrze, ale znajomość jądra, jąderka, mitochondrii czy aparatu Golgiego niczego nie zmieni w podstawowej roli, jaką odgrywa całość komórki. To dzięki całości istnieją części. Nie odwrotnie! Nullum membrum contra cellulam. Nullum nomen contra sententiam. Niczym jest słowo bez otoczenia słów. Jedna nazwa nic nie znaczy. Mało tego: jest niemożliwa do pojęcia. Rzeczywistość jest barwna jak krzyżacki czub i dla jej opisu konieczne są zdania, najmniejsze jednostki porywające ze stagnacji pojedyncze stany rzeczy. Samoprezentacja myśli zwana przez Foucaulta reprezentacją to pomysł ukierunkowany wittgensteinowsko ku zdaniu wpasowanemu w myśl, które myśl sama zapisała na swej skórze.

Powróćmy do sprzeczności. Co rozpoczęło ludzką mowę? Niewątpliwie owo łączy „być”, zwłaszcza w ekspozycji pierwszoosobowej, miało szansę rozpocząć marsz języka. To zaiste ostoja zdania. Ma prawo i możliwość powiedzieć, co chce. A w historycznym aspekcie, to ono potoczyło pierwsze, niewymuszone nazwy w całość. Nawet w pojedynkę coś znaczy. Mówi chociażby o obecności w czasie i przestrzeni, otwiera je jak Odyseusz Eolowy worek. „Czasownik »być«, mieszanina atrybucji i stwierdzenia (afirmacji), rozdroże dyskursu o pierwszej i radykalnej możliwości mowy, jest pierwszym i najbardziej fundamentalnym inwariantem zdania”<sup>8</sup> Kusi, żeby zakrzyknąć „jestem!” z wszystkimi niedopowiedzianymi przez to słowo znaczeniami. Zakrzyknąć w stronę przeszłości, żeby echo rozbiegło się w Górach Kantabryjskich. Poezja tego słowa-zdania kryje się w jego metaforycznej potędze, która nie tylko okrywa sobą cały świat, lecz także chwytła jego krańce i obraca ku sobie. Jestem! – rozlega się, by powrócić echem świata.

„A więc nie nagromadzenie słów prowadzi do utworzenia specjalnych grup słownych zwanych jakby kto może chciał twierdzić dla krótkości - »zdaniami«, lecz odwrotnie, zdanie, jako jednostka sensu i twór – w stosunku do słów – całkowicie nowego rodzaju, posiada w sobie pewne ucłonowanie, które ostatecznie pozwala na wyróżnienie w nim poszczególnych

zbiega się w tym szczegółowym słowie [być]. Bez niego wszystko pozostawałoby w milczeniu, a ludzie, jak niektóre zwierzęta, daremnie próbowaliby korzystać z głosu, bo żaden z wydawanych przez nie okrzyków nie stworzyłby nawet pierwszego ognia w wielkim tańcu mowy”<sup>10</sup>. Foucault unika poetyckiej treści, lecz nie unika poetyckiej formy. Przeto jego głos brzmi podwójnie, jakby jedna jego strona przychyliła się do wizjonerskiego zdecydowania, a druga ciężka ku ziemi. Ruki po szwom, mówiono w armii carskiej. Francuski myśliciel lubi granie, brzegi, krawędzie i szwy. Staram się iść po jeszcze innej stronie. Nie postępuję pomysłu mistrza; wybieram inną drogę.

„Bez desygnowania bytu nie ma języka, tak samo jak bez języka nie ma czasownika »być«, który jest skądinąd jego częścią”<sup>11</sup>. Trudno zaprzeczyć. Ale należy pamiętać, że bytem jest świat i bytem jest ego. Desygnowanie bytu polegało więc na połączeniu świata i ego innym węzłem niż naturalna konieczność, gdzie ego było tylko częścią świata. Autor „Narodzin więzienia” rozwija swą myśl jakby ex post. Ze współczesnej perspektywy rozwoju języka ocenia jego kształt niegdysiejszy. Jest genialny, bo nie wskazując, wskazuje. „Był, w imię którego język przekracza znaki, jest niczym więcej niż bytem myślenia”. Zaiste możliwości języka, u zarania wyrażające się gwałtowną jego erupcją, realizują się zawsze przekraczaniem wyznaczonych granic. Język rozkwita w sobie nieujarzmioną wiosną rozwoju. Zaiste byt myślenia jest bytem języka. Każde rozszerzenie dziedziny myślenia czy nawet obserwacji owocuje pożarem granic języka, na którego pogorzelisku rozkwitają świeże anemony mowy, by przemienić się w ziarna myśli. Myśl i mowa są nierozdzielne. Owo rozszerzenie myśli – bez mowy stałoby się w trójnasób spowolnione lub byłoby zgoła niemożliwe.

„Słowo nie mogłoby »znaczyć« jakiejś rzeczy, gdyby między tą parą nie istniała przynajmniej częściowa tożsamość”<sup>12</sup>. Niebezpieczny precedens. Częściowa tożsamość nie istnieje, natomiast mogę wyobrazić sobie tożsamość zamgloną, tę właśnie, którą jest odbiciem ego w zwierciadle świata. Cassirer akompaniuje swej naturalistycznej śpiewce: „Związek między symbolem a przedmiotem, który symbol ów przedstawia, musi być związkiem naturalnym, a nie jedynie konwencjonalnym. Słowa języka ludzkiego nie spełniałyby swego zadania bez takich powiązań; stałyby się niezrozumiałe”<sup>13</sup>. Odrywanie słów od rzeczy dla zgłębienia obecnej w naturze struktury nazywania przypomina średniowieczną próbę ognia i wody dającą zwycięstwo nad prawdą jej dochodzeniu. Po wierzchu patrząc, można się doszukiwać podobieństw między słowem i rzeczą, lecz zawsze ze świadomością niemożności spenetrowania warstwy podjęzykowej. Pozostaje więc intuicja. Zaiste daje ona poczucie sensu naturalistycznej teorii związku słowa i rzeczy, lecz nie zapominajmy, że większość słów to abstrakty, które piętrzą się niczym warstwy sedymentacyjne wyrastające z dna morza. Powstanie słów wymagało od człowieka odwołania się do własnego umysłu. To on, nie natura, potrafił tworzyć kategorie i uogólnienia. Ponadto nie w słowie należy szukać owej „częściowej tożsamości” z naturą, lecz w zdaniu.

## II Mowa i milczenie

Nawet najdalszy bieg myśli ku horyzontom przeszłości nie odstoni tej archaicznej pasji mówienia. Część tej niewiedzy może wywodzić się z owego pytania zasadniczego, które nieraz już stawiałem: po co mówić? Zakłada bowiem ono, że działanie jest sprawniejsze od gadania; przynosi szybki i widoczny efekt. Jednakże milczkiem wykonywane tupanie kamienia dawtao czas na myślenie o ciemnej niszy istnienia i instynktownym zamknięciu ego. Te obrazy uczuć, przesłanianie niekiedy czynnym i niepowstrzymanym działaniem w sferze myślistwa czy seksu, powracały. Rodziła się mglista świadomość egzystencjalnej udręki, zamknięcia w sobie, oraz chęć wyjścia poza instynktowne wybuchy i obiektywnego spojżenia w twarz ego. Obrazy zwierząt na ścianach jaskini sprawiały, że myśl odpływała daleko, nie wiadomo dokąd. Pamięć notowała tylko obrazy: krew zwierząt, gładkość skóry kobiety, zapach ogniska... Ludzkie wnętrza, zamknięte w dybach ananke, nieruchawe, lecz dyszzące żądzą secesji jak wulkaniczny krater. To ono chciało przemówić, by sprzymierzyć się ze światem i by świat doń też przemówił i pouczył. Atoli presja rzeczywistości działała jak szpicruta i klapki, które utrzymują konia w obranym kursie. Ani kroku w bok. Wstecz albo naprzód. Chód po unikalnej linii.

Owiewa i powstanie, i funkcjonowanie mowy niewątpliwa tajemnica. A jest nią rozumienie tego, co wypowiadają własne usta, i tego, co wypowiadają czyjeś usta. Być może problem jest głębszy: jak ruchem warg i języka wprawione w drgania powietrze potrafi przekazać myśl? To wynalazek (nie będę już udawał zwolennika naturalistów) epokowy, po rzeźbie i malarstwie – największy ludzki wybryk intelektualny. Wybryk? Historycy mówią wciąż o tupaniu kamieni, ale nie tupanie stanowiło przełom, lecz sztuka. „Wybryk” jest więc eufemizmem, sympatycznym uśmiechem w stronę historycznej narzędziowni. Nie etapy mowy ludzkiej tworzą rów mariański poznania, ale jego intelektualne brzegi, fakt, myśl i zdanie.

„Mówić to przedstawiać przez znaki i nadawać znakom pewną syntetyczną formę narzucaną przez czasownik. [...] Słowo »być« tkwi w każdym zdaniu, ponieważ nie można powiedzieć, że jest coś i w pewien sposób, nie mówiąc przy tym, że to jest”<sup>14</sup>. W drugiej części tej ciekawej wypowiedzi Foucault powołał się na Destuttta, w komentarzu rozszerzając jego myśl: „Ale słowo »jest« , obecne we wszystkich zdaniach, zawsze stanowi część orzeczenia, jest jego wyjściem

Grafika Katarzyna Gościńiewicz



i podstawą, ogólnym i powszechnym orzeczeniem”. Parafrazując Homerowy werbalny fryz, rzecz należy, że bez „być” nie wymknęłoby się z zagrody naszych zębów żadne słowo.

Jedną z cech języka jest dyskursywność. Język, jak napomykałem, można przedstawić jako chmurę przenikającą ludzi do szpiku kości, choć niekiedy wydaje się czymś zewnętrznym jak igły na sosnowej gałęzi. Kiedy kończę mówić, nie oznacza, że język oddalił się, a ja mogę nań patrzeć z zewnątrz. Zawsze jestem we wnętrzu tej chmury. Dyskursywność mowy opiera się na dwóch filarach: jeden przypomina kurzą łapkę, na której stał domek baby-jagi; to oparcie na odniesieniu do rzeczywistości. Drugi mocuje domek od wewnątrz; to uspołecznienie języka, hasło i odzew znane tylko ich użytkownikom. Oznacza to, że „słyszenie jest dla mówienia konstytutywne”<sup>15</sup>. Także monolog, najpotężniejszy propagator mowy, spełnia te warunki. „Zdanie jest bowiem reprezentacją artykułującą inną reprezentację i dającą możliwość przesunięcia, które pozwala zarówno na wolność dyskursu, jak i na odmienność języków”<sup>16</sup>. Te logiczne uogólnienia pokazują, jak wiele się dzieje wewnątrz języka, wewnątrz owej chmury. Jednego język nie potrafi zrobić, przeskoczyć sam siebie, żeby odstonić i obejrzeć swoje plecy. Jednakże dzięki swej reprezentatywności, o której powiada Foucault, zapewnia wolność wyboru tak wielką, że pozwala podejmować próby przenikania nazywanej rzeczywistości.

Homo sapiens „wypowiada się nie dlatego, że jest zrazu jako coś wewnętrznego zamknięte wobec zewnątrz, lecz dlatego, że jako bycie-w-świecie rozumiejąc jest już na zewnątrz”<sup>17</sup>. Wydaje się, że Heidegger analizuje stan obecny, stawanie się języka, niekoniecznie spójny z początkiem mowy. Konkludując ku zamierzonej przeszłości, nie można wykluczyć, iż był moment, w którym kosmiczna litania czasu wymodlić chciała u człowieka wyjście z siebie. To dążenie rzeczywistości do uświadomienia swej istności. Nie pyszniąc się ludzką powłoką, skromnie rzecz można, że rzeczywistość wykreowała język ustami człowieka na chwałę swoją.

Mowę cechuje od przed-zarania możliwość milczenia. Albowiem gdyby milczenie wiązało się z niemyśleniem, oznaczałoby chwilę śmierci spośród pochodów życia. Ktoś musiałby wlec milczącego przez czas milczenia. Myślimy zawsze. Nie odstępują nas pełne zdań obrazy. Aławistyczna tęsknota za takim milczeniem nie istnieje. Obecne milczenie jest bowiem zdaniem, na podobieństwo tych wypowiedzianych. To milczenie ziemskie. Pochylony nad martwym reniferem homo sapiens milczał; to była jego mowa. Tak komunikował się ze światem; tak demonstrował siebie światu; tak podpowiadał mu instynkt. W ten sposób „wypowiadane jest właśnie bycie na zewnątrz, tzn. aktualny rodzaj położenia (nastroju)”<sup>18</sup>. Lecz istnieje milczenie potężniejsze, kosmiczne, o którym powiada Wittgenstein jako o niemożności wypowiedzenia niewypowiadalnego, choć ludzka tęsknota i tam sięga, albowiem „sensem zdania jest jego zgodność lub niezgodność z możliwościami istnienia i nieistnienia stanów rzeczy”<sup>19</sup>, a każdy uważa, że posiadał zdolność wnikania słowem wszędzie.

Stawanie na owej granicy mowy, bytu i transcendencji zbytnio nobilituje, choć w rzeczywistości oznacza w swej bytowości samoświadomość istnienia. Tej granicy człowiek nigdy nie przekroczy. Chyba że przez powrót do milczenia. Ale tylko mowa potrafi wypowiedzieć jakikolwiek sens. Jak zrozumieć milczenie? Dopiero uzus języka eksponuje je w odpowiednim stosunku do rzeczywistości, jako prostą prostopadłą do egzystencjalnej treści istnienia. Formą języka milczenia wydaje się modlitwa, a zwłaszcza wiara w przymierze z Bogiem. „Polożona jakoś zrozumiałość bycia-w-świecie wypowiedzi jako mowa. [...] Mowa jest egzystencjalnie językiem. [...] Język mówiony cechują możliwości mówienia i milczenia”<sup>20</sup>. Tylko milczenie potrafi przypiąć lkarowe skrzydła myślenia. Zastuchanie, zaczytanie lub zapatrzenie też jest tak rozumianym milczeniem.

Język nigdy nie używał suwmiarki czy mikrometru, by nazwać ścisłość dopasowania do rzeczy. Pod tym względem był i będzie podobny do popychanej przez dzieci obręczy; nie sposób przewidzieć jego zwrotów i zatrzymań. Aktualność mowy jest zawsze niepewna, zrozumiałość – dwuznaczna. Nieścistość nazywania przedmiotów i obrazowania faktów sięga prapoczątku. Kategorialne uogólnienia są nieodzownym pomostem pomiędzy mową a pojmowaniem rzeczywistości. Nie ma innego języka. „Język jako taki oraz język w jego stadiach prymitywnych nie jest ścisły, a nie jest też, w naszym sensie, wyraźny; ścisłość w języku rozjaśnia to, co zostało powiedziane – jego znaczenie; wyraźność, w naszym sensie, rozjaśnia moc wypowiedzi, czyli to, jak [...] trzeba je traktować”<sup>21</sup>. Niestety zapomniat język o sobie. Spóźnił się z reakcją na rzeczywistość. Stał się mową proroków, a nie prorokowaniem. Zarzuty poniewczasie. Język nigdy nie miał szans na osiągnięcie ścisłej miary, bo i rzeczywistość jest chaotyczna

i niedokładna. Skoro nie można wszystkiego naznaczyć stosownym słowem, abstrakty są koniecznością. Bez nich utonęlibyśmy w powodzi słów. Należałoby las wypętnić pojedynczymi drzewami, lecz jaki byłby sens lasu?

Niemniej jednak, mimo swych mankamentów, język jest jedynym na tyle sprawnym medium, że pozwala człowiekowi podejrzewać subiektywizm wypowiedzi-racji lub poznawczych ocen rzeczywistości. Ta obiektywistycznie – subiektywistyczna chwiejność jest zalążkiem utrwalań w nauce językowej ścisłości wbrew komunikacyjnemu rozluźnieniu języka. „Nie jest prawdą, by same tylko wypowiedzi językowe były traktowane jako prima facie świadectwo istnienia rzeczywistości, która jest przedmiotem tych wypowiedzi”<sup>22</sup>. Mimo wychodzenia myślowego poza język, nigdy nie możemy naruszyć jego granic, tak, jak nie jesteśmy w stanie przekroczyć jego logiki. „Skłonni jesteśmy nie zauważać, że większość rzeczy i większość domniemyanych cech tak zwanego świata poznajemy przez język i wierzymy w nie w wyniku projekcji, której punktem wyjścia jest język. Ludzie bezkrytyczni dochodzą w ten sposób do teorii języka jako zwierciadła: traktują elementy języka jako nazwy elementów rzeczywistości, a prawdziwe wypowiedzi jako odwzorowanie rzeczywistości. Wszelkie osobliwości języka rzutują oni automatycznie na świat, dopatrując się w nim koniunkcji i alternatyw, pojedynczości i mnogości, określoności i nieokreśloności, faktów i stanów rzeczy – po prostu na tej podstawie, że analogiczne elementy i różniczenia występują po stronie języka”<sup>23</sup>.

Wnioski Quine'a nie oddzielają języka od rzeczywistości, ale tworzą z nią dziwny związek, jakby to, co autor napisał, nie było książką. Wydaje się, że Quine popada w petitio principii, zapominając, iż założeniem funkcjonowania języka jest kartograficzna siatka nałożona na rzeczywistość. Poza linie jej ok nie sposób wyjść. Ba, tylko po owych liniach niczym pająk jesteśmy w stanie się poruszać. Nauka, filozofia czy sztuka próbuje zacieśniać tę sieć; i jest to jedyna możliwość dokładniejszego czytania rzeczywistości. Zwłaszcza poeta potrafi też wykorzystywać owe oka dla poruszenia wyobraźni. Najwyraźniej amerykański filozof podważa myśl Wittgensteina, który twierdził: „Logika nie jest teorią, lecz lustrzanym odbiciem świata”<sup>24</sup>. Natomiast zasady logiki czerpią pełnymi garściami z języka, żeby się uzewnętrznic. „Zdanie pokazuje logiczną formę rzeczywistości”<sup>25</sup>. W ten sposób jedynie język poświęca się dla wielu aspektów życia, w zastrzeżeniu że jego surowym (bezwzględnym) sędzią jest logika, która, wnioskując z przemilczeń tekstu Wittgensteina, jest matką mowy ludzkiej. „Logika wypełnia świat; granice świata są też jej granicami”<sup>26</sup>. Powtórzę to, com niedawno napisał, lecz w poetyckim natchnieniu: człowiek brodzi w rzeczywistości po pas, w języku po szyję, a w logice tonie. Tak łącząc w jedno Quine’owsko-Wittgensteinowski obraz języka.

## III Pod powłoką słowa

Homo erectus przed trzystu tysiącami lat stał się Prometeuszem, śmiało stwierdza Kuckenbug, nadmieniacz jednak, że raczej oswoił ogień już powstały, niż brał się za jego krzesanie. Nasz antenat chodził prosto (erectus). Postulował się prostymi narzędziami, ale żadne z tych osiągnięć nie determinuje wniosku o zaczątkach mowy. Czymże miałyby być owe zaczątki? Albo się mówi, albo nie. Mowa wymaga powszechników i metafory, symboliczno-abstrakcyjnego oprzyrządowania. A przede wszystkim musi (!) wypowiedzieć się zdaniem. Nie istnieje mowa bez zdania, czego dowodziłem wyżej po wielokroć, zasadzając swą konkluzję na obrazowaniu tego, co jest. Tym, który się wypowiada, jest człowiek, bez względu na to, czy istnieją inne, bardziej cudowne, lecz nie odrzucone przez logikę tego świata podmioty. Wszak przemawia Bóg w świętych księgach, przemawia przeszłość, przemawiają też prorocy.

Wittgenstein twierdzi, że „podmiot nie należy do świata, lecz jest granicą świata”<sup>27</sup>. Piękne zróżnicowanie „granicy” i „świata”. Czym innym jest wnętrze, a czym innym granica. Granica jednak ciągnie się wzdłuż linii czystego pozoru, gdzie manifestuje dusza użytkującego język. Dla człowieka ta granica stała się exterytorium odciętym brzytwą Ockhama, które rozciąga się na zewnątrz mowy, jakby człowiek stał na zewnątrz świata. W podobny sposób polityk usurpuje sobie prawo eksponowania siebie i swojego poglądu. Te oto rostra wynoszą go na granicę oddzielającą mowę i świat od transcendencji. To niemal boskie wyniesienie. W odbiorze słuchacza orator ów wydaje się czerpać swój głos z ponadludzkiej możliwości. Uważajcie! Im milszy uchu śpiew (Sireny), tym więcej pozoru w treści. To nie świadomość, ale intuicja lub wyobraźnia pozwalają sięgać rubieży świata i patrzeć w jedną lub w drugą

stronę, stamtąd czerpiąc to, co niezrozumiałe, stąd – władzę.

Podmiot zaiste stara się stanąć na zewnątrz języka i świata. Staje się więc eksterytorialnym wyrazicielem siebie samego. Wygodna pozycja, ale niemożliwa do utrzymania. Każdy chce być podmiotem, jeśli patrzy na świat i komentuje. Granica jest pozorna, ponieważ wyznacza ją nie tylko język, ale również poznanie, zarówno w kierunku uszczegółowienia jak i w kierunku uogólnień. Jak utrzymać redutę upodmiotowienia? Nie można przerwać potoku słów. To jednak prymitywny sposób obłężenia granicy. Dopiero poznanie pozwala przesuwać graniczną linię ku terenom niezagrażonym, gdzie pozycja podmiotu może wydawać się niezachwiana przez jakiś czas. Homo sapiens korzystał z obydwu sposobów. Umiał też milczeć w powodzi słów. „Poznanie i język są ściśle ze sobą związane. Mają, w przedstawieniu, to samo źródło i tę samą zasadę funkcjonowania: wspierają się wzajemnie, uzupełniają i bezustannie krytykują”<sup>28</sup>. Foucault nie wspomina o podmiocie, który usiłuje przekładać drwa języka, jakby język był polanem w jego drewni. Nie nazywa źródła. Czyżby podejrzewał mowę o możliwość rokoszu? „Jednak język jest jedynie poznaniem w bezrefleksyjnej postaci; narzuca się z zewnątrz i prowadzi je chcąc nie chcąc ku pojęciom konkretnym bądź abstrakcyjnym, ścisłym lub mało uzasadnionym; poznanie natomiast jest niczym język, którego każde słowo zostanie sprawdzone, a każda relacja zweryfikowana”<sup>29</sup>. To prawda, że sprawdzalność języka jest niemożliwa; rozwija się w sposób nieujarzmiony. Poznanie natomiast na tymże języku oparte wymaga definicji poszczególnych pojęć. Językowym buntownikom pozostaje mozolna krucjata. Otwarta walka z językiem jest z góry przegrana. Czy Kim, czy Stalin, czy towarzysze Więstaw nie opłotą języka kolczastymi opłotkami politycznej nowomowy. Wszyscy ludzie są wobec języka nic nieznaczącym abstraktem. Człowiek z jaskiń nie układał słów, po prostu mówił, wypowiadał uczuciowe zdania w języku własnej poezji. Tak wreszcie wyszedł z siebie. Ba! W ten sposób wspiął się na przelęczającą język z poznanie.

„Winch, wysuwając obiekcje wobec Evans-Pritcharda, oparł się na wyrastającym z inspiracji Wittgensteinowskiej kulturalistycznym pojęciu języka. Przez »język« rozumie on językowo artykułowane obrazy świata i odpowiednio do nich ustrukturyowane formy życia (Lebenformen). W obrazach świata gromadzona jest wiedza kulturowa, z której pomocą wspólnota językowa interpretuje świat. Każda kultura wytwarza w swoim języku odniesienie do rzeczywistości”<sup>30</sup>. Autor mówi, oczywista, o drabinie historycznej języków, drabinie, po której schodzenie w głąb czasu jest pewne, ponieważ każdy jej szczebel został sprawdzony. W cieniu jednak pozostają pietra prehistorii języka. Na przelomie mroku i jasności język zdołał się odwrócić, z uniteralnego stał się dwustronny: nie tylko wypowiada wewnątrz mówcy, lecz także maluje pejzaże rzeczywistości; i o tej drugiej możliwości mówi Winch i Habermas. „Rzeczywistość nie jest tym, co nadaje językowi sens. Co jest, a co nie jest rzeczywiste, ujawnia się w znaczeniu językowym [in the sense that language has]. Co więcej, zarówno rozróżnienie pomiędzy tym, co rzeczywiste, a tym, co nierzeczywiste, jak i pojęcie zgodności z rzeczywistością należą do naszego (tzn. do każdorazowo odmiennego – J. H.) języka [...] Jeżeli zatem chcemy zrozumieć znaczenie tych pojęć, musimy przeanalizować ich faktyczny sposób użycia – w języku”<sup>31</sup>. Oba kierunki oddziaływania języka wypromieniowują z ludzkiego ego, poszukując za pomocą tego szczególnego medium tożsamości z podmiotem i ze światem. Człowiek nieodmiennie próbuje zdobyć rozumienie samego siebie i wyrwać się z kleszczy poznawczego ograniczenia. Religijność i wiara są dość skuteczną metodą, aby wydawało się wierzącemu, że w ramach tego świata dostrzeże to, co naprawdą transcendentne. Wiara i nauka w sposób piękny upraszczają graniczne komplikacje języka, nauka – definiując ściśle pojęcia, religia – dogmatyzując szeroki margines interpretacji.

Często powołuje się na sądy znawców tematu, reinterpretując je, rozszerzając lub zwiężając ich poglądy. Zazwyczaj są to myśli uznanych filozofów znacznie ode mnie starszych. Uchodzą za mędrców, których wypowiedzi brzmią jak prorocstwo. Wielu z nich już nie żyje. Wydaje się zatem, że moja wizja tego, co autor miał na myśli, egzegeza, inspekcja lub krytyka, jest nie na miejscu. Ten krótki ekskurs w stronę omówień cytowanych autorów podsumuję opinią Kanta, który w „Krytyce czystego rozumu” tak pisze na temat wypowiedzianego o tym, co napisane. „Zaznaczam tylko, że nie jest niczym niezwykłym, zarówno w prostej rozmowie, jak i w pismach, dzięki porównywaniu myśli, które pewien autor wypowiada o swym przedmiocie, rozumieć go nawet lepiej, niż on sam siebie rozumiał, nie określiwszy dostatecznie swego pojęcia i wskutek tego czasami mówiąc, a także myśląc coś wbrew własnej intencji”<sup>32</sup>.

Oczywiście i w tej kwestii możliwa jest dyskusja. Przykłady atoli dokumentują słuszność tej dygresji. Każdy dyskurs, powołując się na czyjś sąd lub opinię, prowadzi do rozszerzenia przekazywanej myśli choćby o to właśnie nawiązanie, któremu cytata służy.

Język może dążyć do precyzji lub rozgadania, ale zawsze pozostanie niewyraźny i zawikłany niczym eufemistyczne nazywanie rzeczy. Przypomina więc analizowaną przez Leo Straussa technikę pisania między wierszami w warunkach prześladowania twórcy. Zaiste ten skryty, podziemny sposób wyrażania myśli wysoce lokuje naturalne możliwości języka. Autor powiada więc o literaturze: „Ma ona wszelkie zalety pierwotnej komunikacji, a pozbawiona jest jej największej wady – to, że dostępna jest jedynie dla znajomych autora”<sup>33</sup>. Podobnym palimpsestem może pochwalić się dowcip. Bywały atoli epoki, kiedy również żart był prześladowany. Jak w dowcipie ukryć dowcip? Udostępniać tylko najbliższemu, podpowiada Leo Strauss.

Uwaga niemieckiego sokratejczyka przeciwstawia współczesną literaturę tając ją między wierszami ograniczonej jakoby pod względem zasięgu mowy naszych przodków. Jeśli nie mówimy o pierwszym zdaniu i jego echu wśród jaskiniowych odbiorców, to stwierdzić należy, że paleolityczni kontynuatorzy języka władali na tyle swobodnie i płynnie mową, że potrafili od początku ukrywać pewne treści między wierszami. Człowiek pierwotny nie był pierwotny w powszechnym rozumieniu tego słowa: prymitywny czy ograniczony. Lubił wyszukane potrawy jak my, erotyczne zabawy, kto wie, czy nie bardziej wymyślne od naszych. Intelktualnie, powtarzam tę myśl po raz wtóry, niczym od nas nie odbiegał. Pałił ogniska, mył się, polował, niewiast wypatrywał co ładniejszych, a niewiasty jego; nawet w pewnych przyzwyczajeniach niczym od nich się nie różniliśmy; to nasi antenaci. Porównywanie kogoś ograniczonego do człowieka pierwotnego jest dla mieszkańców jaskiń obraźliwe. Co za tym idzie, język nie był sztuką elitarną. Władali nim wszyscy. I mowa aluzyjna, treść ukryta jak szept, nieraz odbijała się echem po malowanych ścianach jaskini. Rozumienie jej, tak jak obecnie, zależało od inteligencji słuchacza.

Zdanie nie jest flatus vocis. Tak człowiek nie odbiera nawet głosów przyrody, śpiewu ptaków lub ryku lwa. Mowę swego współplemieńca odbiera się nie słuchem, lecz umysłem, nie jako świst wyrzucanego z płuc powietrza, lecz jako sieć znaczeń. Gadamer, analizując Platońskiego „Kratylosa” tak powiada: „[...] aby słowo było słowem, musi być »właściwie«, właściwie »dobrane«. Gdyby tak nie było, tzn. gdyby nie miało ono znaczenia, byłoby tylko pustym dźwiękiem. Nie ma doprawdy żadnego sensu mówienie w takim wypadku o fałszu”<sup>34</sup>. Ów „pusty dźwięk” jest właśnie flatus vocis, który nie jest ani prawdziwy, ani fałszywy, ponieważ nie należy do sfery języka, lecz tylko do faktów fizycznych. „W języku nie da się przedstawić nic »sprzecznego z logiką« – jak w geometrii nie da się podać współrzędnych figury sprzecznej z prawami przestrzeni, albo punktu, który nie istnieje”<sup>35</sup>. Co nie jest językiem, jest flatus vocis. Należy do świata, lecz nie do języka. Co prawda „Granice mego języka wyznaczają granice mego świata”<sup>36</sup>, ale nie mogę przesunąć tych granic ani ad absurdum, ani ad transcendentiam. Język potrafi natomiast o owej zagranicy mówić, lecz nie potrafi tam bywać.

Rola języka od prapoczątku niósła w swym znaczeniowym przestaniu uporządkowanie. Wejrzenie w rzeczywistość nastąpiło później z pełną nieświadomością tego faktu. Wybuch osobowości wymaga porządku języka, albowiem dopiero na jego tle człowiek staje zbrojnie extra muros tacendi. Język nie walczy z rzeczywistością, on posiadał ją do głębi, lecz całkowite zawłaszczenie rozszerzającego się wszechświata jest jednocześnie z jego zdobywaniem. Nie wyjdziemy poza język, choćby wydarzyły się fakty wychodzące poza naszą wyobraźnię; tam również wnिकnie język. Nic nie ukryje się przed językiem. „Język nie przeciwstawia się myśli, jak zewnętrzne wnętrze czy ekspresja refleksji; nie przeciwstawia się innym znakom – gestom, pantomimom, interpretacjom, obrazom, emblematom – jak to, co arbitralne i kolektywne, temu, co naturalne i pojedyncze. Przeciwstawia się im całkowicie jako to, co następne, temu, co równoległe”<sup>37</sup>. Niedokładnie. Język nie trafia, jak filozofia, na to, co zastane; język współtworzy rzeczywistość, od kiedy stał się jej elementem. Patrzmy, rzecz jasna, z pozycji człowieka. Mimo to nasze rozważania dotyczą całego świata, również tego sprzed kilkudziesięciu lat. Mowa ludzka zawsze sięgać będzie tak wysoko jak wszechświat i tak głęboko jak kwarki w atomie.

Schopenhauer, obserwując lokucyjną rzeczywistość, ocenia mowę jako środek podobny do wybiórczo rozgadającego ciosy kamiennego pięściaka. „Oczywiście, mowa jako przedmiot doświadczenia zewnętrznego nie jest niczym innym niż bardzo doskonałym tele-

grafem, który przekazuje dowolne znaki z ogromną szybkością i najdokładniej je różnicując”<sup>38</sup>. Nie zgadzamy się na telegraf, skoro interesująca nas epoka nie stosowała jeszcze tej prostej metody wymiany informacji. Ponadto paralela z użyciem tego urządzenia pomija pewne imponderabilium, a mianowicie to, że bez języka telegraf nie miałby sensu. Wszak przekazuje litery, słowa, zdania i jako taki nie powinien być zestawiany z językiem. Nośnik mowy został przyrównany do samej mowy. Telegraf ma także inną wadę. A mianowicie zakłada wymianę informacji. Początek mowy był jednak śpiewnym wyjściem z siebie, z owego zawieszenia pomiędzy abysalem ego a przyniatającą naturą świata. Pierwsza atoli mowa nie wybrzmiała tylko pięknym, a zarazem płaskim odbiciem bryły przyszłego języka. Owo „jestem!” zagrano na wszystkich strunach zupełnie nowej harfy. Już po chwili powtarzali to jaskiniowi współplemieńcy, wychodząc na zewnątrz siebie ku światu, który nie musiał przyjaźnie ich witać w odpowiedzi na tę lingwalną eksplozję. Bez względu na to i tak popłynęła w świat pierwsza uporządkowana myśl. Dopiero potem język rozpoczął multilateralną karierę. Wymagał, jak się zdaje, kolejnych wynalazków, które tylko z pozoru wydają się prostym następstwem pierwszego kroku. Ich epokowość zginęła w półmroku prehistorii. Zwłaszcza współczesność przydaje tamtej chwili niewielkie znaczenie, jakby rozwój mowy biegł wynikającym z naturalnej konieczności tokiem: najpierw krzyk, potem odzew, a w końcu wymiana informacji na zasadzie telegrafu.

Owszem, przenikały człowieka pewne imperatywy ledwie przezeń uświadamiane sobie, jak choćby owa dążność do estetycznego manifestu na ścianach kanta-bryjskich jaskiń. Snaż drzemata w tej aktywności jakaś teleologiczna siła, skoro przez tysiące lat przybawało obrazów, a wiele z nich nie zachowało się, bo, należy przypuszczać, zmyła je woda lub wypaliło słońce, lub po prostu nie zostały odkryte. „W ekspresji artystycznej i językowej konieczny jest element celowości. W każdym dziele artystycznym i w każdej akcji mowy odkrywamy wyraźną strukturę teleologiczną”<sup>39</sup>. To silny głos wspierający teorię wielkiego wybuchu mowy. Jestem!

**ANDRZEJ KATZENMARK**

- 1 Karl Jaspers, *Filozofia egzystencji*, PIW, Warszawa 1990, s. 216, 218.
- 2 *Ibidem*, s. 217.
- 3 Ludwig Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, PWN, Warszawa 1997, s. 33.
- 4 *Ibidem*, s. 33.
- 5 *Ibidem*, s. 15.
- 6 *Ibidem*, s. 23.
- 7 Michel Foucault, *Słowa i rzeczy*, Wyd. Słowo Obraz Terytoria, Gdańsk 2006, s. 93
- 8 *Ibidem*, s. 97.
- 9 Roman Ingarden, *O dziele literackim*, PWN, Warszawa 1960, s. 76.
- 10 Michel Foucault, *op. cit.*, s. 95.
- 11 *Ibidem*, s. 95.
- 12 Ernst Cassirer, *Eseje o człowieku*, Wyd. Czytelnik, Warszawa 1998, s. 196.
- 13 *Ibidem*, s. 196.
- 14 Michel Foucault, *op. cit.*, s. 96.
- 15 Martin Heidegger, *Bycie i czas*, PWN, Warszawa 2013, s. 209.
- 16 *Ibidem*, s. 99.
- 17 *Ibidem*, s. 208.
- 18 *Ibidem*, s. 208.
- 19 Ludwig Wittgenstein, *op. cit.*, s. 33.
- 20 Martin Heidegger, *op. cit.*, s. 206, 207.
- 21 John L. Austin, *op. cit.*, s. 619
- 22 Willard V. Quine, *Granice wiedzy i inne eseje filozoficzne*, przeł. Barbara Stanosz, PIW, Warszawa 1986, s. 29.
- 23 *Ibidem*, s. 32.
- 24 Ludwig Wittgenstein, *op. cit.*, s. 73.
- 25 *Ibidem*, s. 28.
- 26 *Ibidem*, s. 64.
- 27 *Ibidem*, s. 65.
- 28 Michel Foucault, *op. cit.*, s. 88.
- 29 *Ibidem*, s. 89.
- 30 Jürgen Habermas, *Teoria działania komunikacyjnego*, PWN, Warszawa 1999, s. 113.
- 31 Peter G. Winch, *Rozumienie społeczeństwa pierwotnego, w: Racjonalność i styl myślenia*, red. E. Mokrzycki, Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992, s. 248/247.
- 32 Immanuel Kant, *Krytyka czystego rozumu*, przeł. Roman Ingarden, Wyd. Antyk, Kęty 2001, s. 303.
- 33 Leo Strauss, *Sokratejskie pytania*, przeł. Paweł Maciejko, Wyd. Aletheia, Warszawa 1998, s. 110.
- 34 Hans-Georg Gadamer, *op. cit.*, s. 554.
- 35 Ludwig Wittgenstein, *op. cit.*, s. 11.
- 36 *Ibidem*, s. 64.
- 37 Michel Foucault, *op. cit.*, s. 85.
- 38 Arthur Schopenhauer, *Świat jako wola i przedstawienie*, przeł. Jan Garewicz, PWN, Warszawa 2012, s. 85.
- 39 Ernst Cassirer, *op. cit.*, s. 238.

## Adrian Ligęza

## Prześcieradło

To będzie liryka wyznania,  
lustro opuszczone do studni, echa błędzące w podziemiach.  
Cienie przeszłości i refleksy bólu  
chłopca, którego nie kochał ojciec,  
chłopca, którego ojciec opuścił w domu,  
na kanapie, przed telewizorem,  
w depresji i kieliszku wódki,  
w bankructwie i we wspomnieniach własnego dzieciństwa.  
Chłopca, który pamięta dźwięk upadających na podłogę przedmiotów;  
widelców i noży, talerzy i szklaneczek, zlewki drinków i resztek jedzenia.  
Gdy dotknęły ziemi prześcieradło było już zmoczone,  
oddech przyspieszony, palce ściśnięte,  
a oczy zwrócone ku szybie z metapleksu.  
Serce zassane skrzącym strachu nie drga do dzisiaj,  
zapach moczu nadal przyzywa tamte obrazy.  
To będzie liryka wyznania chłopca owiniętego białym płótnem,  
prześcieradłem przesiąkniętym zimną szczyną.

\* \* \*

## Bicie

Pamiętam, jak mnie biłeś.  
Miałeś wtedy bordową twarz i sine usta;  
kilkudniowy zarost pod obłędem w oczach;  
pas lub szaszetkę w ręce.  
Biłeś na oślep, gdzie popadnie,  
po głowie, po nerkach, po nogach,  
Furie tańczyły wraz z Tobą.

Najtrudniej jest czekać na bicie.  
Zaciskać odbyt i gryzieniem kaleczyć palce.  
Każde moje drżenie błagało o chłostę.

Lałeś mnie w bachicznym szale orgii własnych demonów.  
Lałeś mnie, jak ja później lałem kota w szopie dziadków.  
Z tą samą pasją, rzucając o meble i wrzeszcząc zaklęcia z podszeptu kozła.

Tak samo jak ja, obite zwierzę nie miało gdzie uciec.  
Tak samo jak ja, kot wracał łasić się i bawić.  
Tak samo jak ja, siadał na kolanach i dawał się głaskać.

\* \* \*

## Kropla

Jak to było bić mnie, małego chłopca, swojego syna?  
Stać nade mną, patrzeć na mnie i lać.  
Krew z krwi, ciało z ciała, życie z życia.  
Czy to moje oczy kogoś Ci przypominały? Tembr głosu lub perkaty nos?  
Czy to moja nieporadność Cię denerwowała? Zniecierpliwienie? Nerwowe ruchy  
nadgarstków?  
Czy to może Erynie otoczyły Cię stojącego przy klifie z wapiennych skał -  
z których skamieliny spadały na Ciebie jedna po drugiej,  
bez ładu, bez dźwięków, w chłodzie północnego wiatru -  
i zażądały ofiary z pierwotnego?

Jak to było widzieć skulone ciało szarpane jęzorem ze zwierzęcej skóry,  
słyszeć dyszkantowy krzyk zajszczanego sześciolatka,  
uderzać i kopać korpus w koszulce z marynarzem?

Czułem się wtedy rozbity, jak kropla krwi,  
która wpadłszy do wody rozwiewa mgliste szaty i dymy karmazynu,  
która uderzywszy z mocą pojawia się nagle i zanika powoli rzednącymi smugami,  
której strumienie rozbłysły i przez chwilę snują się w szkarłatnym podmuchu,  
tracąc impet, tracąc kolor, tracąc wyrazistość.  
Krew w wodzie. Ciecz w cieczy. Czerwień w rozplywie. Ginące życie w życiodajnej sile.

\* \* \*

## Rozbieranie na lekcję wuefu

Chodzimy razem po tym wielkim wnętrzu,  
Ty w smołowej sukni, a ja w dresie z ortalionu.  
Szkolne podziemia, okratowane boksy, żółta emulsja.  
Nadszedł czas rozbierania na lekcję wuefu.  
Liczę na entuzjazm kolegów - ważna jest każda minuta,  
trzeba pędzić, by pograć dłużej.  
Liczę na ich brak zainteresowania - moją osobą,  
moim zwlekaniem - jestem gruby i nieporadny.  
Liczę, że nie zauważą sinego uda i pręgi na plecach,  
łez w oczach i konwulsji rąk.  
Pomagasz mi rozebrać się na lekcję wuefu,  
rwiesz pasy okaleczonej dumy, gruchoczesz gnaty -  
- filary tożsamości, zdejmujesz skalp z pewnością siebie,  
odkrywasz moje wnętrze i oprawiasz zewnętrzną powłokę.  
Ze mnie nie zostaje już nic, z Ciebie - wszystko.

\* \* \*

## Leżysz

Leżysz na podłodze w kałuży moczu i wymiocin,  
oblepiony popiołem i szkłem z rozbitej popielniczki.  
W domu było już cicho.  
Stoję i patrzę, śmierdzisz i charczysz,  
brakuje tylko żebyś się posrał.

Godzinę wcześniej biłem się z Tobą.  
Byłeś tak silny i zawzięty, że myślałem, że muszę Cię zabić.  
Patelnią, nożem, tasakiem do mięsa, krzesłem, czymkolwiek.  
Gdybyś nie osłabł - zatłukłbym Cię na śmierć.

Pamiętam Twoje pełne szyderstwa spojrzenie,  
gdy we troje siedzieliśmy na Tobie,  
próbując utrzymać ramiona, nogi, biodra i wściekły łeb.  
Patrzyłeś mi w oczy i śmiałeś się.  
Patrzyłeś mi w oczy i sprawiałeś, że czułem się jak gówno.

Czy tak na przeciwnika gapił się śmiertelnie zraniony Minotaur?  
Chępliwym spojrzeniem błagał o ostateczny cios?  
W meandrach binarnej konstrukcji wiodłeś smutne życie,  
spiżowe ściany głuchym echem rezonowały Twoje własne jęki i łkania.  
Ile było człowieka w bestii, ile niedoli za cudze grzechy?

Teraz leżysz w tym całym gnoju,  
a ja przesuвам palec po Twoim czole i sprawdzam czy oddychasz.  
Jesteś roztrzaskany, a pomimo tego w moich oczach  
stanowisz zwartą, potworną całość.

\* \* \*

## MŁODE POETÓW POKOLENIE

czytam w gazecie  
że wytrysnęło  
młode poetów pokolenie  
że z klatek piersiowych  
wydobyły się ptaki  
czarne jak kruki  
i kolorowe kolibry  
z innych ponoć  
nocy motyle  
i tłuste robaki

o mnie nie da się powiedzieć  
że młody  
a już na pewno  
że tryska

ja się sączę bez dupy ścisłu  
a w skórze mieszczycha  
nie skrywa się motyl

Paweł Marciszewski

# OBROTACH CIAŁ NIEBIESKICH

Mając trzynaście lat, zacząłem naukę w nowej szkole, w szkole, do której dojeżdżać musiałem autobusem, bo szkoła w mieście była. I była ta konieczność niemałą zmianą i nowością i wielkim wyzwaniem w dodatku, do tej pory droga do szkoły, to było dziesięć minut na rowerze, albo półgodzinny spacer, a tutaj nowa szkoła i docieranie do niej, wymagały zmian, zmian, zmian. Nowa niedola. Do tej pory autobusem przemieszczałem się tylko z rodzicami, tylko pod ich opieką, sam nigdy przenigdy, zatem bałem się bardzo, choć nie mogłem o tym nikomu powiedzieć. Mnie taki kurs wydawał się być prawdziwą przeprawą przez Morze Czerwone, dobrze wiedziałem jednak, że dla innych była to rzecz cokolwiek błaha, nie warta stresu, strachu tym bardziej. Nikt by tych moich obaw nie zrozumiał.

W końcu jednak autobus zaczął kursować i emocje, musiały opaść, innego wyjścia nie było. Maszyna ruszyła i widoki za oknami ruszyły razem z nią. Dużo czasu nie minęło i już mam ulubione siedzenie, z tyłu, z wszystkimi kolegami, a trzeba zaznaczyć, że byliśmy pierwszym rocznikiem reformy edukacyjnej, zatem nie było nikogo nad nami, nikogo starszego, ani w szkole, ani w autobusie.

I o ile w szkole byli silniejsi, byli tacy, których się baliśmy, to w drodze do szkoły i ze szkoły, na tych trzydziści minut, na czas kursu, to my byliśmy na górze, królowie świata. Żadna chluba z takiego królowania, aż dziw bierze że nigdy, żaden kierowca nie zatrzymał się, nie wstał i nie wyprosił. Tylnie siedzenia zamieniały się w królestwo zgietku, przekleństw i szydercy. To było chyba konieczne. Każdy chociaż raz w życiu musi poczuć, że króluje, choćby królował nad stertą gnoju. Wybiegamy więc ze szkoły i już wszystkie tylne miejsca zajęte i już gardła i języki w ruchu!, i już darcie i mazanie siedzeń i już w ruch: i autobus i wszystkie widoki za oknem!

W końcu zaczęliśmy wybierać dłuższy kurs, prowadzący okrężną trasą; byliśmy chyba uzależnieni od tego czasu, w którym nic poza krzykiem i kolejnymi żartami się nie liczyło, więc gdy tylko zdarzyła się okazja na rozciągnięcie go, skwapliwie żeśmyśmy z niej skorzystali. Wsiadaliśmy na ostatnim przystanku, a po drodze autobus kluczył po sąsiednich wioskach i widoki za szybą kluczyły, a te mijane wioski, jako sąsiednie, obrzucaliśmy codziennie stertą obelg, wykrzykiwanych przez otwarte okna. W jednej z nich, z tych wiosek mijanych, wjeżdżało się na wąską, błotnistą pętlę, na którą asfaltu najwyraźniej zabrakło. I tam właśnie stał on – Szeregowy.

Szeregowy był, zdaje się, wioskowym głupkiem. Jedynę, co o nim wiedzieliśmy, to to, że przychodził codziennie na tę pętlę i machał do autobusów, nigdy jednak nie udało się ustalić, czy było to machanie na powitanie, czy na pożegnanie. Te przejeżdżały tam cztery razy dziennie i tak – sprawdziliśmy – bez względu na pogodę, dzień, zdrowie, Szeregowy przychodził, machał autobusom i wracał do swoich spraw. Zupenie jakby był na warcie, na służbie, może właśnie stąd to miano, jakim go nazywaliśmy... nie wiem. Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, już je nosił, usłyszałem wtedy: to jest Szeregowy, zobacz jaki głupek, pomachaj mu! Jest tu codziennie.

Jakż my mieliśmy z niego ubaw! Stał tam zawsze, nieraz przemoczony, nieraz szalenie, mimo upały, owinięty szalem, nieraz z jakimiś butelkami w drodze ze sklepu, zawsze pojawiał się na warcie. I zawsze miał na twarzy ten sam wyraz, wyraz sumienia i z radością wypełnianej powinności. Dziś myślę sobie, że być może od spełnienia tego obowiązku wiele, naprawdę wiele zależało. Nie dziwiłbym się, świat w końcu zdaje się wisieć na naprawdę lichych zawiasach. Może więc napędzało całą kulę ziemską tamto wychodzenie i machanie, nie wiem.

Tyle o nim wiedzieliśmy. Wioskowy głupek w obszarpanym brudnym dresie, z poczuciem jakiejś wielkiej misji.

Jeśli zaś chodzi o rzeczy, których nie wiedzieliśmy, lista jest długa. Gdy Szeregowy wychodził ze swojego domku, między drzewami i ruszał w stronę pętli, dołączał do niego święty Walenty. O świętym nie wiedzieliśmy ani my, ani nasze pośmiewisko, tak to

już bywa ze świętymi, że działają, gdy ich nie widać i nieraz działa taki święty, a człowiek powiada: to wiatr był. Obecność Walentego ograniczała się do tego, że od czasu do czasu przepchnął jakąś gałąź, tak, by nieostrożny chłopak nie potknął się o nią, w końcu szedł na pętlę i miał przed sobą ważne zadanie, patrzył tylko przed siebie, to, co pod nogami, nie interesowało go zbytnio.

Czasem, gdy chłopak szedł do sklepu i kupić miał chleb i bułki i mleko i masło i szynkę i ser, korciło go bardzo i kusilo i do ucha szeptało, żeby listę przedłużył, żeby na tym nie poprzestawał, w końcu tyle ciekawych rzeczy jest do kupienia, a jeśli są do kupienia to chyba złe nie są. Wiejski sklep, magazyn wielkiego szczęścia. I wtedy w tym sklepie, a był tam tylko jeden sklep, stał ten święty Walenty i w jakiś sposób chłopaka od zakupu rzeczy niepotrzebnych odwodził. Czy mówił mu coś do ucha, czy do ucha mówił pani za ladą, tego nie wiadomo, tak czy inaczej działał skutecznie tymi, sobie tylko znanymi metodami.

A potem szedł Szeregowy i jeśli autobus miał się za niedługo pojawić, zostawał i czekał. Popijał mleko, grył nieraz bułkę, i potem miał te okruszki na tych swoich wąsach jeszcze młodzieńczych i dziwnie nie pasowała mu ta bułka do powagi, którą miał w oczach. I wjeżdżał wówczas ten pojazd, przetaczał się przez wioskę i jej widoki, a wioska ze swoimi widokami przetaczała się za jego szybami, a chłopak był na posterunku, machał i patrzył jak warczący potwór odjeżdża. A potem brat głęboki wdech i wracał do domu.

A w domu, przy stole, cztery talerze, ale tylko na dwu znajdują się okruszki z przekrawanych, smarowanych i obkładanych bułek. Do stołu usiądzie on i jego matka, możliwe, że to matka schorowana. Schorowana matka dziwnie pasuje do tego domu i do tego syna i do jego niezrozumiałych obowiązków. Zdrowa matka wszystko by psuta, wszystko by burzyła. Również dwa talerze muszą zostać puste, by dopełnić kompozycji. Jeden jest panaojcowski. Ale pan ojciec już do tego talerza nie podchodzi, bułki w ręce nie bierze, krzyża na niej nie czyni, nie kroi jej, nie smaruje, nie obkłada i nie zjada. A wszystko dlatego, że pana ojca od dłuższego czasu już nie ma. I jak tak siadają przy stole, ta dwójka, to matka, kreśląc na bułce linie, ilekroć na pustym talerzu spojrzy, myśli sobie, że tak jest lepiej.

Drugi talerz także pusty. Do niego z kolei nie podchodzi, bułki w ręce nie bierze, krzyża na niej nie czyni, nie kroi jej, nie smaruje, nie obkłada i nie zjada

jej starszy brat Szeregowego. Na ten talerz matka patrzy z wyraźnym żalem, a co sobie wtedy myśli, tego nie wiadomo. Brat do miasta uciekł i teraz ma życie w mieście i swój stół i swój talerz i swoje na nim bułki.

Święty tymczasem czeka za oknem, do środka nie wchodzi, sam nie wie – z nieśmiałości to, czy z czego innego. Stoi przy oknie, zagląda do środka i nasłuchuje dzwonów z kościelnej wieży, tak, by w razie czego, jakim ciśniętym w okno kamyczkiem dać chłopakowi znać, że już czas, że już pora, że wyjść trzeba. Kamyczek nieraz frunął i cichym stukotem przerywał różne czynności. Buty, szybko sznurowane i dziwna powaga i niepokój w oczach, jakby zmartwienie, że autobus mógłby przyjechać pięć minut za wcześnie. Potem wychodził, święty dołączał do niego i szli tak razem, a matka, chora dla dopełnienia kompozycji, stała w tym oknie i odprowadzała ich wzrokiem.

Zdązał, zawsze zdązał na czas. Stał tam i machał do nas z całą swoją historią, z tymi czterema talerzami, z tą listą zakupów, poza którą nigdy nie wykroczył, ze świętym i ze swoją rodziną, w której każdy odgrywał swoją rolę, konieczną dla dopełnienia kompozycji. Autobus wtaczał się na pętlę, pętla przetaczała się za jego oknami, a my, przyklepieni do szyb, śmialiśmy się i wrzeszczeli, machając, pokazując jakieś obraźliwe gesty i odjeżdżając w końcu. A świat toczył się dalej.

PS.

Myślałem o tym ostatnio dużo, nie dawało mi to spokoju. I choć nie miałem dokąd już jechać, bo ja już nie mam dokąd jeździć, wsiadłem do tego autobusu i przetoczyłem się wraz z nim po starych wioskach, a za oknami potoczyły się krajobrazy niewidziane już dobrych kilkanaście lat. W końcu pojawiła się i owa pętla, na którą wciąż brakuje asfaltu, na której wciąż panuje błoto.

Nikt na niej nie stał.

I myślę od tamtego czasu o historiach, które mogły się zdarzyć, o których nie wiem nic. Myślę sobie, że musiał w końcu wsiąść w któryś z tych autobusów, w końcu spotkać się twarzą w twarz z tą wielką zagadką. I odjechał i słońce toczyło się po niebie i świat kręcił się dalej.

Ale mogło być też inaczej. Może z matką było źle, może musiał wziąć ją pod rękę, i prowadzeni przez cichego świętego, oboje wsiadli w ten autobus, a potem krążyli po mieście, którego nie znali. W tym zakończeniu świat też nie przestaje się kręcić. Symetria całej opowieści, jej kompozycja zgadza się z obydwoma zakończeniami, w których wsiada i odjeżdża. Szczęśliwy albo nieszczęśliwy. Obroty niebieskie mogą spokojnie trwać dalej.

PAWEŁ MARCISZEWSKI



Grafika Katarzyna Gościńiewicz



### Wszędzie mewy

Miasto nad morzem, którego nie znam.  
Pokój obsrany przez mewy.

Mieszkam tu z nią od miesiąca, od zawsze,  
w domu, którego nie znam.  
Rozmawiam z nią w niezrozumiałym języku,  
rozmawiamy o rzeczach małych.

Jest środa, wieczór, pada deszcz.  
W telewizji nic, ona wstaje, wychodzi.  
Ja wstaję, chodzę, w telewizji nic.  
Ona wraca, pije whisky bez lodu i milczy.

To jest milczący dom, którego nie znam.  
Pokój z widokiem obsranym przez mewy.

### Weneckie lustro

Dni są płaskie i gładkie jak skóra  
twojej torebki by Hilde Palladino.

W obłokach klimatyzacji płyniesz przez miasto  
z dala od jego zgiełku, zapachu i wilgoci,  
z których wyrosłaś.

Nocny wiatr od rzeki nie rozwiewa ci już włosów  
i nie czujesz na wargach niczego  
poza cierpkim smakiem poranka.

Wspomnienia upychasz na półce  
ukrytej za łazienkowym lustrem.

W głębi nadal wierzysz, że dobre duchy  
przylatują nawet tutaj,  
na czterdzieste czwarte piętro.

### A tutaj już ciemno

Uważność jest taka subtelna i nietrwała.  
Ulotność rysunków na szybie.

Przywołujesz je ciepłym oddechem, zanim zginą  
w dworcowych przeciągach.  
W podróżach jest tajemnica i oczywistość celu.

Na północy zapowiadają opady śniegu.  
Dobrze, że zabrałaś czapkę, tak ładnie w niej wyglądasz.

Twoja strona łóżka śpi nietknięta.  
Na dobranoc drobne czułości messenger, żółte pocałunki.

Jutro opowiesz mi wszystko.  
Spokój i powtarzalność oddechu.

To będzie pojutrze, znowu pomyliłem dni.

### Czułość

Znowu maj, pada śnieg, albo marzec,  
miesiące poplątane.  
Za oknem białe ptaki na tle betonu.

Ósma piętnaście.  
Gdzieś na drugim końcu miasta  
pracujesz już na swoją bezsenność.

Zapomniana czułość dłoni o poranku,  
muszę obciąć paznokcie.  
Kawa ma smak żółtej filiżanki.

Przekręcam klucz dwa razy,  
ranię butami ostatni śnieg.  
Przedemną maj albo marzec.

### Miłego weekendu

Walizka ma rozmiar podręczny i kółka rozgadane.  
Ładowarka, bilet i prezenty z kiosku.  
Ekologiczna kawa w biegu,  
ostatnie plotki, tam nadal nie ma zasięgu.

Na drugim końcu umyte okna i rosół nabiera mocy.  
Dziecinny pokój. Misiek powiernik,  
futerko ma wyblakłe jak oczy matki.  
Dni przy oknie, świat z koronek.

Czterdzieści osiem godzin skradzione z biznesplanu,  
ojciec się w nim nie zmieścił  
a mieliście razem pojechać nad morze.  
Teraz wystarczą kwiaty raz na miesiąc.

Z powrotem jest łatwiej, odwijanie pamięci.  
Peron, kilka gestów, walizka napęczniała od troski,  
most nad rzeką gdzie pierwsze pocałunki.  
Ostatni las, włączone zagłuszanie.

### U

Chciałbym kiedyś oglądać liście od góry,  
nie białe brzuchy patroszone wiatrem.  
Drzewa stojące plecami do wczoraj,  
pełne uporu, który przetrwał wojny.

Na ziemi oparcie w czarnym kolorze  
nie jest tak pewne, jak się wydaje.  
Pachnące trawą i robakami, które  
wyglądają trochę jak martwe piksele.

Kobieta w metrze ma czytnik Kindle  
w obwolucie takiej jak moja.  
A może to zwyczajnie mój a w środku,  
niedokończone embriony tekstów.

Teraz rozpełzną się jak tabletki po żyłach  
w ciemnościach i gąszczu tuneli,  
żeby za chwile wybuchnąć gwarem  
i spoconym tłumem na peronie metra.

Chcę teraz oglądać liście od góry  
nie białe brzuchy wypełnione smrodem.  
Podziemia, chcę teraz oglądać,  
oglądać...

Michał Frąckiewicz

# PERYFERIA PONOWOCZESNOŚCI

W książce „Wyspa” Jamesa G. Ballarda, główny bohater trafia na skrawek terenu, pomiędzy pasmami dróg szybkiego ruchu. Mknąc wiaduktem do pracy, nigdy nie zwróciłby uwagi na pozbawiony nazwy świat, do którego został wyrzucony. Nie mogąc wydostać się z betonowej pułapki, zostaje uwięziony na rubieżach cywilizacji.

Poprzemysłowe pogranicza i jałowe ugory na przedmieściach trwają zawieszony w czasie. Dla większości mieszkańców są białymi plamami na mapie, nieznanym terytorium, przez które co najwyżej przejeżdżają w dziwnej ciszy. Gdyby ktoś musiał wysiąść na tym jałowym pustkowiu, mógłby dojść do wniosku, że ta pozostawiona sama sobie przestrzeń, stała się jakby niezależna. Uwolniona od człowieka, została częściowo wchłonięta przez naturę, ale nadal nie jest jej częścią. Żyjąc własnym życiem, jest ziemią niczyją, drugim obiegiem miasta. Człowiek jest w niej obcy, musi ją na nowo eksplorować, czując irracjonalny lęk przed czymś, co mogło pojawić się pod jego nieobecność.

Technologia, na równi z naturą tworzy wykluczone strefy. Przekraczanie nieznanego, choćby to nieznanie leżało na peryferiach miasta, samo w sobie pobudza potrzebę człowieka do odkrywania i zdobywania. Krajobrazowi nie można przypisać określonego wieku, jest to skomplikowany układ cykli. Choć ludzie wyobrażają sobie czas jako ciągłą linię, w rzeczywistości istnieje wielka mozaika współistniejących, przeplatających się czasów. Przeszłość nawarstwia się w krajobrazie miejskim, a teraźniejszość jest jej zapisem.

Penetrując osiedlowe wysypiska, stragany ze stacjami i odmęty internetu natrafiamy na wszystkie te na wół legendarne przedmioty sprzed kilkunastu lat. Można zacząć zmyślać ich historię, choć będą one banalne niczym letnie popołudnie spędzone na betonowym podwórku. Na przykład podziurawione rakiety do badmintona, które w resztkach pastelowego lakieru odbijają odbłaski słońca w zenicie. Rakiety ze swoją wysmukłością i lekkością, przywodzą na myśl dynamikę lat 90, z jaką wyidealizowaną wizją sportu i wiecznych wakacji. O ile badminton to nowoczesni wczasowicze grający na plaży, to odklejone z jednej strony paletki do ping-ponga przywodzą raczej na myśl opuszczone przestrzenie wspólne, wielkich molochów PTK. Za oknem odległe zarysy gór, wieczorne słońce kładzie się na ścianach, wyblakłych mapach i pocztówkach. Ciszę przerywa tylko charakterystyczne uderzenie piłeczki.

Do nowoczesności wracamy, odnajdując zmieyty rulon z plakatem czerwonego Lamborghini, które jako symbol nieosiągalnego luksusu, zdołał czyjś pokój w bloku. Wyrzucone na pobocze, zgniecione napoje energetyczne symbolizują dynamikę nerwową naturę teraźniejszości. O gwałtowności współczesnej cywilizacji mówią ostre drobinki szkła zalegające na poboczach drogi, poszarpane kawałki urwanego zderzaka. Ktoś w niedzielne popołudnie śpieszył się do domu przed zmrokiem, nie wyrobił się na wirażu i uderzył w barierkę. Kierowca musiał tu stać o zachodzie słońca, w falach ciepłego powietrza zgarnianego przez mknące tiry, dzwoniąc po holowanie.

Jak przedmiot z innego wymiaru wygląda pudełko po grze Mastermind, sprzedawane wraz z worem rupieci, wysypany na krawężnik niedaleko placu Szembeka. Brzydki, brązowy prostokąt upstrzony otworami. Na okładce zawsze ta sama para obserwatorów z jakiegoś innego planu.

Niezwykle często można zobaczyć stare t-shirty firmy Fruit of the loom, noszone masowo w latach 90. Magiczna nazwa nie oddaje zgrzebnego charakteru koszulek, przywodząc na myśl jakiś tajemniczych, tytułowych tkaczy – „Die Weber” z dramatu Gerharda Hauptmanna, greckich tkaczy losu.

Peryferie istnieją poza globalnym panoptikonem sieci. Pozostają poza zasięgiem kamer, nie zostały skopiowane przez cyfrowy syntetyk rzeczywistości. Trzeba tam znaleźć się osobiście by zrozumieć ich naturę. Ruiny to przenicowanie miasta i wiwisekcja systemu a ich badanie to sekcja zwłok cywilizacji. W tym królestwie materii banalne przedmioty zostają

pozbawione sensu, znaczenia, wyzwolone od celowości, stają się artefaktami. Nagie szkielety budynków stoją obdarte z godności, ale i fałszywej fasady skrywającej materialistyczną naturę rzeczywistości. Jest to zwycięstwo maszyny. Maskę rzeczywistości opada, zmyty zostaje makijaż miasta, ukazuje się coś co na chwilę oszołomiony umysł może uznać za drugą stronę lustra, za wyjście z wirtualnej rzeczywistości. Jednak to nie wyrwa w matriksie, jedynie kolejna symulacja upadku, znak przypominający, że wszystkie budynki noszą w sobie zapowiedź ruiny.

Do nawiedzania ruin można też podejść jak do współczesnego zjawiska znanego niegdyś jako flaneur. Współczesny flaneur może być zmotoryzowany i przemierzać tajemniczą scenę miasta niczym bohater filmu Drive. Wędrowiec idzie pod prąd, zmienia swoją percepcję, wychodzi z roli przechodnia, przechodzi w tryb uważności. Odwiedzane miejsca wywołują w nim zakotwiczone stany, a on sam sięga po umiejętność głębszego spojrzenia, dostrzeżenia zmysłów. Zwracanie uwagi na pomijanie elementy krajobrazu, badanie flory porastającej obrzeża parkingów, kolekcjonowanie nieprzydatnych doświadczeń, bezcelowe klasyfikowanie miejsc i przedmiotów to elementy współczesnego flaneur. Urbex jest swojego rodzaju śledztwem przeprowadzanym w celu zrozumienia historycznych przemian. Ruiny, jako zaprzeczenie nowego ładu, są potrzebne, by zrozumieć proces modernizacji, mogą być odczytywane jako zapis stosunków społecznych, przemian ustrojowych i technologicznych. Można na nie jednak patrzeć bez kontekstu lub wymyślać alternatywne rzeczywistości, na przykład spekulując, jakby wyglądało miasto skłcone tylko z tego typu budynków lub zastanawiając się jak musi wyglądać życie w odległych miejscach lub alternatywnych wymiarach. Błądzenie po peryferiach jest aktem wyjścia poza ściśle określone strefy, poszukiwaniem perforacji rzeczywistości. Zmechanizowane miasto pozostawia jego użytkownikowi tylko wąskie pasaże a większość to strefy zakazane, biura, czyjeś domy, urzędy. Wchodząc do większości miejsc, staje się człowiek intruzem. Miasto jest komunikacyjnym taśmociągami, podzielonym na strefy dostępne dla wybranych, zależne od statusu, posiadania chipów, kluczy i wejściówek, obserwowane kamerami, strzeżone bramkami i czytnikami, obstawione stróżami i barierami. Wędrowiec wychodzi poza ten paradygmat i widzi miasto jako plac zabaw niczym uczestnik. Odkrywca wychodzi za dwuwymiarową teksturę nałożoną na fasadę ulic, dostaje się do tych niewymodelowanych miejsc, poza skrypt, odnajduje błędy i zacięcia upiększonej rzeczywistości.

Nie ma tam żadnych zabytków, pięknych widoków i ciekawych miejsc. Mimo to przekroczenie granicy pozwala znaleźć się w zupełnie innym świecie. Jesteśmy nadal w mieście, ale obserwujemy je z dystansu, jesteśmy po jego drugiej stronie, widzimy miasto za jego fasadą. Tutaj nie jest przykryte farbą i styropianem, nie jest oklejone billboardami, nie ma tu blichtru i migających świateł. Zdegradowane miasto jest surowe, milknie tam kakofonia metropolii, rozpywa się szum ulicy, słychać każdy chrzęst na betonowym podłożu. Wejście w strefę jest jak eksploracja obcego miejsca. Będąc tam, zmieniamy na chwilę perspektywę i jest to perspektywa szabrownika i intruza. Punktami orientacyjnymi stają się pordzewiała brama, przechylona latarnia lub wysprejowany wagon. Na pustkowiu nasiąkamy nim w jakiś sposób. Pojawia się nostalgia, wyobcowanie i trudne do określenia przeczucie obecności czegoś więcej. Stan przejściowy, ta efemeryda powstała po upadku poprzedniej epoki, nowoczesna ruina wydaje się przez moment przejściem do czasu poza czasem. Surrealistyczne pustkowia, pozbawione znaczeń i wyrazistych cech pozostawiają wiele miejsca wyobraźni. Jednocześnie dziwaczność tego otoczenia wyrwa z trybu myślenia, błądzenia po przeszłości i wybiegania w przyszłość, przykuwa zmysły i osadza nas w teraźniejszości. Dlatego obcowanie z pograniczem może być w jakiś sposób oczyszczając jak wyprawa na pustynię.

Rdzawa pręga torów jak w obrazach Hoppera oddcina jałową tęgę od budynków, geometryczne ciągi biegną w dal niczym w obrazach Chirico. Dziwne struktury mającą w oddali, bezpańskie zakamarki, porośnięte topuchami i chwastami więcej nudą, ale i wabią swoimi mikroskopijnymi światłami. Nie wypetnione klocki pustostanów stoją wyobcowane, podobne do niepokojących sześcianów minimalistów. Pomiedzy nimi zdaje się elektryzować jakaś energia. Przestrzeń wsypa w siebie zapachy i dźwięki, wypluwa je odmienione, nacechowane innymi barwami i skojarzeniami. Wyblakła od słońca, biała ściana urasta do roli miejskiego artefaktu.

Tam, gdzie pozdzierane plakaty odstawiają afisze sprzed lat, w miejscach, gdzie tkanka miasta złuszczyła się, pojawiają się starsze warstwy miasta. Trudno jest zgadnąć, jak daleko można by dokopać się i co odkryć za każdą ścianą. W mieście nakładają się na siebie nie tylko przemijające warstwy czasowe, owa kronika miasta, ale jeszcze inne, niestabilne, ciągle znajdujące się w ruchu wymiary. Miasto jest „Zoną” Strugackich, ze swoimi anomaliami, pułapkami, zmieniającymi się ścieżkami, artefaktami. Różne środowiska współgęstują ze sobą, inne wykwitają całkiem niespodziewanie lub pojawiają się o określonych porach. Niektóre przejścia prowadzą ku światłowi sukcesów, inne ku wymiarom najeżonym pułapkami, jeszcze inne ku złudnym labiryntom, z których nie ma już powrotu. Czasami wystarczy przejść przez jakieś drzwi, by znaleźć się na innym poziomie rzeczywistości. Niektóre wejścia prowadzą jednak nieodwracalnie w pustkę. Zanurzenie się w nią, choć wydaje się promieniować przyciągającymi mirażami, na zawsze pozostawia swoje niezmywalne piętno.

Opuszczone hale przemysłowe, torowiska, zaplecza hipermarketów, pustki pod wiaduktem, zdziczałe działki, postindustrialne ruiny, nieużywane parkingi, to osobliwe niemiejca, które egzystują na skraju świadomości mieszkańców. Owe anonimowe fragmenty krajobrazu są wyrwą w strukturze miasta i przeciwieństwem metropolii. Ludzie nie mają powodu, by się tam zapuszczać jednak przemierzając odludzia wielkich miast, czasami można natrafić na innych wędrowców.

Obrzeża cywilizacji, należą też do wielkomiejskiej mitologii, jako sentymentalne miejsce na pograniczu rzeczywistości i fikcji. „Melancholia przedmieścia”, to trudne do zidentyfikowania wrażenie, które można poczuć, oddalając się od ruchliwej arterii, opuszczając miasto, oglądając malarsko Hoppera czy Chirico. Jest w nim coś ze zniecierpliwienia i gorączki podróży. Twardy grunt rzeczywistości, ustępuje niespójnej strukturze z pogranicza snu. Tylko czas zdaje się wygładzać, pozbawiony pulsowania świateł i arytmii ruchu drogowego. Fantasmagoryczny krajobraz pustki i zniszczenia jest paradoksalnie kojący i pozbawiony nadmiaru informacyjnych impulsów. Jednak ta depriwacja zmysłów po jakimś czasie staje się trudna do zniesienia. Poza miastem byłaby na miejscu, tutaj powoduje dysonans i lęk.

Czasami peryferia budzą też uśmiech zakłopotania, jakbyśmy mówili o czymś wstydlwym. Tymczasowość tego miejsca potęguje dyskomfort. Pojawia się nieco naciągane odczucie, że oto chodzimy po ruinach jakiej kultury, która zapadła się pod własnym ciężarem. Jak pisze specjalistka od polskiej widmowości, Olga Drenda, jest to „entropia na gruzach utopii.”

Gdy już odwracamy się by zawrócić, wkrada się jakieś podskórne, ledwo uchwytnie poczucie natchnienia. Ciężko powiedzieć, z czego się bierze ten atawistyczny dreszcz, który towarzyszy obcowaniu z pustką i ruinami. Być może jest dalekim krewnym perwersyjnej wzniósłości, która towarzyszy groźnej burzy. Czasami pojawia się wrażenie déjà vu. Gdzieś, w tej niedokończony, porzuconej przestrzeni, czai się wspomnienie jakiejś niezrealizowanej, wielkiej epoki z naszego własnego życia. Ta irracjonalna projekcja wyobraźni, zostanie zgłuszona przez mknącą autostradą codziennych bodźców.

MICHAŁ FRĄCKIEWICZ

## Martyna Franke

### Chlor

chlor odkaził moje  
pieprzyki, rany, znamiona,  
blizny, piegi, skazy,  
pory skóry, odparzenia,  
zmarszczki

chciałabym żeby  
spiętrzył wielkie fale  
rozmoczył białka oczu  
rozkorzenił zęby  
wyhodował na języku  
moim perłę  
- dziecko nowoczesnej wody

a potem niech  
przykładają tę czaszkę  
do ucha  
i słuchają jak szumi

### Jeżeli ból jest solą

patrzę na swoje rany  
przez taflę wody

widzę je jak w kostiumach kąpielowych  
pływają dumne i kształtne

nużają się rozmokłe  
mają rybie skrzelą  
a ja oddycham jak wcześniej

ciągają wszystkie moje małżowiny  
za ręce na dno  
a z tej perspektywy nic się nie zmienia

jeżeli ból jest solą  
leżę teraz w wannie  
pełnej oceanu

### Autoprezentacja

mam strupy pod rajstopami  
robaczywe kolana  
skórę z chropu  
trąd różowaty  
(a nie, miało być różowy)  
kosmos między skórą  
a krwią

(dobrze jest czasem  
uświadomić sobie  
jaki dotyk ma papier origami  
jaki krzyk ma  
Przemijanie)

## Konrad Gromek



### Pożoga

naszych miast już nie ma, waszych miast już  
nie ma, nie ma dokąd słać listów pożegnalnych

nie ma naszych miast, miejsc, nas już nie ma  
jest wystygła kawa wypita za późno  
są zdjęcia odzyskane z pożaru  
a na zdjęciach nikt kogo byś poznawał  
w pożarze nic czego byś żałował

naszych miast już nie ma, nasze miejsca  
w spalonych zniczach i zmoczonych listach,  
których nikt nie wystął

### niebomby

już nigdy nie będziemy ginąć od bomb  
dziadek pamięta, jak jakiś gówniarz mierzył do niego z pistoletu  
młody popłakał się, dziadek go pocieszał

obaj mieli niebieskie oczy i czerwoną krew  
obaj mieli dwie nogi, dwie ręce, dwoje oczu  
ale tylko jeden dostał amunicję

już nigdy nie będziemy ginąć od bomb  
będziemy skakać z mostów i pod autobusu  
byle nie musieć strzelać

### lej po bombie

czasem zdarzają się nowości, zmienia się barman podający wódkę  
zmienia się wódka, zawsze na gorszą, zmieniają się stany  
przed i po spożyciu; człowiek na takie zmiany cieszył się,  
może raczej coś w człowieku się cieszyło  
czekało tylko, aż znajdzie taką nowość  
i kiedy już znalazło, wybuchło w euforii

cała heca polega na tym, że siła eksplozji  
zdaje się powoli zabijać tę radość

### talent shows

do czego masz talent? spytali mnie kiedyś,  
ja odpowiedziałem, że do niczego  
dociekali, a ja szedłem w zaparte, bo

bez talentu do zarabiania pieniędzy i utrzymywania ich w kieszeni  
należy nadrabiać sprytem,  
więc przesiaduję przy śmietnikach i czekam,  
żeby wyszarpnąć życiu co smaczniejsze kąski  
dlatego tak często zmieniam pracę i kolor włosów  
żebym się nie rozleniwiał  
żeby inni się nie przyzwyczaili, przyzwyczajenia są najgorsze  
a  
z talentem do bycia pijanym i opowiadania o tym,  
jak źle się po tym czuję,  
nie nadaję się do tych licznych talent shows,  
gdzie każdemu umarli rodzice i wszystkim sponęty domy  
mi sponęto tylko kilkaset wierszy, które  
dwa lata po powstaniu już nie były wierszami,  
a w kwestii śmierci tracę tylko nadzieję

### słaby

znaleziono mnie, gdy spałem przy śmietniku  
byłem nagi, podobno nie chciałem gadać,  
bo i o czym, skoro ziemia kręci się dalej,  
papież żyje i ludzie niestety też

trzy zera na alkamacie sponęły intruzów  
byłem nagi, bo powiedziałem im,  
że się boję; zasnąłem, bo byłem słaby  
słabszy od pierwszych wiosennych kwiatów  
narodziny

z własnych narodzin pamiętała płacz matki,  
sam też płakał, bo przeczuwał co się święci  
ojciec nagrywał wszystko starą kamerą, do dziś  
trzyma kasetę w pudełku po butach;  
dam sobie uciąć ręce, że cięży na niej kłątwa

chciał wszystkiego dopilnować  
zrobili ze szpitala cyrk - mówił, sam przyjechał w mundurze  
nauczył pielęgniarce musztry, nawet nie wiecie  
jak śmiesznie wygląda położna z karabinem

po wszystkim odciął płuć od mamy i oddał w ręce pani w kitlu

wytarła dziecko ręcznikiem  
i zamknęła w klatce.

Konrad Gromek (ur. 1996) - dotychczas bez sukcesów wydawniczych. Od czterech lat mieszkam w Warszawie, na początku dla studiów, potem z przyzwyczajenia.

Anna Milewska

### Gazele.

Gazele myśli  
i Ślimaki zdarzeń  
w wyścigu do wodopoju  
na Gwałt.  
Jestem tam,  
ale jeszcze nie zdążyłam  
Dotrzeć.

### Kobieta.

(przywołał mnie tam Bóg,  
stanęłam).  
Aksamit gładkiej moreli  
dał jej  
słońce – twój wszechświat do pocałunków,  
- pieszczot jabłoni uginających się  
pod ciężarem macierzyństwa.

Sopran pobożnych konwalii  
tchnął w jej usta życie,  
od dziś  
nabrzmiące i spierzchnięte.  
Wiatr otulił ją trawą,  
której tajemnicy już nigdy nie ogarniesz,  
ani ciałem, ani jego  
zwątpieniem.

(przywołał mnie tak Bóg,  
stanęłam).

Do tańca z nią ustawiły się żywioty  
i każdy z nich  
posmakował kawałka jej skóry,  
zostawiając na skórze smak  
języka.

I wreszcie pozwolili jej usiąść.  
I usiadł Anioł  
(niedługo).

Na skale było  
stromo i ślisko.  
ja  
rozumiem skałę,  
ona też była kiedyś  
Kobietą.

### Dzień ósmy.

dnia ósmego  
stworzył Bóg  
zamknięte drzwi  
i brudnego człowieka  
za drzwiami  
wtedy dopiero powstał świat  
tak naprawdę

za plecami naszych małych  
światów – nieczynnych budek  
telefonicznych  
chowa się ukradkiem  
dzień ósmy  
nieubłagany  
i prosty aż do bólu

### Rysopis.

jest daleko  
może myśli, że tu na ziemi  
jest dobrze,  
z tych wysokości krew  
może być przecież podobna  
do soku malinowego  
tato przy kolacji  
i ciepłe spojrzenie  
dymiącej kukurydzy

może przeskakuje po nas  
jak po kanałach telewizji  
omija dramaty i horrory

człowiek na niższej półce miłości, ale  
wybrany,  
by tam być

ze zbyt mrocznych głębokości  
wołam ku Tobie  
Panie  
zrozum

### Koniec świata.

Zegarek tyka jak zwykle,  
jest piąta,  
i czajnik gwizdże jak zwykle,  
a herbata się parzy równo 3 minuty i troszkę.

Zwykle o drugiej zasypiam,  
choć wiem, że to niezdrowo  
i zwykle, kiedy wstaję  
jestem bardzo spóźniona  
na jakiś koniec świata, który ogłoszono o brzasku.

Końce świata zdarzają się  
co kilka minut,  
a niektórych dotykają nawet  
co sekundę.

i dlatego muszę szybko się obudzić  
mojego końca świata  
szkoda byłoby przegapić i  
dzisiaj

### Samobójcy.

można śmierć wytłumaczyć  
nagłą niedyspozycją  
niezrozumieniem regulaminu życia  
przypadkiem pozorów  
niewypitą kawą  
łatwo  
potem usiąść w fotelu  
zasnąć spokojnie  
czekać na wschód  
i zachód i kolejne drinki  
można  
nie być  
i być  
w słońcu przy obiedzie na randce w autobusie  
łatwo  
potem  
odplakać zasłużoną karę  
i dalej  
żyć



### Po.

moja głowa  
jest cięższa  
od powiek faceta,  
który po skończonej robocie  
wskakuje do telewizora  
i popija żonę piwem

ciężkie  
ciężkie  
dusza i ciało  
to pocieszające,  
że nie każdy w Niebie  
musi być  
aniołem

### Środa.

Wiemy  
że jutro jest środa  
a nie umiemy powiedzieć  
czy dziś  
jesteśmy szczęśliwi

świat.  
To jest Ziemia  
ta pełna niechcianych dziewczynek bez posagu  
i chłopców którym utopiono narzeczone

a kiedyś świat stanął przed nami otworem  
ale szybko zakrztusił się  
Przeciskamy się w jego przetyku  
bez pardonu  
i tak dużo nas, i tacy jesteśmy głośni  
a z ran sączy się gęsta ropa  
paliwo, na którym będziemy jeszcze zarabiać

i gdzie nie spojrzę puszki Pandory  
wybuchają pod wpływem ciśnienia.  
Tracimy grunt pod nogami.  
Staczymy się,  
tak szybko,  
a przecież mamy  
tak  
wciąż  
i tak bardzo  
pod górę.

Kotyszę się lekko, drzę pod naporem lodowatych kropli, tak mi zimno... Wiatr śpieszy im na ratunek, wzmaga się, nie mogę uciec od chłodu. Jestem ociężała, deszcz smaga mnie mocno. Cicho szumię. Roztaczam wokół przyjemną aurę, spacerowicze lubią siadać pod moimi liśćmi. Pachną one bez troską – chodź, zapraszam, siądź pod ich zadaszaniem i zapomnij o wszystkim!

Śłońce lubi mnie - od czasu do czasu - pięścić płomiennymi pocałunkami. Najpierw naraz oblewa strumieniem ciepłego światła, potem koncentruje się na każdym liście z osobna, muskając je w typowy dla siebie, wyjątkowo czuły sposób. Bywa, że tnie je ostrymi, zamaszczymi razami, a ma to miejsce głównie w lecie, gdy góruje w zenicie.

Szumię nie o tym, było czy jest, lecz o tym, co może być... Wiatr zakłóca moją przemowę, unosi się cały czas nade mną, postukuje zimnym palcem o gałęzie.

Jestem drzewem, które nie zostało nazwane. Jestem elementem późnowiosennego krajobrazu. Mogę stanowić natchnienie dla artysty-malarza, który swoim pędzlem przeniesie mnie na płaszczyznę kartki – potem będę dzielić los samego artysty: tak więc mogę stać się sławne, a także zapomniane. Czekam, aż wiatr wzmoże się do tego stopnia, że całkowicie zagłuszy moje wołanie...

Płynę, przebijając się przez masy powietrza skoncentrowane na niebieskich przestrzeniach... Nie sie mnie niebywała lekkość; sam jestem porywisty, lecz dla mnie nie istnieją przeszkody. Jestem ruchem i w ruchu. Zabieram ze sobą wspomnienia drzew, rozpraszam subtelną grę słonecznych promieni, wydmuchuję z doby czas – jestem wieczny. Towarzyszę wszystkim umierającym w ich ostatnich chwilach, unoszę żal, rozsypuję ich prochy ponad ziemią, tańczę nad głowami żałobników – ogołconych gałęzi pozbawionych liści, rzęsy wodnej okrywającej zastygłą w bezruchu sadzawkę. Nie dam się złapać w sieć określeń – trwam bezustannie, lecz mogę nagle ulecieć w bezkres nieba. Ekspresyjna natura chroni mnie przed tęsknotą za minionym. Jestem wiatrem – wiecznym pędem ku nowemu.

Patrzę na wszystko z wysoka. Opowiadam drzewom, rozsypującym się wokół od stuleci, o wodzie, która obmywa mnie regularnie i próbuje wchłonąć przeciwległą taflę nieba, bo wydaje jej się, że jest w stanie... Moje zbocza się skaliste. Nachylam się w stronę przechodniów, którzy pojawiają się tutaj latem, i chcę ich przygarnąć do siebie piaszczystymi ramionami, lecz oni odmawiają – balansują przez moment niepewnie na krawędzi, po czym oddalają się, wyraźnie spłoszeni nieregularnością moich kształtów. Bardziej przyciąga ich uwagę niezmaczona woda, której rzucam nienawistne spojrzenie z góry. Jestem przyjeziornym klifem – zawsze wysuwam się na pierwszy plan.

Stoję w miejscu od lat, choć mam płynną strukturę. Potykam wszystko, co znajdzie się w moim zasięgu – odbijam w sobie widoki, które rozpościerają się przede mną i dzielę się nimi z innymi. Zajrzyj w moje odmęty, a zobaczysz, posiadaczką jakich skarbów jestem... Sama dla siebie stanowię przestrzeń, otulam falą mokrej czułości ryby czerpiące ze mnie życie. W słońcu błyszczę się na całej powierzchni. Późną nocą, zmęczona nieustannym trwaniem w centrum tutejszego krajobrazu, jestem usypiana przez drzewa szumiące w oddali kotysankę o szemrzącym strumyku... Ach, jakże chciałabym móc bieć wartko w stronę rzeki i ujść do niej, potem gnać wraz z prądem, nie zatrzymując się, nie bacząc na nic, poczuć wolność, być wolnością... Teraz jestem tylko jeziorną wodą, stworzoną po to, by karmić ludzi rozkoszami podziwiania.

Jestem najjaśniejszym obiektem późnowiosennego krajobrazu. Wydobywam z niego całe piękno, przefiltrowuję swoim światłem powietrze. Okrywam świat blaskiem, pozostawiam swój ślad na płatkach kwiatów. Moje tchnienie pobudza do życia. Lubię przymykać spacerowiczom oczy, naigrywać się z ich wykrzywionych twarzy skąpanych w strumieniu pochodzącej ode mnie jasności. Oblewam świat szczęściem, moja tarcza przecina horyzont, gdy zbytnio

cięży mu ciemność. Dodaję sił liściom strudzonym ulewą, pieszcząc je subtelnym blaskiem, pozwalam na chwilę wchłonąć się wodzie, nasycam ją ciepłem i lśnieniem. Moje panowanie nad krajobrazem jest niepodzielne i niepodważalne. Jestem słońcem – esencją życia. Daję światu spełnienie.

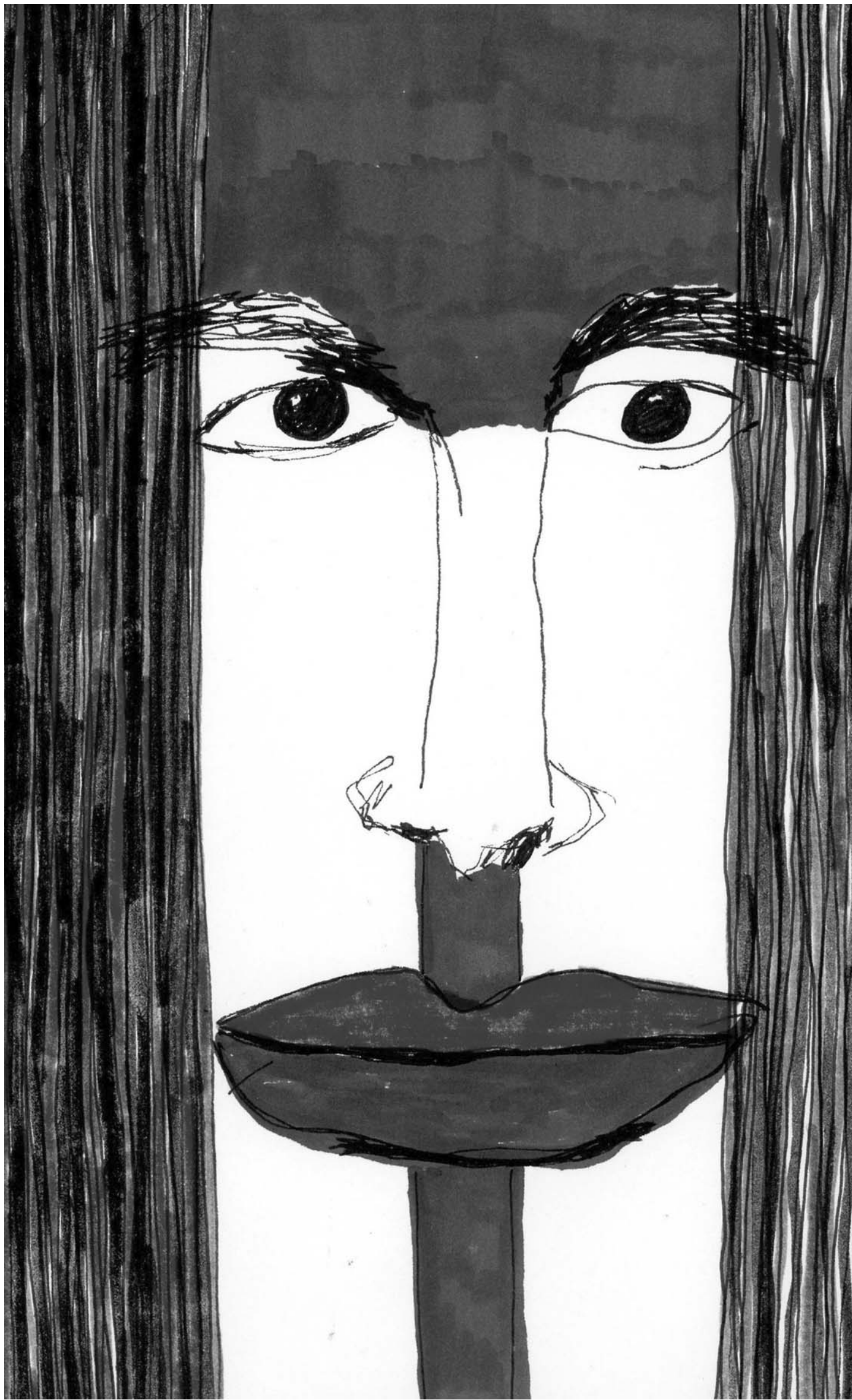
Zjawiam się zniemacka. Rozlewam wokół ciemność – ona pełnie przez świat coraz szybciej, porywa ze sobą kształty i blaski. Wysnuwam z czerni gwiazdy – malutkie punkciki świetlne na tle tej ogromnej pustki,

jaką zdają się raczyć krajobraz. Obdzielam ciszą przestrzeń i przepędzam słońce – zbyt nachalnie świeci. Zamykam oczy spacerowiczom, wcześniej oddalam ich do domów, smagając chłodem. Rozlepiam na niebie księżyc – bladego strażnika. Będzie pilnował drzew, by szumiały spokojniej, wody, by odbijała jedynie jego groźne spojrzenie, a także słońca, by regenerowało siły przed kolejnym dniem.

Jestem nocą – opuszczam na krajobraz ciemną kotarę.

KATARZYNA BUCZYŃSKA

Grafika Katarzyna Gościńiewicz



Andriej Sien-Sieńkow

## DZIWOŁĄGI Z CYRKU. SPEKULACJE

Dziwołagi przypominające sptawiki, podrygujące na falach mokrego morza trocin.

Ich jedynym celem jest wskazanie miejsca położenia sieci, opuszczonej na dno ziemi.

1.

Maks i Mimi, zrosnięte rodzeństwo –  
dwadzieścia lat temu  
ostrożnie wydobyte z kobiety  
syjamskie słoiczki  
ludzkiego jogurtu  
tak jak i wszyscy  
bezczelnie uprawiający w sobie  
łyżeczki do rozmiaru boga

2.

Anna, kobieta z brodą:  
raz na pół roku goli brodę  
żeby następna wyrosła gęstsza  
a przy tym zawsze wspomina swoją pierwszą rzadką bródkę  
tak ją polubiła  
że traktowała ją  
jak żywą istotę  
nawet nadała jej imię anna

tak zazwyczaj młodzi muzycy  
zapisując swój pierwszy album  
nadają mu tytuł  
z nazwą swojej grupy

3.

Günther, człowiek-ryba:  
łuski  
pokrywające jego skórę –  
zgrzybiałe „żółte strony”  
z numerami telefonów  
których połączeniami  
nie nadąża zachłystywać się  
podczas  
nieprzemakalnego przedstawienia

4.  
Stefan, człowiek-tatuaż –  
ptak nielot  
z wrosniętymi w ciało  
witkami klatki piersiowej

tylko wtedy  
kiedy ptak zaczyna częściej oddychać  
klatka zapada się w głąb

## PRAWOSŁAWIE: EFEKT PLACEBO

Można uwierzyć, że widzisz kapelusza, ale jeśli go naprawdę widzisz, jaki ma to wtedy sens? Żeby to miało sens, musisz widzieć, że go nie ma.

OCTAVE MANNONI

wyznaczona poczwarka antychrysta:  
przyczepiona do furażerki  
nieszkodliwa żołnierska gwiazdka  
o podwyższonej ruchliwości  
odwrotnej  
wydawało by się niefunkcjonalnej  
strony

wyznaczone miejsce spotkania chrystusa i antychrysta:  
nieco chropowata na brzegach  
ale wystarczająco wygodna  
dziurka  
utworzona przez wyrwaną z furażerki  
gwiazdkę

## CZTERY KĄTY PUDEŁKA Z MONACHELLO, SPREZENTOWANEGO Z WŁOCH NA NOWY ROK

Dla Massimo

W okolicach Turynu (3) żyje monachello, malutkie, ale niewiarygodnie grube stworzenie. Jest to drobny, nie bardzo zły bies, lubiący sprawiać ludziom małe przykrości. Monachello rzuca kamieniami, rozbija naczynia (2), przewraca nocniki, stuka w ściany, zapycha dziurki od klucza matymi patyczkami. Szczególnie lubi blondynki (1), którym odcina warkocze.

Monachello znajduje się w ciągłym ruchu. Można go zatrzymać tylko w jeden sposób – narzucić durszlak. Monachello zaczyna liczyć dziurki, a ponieważ arytmetyka nie jest jego mocną stroną, wciąż myli się w obliczeniach i na te zadanie poświęca kilka godzin względnego bezruchu.

W nozdrzach nosi kolczyk (4), na którym na wewnętrznej stronie jest napisane mi muovo, minciampo, mi muovo piu veloce („poruszam się, potykam się, poruszam się szybciej”).

Nosi monachello habit i czapeczkę błazna, bez której nie może żyć. Ten, kto odbierze mu czapeczkę, staje się jego panem.

Jego najbliższy krewny, monachello sycylijski, posiada nie jedną, a całych siedem czapeczek. Wszystkie są zielone, ale w różnych odcieniach. Jeżeli chociaż jedna z nich przepadnie bez śladu, monachello pisana jest śmierć.

1)

biała,  
dopiero co otwarta  
linia moskiewskiego metro  
jest podobna do  
antycznej niewiasty,  
delikatnie zmiażdżonej  
przez jakiegoś niezbyt dużego  
ssaka

2)

kiedy mistrz  
ma jeszcze do wymyślenia  
naczynie,  
musi koniecznie  
wyobrazić sobie to straszne miejsce  
na ludzkim ciele,  
służące do dotykania

3)

około stu kilometrów na wschód od Turynu  
znajduje się miasteczko o tej samej nazwie,  
które jest jego dokładną zmniejszoną kopią  
(mają tam swój miniaturowy całun  
i nawet własny „Juventus”,  
grający w drugiej lidze włoskiej)

nazwę miasta pisze się z małej litery

4)

kóleczo z dymu papierosowego  
niespostrzeżenie  
cofa się  
i wkłada się  
po kolei  
na wszystkie palce,  
nadłamując każdy,  
na którym mu  
dobrze

## ZAKUP BILETÓW DO TURCJI

W latach 70 minionego wieku tureckie władze zabroniły wspinaczki na górę Ararat. **W Turcji góry nie powinny mieć jaskiń. Jeśli się one niespodziewanie tworzą – winna góra pozbawiana jest „wszystkich przywilejów względem morza.”** Na wysokości dwóch tysięcy metrów dalszą drogę przegradzają żołnierze jednostki specjalnej. Jest ona formowana z Turków, którzy przeszli na Chrześcijaństwo. **Żołnierze nie mają broni. O tym, jak zatrzymują przybywających do zakazanej strefy, po powrocie opowiadają po nocach swoim ukochanym.**

Szczyt Araratu ogłoszono strefą zamkniętą z powodu niezliczonych śmiertelnych wypadków alpinistów, szukających szczątków Arki Noego. **Noe i ptak patrzą sobie w oczy. Gołąb dawno zrozumiał wszystko i nie obwinia Noego. Wie, że donikąd nie polecą, żeby nie daj bóg wrócił.**

Wszystko zaczęło się od informacji rosyjskiego pilota Roskowickiego, który przelatując nad szczytem góry, zobaczył to, co później zostało opisane przez niego w raporcie jako „arka”. Zdarzyło się to w 1916 r. **Maleńki aeroplan wylatuje z ula. Matka nie odprowadza go wzrokiem. Udaje znudzoną.** Przed pół wiekiem francuski alpinista Fernand Navarra, wspinający się na Ararat, znalazł szczątki jakiegoś statku, zamrożonego w lodach górskiego jeziora. **Jeziora zawsze formują się na dole. Dlatego powoli wpełzają na górę.** Datowanie metodą radiowęglową wyciętego przez niego kawałka poszycia pokazało, że wiek konstrukcji ma około pięć tysięcy lat.

Badając rysunki arki, zrobione ręką Navarry, inny Francuz, fizjolog Pierre Bennet, odnotował zadziwiające podobieństwo statku do kształtu „religijnego mięśnia” - musculus oculomotorius recti. Mięsień, unoszący gałkę oczną do góry. **Oko okrążone jest taką liczbą mięśni, że znaleźć je nie zawsze jest łatwo. Tylko iza bezbłędnie znajduje je po słonym zapachu.**

## BONSAI: DZIENNIK GNOMA

**Eda-nuki:** usuwanie niepotrzebnych gałęzi.

W przeddzień wieczorem ogrodnik obejrzat hollywoodzki kryminał.

Dzisiaj daje roślinie prawo wyboru.

Sama musi zostawić jedyną gałąź.

Biologiczne prawo do jednej telefonicznej rozmowy.

**Bankan:** styl bonsai z dużą ilością wygięć – „pierścienie węża”.

Tłumaczenie nazwy stylu nie jest dokładne.

Dosłownie brzmi tak: „okropne ruchy w stawie łokciowym”.

Albo inna wersja: „miłosne pieszczoty zwichniętej ręki”.

**Eda-jin:** sztucznie wybielone gałęzie.

mitacja grudek śniegu, białych kamyków i zaciśniętych piąstek.

Kiedy piąstka jest nie do odróżnienia od oryginału – tylko wtedy bóg żałuje, że nie oblizuje nigdy cudzych palców.

**Meiboku:** starodawny bonsai.

Opisy niektórych bonsai w cesarskich kronikach zajmują nie mniej miejsca, niż opisy sławnych bitew.

O bonsai cesarza Mutshito bukszpanie napisano 214 haiku.

Po tym jak zmarniał ukochany bonsai cesarza Kamakury, w Kioto specjalnym Dekretem przez trzy dni zostało zakazane wszystko.

**Mimomo:** owocujący bonsai.

Rozmiary jego owoców są takie same, jak i u zwyczajnych drzew.

Bonsai niedługowieczny.

Jedna, jedyna śliwa przetamuje pień.

**Ishitsuki:** „wczepiony w skałę”.

Miniaturowe drzewo, rosnące w skale z korzeniami, wrosniętymi w kamień i dosięgającymi ziemi pod skałą.

Korzenie nie powinny przypominać ręki zrozpaczonego.

Kamień wszak w ogóle nie powinien być do niczego podobny.

**Kesho-tuschi:** srebrzysty piasek, wykorzystywany jako dekoracyjne podłoże.

Mówi się, że dawni mistrzowie bonsai wybrali te ziarenka piasku, bo są „podobne do oczu tego, który chce się wszystkim podobać”.

**Sabamiki:** bonsai z rozpołowionym pniem. „Nieostroźnie igrający z błyskawicą”.

Właśnie w ten sam sposób w szintoizmie przyjęto nazywać mnicha, którego dotknęła przepiękna samica matpy.

**Sankan:** potrójny pień. Trzy pnie, wyrastające z jednego korzenia.

Sankan można przetłumaczyć jako „rodzina niewysokich ludzi”.

To ten przypadek, kiedy ojciec i syn pojawiają się splotzeni jednocześnie.

Matka często myli mężczyzn za dnia. Nocą są w ogóle nie do odróżnienia.

**Sharimiki:** styl z obnażonym martwym drewnem.

Dopóki nie jest jeszcze całkiem martwe.

W nim jeszcze coś żyje, co wypęta na powierzchnię, kiedy chce jeść.

**Tocho-shi:** gałąź o przesadnej długości.

Mistrz bonsai rozpoznaje, że gałąź jest zbyt długa.

Cóż, nie ma prawa napisać dziś dobrego wiersza.

**Suiseki:** maleńkie kamienie, wykorzystywane w krajobrazie.

Zbiera się je wiosną u podnóża żyworodnej góry Fudzi. Dopóki świeże kamienie jeszcze pachną szarą krwią.

P. S.

Gromadzenie informacji na temat bonsai w Internecie zaprowadziło mnie przypadkiem na stronę mieszczącą się pod adresem: <http://www.shibumi.org/eoti.htm>. Pojawił się czarny napis na białym tle: „Dotarliście do Końca Internetu. Dziękujemy, że weszliście na ostatnią stronę. Dalej nie ma żadnych linków. Więcej niczego nie ma”.

## KOSMOS JAK POGODA

*w końcu kwietnia w mojej chłodnej moskwie na muzeum kosmonautyki spada z góry białe martwe laboratoryjne myszy nie podobne do siebie jak śnieżynki*

1.

na ostatnim przed lotem  
kardiogramie gagarina  
załamki R są nie do odróżnienia  
jak gdyby właśnie tu bóg które ma złe wyniki  
spisał od najzdolniejszego  
właściwe odpowiedzi  
podczas egzaminu z ludzkiego serca

2.

między wypchaną strielką i wypchaną bielką  
pierwszymi psami które powróciły żywe z kosmosu  
jest gęsta pustka składająca się z tych ludzi  
którzy zmuszają swoje dzieci  
myć ręce przed zabawą  
i po zabawie  
na cudzym żywym pianinie

3.

papierośnica z napisem praha:  
królowa zapalniczka  
w przeciwieństwie do innych zwykłych  
za każdym razem wydawała nowy odgłos  
nie była podobna do  
srebrnej mechanicznej lalki  
zawsze w jednej intonacji  
stając w płomieniach mama mama mama

4.

w tubkach z jedzeniem  
w ciasnych aluminiowych wyciągniętych łózekkach  
śpią odkarmione zwierzęta wołowina i wieprzowina  
śni im się że są kochane —  
zjada się je z pięknych talerzy

5.

na kosmicznych skafandrach małych  
identyfikatory z imionami wierny i dumny  
mali odważni mężczyźni  
pierwsze z naczelnych  
które sprawdziły że aniołów dla nich  
tam nie ma

wszystkie przywłaszczyli sobie ludzie

PRZEŁOŻYŁ TOMASZ PIERZCHAŁA

**Andriej Sien-Sieńkow**  
poeta, prozaik

(ur. 6 lipca 1968 w Tadżykistanie). Absolwent Instytutu Medycyny. Pracuje jako lekarz. Od 2002 r. mieszka w Moskwie. Laureat Festiwalu Turgieniewa krótkiej prozy (1998). Trzykrotnie nominowany do Nagrody im. Andrieja Biełego (2006, 2008, 2012). Jest autorem trzynastu tomików wierszy, poezji wizualnej i bajek dla dzieci. Jego wiersze tłumaczono na dwadzieścia pięć języków.

Tomiki poezji z wybranymi wierszami ukazały się w USA (nagroda amerykańskiego PEN Clubu za najlepszy przekład tomiku wierszy), Serbii, Włoszech oraz Holandii.

**Tomasz Pierzchała**

Poeta, tłumacz. Zajmuje się współczesną polską, rosyjską, ukraińską oraz anglojęzyczną poezją i małą prozą. Przekłady i wiersze w czasopiśmie i projektach literackich (m.in. Arterie, Inter-, Die Piard, Wizje, Helikopter, Kontent, Lyrikline, Four Centuries (Essen), Wozduch (Moskwa), Translit (Sankt Petersburg), Łystok (Kijów), Russkaja Poeticzieskaja Riecz (Czelabińsk), Kontekst (Charków). Działa między Świdnicą a Lwowem.

<https://tompierzchala.wordpress.com/>

## Jan Stanisław Smalewski

Pomorzanie, w tym miasto Gdańsk, na trwałe wpisały się do naszej historii także z powodu funkcjonowania w powojennej Polsce podziemia antykomunistycznego. Jako autor znanej zapewne mitologii literatury historycznej trylogii „Opowiedział mi Maks” opisałem szczegółowo w jednej z jej części („Aresztowanie, dapros, wojenny sąd” - wydanie z 1994 r. i wznowienia: „U boku Łupaszki” - z lat 2012 i 2014) wojenne dzieje partyzanckiej 5. Wileńskiej Brygady AK dowodzonej przez legendarnego Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”.

Sam dowódca tej Brygady nie jest jednak jej głównym bohaterem. Historię tę bowiem opowiada jego podwładny, dowódca 3 szwadronu konnego w tej Brygadzie – Antoni Rymsza „Maks”. To „Maks” charakteryzuje swojego dowódcę, z podziwem odnosząc się do jego zdolności dowódczych i cech charakteru, jakimi zasłynął nie tylko wśród podwładnych.

Widziana oczami „Maksa” i dzięki jego szczegółowym relacjom słownym zapisana wojenna historia tej niezwykłej Brygady, weszła na stałe do polskiej historiografii z dwóch powodów, że nie posiadała stałych baz, które ułatwiałyby Sowiecom napaść na nią i jej rozbrojenie, a także z powodu nazwy, jaka do niej przyłgnęła po bitwie rozegranej pod Radziszami Łozowymi z partyzantką sowiecką – „Brygada Śmierci”. To, że brygada – po rozbiściu przez Sowieców jej stałej bazy, jaką wcześniej utworzył pierwszy dowódca „Kmicic” - zrezygnowała ze stałego miejsca pobytu, było wyjątkową zasługą „Łupaszki”, który uznał, że można funkcjonować, a do tego zwyciężać, będąc ciągle w ruchu.

Bohater moich książek historycznych kpt. Antoni Rymsza „Maks” miał na tyle ciekawe życie, że z trudem opowiadane przez niego historie udało mi się zmieścić w trzech odrębnych książkach. W książce poświęconej działaniom wojennym 5. Brygady AK, następnie w opisującej lata powojennego ukrywania się wraz z żoną Aldoną – wcześniejszą łączniczką i sanitariuszką tej Brygady, i w trzeciej - o ponad 11-letnim pobycie w sowieckich tagrach na Kotymie.

Antoni Rymsza „Maks” był bohaterem wyjątkowym z wielu powodów. Zrodzony z ojca Polaka i matki Finki, uchodził do końca swej działalności partyzanckiej za wzór cnót żołnierskich i patriotyzmu. A ponadto, jako rodowity Kresowianin znał doskonale teren, na którym toczyła walki z podwójnym wrogiem jego Brygada. Znał języki: polski, rosyjski i niemiecki. A przede wszystkim był niezwykle cenionym strategiem, doskonałym żołnierzem i bardzo lubianym przez podwładnych dowódcą. Wśród ludności kresowej krążył nawet mit „Maksa” opiewający te liczne jego cechy osobowe.

„Maks” od początku swej partyzanckiej działalności był zaangażowany w tworzenie 5. Wileńskiej Brygady AK; organizował jej siatkę, gromadził broń, werbował ludzi. Po jej sformowaniu najpierw walczył u boku „Kmicica”, którego w sierpniu 1943. wraz z 80-ma innymi partyzantami zamordowali Sowieci, a po jego śmierci gromił zarówno Niemców, jak i Rosjan wraz z „Łupaszka”.

W przeciwieństwie do „Łupaszki” Rymsza po rozwiązaniu 11 listopada 1944 r. Armii Krajowej zrezygnował z dalszej walki i wraz ze świeżo poślubioną (w czerwcu) „Aldoną” (Aldoną Samotyją – Lenczewską) - łączniczką i sanitariuszką wojenną postanowili poświęcić swoje życie „wprawdzie w nie takiej Polsce o jaką walczyli”, ale ręką zwyciężonej w pokoju.

„Łupaszka” zwołał „Maksa” i „Aldonę” ze złożonej wcześniej przysięgi żołnierskiej. Rozumiał ich, ale sam – mając w świadomości fakt, iż jego żona Anna mogła nie przeżyć niemieckiej niewoli (od chwili aresztowania przez Niemców na początku wojny, nie miał od niej żadnej wiadomości), postanowił walczyć dalej. Miał przy sobie sanitariuszkę „Lalę”.

Historia Anny Szendzielarz wyjaśniła się dopiero wczesną wiosną 2017 r., gdy na niewielkim cmentarzu na północy Badenii odnaleziono jej grób. Udało się ustalić, że to grób żony majora kawalerii AK

„Łupaszki”. Anna i Zygmunt pobrali się na początku września 1939 roku. Krótco po wybuchu wojny Polka wywieziona została na przymusowe roboty do Niemiec. Przeszła dwa kolejne obozy koncentracyjne, by pod koniec wojny trafić do rodziny Grimmów, właścicieli fabryki w Balsbach. Była u nich tłumaczką, podobno traktowaną niemal jak członek rodziny. Zginęła rzekomo przypadkowo, postrzelona podczas działań wojennych.

„Łupaszka” popełnił błąd, gdyż zaufał rządowi londyńskiemu, od którego napyływały do żołnierzy organizującego się polskiego podziemia zbrojnego mające informacje, że w maju 1946 r. wybuchnie wojna i Alianci ostatecznie rozprawią się z Rosją Radziecką. Mógł, jak wielu innych dowódców uniknącej represji ze strony Rosjan i polskiej bezpieki ścigającej

opuszcili Warszawę. Antoni miał już upatrzony domek w Oliwie. Pracując w ministerstwie aprowizacji, wykorzystał to, by szukać bezpiecznego miejsca dla rodziny poza zasięgiem ścigających go szpicli. Jak wspominał w rozmowie ze mną „Gdańsk i okolice po wyzwoleniu zostały bardzo zniszczone przez Sowieców. Palili, plądrowali i rabowali wszystko co niemieckie, co miało jakąkolwiek wartość”. W wejściu do upatrzonemu domku, który pozostawał w miarę dobrym stanie, pozostawił napis: „Zajęte za zgodą ministerstwa”. Tam z dworca w Gdańsku poprowadził żonę. Rozczarowanie było ogromne. Jego upatrzony wcześniej dom zajęty został przez... naczelnego dowódcę WP generała Żymierskiego.

Na szczęście dla nich, również w rejonie Gdańska spotkać można było przyjaciół z Wileńszczyzny. Tym razem spotkali byłego właściciela stadniny koni Franciszka Wielkiego, który „znajomemu kawalerzyście” zaproponował kąpiel w zajętej przez siebie mieszkaniu we Wrzeszczu.

Na parterze piętrowej kamienicy użytkowanej w głębi podwórza przy ulicy Sienkiewicza było pięć pokoi, wspólna kuchnia, łazienka i WC. Ostatni z pokoi był jeszcze wolny.

Żeby czuć się bezpiecznym zmieniał „papier” także Zygmunt Szendzielarz. W sierpniu 1945 r. Szendzielarz spotkał się z Tadeuszem Wiesztortem, którego przeniesiono akurat z całym Autotransportem do Bydgoszczy. Wiesztort wyrobił Zygmuntovi dokumenty poświadczające zatrudnienie w autotransporcie bydgoskim na nazwisko Hawling.

Mieszkanie Rymszów stało się punktem kontaktowym dla partyzantów z Wileńszczyzny. To od nich o ich miejscu pobytu dowiedział się Szendzielarz, który niespodziewanie wraz z „Lalą” odwiedził ich w drugiej połowie września. Zygmunt od kilku dni ukrywał się wówczas w Oliwie. Ich spotkanie nie miało charakteru czysto towarzyskiego, plan „Łupaszki” był inny. Planował, by ich mieszkanie stało się punktem kontaktowym dla całej siatki, jaką wówczas organizował na tym terenie. Zrezygnował, gdy zobaczył, że „to gniazdo os” - nad nimi mieszkali funkcjonariusze Państwowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Trzeba trafu, że w tym samym czasie zorganizowali sobie wieczorną balangę z dowiezionym gazikiem akordeonistą. Pijąc alkohol śpiewali ruskie piosenki. „Łupaszka” był załamany, wypowiadał się głośno, co zrobiłby z nimi w innych warunkach.

Wymieniając poglądy „Łupaszka” trwał przy wariancie przyszłej wojny z Sowiecami, na wiosnę 1946 roku. Nowych wiadomości na ten temat z Londynu jednak nie miał, opierał się na przecuciach. „Maks” wątpił więc, by Aliantom, aż tak zależało na Polsce i na jej żołnierzach, którzy zeszli do podziemia.

„Łupaszka” wiosną 1945. wszedł w porozumienie z „Mścistawem” i majorem Żukowskim, tworząc na terenie bielsko-podlaskim samodzielny oddział Armii Krajowej Obywateli. Mjr Żukowski był tam inspektorem rejonu, a Marian Pluciński „Mścistaw” dowódcą I szwadronu, odtwarzającego załóżki 5. Wileńskiej Brygady Śmierci.

Niestety zrobiło się tam gorąco, do walki z nimi wysłano regularne oddziały wojska i milicji. Musieli się przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Myśleli o Pomorzu. Zygmunt potrzebował ludzi do zorganizowania siatki. Tworzył ekipy, których zadaniem było gromadzenie broni i rekwirowanie pieniędzy na potrzeby podziemia.

Ostatecznie „Łupaszka” namówił „Maksa” na bezpośredni udział w takiej akcji – chodziło o zorganizowanie napadu na pocztę w Sopocie. Gdy Rymsza zorientował się jednak, że kieruje nią znajomy z Wileńszczyzny (Tukar), zdecydował, że to będzie Monopol Spirytusowy.

Kolejny raz „Maks” zgodził się, by uczestniczyć (na Podhalańskiej w Oliwie) w bezpośredniej ochronie (z bronią w ręku) spotkania „Łupaszki” z Pohoreckim – komendantem Eksterytorialnego Wileńskiego Okręgu AK. „Łupaszka” informował go wtedy: - Jest niedobrze „Maks”, tropią nas jak zwierzynę. Słyszysz, co dzieje się w Białostockiem, Kieleckiem, na Śląsku? Wojsko obsławia lasy, organizuje łapanki. Ludzi tłumanią propagandą, że jesteśmy bandytami i zdradcami narodu. ...Musimy nasilić środki ostrożności...

Po raz trzeci, ostatni, „Maksem” posłużył się jeszcze „Łupaszka”, wysyłając go w rejon Bydgoszczy,

# ŻOŁNIERZE WYKLĘCI - NADZIEJE GDAŃSKIE

żołnierzy AK, uciekając za granicę. Nie zrobił tego, bo uważał, że podjęta przez Sowieców 17 września 1939 r. walka z Polakami nie może zakończyć się utratą Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej i poddaniem Polski w czerwoną niewolę.

Powojenne losy obu wielkiej klasy patriotów „Łupaszki” i „Maksa”, zanim rozdzieliły ich aresztowania, przez jakiś czas spletały się jeszcze.

Wojtkowscy szukali najpierw swego miejsca w Białymstoku, u ciotecznego brata Rymszy – Edka. W końcu grudnia 1944 r. Aldona spotkała w sklepie UB-eka, ich byłego partyzanta, który ją rozpoznał. Krótco po tym pod ich kryjówkę podjechał samochód z żołnierzami. Cudem udało się im uciec z zasadki. Razem z frontem posuwały się siły radzieckiej kontrwywiadki wspomagane przez polski Urząd Bezpieczeństwa. Przeczucie Aldony podpowiadało jej, że kolejna zasadka jest tylko kwestią czasu. I tak było, uszli z niej w ostatniej chwili.

18 stycznia 1945 r. krewny Rymszy wywiózł ich harlejem z przyczepką poza miasto. Po kilkunastu kilometrach jazdy zawrócił, gdyż złapał gumę. Zdani na siebie i przygodny transport wojskowy (żołnierzy LWP) dotarli do Lublina. To miasto też nie było dla nich bezpieczne.

Tym razem przypadek sprawił, że spotkali byłego AK-wca, przyjaciela - Tadeusza Stryjeckiego, który zabrał ich ze sobą do rodziny w Zaklikowie.

Antoni i Aldona Rymszowie ukrywając się, musieli zmienić nazwisko. Potrzebne też były jakieś dokumenty, by dostać pracę, bez której życia ułożyć się przecież nie dało. Tadeusz Stryjecki pomógł im w tym, zmienili nazwisko na Wojtkowscy.

Dla Aldony pracy nie szukali, była w ciąży. A dla Rymszy znaleziono ją w Lublinie. Lublin czasowo (po wyzwoleniu) przejął ważne funkcje administracyjne organizującej się powojennej gospodarki. Tam inny przyjaciel z Wileńszczyzny i partyzantki – Walenty Wiesztort zatrudnił go w Ministerstwie Autotransportu.

Pracując w ministerstwie Antoni poznał głównego szefa NKWD pułkownika Radke, który na potrzeby polskie zdjął mundur, a później, gdy władza ludowa utrzymała się już w stolicy, objął tekę ministra bezpieczeństwa pod zmienionym nazwiskiem Radkiewicz.

Radke kilkakrotnie namawiał Antoniego na przejście do jego ministerstwa, proponując lepsze zarobki i warunki. Antoni odmawiał, udzielał wymijających odpowiedzi, obawiał się o ujawnienie swej przeszłości. Tym razem z pomocą przyszedł mu cioteczny brat generała Żeligowskiego (przebywającego w tym czasie w Londynie). Znał Antoniego Rymszę z czasów przedwojennych, był dyrektorem szkoły w Lidzie, a w świeżo wyzwolonej Warszawie objął stanowisko ministerialne. Zaproponował mu przyjazd do Warszawy i pracę w Ministerstwie Apropozycji i Handlu, przy rozdziale darów z UNRY.

Na wiosnę Antoni zamieszkał u niego na Dworkowej. Bez Aldony, która do końca wakacji zgodziła się pozostać u Wiesztortów (na Kwiatowej – boczna Poniatowskiej), by pomagać w nauce ich córce, która uczyła się razem z córkami Bieruta (przyjaźniła się też z nimi) w Gimnazjum Sióstr Urszulanek.

Raz jeszcze Rymsza zmylił bezpiekę, ale w Boże Ciało jego Aldona po raz kolejny dostała się w jej łapy. Wywieziona do Wronek, torturowana i poniżana nie wyjawiała kryjówek męża. Gdy 7 sierpnia zjawiła się u niego na Dworkowej, natychmiast razem



by odnalazł tam „Mścistawa” i przekonał go, że należy przenieść oddział, ze względu na pogorszenie się warunków bezpieczeństwa, w olsztyńskie.

Na początku października „Łupaszka” przyprowadził do ich kryjówki na Sienkiewicza majora Stefana Świechowskiego „Sulimę”, którego planował uczynić szefem propagandy po wybuchu wojny z Sowiecami. Umówili się wtedy na kolejne spotkanie w listopadzie, do którego już jednak nie doszło, „Łupaszka”, po nieudanym spotkaniu w gdańskiej restauracji, musiał opuścić teren Gdańska ze względu na swoje bezpieczeństwo.

Szendzielarzowi trudno było przyzwyczaić się do nazwiska (dalekiego krewnego) wpisanego w nowe dokumenty – Hawling. Gdy pili w trójkę alkohol i głośno zachowywali się w lokalu, ktoś powiadomił patrol milicyjny. „Maksowi” udało się wcześniej wyjść do toalety i wyskoczyć przez okno. Legitymowany „Łupaszka” nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa i wraz z Józefem Kamińskim wylądowali w areszcie, skąd jednak udało mu się uciec. Później był ostrożniejszy, lecz niewiele to dało, gdyż wyrok na żołnierzy podziemia niepodległościowego był jeden – mogli zginąć w walce, lub w katowniach SB. Obietnice rządu londyńskiego okazały się fałszywe. Zachód odmówił walki z ZSRR. Zaufanie dla Londynu takich dowódców jak „Łupaszka” kosztowało życie dziesiątki tysięcy żołnierzy podziemia zbrojnego.

Wcale nie było także łatwiej tym, którzy tej walki nie podjęli. Sam fakt, że w przeszłości bili się z partyzantką sowiecką i chronili przed nią ludność Kresów Wschodnich wystarczył, by po wojnie ścigać ich jak zwierzynę łowną, aresztować, mordować w ubeckich katowniach lub skazywać na sowieckie łagry. Aldony Rymiszowej przed katownią we Wronkach nie uchroniła nawet ciąża. A życie uratowała jedynie dlatego, że oprawcy mieli nadzieję, iż po uwolnieniu doprowadzi ich do kryjówki swojego męża „Maksa”.

Zaraz po wojnie Gdańsk, a zwłaszcza Baltyk był oknem na świat, łatwiej stąd było nawiązać kontakt z Londynem. Początkowo było tu bezpieczniej niż w Polsce wschodniej, potem jednak i tu stało się niebezpiecznie.

Pod koniec roku 1945. Rymiszowie dowiedzieli się od sąsiada, że wypytują o nich funkcjonariusze UB. Trzeba było działać szybko. Przenieśli się do Oruni, gdzie znaleźli niezajęty jeszcze domek z ogrodem. Listopad i grudzień zeszyli im na remoncie i wyposażeniu domu. Czasami pomagali im w tym „ludzie z siatki”, zatrzymujący się na krótko u nich uchodźcy ze Wschodu. Gdy dom był już urządzony rankiem 27 grudnia pod bramę podjechał milicyjny samochód. Jeden z milicjantów wszczął awanturę, że zajęli jego dom. Zażądał dokumentu potwierdzającego jego przydział, a potem nakazał, by się natychmiast z niego wynieśli, grożąc konsekwencjami.

Zrozpaczeni, jeszcze tego samego dnia znaleźli nowe lokum w pobliżu, na Nowinach – Nowy Świat 19. Była to połowa jednopiętrowego bliźniaka, w którym zajęli piętro, a wspierający ich wówczas znajomi – Domaszkievicze parter.

Tam Antoni Rymisz raz jeszcze uniknął aresztowania. Kiedy po raz kolejny UB namierzyło jego mieszkanie, nie było go w domu. Aldonie cudem udało się powiadomić męża, by nie wracał, zorganizowano na niego zasadzkę.

Nie wrócił, znalazł nową kryjówkę – tym razem poza Gdańskiem, do której na wiosnę 1946 ściągnął Aldonę.

Opowiadałem o tym na spotkaniach z czytelnikami w Choczewie. Powstała tam kilka lat temu bardzo prężna grupa kierowana przez Wiesława Bobkowskiego - Stowarzyszenie Antoniego Rymiszy „Maksa”. Stowarzyszenie pielęgnuje historię nie tylko tych bohaterów, ale także całej walki niepodległościowej żołnierzy wyklętych. Współpracuje z lokalnymi stowarzyszeniami zajmującymi się historią, kulturą i szkolnictwem, z księżmi, a nawet z teatrem w Gniewinie, który zdobywał niedawno nagrody za sztukę teatralną opracowaną na podstawie książki mojego autorstwa „U boku Łupaszki”.

Zapewne do tradycji przejdą kontynuowane od czterech lat w Gdańsku defilady przybywających tu z całej Polski w Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych (1 marca), licznych grup rekonstrukcji historycznych, odtwarzających pododdziały polskiego podziemia zbrojnego uczestniczące w walkach niepodległościowych. Piękna to tradycja o niezwykle bogatym ładunku patriotycznym i moralnym.

W okresie całej stuletniej tradycji niepodległościowej Pomorze Gdańskie i Pomorze Zachodnie wielokrotnie wpisywało się do współczesnej historii Polski. Miały na to wpływ zabory i wspólne losy ludności (Polaków, Niemców, Prusaków, Kaszubów) zamieszkujących te tereny. Trwale zapisały karty tej historii losy II wojny



światowej: Westrerplatte, Poczta Gdańska, piasnickingie lasy, walki o Wał Pomorski... A już za PRL-u - gdański grudzień i Stocznia Gdańska.

W życiu „Łupaszki” i „Aldony” oraz „Maksa” terytory te także zapisały swoje znaczące, a zarazem tragiczne karty.

W latach powojennych w świadomości Polaków utrwalano jedynie stalinowskie przymioty wielkiego sojusznika, jakim rzekomo był ZSRR. Wymazano niemal całkowicie z pamięci i świadomości Polaków Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej, i wszystko, co z nimi było związane (w tym ludobójstwo w sowieckich łagrach).

Zakłamywana była agresja 17 września ZSRR na Polskę, a wręcz zakazane pod rygorem odpowiedzialności karnej było mówienie o Katyniu, Starobielsku, Miednoje. To samo dotyczyło żołnierzy AK i żołnierzy podziemia niepodległościowego.

Białych kart historii także było wiele – nie pisało się, nie mówiło głośno o wszystkim, co mogło źle świadczyć o sojuszniku, co było niezręczne, niewygodne dla partii, źle oceniano czas, w którym po II wojnie światowej się znaleźliśmy z... konieczności. A zafundowała nam ją wcześniejsza polityka rządu i układ sił na świecie, a głównie w Europie (polityka Stalina, Churchilla, zabójstwo gen. Sikorskiego, wyjście z ZSRR Armii Andersa...).

Tymi wszystkimi faktami głównie należy tłumaczyć żywiołowe wręcz odreagowywanie przez młode pokolenie Polaków na historię Żołnierzy Wyklętych.

Ustanowienie przez sejm w 2011 r. daty 1 marca Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych i przekazanie IPN-owi specjalnych prerogatyw umożliwiających odkłamywanie historii z nimi związanej, ożywiło zainteresowanie tą owianą tajemnicami i zapomnianą przez historię formacją zbrojną o wojskowych tradycjach niepodległościowych, sprzeciwiającą się - po zakończeniu II wojny światowej - sowieckiej komunizacji kraju.

„Łupaszka” to współcześnie bodajże najbardziej znany żołnierz wyklęty. Za zasługi wojenne został awansowany w listopadzie 1944 r. do stopnia majora (Rymsza ps. „Maks” - do stopnia kapitana). 5. Wileńska Brygada odbudowana została przez niego na terenie Białostockizny wiosną 1945 roku. W lipcu liczyła już ok. 250 żołnierzy i przeprowadziła kilkadziesiąt akcji zbrojnych p-ko NKWD, UBP, MO i KBW. We wrześniu jednak Komenda Białostockiego Okręgu Armii Krajowej Obywateli (tak po rozformowaniu wojennych brygad nazwano AK) nakazała mu rozformować brygadę.

„Łupaszka” wyjechał wtedy na Pomorze, gdzie po nawiązaniu kontaktu z konspiracyjnymi strukturami podporządkował się komendantowi eksterytorialnego Wileńskiego Okręgu AK ppłk. Antoniemu Olechnowiczowi „Pohoreckiemu”. Do walki wrócił w 1946. odtworząc na wiosnę w Borach Tucholskich V Brygadę Wileńską i stojąc na jej czele. Oddział liczył wtedy ponad 70 żołnierzy i działał na terenie województw: zachodnio-pomorskiego, gdańskiego i olsztyńskiego.

W końcu 1946 r., po przeniesieniu się na teren Białostockizny, dołączył do VI Brygady Wileńskiej dowodzonej przez „Wiktora” ppor. Lucjana Minkiewicza. W marcu 1947. opuścił oddział. Polowanie na niego było już tak zaawansowane, że postanowił ukrywać się samodzielnie. Ukrywał się najpierw w Warszawie, potem w rejonie Głubczyc, a następnie w Osielcu k. Makowa Podhalańskiego. Tam 30 czerwca został aresztowany przez funkcjonariuszy MBP.

Po 2,5 letnim pobycie w więzieniu na Mokotowie 2 listopada został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę śmierci. Rozstrzelano go na Rakowieckiej 8 lutego 1951 r. Miejsce jego pochówku, aż do czasu odnalezienia szczątków przez specjalnie powołaną Grupę Poszukiwawczą IPN - w t.zw. Kwatery na Łączce (wśród kilkuset ofiar pomordowanych przez UB) – nie było znane.

W dniu 24 kwietnia 2013 r. doczesne szczątki tego Żołnierza Niezłomnego z należnymi honorami, w mundurze majora WP spoczęły na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Zupełnie inaczej potoczyły się dalsze losy kpt. Antoniego Rymszy „Maksa”. Gdy zmuszony został opuścić Orunię, pracował najpierw w Lubiewie, potem w m. Żelazno, by wreszcie zamieszkać z rodziną w przedwojennym majątku hrabiego Doniemirskiego w Osiekach Lęborskich.

Ukrywając się pod zmienionym nazwiskiem Wojtkowscy, rodzina Rymszów (mieli już z Aldoną synka Wiesława) uwierzyła w podstępnie (wymuszoną przez Sowietów) ogłoszoną przez rząd Osóbki – Morawskiego amnestię dla AK-owców, i w marcu 1948 r. zgłosiła się do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, by pozbyć się ciężaru wojennej przeszłości związanej z walką w szeregach AK. „Maks” do końca nie ufał

nowemu rządowi i jego polityce uzależniającej kraj od ZSRR, lecz intuicja kobieca Aldony – która tym razem zawiodła – podpowiadała im, że tak będzie lepiej - unikną prześladowań i więzienia.

Stało się inaczej, w sierpniu 1948 r. „Maksa” aresztowano i odtransportowano do PUB w Lęborku, stąd potem przewieziony został do Warszawy i przekazany w ręce Sowietów.

Kilka miesięcy później Rosjanie osadzili go w największym swoim więzieniu w Polskiej Legnicy, gdzie po rocznej gehennie prześladowań i tortur skazany został na 125 lat więzienia i karę śmierci.

Wyroku nie wykonano jednak. Stalin zamienił mu go na 25 lat zesłania do łagrów. Wyniszczona wojną ziemia radziecka potrzebowała darmowych wyrobników, a on był młody, mógł aż do wyczerpania swoich sił fizycznych przydać się ZSRR, pracując w najsurowszych warunkach północy, na Syberii, w łagrach Kołymy - w kopalniach złota i wolframu za dzienną porcję 300 g chleba i miskę batandy.

Przeżył Kołymę i niewyobrażalne wręcz jej warunki. Po śmierci Stalina, odwilży politycznej i nawiązaniu kontaktów pomiędzy Gomułką i Chruszczowem, ta część Polaków, której udało się przeżyć dotychczasową gehennę zsyłek, mogła wrócić do Polski.

Z powodu swej hardej wobec sowieckiego systemu

postawy i zapatrywań politycznych Antoni Rymsza znalazł się w tej ostatniej grupie zesłańców, którym to się udało. Wrócił w dniu swoich 45. urodzin - 14 kwietnia 1959 roku. Do Polski, w której jeszcze do roku 1989 musiał uchodzić za wyklętego, za „zapłutego kartą reakcji”, za niegodnego Polski Ludowej obywatela, któremu należała się tylko pogarda.

Zakłamywanie współczesnej historii Polski w czasach PRL spowodowało ogromne braki w świadomości młodych Polaków, utrwaliło fałszywe przekonania o prawdziwych wrogach i bohaterach. Prawdziwą historię żołnierzy wyklętych Jan Stanisław Smalewski opisał w unikatowym dziś wydaniu trylogii „Opowiedział mi Maks” - Wyd. ARS PRINT PRODUCTION Warszawa 1994-96 oraz w późniejszych, zbeletryzowanych jej częściach: „U boku Łupaszki” (wyd. PATI Wa-wa 2012) i „Więzień Kołymy” (wyd. Fundacja Dziedzictwo - Sławno 2012), a także: „U boku Łupaszki” „Żołnierze Łupaszki”, „Więzień Kołymy”, „Łupaszka - trylogia” i „Pod rozkazami Łupaszki” (wydanymi przez wydawnictwo MIREKI Kraków - Warszawa w latach 2014-16). Powstała także publikacja jego autorstwa opisująca działalność AK na obszarze Lwowskim i łagry Workuty pt. „Wyrok Workuta”, wydana przez IPN Wrocław - 2008.

JAN STANISŁAW SMALEWSKI



Grafika Katarzyna Gościńiewicz

## Katarzyna Michalska

*Dedykacja: na pamiątkę spotkania w Nowym Browarze.*

*Dla Edyty. Dla Filipa.*

*Szczecin, styczeń 2018 rok*

1.

## Nie w domu

To wcale nie musi być  
Słodka pomarańcza  
Ani gorzki grejpfrut  
ani co tam nie chcesz  
Nie musisz jej kupować  
Nic a nic przepisywać na papierze  
U rejenta własności nie potrzebuje  
Choć może i dobrze by  
Było jej coś dać!  
Jeśli chcesz mieć lepiej  
Nie w domu przecież  
te święte góry zdobywać  
Będziesz!  
A żona poczeka!!!

2.

XXX

Tu w centrum  
Nic ważnego się nie stało  
Ktoś umiera ktoś cicho  
W nieopłakanym stanie  
Pokazuje mi wszystko jedno co  
A smutek i tak łśni i opowiada  
Umiarkowany dystans do siebie  
Szyfruje mniej czucia  
Choć świata niby więcej

3.

XXX

Czy zapłaczesz  
kiedy odejdę?  
Jedna łezka  
niech spłynie lekko  
z wiatrem się wymiesza  
miło by było gdyby  
z tej łyzy  
morze powstało  
czy nie było by pięknie  
dać światu coś po sobie  
wiatr dla żeglarzy  
nawet burzę dla odważnych  
Czy zapłaczesz?  
Bez Ciebie nie dam nic  
dla świata...

4.

## Niebo

A co jeśli ktoś się pomyli  
i z nieczułości ulepi  
przepełniony dziedziniec  
skromnych zaszeptów  
koronkowych filiżanek  
małych zakamarków spokoju...

A co jeśli ktoś się pomyli  
i zamiast jednej chwili  
da nam horyzont ozdobiony  
zacytanymi przypadkami  
biblioteką odwagi  
kieliszkami wspomnień...

A co jeśli jedna pomyłka  
to cały ogród stulecia  
z owocami na stole  
z miękkim szczęściem  
przyklejonym na  
Amen?

5.

## Wstyd

Tak wstydzę się pragnienia  
nudnej do wyrzygania codzienności  
potrzebuje herbatę towarzyską rano  
z Tobą już nie wiem kim jesteś  
poetów rzymskich mi mało  
noblistów nie doceniam za Tobą  
tęskniąc zadaje pytanie  
czy to wstyd jest chcieć kochać?

Zofia Maria Smalewska

100-lecie niepodległości

# ŚLADAMI KSIĘDZA MAZELLI I ORGANISTY KAMPERA

**ESEJ** Z dużym zainteresowaniem obejrzałam podczas 43 Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni wyróżniony Srebrnymi Lwami film „Kamerdyner”. Ten sponsorowany przez wiele instytucji Pomorza dwu i półgodzinny dramat historyczny, trwale wpisuje się w czterdziestopięcioletnią historię Kaszubów walczących o przetrwanie. O ziemię, która obok licznych wątków i ukazujących ich obrazów filmowych wynikających z konieczności łączenia losów trzech nacji: Prusaków, Polaków i Kaszubów, staje się jednym z głównych bohaterów tego filmu. Jako rodowita Pomorzanka, sama również zetknęłam się z historią rodzinną, silnie - na początku okresu kształtowania się naszej polskiej niepodległości - związaną z walką o przyłączenie ziem zamieszkałych przez Warmian i Kaszubów do Pomorza i Polski.

O to jeden z fragmentów, na ten temat, mojej książki pt. „Saga rodziny Grzeszczaków”, wyróżnionej podczas Kościerskich Targów Książki Kaszubskiej i Pomorskiej COSTERINA 2018.

Związków historii z 11 lipca 1920 roku nie sposób pominąć z uwagi, że wydarzyła się ona w dniu pamiętnego plebiscytu na Warmii i Mazurach.

W tym dniu organista Franciszek Kamper i ksiądz proboszcz Mazella wywiesili na wieży kościoła biało-czerwoną flagę. Pod kościołem stała dziewięcioletnia Martunia i zadzierając mocno główkę, obserwowała z uwagą zmagania ojca i księdza proboszcza.

- Martuś, zapamiętaj dobrze ten dzień! To dzień bardzo ważny dla nas i całej Polski - pouczył córkę pan Franciszek, schodząc z metalowej drabiny wbudowanej w mur Kościoła.

Historia plebiscytu na Warmii i Mazurach była tragiczna w swych skutkach i nie sposób jej nie przytoczyć.

Jeden z dwóch plebiscytów dotyczących Polski, a wyznaczonych w 1919 w Traktacie Wersalskim kończącym I wojnę światową, odbył się właśnie w Prusach Wschodnich. Biorąca w nim udział ludność Warmii, Mazur i Powiśla otrzymała prawo zdecydowania o tym, czy chce należeć do Niemiec, czy Polski.

Za przynależnością tych terenów do odrodzonej Polski przemawiał fakt, że wg polskich spisów ludności aż 80% mówiło językiem polskim - posługiwało się jego lokalnym wariantem. Inaczej na ten temat wypowiadali się Niemcy, którzy twierdzili, że jest wręcz przeciwnie, tylko 10% ludności tych terenów jest rdzennymi Polakami.

Sytuacja rzeczywiście była niezwykła, zorganizowaną przez Niemców kampanię plebiscytową wsparły ich terrorystyczne bojówki, zastraszające Polaków, że głoszących za przynależnością do nowo powstałego państwa polskiego, w razie przegrania plebiscytu, usunie się z tych terenów.

Związki ludności polskiej Warmii i Powiśla, zostały zerwane z Rzeczypospolitą po 1772 roku, a czas jaki od rozbiorów upłynął, działał na korzyść Prusaków; materialnie i organizacyjnie. Jeszcze gorzej to wyglądało w stosunku do Mazurów, których historyczne związki z Polską były bardziej odległe.

Nie sprzyjał też ludności polskiej tych terenów termin plebiscytu, który przypadł akurat w czasie, gdy (4 lipca) rozpoczęła się wojna polsko-bolszewicka. Niemcy jej wybuch natychmiast wykorzystali propagandowo, głosząc, że nowa Polska jest tylko państwem sezonowym, a wojna z bolszewikami sprawi narzucenie Polakom ustroju sowieckiego, co tylko wzmożło niepewność swego losu u ludności objętej plebiscytem.

Rzetelnemu przeprowadzeniu plebiscytu nie sprzyjały również posunięcia powołanych w tym celu przez Ligę Narodów międzysojuszniczych komisji, spośród których ich włosko-brytyjska część optowała jawnie za Niemcami, a tylko francuska sympatyzowała z Polską.

Na dodatek na kartach do głosowania zostało wydrukowane zamiast Niemcy - Prusy Wschodnie, co zacierało obraz skotowanej tym wszystkim lud-

ności Warmii, Mazur i Powiśla. Niemcy to było coś nowego, nieznanego, ale Prusy Wschodnie przecież propagandowo gwarantowały pewien status quo oparty na znanej przeszłości.

Oczywiście w tych warunkach i w takiej sytuacji patriotyczne siły Polaków poniosły całkowitą porażkę. W wyniku plebiscytu za przynależnością do nowej Polski opowiedziało się jedynie kilka procent ludności, w sumie tylko 8 wsi przyłączono do ziem polskich.

Z dawien dawna, wśród borów i jezior, leżały rozległe Kisielice - duża warmińska wieś, której ludność mówiła po polsku.

W latach pierwszej wojny światowej w tychże Kisielicach rezydował ksiądz Jan Mazella, proboszczujący Warmiakom - jak na te czasy się mówiło - gorącym sercem i światłym umysłem.

Na organach w kościele grywał do mszy ksiądz Mazelli organista Franciszek Kamper, dziadek mojego kuzyna Kazimierza Grzeszczaka.

Oni to obaj w dniu 11 lipca 1920 roku, kiedy odbywał się plebiscyt, wywiesili na plebani i wokół kościoła biało-czerwone chorągwie.

Wszystkim tym zabiegom przyglądała się z zaciekawieniem dziewięcioletnia Martunia Kamper, która gdy dorosła, została żoną Józefa Grzeszczaka, rodząc mu potem trójkę dzieci - Kazika, Rysia i Tereskę.

Nikt nie przypuszczał, że przystrojenie kościoła w polskie flagi, wywoła taką wściekłość hakatystów - niemieckich nacjonalistów prowadzących germanizację ziem polskich w zaborze pruskim - jakiej najstarsi mieszkańcy dotąd nie pamiętali.

Marta Marta zapamiętała obraz rękoczynów na jej ojcu do końca życia, opowiadając potem swoim synom, jak z podjudzenia junkierstwa hakatyści wywiekli z kościoła księdza Mazellę i jej ojca - organistę Kampera - z domu, i okładając ich kijami, gdzie popadło, zmusili do własnoręcznego zdjęcia flag narodowych. Obu potem zawlekli na plac pośrodku wsi, obiecując tłumowi niemieckich „turystów” patriotyczne widowisko.

Miał to być wiec prusaków żądnych krwi, masakry i odwetu za biało-czerwone sztandary.

Hakatyści, czyli członkowie stowarzyszenia popierającego pruską politykę germanizacyjną, wyjąc jak rozjuszone zwierzęta, pluli na sutannę plebana i czarny surdut organisty. Zmasakrowanego księdza Mazellę zmuszono do własnoręcznego podpalenia chorągwi, a kiedy resztkami sił opierał się napastnikom, podpalono mu flagę w rękę, doprowadzając go do ciężkich poparzeń.

Martunia, wraz z innymi dziećmi z polskich rodzin, przerażona biegła od chałupy do chałupy, wołając: - Ludzie! Pomocy! Ratujcie naszego księdza i organistę! Prusaki męczą ich na placu we wsi!!!

Poruszeni wołaniem dzieci o pomoc Polacy po-wybiegali z domostw i chwytając za widły, topory, kosy... ruszyli w kierunku placu.

Hakatyści było więcej, byli zorganizowani, mieli broń. Na nic się zdał czynny opór mieszkańców wsi, którzy zostali otoczeni i także ulegli przemocy.

Ten masowy bunt polskiej ludności Kisielic przeciwko terrorowi Hakaty przyczynił się do uznania plebana i organisty za podżegaczy i posłużył za pretekst do wysiedlenia ich i innych Polaków z Prus Wschodnich.

Franciszek Kamper, dziadek mojego kuzyna Kazika, był za swoje poglądy szczególnie prześladowany. Jako aktywista polskich organizacji patriotycznych, działał razem z żoną Marianną Kamper z domu Schulz. Oboje pożyli duże zasługi w budzeniu polskiego ducha wśród ludności warmińskiej. Kolportowali prasę polską i książki.

Z pokolenia na pokolenie przekazywane są wspomnienia, jak Marianna doczepiała do roweru damki wózek dziecięcy z budką, w którym do okolicznych wiosek dostarczała gazety i książki.

Przyszedł jednak sądny dzień zapłaty: po przegranej plebiscycie trzy dni dano rebeliantom na opuszczenie Kisielic wraz z dobytkiem i patriotycznymi uczuciami. Niemcy bali się ich jak zarazy. Zarazy, która może „spustoszyć” całą Warmię i Mazurę.

Kamperowie z rodziną i całym dobytkiem wyjechali z ziemi swoich ojców najpierw do Kwidzyna, a następnie do Gniewu nad Wisłą.

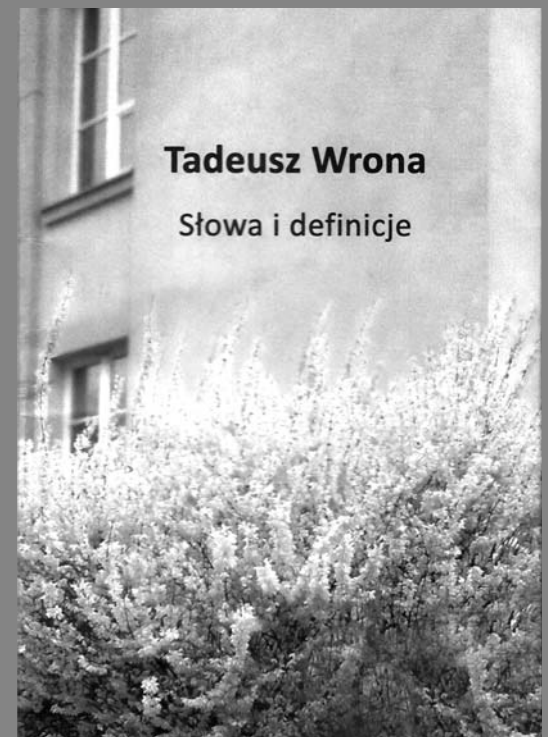
Po kilku latach Franciszek Kamper dorobił się wielkiej księgarni, w której sprzedawał także artykuły papiernicze. Gniewska księgarnia była jego oczkiem w głowie i spełnieniem pragnień o wolnej Polsce.

Oboje zmarli w Gdyni, gdzie też zostali pochowani. Franciszek Kamper zmarł 17. 06. 1940 roku, a jego żona Marianna 21.12.1975 roku.

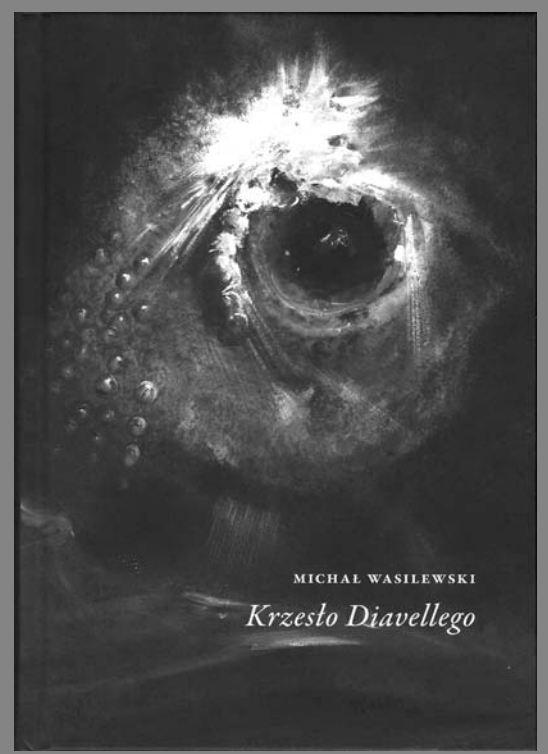
ZOFIA MARIA SMALEWSKA

„Saga rodziny Grzeszczaków”, Marpress Gdańsk 2018, str. 47-51.

## Migotania polecają lektury



Tadeusz Wrona  
Słowa i definicje



MICHAŁ WASILEWSKI  
Krzesto Diavellego

Piotr Dmochowski, *Zmagania o Beksińskiego* (wydanie II poprawione), Wydawnictwo Mawit Druk, Warszawa 2016  
 Beksiński – Dmochowski. *Listy 1999-2003*. Wydawnictwo Mawit Druk, Warszawa 2017

**W**znowione w 2016 roku *Zmagania o Beksińskiego* oraz wydana rok później korespondencja Zdzistawa Beksińskiego z Piotrem Dmochowskim stanowią wymowne świadectwo nieustannie rosnącego zainteresowania twórczością polskiego malarza. Stało się ono widoczne zwłaszcza po sukcesach fabularyzowanego filmu *Ostatnia rodzina* oraz biografii *Beksińscy: portret podwójny*. Artysta staje się w najnowszych interpretacjach postacią popkulturową, fascynującą a zarazem otoczoną „przekłętą legendą” i rodzinnym fatum. Główną oś zarówno *Zmagani... jak i Listów... stanowi wieloletnia, trudna i niejednoznaczna relacja malarza z mecenasem i propagatorem jego twórczości. To nieustanne – czasami fascynujące, czasem nużące swoją drobiazgowością – przechodzenie pomiędzy współczuciem a zawiścią, bliską współpracą a jej zrywaniem, przyjaźnią a nienawiścią.*

Obie, niemal 700-stronicowe książki najlepiej czytać równolegle – listy bardzo często nawiązują do wydanych po raz pierwszy w 1995 roku *Zmagani o Beksińskiego*, stanowiących temat nieustannego sporu pomiędzy dwójkiem rozmówców. Dmochowski jest świadomy często granicznych emocji towarzyszących zapiskom zawartym w *Zmaganiach... Jak pisze z emfazą we wstępie: „(...) te zwierzenia były pisane przeze mnie pod wpływem silnych emocji i czasami przypominają wrzask obdzieranego ze skóry człowieka. Dziś wszystko to się już uspokoiło, wyrównało, rany się zagoiły, a na dodatek jestem już starym człowiekiem”. Pierwsze zetknięcie mecenas z twórczością Beksińskiego było poniekąd dziełem przypadku – zafascynowany jedną z wystaw, znalazł jego numer w książce telefonicznej i poprosił o spotkanie; następnie zaczął sukcesywnie kupować obrazy i sprzedawać je. Malarz zdecydował się na współpracę z prawnikiem przeświadczony o rzekomym wspieraniu Dmochowskiego przez „bogatego mecenas z Francji” i przekonany o wynikających z tego faktu korzyściach finansowych. W myśl wspólnie podpisanej umowy, Dmochowski zobowiązywał się do promocji i sprzedaży twórczości Beksińskiego za granicą, malarz natomiast do dostarczania na sprzedaż przynajmniej dwunastu nowych prac rocznie. Niemożliwe do dotrzymania przez obie strony warunki umowy wywołały narastający, wieloletni konflikt. Podsycała go również między innymi wspierana przez Dmochowskiego premiera kontrowersyjnego, oscylującego na granicy przejawionego kiczu filmu *Hommage à Beksiński*. (Jak jadawicie komentował jedną ze scen malarz: „Nad wszystko chyba nienawidzę chamstwa. (...) Potrafię wyjść z dobrego, a nawet bardzo dobrego filmu, jeśli poświęcony jest życiu i problemom chamów. (...) Moje obrazy zostają tylko w ten sposób obsmarkane przez głupka – związek jest żaden! (...) Pierwsze skojarzenie Tomka brzmiało „Fellini dla ubogich duchem”. Rzadko się z nim zgadzam, ale tym razem trafił w dziesiątkę!”).*

Drugie wydanie *Zmagani... stanowiąc miało odpowiedź Dmochowskiego na zarzuty postawione przez malarza w dzienniku *Dzień po dniu kończącego się życia*. Mecenas był oskarżany o cyniczne, merkantylne podejście do twórczości malarza, upór i małosłowne budowanie własnej sławy na jego postaci. Niemniej jednak z jego zapisków wyłania się – czasami tragiczny i przejmujący, czasem irytujący – obraz szczerzego wielbiciela malarza, które całe swoje życie poświęcił propagowaniu jego twórczości. *Zmagania... bowiem to nie tyle opowieść o Beksińskim, co przede wszystkim o samym Dmochowskim – wielostronicowa, skrupulatnie prowadzona niemal dzień za dniem drobiazgowo analiza jego emigracyjnych przemyśleń, problemów i kompleksów. Jest to równocześnie zapis ogromnego obciążenia psychicznego, którego przez lata doświadczał kolekcjoner, bezskutecznie próbujący wypromować twórczość malarza we Francji. Autor opisuje salonowe, często pełne nadęcia spotkania z francuskimi przedstawicielami świata sztuki oraz bezowocne starania o zorganizowanie wystaw dzieł artysty czy sprzedaż jego obrazów. Jak komentuje spór pomiędzy obojgiem Anna Dmochowska: „Nas nie można nazywać marszandami. Bo nam na drodze stała miłość do obrazów Beksińskiego. Nie byliśmy w stanie wystawić do sprzedaży każdego jego obrazu, jak zrobiliby prawdziwi marszand<sup>2</sup>”.**

Choć w 1989 roku Dmochowskiemu udaje się otworzyć galerię Beksińskiego niedaleko centrum Pompidou, to zaprezentowana wystawa (choć doskonała pod względem artystycznym) okazuje się całkowitą kląpą finansową. Z racji niedotrzymania warunków umowy łączącej mecenas z malarzem i braku środków muzeum przestaje istnieć. Niezwykle interesująca wydaje się w tym kontekście postawiona w *Zmaganiach... diagnoza dotycząca niezrozumiałości sztuki Beksińskiego na Zachodzie, którym *pars pro toto* staje się tutaj hermetyczny świat paryskich galerii. Malarstwo sanockiego artysty okazuje dla tutejszej publiczności ciężkie i odrzucające – jak szydzi Dmochowski, w myśl francuskiego mieszczańskiego paradygmatu estetycznego „nienadające się do powieszania na ścianie”. Dmochowski przywołuje również upraszczające i trywializujące zachodnie interpretacje obrazów Beksińskiego, odczytujące je jedynie w perspektywie polskiego doświadczenia traumy wojennej i Holocaustu.*

Drobiazgowo, anegdotyczne opisy paryskiego życia kulturalnego Dmochowski przeplata z refleksjami dotyczącymi własnej kariery akademickiej, aktualnej sytuacji politycznej i społecznej, czy filozofii prawa. Często pojawiają się tu również humorystyczne wspomnienia ze dzieciństwa: opisy problemów związanych z dorastaniem i niepowodzeniami miłosnymi oraz (momentami męcząca swoją powtarzalnością i objętością) autoanaliza psychiki oraz relacji międzyludzkich i małżeńskich samego autora. Z zapisków wyzieraają zarówno pierwiastki humorystyczne, jak i kompleksy i resentymenty; momentami irytująca staje się megalomania samego autora, uznającego wszystkie napisane frazy za nadające się do druku. Nie ma tu jednak wielu wątpliwości co do szczerości intencji; Dmochowski wprost zdaje się tu przyjmować autobiograficzną konwencję wyznania. Często nie przebiera również w słowach: w ferworze złości nazywa Beksińskiego wyzyskiwaczem, hipokrytą i hipochondrykiem. Jak opisuje ich wzajemną relację: „Nadal nie uważa mnie za przyjaciela, ale tylko za współnika. W ten sposób określa mnie w rozmowach z ludźmi. Gdy pytam go, czy zawarłby jeszcze ze mną umowę, którą podpisałibyśmy na wstępie naszej znajomości, odpowiada: „Tak, bo w sumie znajomość z tobą jest dla mnie korzystna. (...) Zresztą tak samo jest i z innymi, nawet z tymi, których określa jako swoich bliskich”. Jednym z najbardziej drobiazgowych i interesujących fragmentów *Zmagani...okazują się sprostowania dotyczące osobowości malarza. Szczególnie zwraca uwagę pedantycznie szczegółowa, niemal trzydziestostronicowa, momentami okrutna psychologiczna charakterystyka Beksińskiego. Dmochowski przenikliwie, centymetr po centymetrze diagnozująca niemal każdy szczegół jego psychiki, twórczości i sytuacji rodzinnej, neurozy i fizjonomię. Pod lupę wzięty zostaje tu każdy szczegół – blizna na jednej z rąk, fobia przed dotykiem czy znajomość języków obcych. Rodzić może to pytanie: czy relacja pomiędzy Beksińskim a Dmochowskim to przyjaźń czy może bezilozna, przenikliwa obserwacja? Jedną z możliwości odpowiedzi na nie przynoszą niedawno opublikowane w formie książkowej listy.*

Drugi tom korespondencji Beksińskiego i Dmochowskiego to niemal 700-stronicowa wymiana wiadomości mailowych w latach 1999-2003. (Jej pierwszy i trzeci tom są obecnie dostępne jedynie w wersji online na stronie internetowej mecenas). Obu rozmówców łączy głęboka więź, o czym świadczy niezwykła intensywność niemal codziennej wymiany listów. Podsyta jest ona wzajemnymi urazami na tle osobistym i finansowym, rzutującymi na relacje osobiste. Część listów nie jest powiązana ze sobą pod względem treści, ponieważ przez kilka lat Beksiński i Dmochowski, skłóceniu, nie mieli ze sobą żadnego kontaktu i nie prowadzili korespondencji. Z treści wiadomości wyłaniają się szczegółowe portrety psychologiczne każdego z interlokutorów, często przeprowadzających własną autoanalizę. Jest to zarazem spotkanie dwóch typów wrażliwości i dwóch charakterów, ale także pasjonujący dialog intelektualny, widoczny zwłaszcza w korespondencji dotyczącej sztuk wizualnych i filmu. Obie posta-

cie postępują także silną autokreacją, podszyta objawiającym się na różne sposoby pierwiastkiem narcystycznym. To nieustanny, często pełen uroku, Gombrowiczowski pojedynek na miny. Beksiński jaki się jako postać ironiczna, wycofana, głęboko chowająca uczucia pod warstwą swojej sztuki i często łagodząca gniew mecenas. Dmochowski natomiast bywa w swoich listach złośliwy, małosłowny, rozgoryczony, w dziecinny sposób przywołujący dawne urazy i kwestię niedotrzymanej umowy. Co istotne, obaj rozmówcy pisali listy z założeniem ich przeznaczenia do późniejszej publikacji. Stąd Dmochowski często otwarcie prosi Beksińskiego o odpowiedź na określone pytanie; wyrażenie poglądów „na zadany temat”, prowokując go do zajęcia stanowiska w często nieinteresującej Beksińskiego sprawie. Pozostaje jednak pomimo to niezwykle szczerym admiratorem twórczości malarza; w otwarty sposób przyznając się przed nim do życiowej fascynacji jego twórczością. Artysta bywa mocno autoironiczny w odpowiedzi na zachwyty Dmochowskiego, w rozbijający sposób obnażając jego wady i słabostki. Często w zadziwiająco spokojny sposób odpowiada na ataki, nie dając się sprowokować. Jest to spowodowane zasadniczą różnicą światopoglądów – jak pisze Beksiński w jednym z listów: „Ja nie muszę rzeczy wyjaśniać ani w nie wierzyć, by wiedzieć, że je odczuwam. Jeśli czasami to robię, to bynajmniej nie po to, by stworzyć teorię by przybliżyć innym w formie wymiany myśli to, co czuję”.

Ideą Dmochowskiego było zachowanie korespondencji w nienaruszonej wersji, pozbawionej skrótów i zabiegów edytorskich. Czasem powoduje to znaczne dłużyzny w tekście, a także zabawne z dzisiejszej perspektywy szczegółowe wymiany informacji dotyczących specyfikacji dopiero wchodzących do użytku komputerów stacjonarnych czy szczegółowych parametrów technicznych obrazów. Listy nie podlegały również jakiegokolwiek cenzurze, co budzić może znaczne kontrowersje: Beksiński otwarcie pisze o swoich fantazjach związanych z gwałtem i sadomasochizmem, Dmochowski o zdradzaniu żony oraz wzajemnej wymianie linków do filmów pornograficznych. Całkowicie nie do przyjęcia są z dzisiejszej perspektywy wyrażane przez Dmochowskiego – choć pozornie ukryte pod płaszczykiem sprawnej erytyki – świadectwa fascynacji ideologią faszystowską. Najbardziej wartościowym elementem korespondencji wydaje się jednak przede wszystkim wyłaniający się z korespondencji listowej obraz samego Beksińskiego. Zastanawiający wydaje się kontrast pomiędzy osobowością Beksińskiego a stylem jego malarstwa: mrok kryjący się za fasadą pogodnej, często pedantycznej osobowości. Malarz opisuje – często z humorem i ironicznie – swoje życie codzienne, przeprowadzkę, choroby, skłonności do hipochondrii i nasilające się dolegliwości bólowe. Dodatkowo pisanie listów utrudnia mu dysleksja – każda z wiadomości musi zostać odpowiednio skorygowana przez Dmochowskiego. Jest to zarazem świadectwo samotności malarza po śmierci żony i syna przekuwającego swoje doświadczenie w pracę i wciąż oddziaływającą na współczesnego odbiorcę sztukę.

„Nie lubię słuchać o sobie, a raczej o swej twórczości, ani dobrze ani źle. Od niepamiętnych już czasów, chyba od urodzenia, żyję w świecie wyobrażonym, który bywa dla mnie bardziej realny niż tzn. rzeczywistość” – pisze w jednym z listów Beksiński. Zarówno *Zmagania o Beksińskiego*, jak i zapis korespondencji zdają się przeczyć temu stwierdzeniu. Kładąc akcent na samą osobę Beksińskiego – nieustannie przeglądającą się w lustrze ustawianym na różne sposoby przez Dmochowskiego – pozwalają postawić jego twórczości nowe pytania, nie udzielając na nie jednoznacznej odpowiedzi.

ALEKSANDRA NARÓG

<sup>1</sup> List Beksińskiego do Dmochowskiego z 29.10.1985; <http://beksiński.dmochowski.gallery.net/library.php>, dostęp 10.12.2018.

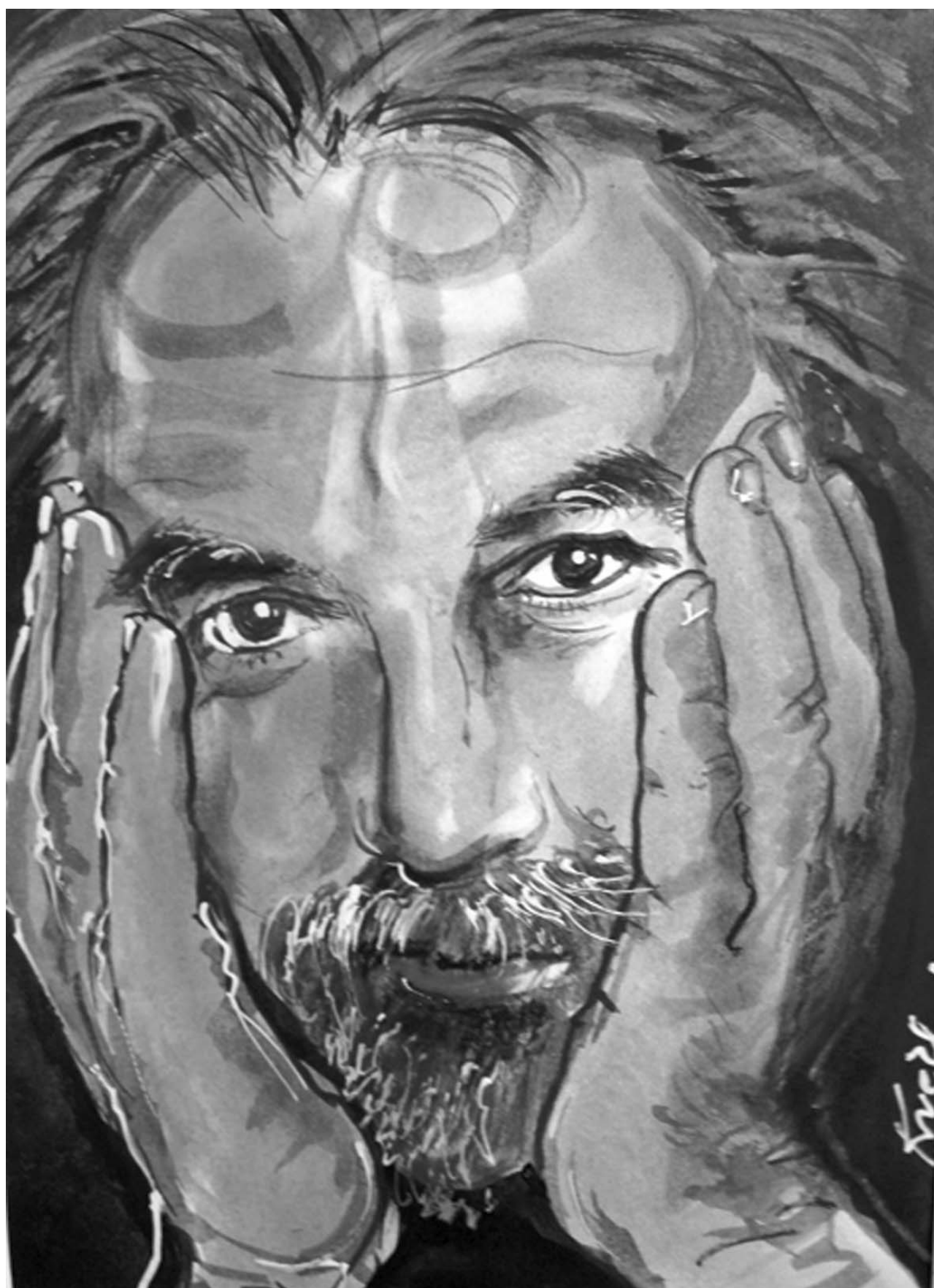
<sup>2</sup> Cyt. za: M. Grzebalkowska, *Beksińscy: Portret podwójny*, Kraków 2016, s. 274.

Zbigniew Kresowaty

Piórem malarza

# WITKACY I NIE TYLKO... GWAJDOLENIE, ALE I TEATR „LABORATORIUM”

Zbigniew Kresowaty rozmawia z profesorem Januszem Deglerem witkacologiem



Portret prof. Janusza Deglera wykonał Zbigniew Kresowaty

**Zbigniew Kresowaty:** Witam pana profesora – dziękuję za zgodę na spotkanie w Muzeum Teatru im. Henryka Tomaszewskiego we Wrocławiu i bardzo proszę, nie o wywiad, ale o „rozmowę artystyczną”, do której na początku chcę przytoczyć, nieco

skrótowy zestaw pana działalności i funkcji, oprócz działalności jako wykładowcy na Uniwersytecie Wrocławskim, ponieważ będzie to potrzebne do naszego spotkania - rozmowy. Znamy pana działalność, ale od lat siedemdziesiątych, stał się pan bar-

dziej zaangażowany w działalność twórczą, a nawet społeczną. Oto lista – pewnie nie pełna – Pana aktywności: współredaktor „Prac Literackich”, redaktor naczelny Wydawnictwa „Wiedza o Kulturze” (1989–1999), członkostwo w Komitecie Redakcyjnym Encyklopedii Kultury Polskiej XX wieku (1991–2000), „Polish Art Studies” (1979–1983) i serii wydawniczej Dramat w teatrze – Teatr w dramacie (1989–1998), redaktor serii Myśl teatralna w Polsce w XX w. (1989–1994) i Dramat – Teatr (od 1999). Członek Rady Naukowej Instytutu Sztuki PAN (1981–1984, 1990–1993) Komitetu Nauk o Sztuce PAN (1990–2015) i Komitetu Nauk o Kulturze PAN (2004–2009); przewodniczący Rady Naukowej (1990–1995) i Rady Kuratorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich (1995–2006). W 1972–1983 prezes Wrocławskiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru (od 1985 – prezes honorowy); kierownik literacki Teatru im. C. K. Norwida w Jeleniej Górze (1973–1985). Członek Polskiego PEN Clubu oraz Rady Naukowej „Teatru”, „Dialogu”, „Pamiętnika Teatralnego” i „Sztuki Edycji”. Jest pan także współzałożycielem Towarzystwa Naukowego im. Augusta Bielawskiego w 2016 r. A także promotorem 24 doktoratów oraz doktoratu honoris causa Jerzego Grotowskiego (2000). Jest pan autorem ok. 200 rozpraw, artykułów, recenzji oraz redaktorem trzytomowej antologii Wprowadzenie do nauki o teatrze (Wrocław 1974–1978) oraz Problemy teorii dramatu i teatru (Wrocław 1988, 2003), wiele by jeszcze wymieniać...

**Janusz Degler** – Od wczesnych lat interesował mnie teatr. Przez cały okres pracy na polonistyce był przedmiotem moich zajęć i seminariów magisterskich oraz wykładów dla studentów wrocławskiej filii Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Chętnie inicjowałem i angażowałem się w różne przedsięwzięcia, popularyzujące wiedzę o teatrze. Jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Teatru miałem okazję bliżej poznać wielu wybitnych twórców, m. in. Jerzego Grotowskiego i Henryka Tomaszewskiego, z którym współpracowałem sprawując funkcję kierownika literackiego teatru w Jeleniej Górze, gdzie Tomaszewski wyreżyserował kilka przedstawień w latach siedemdziesiątych. Natomiast głównym przedmiotem moich prac badawczych jest twórczość Stanisława Ignacego Witkiewicza.

**Z.K.** – Od roku 1990 redaguje pan edycję jego *Dzień zebranych*. Ukazały się 23. tomy, do wydania pozostały dwa ostatnie, czyli koniec jest już bliski, jak pan zapowiada.

Aby interpretować i opracowywać Witkacego trzeba prawdopodobnie pozostawać w korespondującej aurze, a nawet w braterskim rozumieniu świata, w którym żył. Trzeba dużo o nim wiedzieć oraz docierać do wszelkich materiałów i na bieżąco opracowywać je naukowo. Gdy czytam pana teksty o Witkacym, mam wrażenie, że bywa pan w niemal identycznej weni duchowo – filozoficznej. Czy tak? – Pisał pan, że Witkacy przewidział wiele zjawisk społecznych, których jesteśmy świadkami ... Czy istotnie współczesny świat zbliżył się do wizji Witkacego? – Wiadomo, że jego teksty cechuje niezwykła inwencja językowa. Łatwo wyobrazić sobie, ile kłopotu przysparzają tłumaczom jego utworów takie neologizmy, jak: bydlądynka, gęboworzec, pokierdaszenie, pogwajdlie... Trzeba nie lada intuicji i wyczucia, żeby wiernie oddać ich znaczenie.



**J.D.** Z pewnością Witkacy to trudne wyzwanie dla tłumaczy. Trzy lata temu w Teatrze im. Witkiewicza w Zakopanem zorganizowałem sympozjum tłumaczy z dwunastu krajów. Mówili o recepcji jego twórczości i jak sobie radzą z osobliwościami Witkacowskiego języka, choćby z nazwiskami bohaterów, które w większości są znaczące, jak np. Persy Zwierzętkowska, Irina Wsiewołodowna Zbereżnicka-Podbereżka czy Antoni Murdel-Bęski. Okazało się, że nie ma uniwersalnej metody, wiele zależy od właściwości danego języka, wyobraźni, intuicji oraz inwencji tłumaczy. Trudności ich nie zrażają, czego dowodem to, że dotąd przetłumaczono Witkacego na 25. języków. Cieszę się, że Witkiewicz – jak na klasyka przystało – będzie miał pełne wydanie wszystkich zachowanych tekstów i listów, opracowanych krytycznie oraz opatrzonych dokładnymi przypisami i komentarzami edytorskimi. Właśnie ukazały się dwa tomy korespondencji oraz opasta, licząca ponad 900 stron *Kronika życia i twórczości*. To kopalnia wiedzy o jego burzliwym życiu i wszechstronnej twórczości. Obecnie z Tomaszem Pawlakiem i Przemysławem Pawlakiem (nie są spokrewnieni!) pracujemy nad najtrudniejszym tomem w całej edycji, nad bibliografią. Obejmie ona wszystko, co Witkacy napisał (począwszy od krótkich utworów scenicznych powstałych, gdy miał osiem lat) i opublikował, co pisano o nim w kraju i za granicą oraz uwzględni wszystkie premiery jego sztuk w Polsce i na świecie. To żmudna i trudna praca, wymagająca czasu, cierpliwości i wyjątkowej uwagi. Będzie solidną podstawą do dalszych badań nad twórczością Witkacego. Do opracowania pozostanie jeszcze tom *Varia*, w którym znajdzie się reportaży

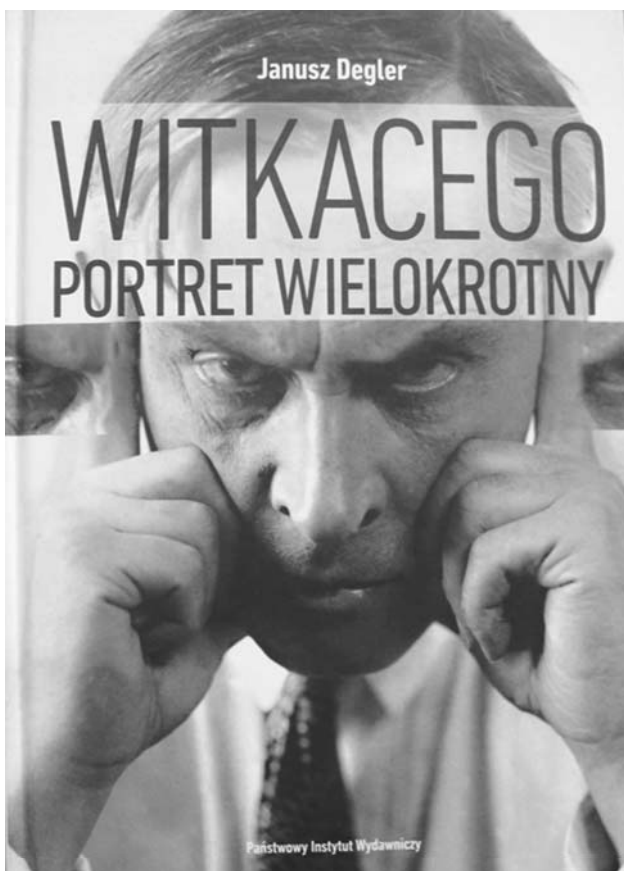
z podróży do tropików, odbytej w lipcu 1914 roku z Bronisławem Malinowskim, felietony *O demonizmie zakopiańskim* i *Dandyzmie zakopiańskim*, wywiady prasowe oraz kilkanaście wierszy, m.in. poemat *Do przyjaciół gówniarzy*, opatrzone mottem „Kto się za ten wiersz obraża, / ten się sam za gówniarza uważa!”. Witkacy wysłał go znajomym i przyjaciołom. Mam nadzieję, że tom ukaże się we wrześniu 2019 roku, w osiemdziesiątą rocznicę śmierci Witkacego i w ten sposób po 26 latach zakończy się ta pomnikowa edycja *Dzieł zebranych*, a więc i moja praca nad nią dobiegnie końca, co będzie doniosłym momentem w moim życiu. Tych 25 tomów zajmie półtora półki standardowego regatu...

**Z.K.** Czyli w tej chwili można już mierzyć Witkacego na metry! – (profesor uśmiecha się) - Ale przy okazji powiedzmy także o pana innych zajęciach, a mianowicie – wypromował pan 25. doktorów i prawie czterystu magistrów, co łączyło się z udziałem w komisjach egzaminacyjnych i przewodach doktorskich, czyli były to typowe obowiązki uniwersyteckie, ale cały czas łączył je pan z redagowaniem i wydawaniem książek oraz prawie pięćdziesięcioletnią pracą nad Witkacym. A dziś jakie płyną refleksje z takiego zaangażowania? – дума na pewno i satysfakcja?

**J.D.** Często mnie pytają, czy nie znudził mi się Witkacy? – Odpowiadam: z kim jak z kim, ale z Witkacym nudzić się nie można. Nie tylko dlatego, że ciągle coś odkrywamy, albo rękopisy, albo listy, albo portrety, ale przede wszystkim z tego powodu, że Witkacy to ten wyjątkowy twórca, który nieustannie odnawia swe znaczenia w zależności od danego kontekstu politycznego, społecznego lub artystycznego. Zachodzące zmiany i zjawiska w tych dziedzinach sprawiają, że na nowo odczytujemy jego dzieła lub rezultaty działalności portretowej. To źródło żywości i aktualności Witkiewicza. Wystarczy przypomnieć, jak gruntownie zmieniła się opinia o Firmie Portretowej, która lekceważona jako źródło zarobkowania, okazała się bliska tym przemianom w sztuce, które określa się mianem antysztuki. Wraz z powrotem do tradycji dadaizmu, spojrzeliśmy inaczej na jego wierszyki i piosenki tworzone podczas kąpieli lub golenia. Na ich podstawie powstało wiele zabawnych przedstawień muzycznych. Wytnieniem od Witkacego był dla mnie teatr. Interesował mnie od dzieciństwa. Wpłynęło na to miało otoczenie. Ojciec po powrocie z Armii Andersa dostał posadę w Polskim Radio na Krzykach. Zamieszkaliśmy tu w grudniu 1947 roku. To była enklawa dziennikarzy i artystów. Naprzeciw nas w pięknej willi mieszkał znany aktor Ignacy Machowski, a po nim Artur Młodnicki, który jadąc na próbę do Teatru Kameralnego zabierał mnie do swego samochodu i przez całą drogę opowiadał anegdoty o znanych aktorkach i aktorach. Obok mieszkali świetni krytycy teatralni: Tadeusz Banaś i Tadeusz Lutogńiewski, późniejszy redaktor „Odry”. Nic dziwnego, że teatr był najczęstszym tematem rozmów, a nieraz zażartych dyskusji. To były frapujące lekcje pojmowania sztuki teatru. Od dzieciństwa chodziłem z rodzicami do opery. Jako akompaniatorka pracowała tu zaprzyjaźniona z nimi Zofia Szafranowa, dzięki której otrzymywaliśmy wejściówki na każdą premierę. Śpiewano wtedy wszystkie opery po polsku i nie zawsze

rozumiałem, o co chodzi, ale fascynował mnie bogaty świat tej sztuki, tym bardziej iż opera wrocławska należała do najlepszych w kraju. Tutaj zobaczyłem pierwszy raz Henryka Tomaszewskiego w roli Diabła w balecie *Pan Twardowski Różycy* (1953). Miłość do opery pozostała do dziś, mimo iż nieraz przeżywała ona trudne okresy. Rozmawiamy w moim gabinecie w niedawno otwartym Muzeum Teatru im. H. Tomaszewskiego. Na ścianach widzimy plansze z pocztówkami, przedstawiającymi budynki i wnętrza teatrów z całej Europy. Zacząłem je kolekcjonować z inspiracji Zygmunta Hübnera, który w latach 1963-1964 był dyrektorem wrocławskiego teatru. Miał wielki zbiór dawnych pocztówek teatralnych. Za kartki z teatrami wrocławskimi ofiarował mi kilkanaście innych i tak się zaczęła moja pasja kolekcjonerska. Pocztówki przydały mi się do wykładów o historii architektury teatralnej. Zamiast opowiadać, jak wyglądają teatry w Wenecji, Wiedniu czy Paryżu, po prostu pokazywałem odpowiednie kartki pocztowe. Dziś jest to zbiór ponad tysiąca pocztówek z lat 1895-1945, bo tylko te mają wartość kolekcjonerską. Około 600. pokazałem na wystawie w Ratuszu wrocławskim w maju 2016 roku. Muzeum Miejskie m. Wrocławia wydało wspólnie katalog wystawy, zawierający ich reprodukcje, pierwszy tego typu na świecie. Na zajęciach uniwersyteckich wymagałem od studentów lektury ważnych tekstów o historii i teorii dramatu i teatru. Okazało się jednak, że do niektórych tytułów trudno było dotrzeć – bo ukazały się w czasopiśmie lub tomach zbiorowych (nawet w Ossolineum ich nie było). Zwróciłem się do prorektora prof. Mieczysława Klimowicza z propozycją, aby wydawnictwo uniwersyteckie wydało te materiały. I tak doszło do opublikowania antologii w trzech tomach *Wprowadzenie do nauki o teatrze* (Wrocław 1974-1978). Akurat zbiegło się to w czasie z wprowadzeniem do programu studiów uniwersyteckich nauki o teatrze i antologia stała się podstawowym podręcznikiem dla studentów tego kierunku. Korzystali z niej także pracownicy i studenci innych kierunków humanistycznych. Z myślą o nich dokonałem wyboru najważniejszych tekstów, które ukazały się w tomie *Problemy teorii dramatu i teatru* (Wrocław 1988, 2003). Z.K. Chciałbym teraz, abyśmy porozmawiali o Grotowskim. Znał go pan osobiście, oglądał przedstawienia Teatru 13 Rzędów i Laboratorium, był inicjatorem nadania mu tytułu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego, a także opublikował – o czym mało kto wie – jego wiersze.

**J.D.** Grotowski pisał wiersze w czasie studiów aktorskich w krakowskiej PWST i pobytu w Moskwie w 1956 roku. Dołączał je do listów pisanych do Aliny Obidniak., która po jego śmierci zgodziła się na ich opublikowanie. Znakomicie je czytała. Pierwszym spektaklem Grotowskiego, który widziałem były *Dziady* pokazane w listopadzie 1961 roku w Studenckim Klubie „Pałacyk” przy ul. Kościuszki we Wrocławiu. Był to spektakl obrazoburczy. Z moim przyjacielem Tadeuszem Burzyńskim byliśmy głęboko poruszeni, a nawet zaszokowani niektórymi scenami. Pamiętam, że szliśmy ciemnymi i pustymi ulicami, gorączkowo dyskutując o tym, co zobaczyliśmy, a co wymykało się tradycyjnym pojęciom teatru. I tak zaczęła się nasza wspólna fascynacja Grotowskim. Pamiętam



radość, z jaką przyjęliśmy wiadomość, że Teatr 13 Rzędów przenosi się z Opolą do Wrocławia. Tadeusz poświęcił mu wiele świetnych tekstów, które złożyły się na jego pośmiertnie wydany tom „Mój Grotowski” w moim opracowaniu (Wrocław 2006).

**Z.K.** W przyszłym roku minie 70. lat od objęcia przez Grotowskiego i Flaszera kierownictwa Teatru 13 Rzędów – To bardzo dużo! – Chcąc teraz mówić o Grotowskim, trzeba trochę poczytać, przypomnieć sobie te jego zaprogramowane imaginacje twórcze, np. to, co powiedział o swoim Laboratorium – o jednym ze swoich programów: Ten program, wieloaspektowy, który my teraz realizujemy eliminuje pojęcie teatru czy aktora, ponieważ eliminuje podział na ludzi, którzy działają i innych, którzy patrzą. (...) Wszyscy są czynni, inaczej mówiąc, nie ma aktora, ponieważ nie ma widza. Jeszcze inaczej mówiąc – zamieniliśmy się w taki „kombajn” badawczy. Każdy z działów, każda z tych pracowni czy podzespołów badawczych prowadzi jeden z rodzajów badania nad kontaktem międzyludzkim. – Bardzo wiele opowiedział o Nim jako osobowości, w swej „rozmowie artystycznej”, wydrukowanej w mej książce pt. *Między sacrum a profanum* (2005) Krzysztof Miklaszewski z Krakowa, ten od Cricot -2 Kantora. Opowiadał mianowicie, jak Jerzy Grotowski, będąc członkiem PZPR, chodził zawsze w ciemnym garniturze, białej koszuli i krawacie oraz z nieodłączną aktówką w ręce. Gdy Komitet Wojewódzki Partii w Opolu zainicjował akcję, żeby autorytety nawracały na „dobrą drogę” kobiety lekkiego obyczaju i pijaków, Grotowski się tego podjął. Gdy opowiadał o tym Miklaszewskiemu w restauracji Hotelu „Monopol” we Wrocławiu, to się śmiali do rozpuku... One się odgryzały i strasznie zachowywały wulgarnie, klęły, itp. rzeczy - jakoś mi to utknęło w pamięci i nie pasowało do wizerunku Reformatora Teatru. Rozmawiałem na temat Grotowskiego także z Bolestawem Taborskim – teatrologiem (już nieżyjącym od kilku lat) podczas roboczego przygotowania do „rozmowy”, lecz nie zdążyliśmy jej odbyć, bo zmarł ciężko chory, ale podarował mi przed śmiercią skserowane listy Grotowskiego do Taborskiego i jego korespondencję z Miłoszem – szkoda! – Wracając do Grotowskiego, wiemy, że w „stanie wojennym” wyjechał do Włoch z przyczyn osobistych. Ale po przyjeździe do Polski ujawnił istotne powody swej decyzji: „Opuszczam Polskę z powodu stanu wojennego. Była to dla mnie decyzja nie do uniknięcia, ponieważ w takiej sytuacji jest ogromna różnica między kierowaniem teatrem, który robi przedstawienia dla szerokiej publiczności krajowej - nawet, gdy jest finansowany przez państwo uważane za opresyjne - a kierowaniem zamkniętym międzynarodowym laboratorium wykorzystującym fundusze kraju, gdzie obowiązują ustawy specjalne. Otrzymałem azyl w USA” ( Internet - źródło: CULTURE.PL) – A zatem to nie był jakiś wyjazd typu wygnanie na emigrację! Grotowski po prostu w Polsce się zaczął mocno dusić! – no i był, jak wiemy, już chory i trafił tam pod dobrą opiekę lekarzy...

**J.D.** Kiedy po roku 1989 wszystko się w Polsce zmieniło, postanowiliśmy z rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Mieczysławem Klimowiczem, rozpocząć procedurę nadania Grotowskiemu tytułu doktora honoris causa naszego Uniwersytetu. Nie wiedzieliśmy jednak, czy przyjmie tę najwyższą godność uniwersytecką. Otrzymałem delegację na wyjazd do Mediolanu, gdzie na tamtejszym uniwersytecie wygłosiłem wykład o Witkacym, a następnie spotkałem się z Grotowskim w jego ośrodku w Pontederze. Gadaliśmy prawie do świtu, bo był ciekaw wszystkiego, co się w kraju dzieje. Oczywiście, zgodził się przyjąć doktorat, ale postawił jeden warunek, aby recenzentem był ktoś z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Zgodziła się prof. Irena Stawińska. Drugą recenzję napisała prof. Maria Janion. 10 kwietnia 1991 w wypełnionej po brzegi Auli Leopoldinum odbyła się piękna uroczystość, podczas której miałem zaszczyt wygłosić laudację. Warto przypomnieć, że to był drugi – po Ludwiku Solskim – artysta teatru, który otrzymał ten tytuł. Część środowiska jednak odniosła się do decyzji naszego Senatu krytycznie, a nawet wrogo. Rektor otrzymał kilka listów, których autorzy zarzucali, że nagradzamy hochsztaplera, wiodącego młodzież na manowce. Chodziło o projekty parateatralne realizowane po premierze *Apocalypsis cum Figuris*. Jak wiadomo prymas Stefan Wyszyński w 1976 roku w homilii wygłoszonej w kościele na Skatce w ostrych słowach potępił ten spektakl, zarzucając jego twórcom demoralizację narodu polskiego...

**Z.K.** – Tak! – pamiętamy, że Wyszyński ekskomunikował działania Teatru Laboratorium i jego szefa – Ten fakt drażniono później publicznie, tym bardziej że kłótwa ta jakoby zaczęła działać. Zmarł Antoni Jahotkowski, samobójstwo popełnił Stanisław Ścierański, zginął Cynkulis pod Sobótką... Uchował się Cieślak, ale wyjechał i rozpił się w Ameryce. Oglądałem program w TVP „Kultura” o Ryszardzie Cieślaku, w którym wypowiedziała się także

jego córka. Późno go poznała, ale bardzo kochała i bardzo doceniała... Wyraźnie wzruszona pokazywała wiele jego fotografii i pamiętek po Nim.

**J.D.** Konflikt z Kościołem miał poważniejsze podłoże. W owym okresie toczyła się między nim a władzą walka – mówiąc podniosło – o dusze młodzieży. Z inicjatywy księdza Franciszka Blachnickiego powstał ruch zwany Światło-Życie, którego zadaniem miało być formowanie młodych ludzi jako dojrzałych i świadomych chrześcijan. Jedną z form organizacyjnych były tzw. oazy, czyli wspólne wyjazdy, służące tworzeniu i zacieśnieniu więzi wspólnotowych. Otóż niespodziewanym rywalem na tym polu stał się zespół Grotowskiego. Pamiętam dobrze dziesiątki młodych ludzi koczujących na Rynku i wąskiej uliczce, gdzie mieści się Teatr Laboratorium. Przyjeżdżali z różnych stron, aby wziąć udział w kolejnych programach parateatralnych ogłaszanych przez Grotowskiego. Po obejrzeniu *Apocalypsis cum Figuris* odbywały się rozmowy kwalifikacyjne prowadzone przez niego i aktorów. Zaliczył ją z pozytywnym wynikiem Tadeusz Burzyński i fantastycznie opisał przebieg oraz swoje uczestnictwo w programie „Specjal Project”. Natomiast moja rozmowa z Grotowskim zakończyła się zdecydowaną odmową, ponieważ – jak stwierdził – profesja uniwersytecka wyklucza spontaniczność działań i autentyczność przeżyć, a taki jest cel projektu.

**Z.K.** – Ja to pamiętam, chodziłem pod i do „Laboratorium” z koleżeństwem dość często. Niekiedy, gdy były tu tylko „ćwiczenia teatralne”, wystawialiśmy przed drzwiami, a wcześniej przed kolejnymi afiszami, staliśmy

w grupkach, studenci z różnych uniwersytetów, dyskutowaliśmy, słuchaliśmy doniesień o teatrze... Ten program to była taka rywalizacja(?), spieranie się z całym programem jaki głosił wtedy kościół mając się za zwycięski. Ja myślę, że Grotowskiemu i Jego aktorom było to na tzw. pohybel, przybywało coraz więcej ludzi, moi znajomi bywali czasem co tydzień we Wrocławiu. Spawa Grotowskiego stanęła jakby na świętniku awangardy polskiej, bo przecież to nie chodziło tylko o Jego teatr, ale o sztukę jaka wtedy powstawała i rozwijała się, a Sztuka wtedy występowała przeciwko komunizmowi, przeciwko wszystkim nie tym co nie uznawali nowego nurtu, czyli jej rozwojowi. W poezji powstała „Nowa Fala” – to poeci głoszący sprzeciw przeciwko temu co oferowano na wszelkich „akademiach”, capstrzykach, przeciwko tzw. treserom nowej kadry partyjnej wchodzącej na uczelnie i konfidentom oraz cenzurze w sztuce i dziennikarstwie, etc.

– No i też zapamiętałem, jak Prymas podczas tego słynnego kazania wygłoszonego w 1976 r. wykrzyczał ten ostry sprzeciw głównie wobec twórcy Teatru Laboratorium, nazywając *Apocalypsis cum Figuris* „prawdziwym świństwem”, demoralizującym młodzież i naród polski, zrównał działania teatru z pijaństwem i narkotykami... Co tak zszokowało kościelnych hierarchów? – Konstanty Puzyna na łamach „Teatru” precyzyjnie opisał ten spektakl i uznał za wydarzenie na skalę światową. Mówiono powszechnie: jak to Prymas, który był więziony za obronę praw kościelnych, a tutaj – patrzcie - taka potwarz! – Później ruszył w Polskę ob-





raz Matki Boskiej Częstochowskiej w intencji, odnowy" wiary w ustroju komunistycznym (dziwił, nawet komuniści szli na msze i modły). A tu „jakiś” Grotowski – sic! (nikt ważny – sam słyszałem – taki oportunistą?) – nie tylko depte chleb i profanuje świętość, ale ściągą tyle młodzieży z różnych uczelni z całej Polski. Pytano: czy to nie jakiś Mag – Czarownik, etc!?

**J.D.** Najważniejszym dokonaniem na tym polu był Uniwersytet Poszukiwań Teatru Narodów w czerwcu 1975 roku. Przyjechało ponad pięciuset uczestników z całego świata, a wśród nich zaproszeni przez Grotowskiego o wybitni twórcy teatru, m.in. Peter Brook, Eugenio Barba, Joseph Chaikin, Jean-Louis Barrault, których publiczność mogła posłuchać w wielkiej sali Teatru Polskiego. Wrocław stał się Mekką teatru alternatywnego. Widok przemierzających się dużych grup młodzieży z jednego miejsca na drugie, cierpliwie czekających na spektakl, a potem dyskutujących do późnej nocy mógł nasuwać skojarzenia z jakąś fanatyczną sektą. Stąd chyba gwałtowna reakcja Prymasa...

**Z.K.** Dlatego, panie profesorze, wróćmy do Witkacego, dla którego zasadniczym problemem było pytanie, jak w jednolitym, doskonale zorganizowanym społeczeństwie, przypominającym mrowisko, zachować swoją indywidualność. Na pewno był najwybitniejszą osobowością swego czasu. Co prawda byli także Gombrowicz, Bruno Schulz, Karol Szymanowski, ale Witkacy jest nam chyba najbliższy, najbardziej współczesny. Jego twórczość to główny przedmiot pana zainteresowań, jej recepcja w Polsce i na świecie, dzieje sceniczne dramatów, poglądy teoretyczne. Rozprawa *Witkacego teoria teatru* ukazała się w Hiszpanii, Holandii, Indii, Japonii, Meksyku, Rosji, Słowacji, Szwajcarii, Szwecji, Chorwacji. Współredagował pan poświęcone Witkacemu monograficzne zeszyty „Pamiętnika Teatralnego” (1969, z. 3; 1985, z. 1–4) i „Pamiętnika Literackiego” (2002, z. 4). Uczestniczył w międzynarodowych sesjach Witkiewiczowskich w: Pizie, Brukseli, Fryburgu, Sztokholmie, Petersburgu, Zagrzebiu... może coś o tym?

**J.D.** Tak, to wszystko prawda. Od roku 1961 śledzę recepcję twórczości Witkacego w kraju, a potem na świecie. Staratem się dokumentować fascynujący proces powiększania się zasięgu znajomości Witkacego, który z czasem stał się jednym z najczęściej tłumaczonych, interpretowanych i wystawianych autorów polskich. Można żartobliwie powiedzieć, że powstała Międzynarodówka Witkacowska (niektórzy mówią o mafii...), którą tworzą oddani mu tłumacze, badacze, krytycy, reżyserzy, redaktorzy). Okazją do wzajemnego poznania się, wymiany poglądów, doświadczeń i prezentacji dorobku witkacologii, bo taka dziedzina nauki od dawna istnieje, są organizowane regularnie co pięć lat międzynarodowe sesje w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, które posiada największą kolekcję portretów Witkacego. Najbardziej cieszy i napawa optymizmem zainteresowanie Witkacym młodych badaczy, którzy trzy lata temu powołali Instytut Witkacego i wydają czasopismo „Witkacy!”. Właśnie ukazał się czwarty numer dedykowany mówiącemu te słowa...

**Z.K.** Kiedyś uknuło mi się, chyba nie jednemu, że demokracja psuje sztukę, a nawet kulturę, ponieważ obecnie brak kryteriów do oceny sztuki. Chcę zapytać wprost, co to znaczy Czysta Forma w teatrze Witkacego? – Witkacy – jego twórcze i osobowe działanie. To, z czego czerpał, raczej jako laik nie zaliczyłbym do czystej formy. Jest u niego dużo zamętu myślowego, zagrania, jakby na poklask (?) - przepraszam! – gry takiej „powyżej odwagi”, czasem jakby „poniżej pasa”?... Mówię to zanim powie pan o Witkacym – to człek „bez kompromisu” całkowicie wolny – co jeszcze?

**J.D.** Za szczególną cechę (a może zaletę?) teorii Czystej Formy można uznać to, że nie została przez Witkacego precyzyjnie sformułowana, dzięki czemu jest otwarta na interpretację. Spór o nią był jedną z najważniejszych dyskusji estetycznych w dwudziestoleciu międzywojennym. Przeważnie odczytywano ją jako teorię bezsensu w sztuce, przeciwko czemu Witkacy stanowczo protestował. Po roku 1956 poświęcono jej kilka książek, dziesiątki rozpraw, artykułów i szczegółowych analiz. Rozpatrywano ją jako ogólną koncepcję sztuki oraz teorię dzieła malarskiego, literackiego, teatralnego, muzycznego. Powodów kontrowersji jest kilka, ale dwa są najważniejsze. Witkacowska teoria stanowi próbę pogodzenia antynomii. Zakłada, że dzieło sztuki, które powstaje jako rezultat przeżycia metafizycznego artysty, wywołuje swoją formą, a nie treścią, podobne uczucia u odbiorcy. A zatem z jednej strony Witkacy ujmuje dzieło sztuki w kategoriach czysto formalistycznych, jako układ elementów prostych i złożonych, ale jednocześnie akcentuje jego funkcje ekspresyjne, bo tylko takie dzieło można uznać za dzieło Czystej Formy, które umożliwi odbiorcy przeżycie metafizyczne. Dość łatwo to osiągnąć w „sztukach prostych”, jak muzyka i malarstwo, o wiele trudniej w wypadku sztuk „złożonych”, czyli w literaturze i teatrze, których nie da

się całkowicie pozbawić treści. To właśnie było drugim powodem nieporozumień i dyskusji: teoria a praktyka. Zarzucano bowiem Witkacemu, że jako artysta nie przestrzega tego, co głosi jako teoretyk, bo jego dramaty „grzeszą” nadmiarem treści „życiowych”. Dziś ta sprawa nie ma już właściwie żadnego znaczenia i raczej zgodnie uznajemy, iż dobrze się stało, że nie był wierny swojej teorii, bo jego twórczość zawiera tak bogatą problematykę, iż wydaje się studnią bez dna. Jedno nie ulega wątpliwości: teoria Czystej Formy jest jedną z najważniejszych polskich koncepcji estetycznych w XX wieku.

**Z.K.** Witkacy jest zaliczany do nowatorów języka polskiego. On przecież głosił i uważał, że nie ma talentu poetyckiego, no i bardzo nad tym ubolewał... Czy to rzeczywiście prawda? – Ale przecież, żeby tworzyć, nawet najprostszą prozę, trzeba jednak trochę talentu. Ale on był bardzo samokrytyczny! – Z języka ojczystego potrafił wydobyć ukryte możliwości twórcze, umiał spotęgować walory emocjonalne i ekspresyjne, m.in. za pomocą neologizmów i synonimów jak nikt wtedy, wydobywał wiele zaskakujących metafor i dokonywał różnych świadomych deformacji, typu – mój język przeciw ówczesnemu językowi. Ponadto jego język jest mieszaniną różnych stylów: konwersacji salonowej, stylu uczonego, rozmowy kawiarnianej i języka szewskiego – potocznego... doprawionego jakimśi improwizacyjnymi wymyślnymi elokwentnymi wulgaryzmami i zawsze jakby gotowy na daną chwilę.

**J.D.** Witkacy był niezwykle wyczulony na wszystko, co było banatem i stereotypem. Drażniły go zużyte zwroty, słowa, konwencjonalne konstrukcje stylistyczne. Skutecznie z nimi walczył, tworząc własny język, łatwo rozpoznawalny, podobnie jak jego malarstwo, zadziwiający niebywałą pomysłowością i słowotwórczą inwencją, podszyty ironią i dowcipem językowym. Wystarczy przypomnieć słowa, które miały zastąpić niemiecki „katzenjammer”, czyli stan po przepiciu: „piciowyrzut”, „popijnik”, „wnętrząstka”, „głotwa”. To ostatnie słowo weszło do języka potocznego, co na pewno bardzo by go ucieszyło, bo uważał, że powinniśmy się wstydić, iż nie mamy własnego określenia na stan, który tak często nam w życiu towarzyszy. Podczas sympozjum w Zakopanem pytałem każdego z tłumaczy, jak radzi sobie z osobliwościami języka Witkacego, a zwłaszcza z neologizmami i frazeologią. Oczywiście, w większości wypadków nie jest możliwy przekład dosłowny. Trudno przecież przełożyć słynne przekleństwa z Szewców: „purwa jej sucza maść”, „sturba jej suka”, „do chatapudry girlastej”, „pludra jego cioć” czy „ty kreczkawa bamflondrygo!”. Okazuje się jednak, że w każdym języku istnieje takie bogactwo przekleństw i wyzwisk, iż zazwyczaj udawało się im znaleźć odpowiednie ekwiwalenty.

**Z.K.** To bardzo ciekawe. A może teraz zapytam jakby z innej beczki: jakie swoje dzieło o Witkacym uważa pan za najciekawsze? – czy było tak, że po wydaniu kolejnych tomów jeszcze by pan coś do nich dodał, zmienił, czy zazwyczaj są to tylko ciekawostki?

**J.D.** Zawsze z wielkim sentymentem wspominam pracę nad tomem pism krytycznych i publicystycznych *Bez kompromisu* wydanym w roku 1976, choć była to praca dosłownie chatupnicza. Wszystkie zawarte w nim teksty, a jest ich 73, przepisałem ręcznie z czasopism i gazet w bibliotekach w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Łodzi.

Nie było wtedy kserografu i obowiązywał zakaz wykonywania mikrofilmów starych czasopism. Tom odegrał ważną rolę w recepcji Witkacego. Odkrył wiele nieznanych jego tekstów publicystycznych i polemicznych. Łączy się z tym tomem legenda o duchu Witkacego, który płała figle tym, którzy się nim zajmują. Doświadczyłem tego w 1973 roku, kiedy po premierze w Teatrze Kameralnym zabrał mi z szatni teczkę z częścią przepisanych tekstów do tego tomu. Byłem załamany. Obeszliśmy z przyjaciółmi okoliczne śmietniki i podwórka w nadziei, że złodziej wyrzuci zawartość teckki. Szatniarka dokładnie go opisała: wysoki, postawny mężczyzna, koło pięćdziesiątki, staroświecko ubrany. Dyrekcja teatru wyznaczyła wysoką nagrodę za zwrot materiałów. Nikt się nie zgłosił, a ja ponownie musiałem przepisać brakujące teksty. Wydanie opóźniło się o kilkanaście miesięcy... Największy jednak „szpryngiel” zrobił delegacja partyjno-rządowa, która pojechała do Jezior po jego ekshumowane szczątki, a przywoziła zwłoki młodej Ukrainki, które z honorami pochowano w grobie matki na starym cmentarzu w Zakopanem.

**Z.K.** Zaskakujący jest w tym tomie reportaż Witkacego z podróży do tropików w 1914 roku. Znalazł się w zupełnie innym świecie. Doświadczenie tropików miało dla niego i jego twórczości duże znaczenie. Z kolei czteroletni pobyt w Rosji, służba w armii carskiej oraz widok rewolucji lutowej i październikowej ukształtowały jego światopogląd i wizję przyszłości. Uważał, że ludzkość od rewolucji francuskiej podąża do krainy powszechnej szczęśliwości, w której zapanuje równość, sprawiedliwość i ogólny dobrobyt.

**J.D.** Ta wizja przerażała go, bo była to wizja „zbydlonej” ludzkości pozbawionej najistotniejszego wyróżnika, decydującego o naszym człowieczeństwie, tj. potrzeby doznawania uczuć metafizycznych. Ludzie będą po prostu szczęśliwi i ograniczą się do zaspokojenia potrzeb życiowych: „Zjeść, poczytać, pogwajdlić, pokierasić i pójść spać” (Szewcy). Symptomy tego procesu Witkacy dostrzegał we współczesnej rzeczywistości, o czym pisał w *Niemitych duszach*. Gorąco zachęcam do przeczytania tej książki, którą Tadeusz Różewicz uważał za jedną z najważniejszych w dorobku Witkacego i proponował, aby niektóre rozdziały wprowadzić do obowiązkowych lektur w liceum!

**Z.K.** Panie profesorze - Znajdujemy się w Muzeum Teatru im. Henryka Tomaszewskiego we Wrocławiu. Ale ja chciałbym w przyszłości jeszcze porozmawiać o Jerzym Grotowskim szerzej, dziś zaledwie go przypomnieliśmy, bo zajmuje on szczególne miejsce w pana biografii. I jeszcze osobno o drugim wielkim artyście teatru, o Henryku Tomaszewskim, z którym pan współpracował. Bardzo dziękuję za poświęcony czas w tym super magicznym miejscu, gdzie w szafach bibliotecznych mieści pana cały zbiór książek o teatrze ofiarowany Muzeum. Jest też duża wystawa pocztówek teatralnych, o czym pan wspominał. Widzę na ścianie także portrety artystów teatru: Artura Młodnickiego i Haliny Dzieduszyckiej. Myślę, że i pana portret mej ręki, który tu zostawiam, także zawiśnie? Ściskam dłoń! - z uszanowaniem.

- Z profesorem Januszem Deglerem, historykiem literatury i teatru, wykładowcą na Uniwersytecie Wrocławskim (do 2008 r.) rozmawiał Zbigniew Kresowaty. Rozmowa artystyczna autoryzowana.



Profesor ze swoim rozmówcą Zbyszkiem Kresowatym

Anna Krasuska

## SŁOWOSTRZĘPY

To był początek nauki w liceum, jesień. Pamiętam bardzo wyraźnie pierwsze zetknięcie z *Myślami nieuczesanymi* Leca. Biorę książkę do ręki, kartkuję i... już jestem jej. Błysk, zaczarowanie. Czytałam wolno, starając się od razu zapamiętać daną myśl. I to rozterka, przewrócić kolejną stronę, zatrzymać się, wrócić do poprzedniej. Mętnik w głowie, ale jednocześnie przecucie, że to „moja” książka. A właściwie książki w pigułce, bo ileż stron musiałby zapisać ktoś inny, ileż... , żeby powiedzieć to, co jednym zdaniem „załatwia” Lec. I to jak? Myśli stałe były ze mną, leżały w szkolnej torbie spakowane z podręcznikami. W domu czytałam je sobie na głos. Kładłam na szafce przy łóżku. Otrzeźwienie przyszło z zewnątrz, kiedy musiałam przed końcem semestru przysiąc do nauki, bo okazało się, że jest jeszcze chemia, fizyka i tak dalej. Ale wtedy byłam już po lekcji polskiego, na której poznałam znaczenie słowa *katharsis*. Niewątpliwie dla mnie lektura *Myśli* była właśnie takim prywatnym *katharsis*. Tak, w tamtym czasie aforyzmy Leca stały się jedną z moich największych czytelniczych fascynacji. Dlaczego? Dzisiaj chyba lepiej rozumiem przyczyny zaczytania się tą książką. Wtedy, a mówię tu o połowie lat 70-tych, to były emocje, uwiedzenie, odurzenie, bo przeczuwałam, że chwytam trop, który umożliwi mi oswojenie rzeczywistości, w której żyję. Wokół gazetowe slogany, w telewizji gadające głowy, w szkole akademie ku czci..., słowa, nowomowa. I nagle Lec – minimum słów, maksimum treści, poważna zaduma, ironia, błyskotliwość języka i odwaga. Tak, jeszcze odwaga. Bo to był świat gorzkich obserwacji, które nie były nazywane. I ten brak określeń miał tuszować ich istnienie, zgodnie z zasadą, że nie ma rzeczy, które nie są nazwane. Więc Lec diagnozował, nazywał, demaskował. Moje czytanie Leca nie było profesjonalne, nie wszystkie aforyzmy „właściwie” rozumiałam lub, mówiąc precyzyjnie, nie miałam wystarczającej wiedzy, żeby – interpretując – odnieść się do różnych kontekstów. Mimo to Lec był moim czytelniczym przejściem z nieopierzenia w opierzenie, wyraźną cezurą moich lekturowych poszukiwań. I, co niebagatelne, ważnym dla mnie etykiem. Bo jak nigdy wcześniej i później poszukiwałam wtedy „kogoś”, kto pomógłby mi żyć w świecie może nie najlepszym ze światów, ale chwilowo jedynie dostępnym. (1/123) Znaczący literatury pewnie w tym momencie byłby oburzeni, że przypisuję aforyzmem cechę, której obligatoryjnie jako gatunek posiadac nie muszą, ale w moim przypadku istotny okazał się ich „dydaktyzm”. Aforyzmy Leca wychowywały mnie nie najgorzej, pozwalały poznawać siebie samą, wzmacniały kręgosłup, słowem – miały terapeutyczne działanie. Umberto Eco powiedział o *Myślach nieuczesanych*: Jest to książka, z której każdy cywilizowany, myślący człowiek powinien co wieczór przeczytać trzy lub cztery linijki, zanim zaśnie (jeśli w ogóle będzie mógł zasnąć). Nie znałam wtedy tej opinii, ale moje doświadczenie było właśnie takie. Lec mówił do mnie tak, jak ja nie potrafiłam. Trafnie, przenikliwie, w punkt. Czulałam, że znalazłam świat wartości, które cenię, inspirację do własnego rozwoju, błyskotliwy język, z frapującymi paradoksami. Wystarczy tylko uważnie czytać.

Tak odkryłam aforyzmy i to zauroczenie, zaufanie do gatunku mi pozostało. Celowo chcę podkreślić to bardzo nieprofesjonalne określenie – *zufanie*. Bo kiedy biorę do ręki zbiór aforyzmów – myśli, przeczuwam, że spełnią one moje oczekiwania, że to będzie dobra lektura. Skąd to przecucie? Pewnie stąd, że aforyzmy piszą twórcy nietuzinkowi, którzy oprócz umiejętności przenikliwego oglądu świata i człowieka, mechanizmów nimi rządzących, znakomicie władają słowem, posiadają poczucie humoru, biegłość w trafnym i błyskotliwym tworzeniu paradoksów, antytez, ot tak, niby mimochodem. Dobrze więc, że nowe pozycje, choć rzadko, ale jednak na rynku wydawniczym się pojawiają. Takim twórcą jest Lech M. Jakób, który wydał kilka zbiorów aforyzmów, ja jednak chciałabym zatrzymać się na dwóch ostatnich, czyli na *Poradniku złych manier* z 2007 roku (to wybór aforyzmów ze zbiorów *Mądre głupoty*, *Żyje jeszcze Don Kichot*, *Jęzostrepy*, uzupełniony o aforyzmy powstałe w latach 2001 – 2007) oraz na zbiorze *Do góry nogami*, wydanym w bieżącym roku. Znamienna jest ta różnica czasu między wydaniem kolejnego zbioru aforyzmów, bo świadczy tylko o tym, że nawet jeśli w międzyczasie autor wydał inne teksty (a w tym przypadku i poezję, i prozę), to aforyzmy nie rodzą się na kamieniu i ich ostateczny kształt, choć odbierany jak błysk, jak błysk nie powstaje, przynajmniej nie jest to reguła. U genezy aforyzmów leży refleksja nad życiem, filozoficzna zaduma nad kondycją człowieka, jego relacjami ze światem i samym sobą. Jaki więc portret rysuje się z aforyzmów Jakóba? Odpowiadając na to pytanie, należałoby zobaczyć uwikłania człowieka z innymi, z samym sobą, świat w skali mikro i makro.

Tym, co łączy aforyzmy Jakóba, jest smutna refleksja, że – parafrazując – „człowiek” wcale nie brzmi dumnie. Daro by tu szukać prób pokazujących go w bardziej

optymistycznych narracjach. Już samo jego zaistnienie w świecie zostaje ironicznie skwitowane: *Stworzenie człowieka? Dowód na specyficzne poczucie humoru Pana Boga*. (2/30) A co dalej? Jakób, przyglądając się historii człowieka, dochodzi do tyleż smętnej co niezaskakującej konkluzji: *Przeszliśmy długą drogę, od stosu inkwizycji do stosu atomowego. A efekt wciąż ten sam: stos popiołów*. (1/61) Ale nie o oryginalność wnioskowania tu chodzi, ale o dosadne wyartykułowanie istoty zjawiska (dodatkowo podkreślone wykorzystaniem wieloznaczności słowa *stos*), skoro działania człowieka są dosyć przewidywalne: niezależnie od czasu historycznego, postępu techniki bliżej mu do zniszczenia, zła i zniszczenia, trzeba sokolego wzroku, by dostrzec w ludziach drobiny dobra. (2/30) Wszak *Krew paliwem wszechczasów*. (1/42) Zrozumiała jest zatem *Modlitwa komara*: „I spraw Panie Boże, by ludzie nie mieli złej krwi”. (1/129) I jakiż dowcipny obrazek: komar, mniejszy krwiopijca, zanosi modły do ludzkiego, nie komarzego Boga, prosząc go, by człowiek, większy krwiopijca, nie miał „złej krwi”. Ten związek frazeologiczny w kontekście całego zdania można by odczytać i jako zapobiegliwe działania komara, a nuż człowiek nie potraktuje go packą, i bardziej ogólnie, a nuż człowiek będzie miał przyjazny stosunek do innych, wtedy on, komar, też na tym skorzysta. Jakkolwiek by patrzeć, nawet komar wie, a co taki komar może wiedzieć, że człowiek ma „złą krew”. Ale, ale... skoro się modli, to znaczy pokłada nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, że człowiek może jeszcze będzie miał szansę się zmienić. Pora więc zobaczyć, jaki człowieka portret własny wyłania się z aforyzmów, na jakie cechy ludzkiej osobowości zwraca uwagę autor.

Gdyby wziąć pod uwagę frekwencje słów, to chyba najczęściej stan ludzkiego umysłu opisuje Jakób za pomocą głupoty, jako cechy tyleż wszechobecnej: *Gdyby głupota była przywilejem, zabrakłoby miejsc dla uprzywilejowanych* (2/33), co trudnej do wytopienia: *Śmiertelność głupoty jest niepokojąco niska* (2/31). Nie jest ona przypisana jakiejś jednej grupie osób. Bez szczególnej zapowiedzi: *nadciągamy – infekuje różne środowiska, coraz rzadziej budząc zdziwienie czy zażenowanie. Przyzwyczaj się i udawaj, że się jej nie widzi? Wykorzystać ją jako strategię do osiągnięcia prywatnych celów? Samemu przywdziać szaty głupka, żeby koniunkturalnie wtopić się w tło? A może próbować z nią walczyć? Ale z jakim skutkiem, jeśli w szczególnych przypadkach Nawet armia mędrców może mieć problem z pokonaniem jednego idioty*. (2/34) Każdy w swoim sumieniu musi się z tym pytaniem zmierzyć. Odpowiedź jak papirek lakmusowy określi stopień jego przyzwoitości, o ile nie zapomni, co to słowo znaczy. Jeśli głupota posiada tak wielką siłę, warto się zastanowić, z czego ona wypływa? Ano, może z tego, że *Głupota ludzka nie zna granic, ale zna swoje przywileje* (1/36) Właśnie, przywileje, czyli wie, że zgodnie z prawem przysługuje jej naruszenie zasady równości wobec prawa. Może mieć swoje prawa, swoje immunitety. Kontekstów nasuwa się całkiem niemało, w zależności od doświadczeń i obserwacji czytającego te aforyzmy. O zgrozo, głupota nieobca jest też twórcom: *Rozumiem – z cierpienia uczynić sztukę. Ale z głupoty? Chociaż...* (1/87) Na drugim biegunie tejsze haniebnej cechy osiadła inteligencja. Skromniutką zajmuje przestrzeń, bo, po pierwsze, *Inteligencja jest cennym darem. Dlatego też jest tak mało obdarowanych*. (1/7), a po wtóre: *W świecie matotów inteligencja jest grzechem ciężkim*. (2/34) Trudno jest więc żyć z piętnem grzesznika. Chyba że sparafrazować Marksa i w dobie globalizacji zakrzyknąć: *Inteligencji wszystkich krajów, łąćcie się!* W grupie różnie. Ale czy mądrzy, nawet w grupie, nie dadzą się zmarginalizować? Na to pytanie odpowiedź najczęściej nie napawa optymizmem. Nie sposób nie przytoczyć w tym miejscu słów Einsteina, którymi pozbawia nas nadziei: *Dwie rzeczy są nieskończone: wszechświat i ludzka głupota, co do wszechświata nie jestem pewien*. Warto też przypomnieć Ignacego Krasickiego, który w bajce *Mądry i głupi* powiada:

Nie nowina, że głupi mądrego przegadali;  
Kontent więc, iż uczony nic nie odpowiadał,  
Tym bardziej jeszcze krzycheć przeraźliwie począł;  
Na koniec, zmordowany, gdy sobie odpoczął,

*Rzekł mądry, żeby nie był w odpowiedzi dłużny:  
«Wiesz, dlaczego dzwon głośny? Bo wewnątrz jest próżny»*

I cóż, że próżny, skoro potrafi zakrzycheć, zdominować, postawić na swoim i jeszcze pociągnąć za sobą innych...

To smutne – powiedział kiedyś Bertrand Russell – że *głupcy są tak pewni siebie, a ludzie mądrzy tak pełni wątpliwości*. A innym razem zapytany, czy mógłby napisać historię ludzkiej głupoty, miał odpowiedzieć: *Oczywiście, że mógłbym. Ale ta historia zanadto pokrywałaby się z historią powszechną*. Słowa te nie tylko potwierdzają, że *stos popiołów* jest stałym elementem historii ludzkości, ale nadto doprecyzowują, że u jego genezy leży głupota. Ale czy tylko głupota? Biorąc pod uwagę słownikowe znaczenie słowa głupota, mam wątpliwości. Głupota jest definiowana jako *niedostatek rozumu, przejawiający się brakiem bystrości, nieumiejętnością rozpoznawania istoty rzeczy, związków przyczynowo-skutkowych, przewidywania i kojarzenia*. Zgodnie z tą definicją głupota stanowiąca o ograniczeniu rozumu jest niejako człowiekowi dana, dlatego niewiele może on w tym zakresie zmienić. Człowiek może być „biologicznie naznaczony” *niedostatkiem rozumu*, zatem w tym kontekście „bezgrzeszny”, a jego działania zwykle się wtedy pobłażliwie komentować: *nie dała Bozia rozumu*. Czy nie za łatwo usprawiedliwiłobyśmy tylko głupotą *stosy popiołów*? Celowo piszę tylko, ponieważ u podstaw bardzo wielu, za wielu historycznych czy współczesnych decyzji, sądzę, leży nie głupota, a po prostu... cynizm. I nie chodzi mi tutaj o poglądy greckiej szkoły filozoficznej Antystenesa, ale o definicję ze *Słownika języka polskiego*, zgodnie z którą cynizm to *postawa życiowa charakteryzująca się nieuznawaniem obowiązujących zasad etycznych i lekceważącym odnoszeniem się do ogólnie szanowanych pojęć, praw, osób; cyniczność, złośliwość, zgrzyliwość*. Tak, w tej definicji przeglądamy się jak w lusterku. Wszystko staje się moralnie względne, ponieważ zależne od gry interesów. Dobro i zło, prawda i fałsz postrzegane są jak waluta wymienna, w zależności od okoliczności, od osób uwikłanych w daną sytuację. A etos inteligencji, etos ludzi mądrych, staje się coraz węższy, gdy cynicy rosną w siłę. Zależność to odwrotnie proporcjonalna, której skutków po prostu należy się bać w każdym czasie i miejscu. Należałoby więc przyjrzeć się cechom, które cyniczne postawy generują. Nie wiem, czy nie najważniejszymi są w tym przypadku żądza władzy i potrzeba dominacji, ponieważ z nimi stoją wpływy i kasa. Ale tak otwarcie przyznać się do płaskich pobudek nie godzi, więc trzeba je uwznioślić pod płaszczykiem idei. Jednak płaszczyk okazuje się częstokroć przykrótki i co nieco odsłania. Oczywiście potrzeba dominacji dotyczy różnych środowisk, ale najbardziej drastycznie widać ją w walce o przywództwo polityczne, o władzę. A co na to Jakób? *Niektórym ideom brak skrzydeł. Za to mają wspaniałe ryje*. (1/16) Aforyzmy dotyczące historii, tej dawnej i tej całkiem nowej, pokazują, że nie odniesienia do konkretnych osób czy zdarzeń są dla autora najważniejsze, ale analiza postaw, narracji stron pozostających we wzajemnych relacjach, analiza mechanizmów wydarzeń, ich genezy i skutków. I tak aforyzmy Jakóba (jak wiele innych) można czytać zarówno jako portret konkretnego czasu i miejsca, ale też uniwersalnie – jako gorzki komentarz epok totalitarnych, niedemokratycznych w każdym miejscu i każdym czasie, ponieważ mechanizmy funkcjonowania są podobne. Mamy więc tych, którzy narzucają własne zdanie, i tych, którzy w sytuacji zniewolenia muszą się określić. Jak to wygląda w szczegółach? Parę przykładów:

*Nie znacie ich? Podnoszą człowieka z kolan za pomocą pęty u szyi*. (1/84)

*Westchnienie Tyrana: „Boże, wybac mi grzechy. Grzeszyłem w imieniu narodu”*. (1/20)

*„Szkoda, że moi poddani tak często się myślą – westchnął tyran. – Bo wkrótce może mi ich zabraknąć”*. (1/28)

*Zwierzył się dyktator: „Kocham wolność. Dlatego jej nie wypuszczam”*. (1/37)

*Rzekł pewien polityk z konfidencjonalnym uśmiechem: „Naród nie z gumy, ale naciągac się daje”*. (1/70) Dlaczego? Istota tkwi w umiejętnej manipulacji. Jakie są fakty? *Przeważnie naciągane* (2/39)

*Mieć pretensje do polityków, że kłamią – to jak mieć za złe hienom, że z lubością żywią się padliną*. (2/38)

*Czy mało wybrednie, jeszcze dosadniej: Z politykami jak ze świniami – odetniście ich od koryta, a będzie jeden wielki kwik*. (2/38)

Znamienne zestawienie: *tyran/dyktator – polityk – świnią* pozostawiam bez komentarza. Natomiast refleksja ogólna zapisana jest w przekonaniu, że *Władza koroduje szybciej od żelaza*. (2/37) i że *Walka o władzę przypomina rwestes wróbla przy końskim tajnie*. Wprawdzie każdy coś tam uszczknie, ale i każdy się utyłła. (1/67)

Po drugiej stronie barykady pozostają ci, którzy w tej

sytuacji muszą „jakoś” swoje życie zorganizować. Mamy więc całe spektrum zachowań:

„*Wolno mi chyba mieć własne zdanie?! – żałośnie beknięta owca. – „A wolno, wolno” – odparty oblizujące się wilki.* (1/28)

„*Pojawiają się nowe możliwości” – odezwała się szprota z otwieranej puszką.* (2/15)

„*Nie da się przeskoczyć kolejności dziobania w stadzie.* (2/21)

„*Wola przetrwania za wszelką cenę radykalnie zmienia cenę.* (2/14)

„*Mocno trzymając się ziemi zwłaszcza w nią wdeptywani.* (1/38)

„*Zbyt często wyborcy przypominają stado rozproszonych baranów, które łatwo scalić obietnicą nowego pastwiska.* (1/51) Ale tylko przed wyborami, bo do codzienności odnosi się myśl: *Czy kosmos interesuje się naszą planetą? Mniej więcej tak, jak politycy problemami swoich wyborców.* (2/37)

„*Ala jakby co, to przecież Nikt nie zabrania baranom wydawania dekretów o zakazie istnienia wilka.* (1/62)

„*Ale można i tak: Są i zawierający obietnicy lwa, że przejdzie na pokarm roślinny.* (2/19)

„*Czytając te myśli, chciałoby się zakrzyknąć: skąd my to znamy. Chociaż nasza wiedza i tak jest ułomna, gdyż zza kulis dochodzą tylko strzępy. Och, Gdyby klamki umiały mówić!* (1/31) Chociaż nie, całkowicie odarci ze złudzeń, z „pełną” wiedzą pewnie nie umielibyśmy się podnieść i żyć. Bliżej byłoby nam wtedy do czujności różnych androidów: „*Nie lądaj na ziemi bez możliwości powrotu” – ostrzegają się kosmici.* (1/126)

„*Czasami historia daje złapać oddech, staje się bardziej ludzka, człowiek zaczyna wierzyć, że niegodne go, złe doświadczenia już nie mogą się powtórzyć. I wtedy pojawia się lęk, że Dochodzą do prawdy jakoś niemrawo. Tylko patrzeć, aż ktoś znów podsunie pomysł werbli.* (1/21)

Niestety...

„*Bez wątpienia nowi troglodcy są lepiej odziani, lepiej odżywieni, mają szybszą łączność i większą kasę. Ale to nadal tylko troglodcy.* (1/115)

„*Czy ludzie postuchaliby żądań zdeterminowanego aforysty? – Wybić się na lepszy świat, nie między sobą!* (1/34) Chyba nie, skoro i sam aforysta w to nie wierzy. Tak projektuje przyszłość: *Wkrótce ludzie będą żyli po 150 lat. Jakież otwierają się możliwości mnożenia nowych i kontynuowania starych głupot.* (1/121) Nie jest to jasnym malunek. Co najwyżej, *Można wyobrazić sobie wyżej i dalej. Ale kończymy zwykle niżej i głębiej.* (1/115) Cóż z tego, że postęp cywilizacyjny jest coraz większy, kiedy za nim nie nadąża rozwój ludzkiej osobowości. W gruncie rzeczy psychiczne potrzeby człowieka, skala jego uczuć, namiętności, zaspakajania dobra i zła ... są ciągle takie same. Przynajmniej w tym podstawowym „genetycznym”, atawistycznym pakiecie. I nic nie wskazuje na to, że człowiek miałby się gwałtownie zmienić, zmienia się tylko sceneria.

„*To postęp? Nie chwytają się już za głowy, a za komputer.* (1/42)

„*Dawniej wyobrażano sobie raj jako bezkresną, niebiańską łąkę. A dziś? Zastanawiają się, czy jest tam supertelewizja i superinternet.* (1/54)

„*Na monitorze mojego komputera pojawia się komunikat: „Pocatulj mnie w procesor”. Elektroniczna wulgarność?* (1/121)

„*Skoro wirtualna rzeczywistość, to i wirtualna głupota.* (1/121)

„*Czytając oba zbiory myśli, mechanicznie szukałam też optymistycznych tez, tych dotyczących przyszłości. Kombinowałam, że skoro autor napisał Być może wiara w przyszłość jest pochodną niewiary w teraźniejszość.* (2/29), to czekałam tej wiary... Ale sprowadził mnie na ziemię, przypominając, że *I karmiąc się złudzeniami, można zdechnąć z głodu.* (1/7) Ale zaraz, zaraz... Mam!

„*Człowiek człowiekowi człowiekiem.*”

„*Niestety, radość to była przedwczesna, bo parafraza antycznej sentencji (człowiek człowiekowi wilkiem), upowszechnionej w XVII wieku przez Hobbesa, poddana jest w wątpliwość: „Człowiek człowiekowi człowiekiem”. Szczył hipokryzji czy wyjście na moralną prostą? (1/91) Dobrze, że Jakób, nie dając odpowiedzi na postawiony przez siebie problem, hipotetycznie zakłada, że może w człowieku jest jednak człowiek. Zgodnie z zasadą: *Dajcie ludziom nadzieję i niech nie mówią później, że nic nie dostali.* (1/132) I po przyjacielsku: *Masz nadzieję? Zatem nie mów, że niczego nie masz.* (2/15) Prawie że słysząc ten kpiący głos... Zdanie pytające z reguły otwiera możliwości, ale może to być także pytanie retoryczne, dodatkowo wzmocnione partykutą, np. *I jakież sens podnoszenia poprzeczki, gdy zapada się grunt?* (1/24) – wtedy odpowiedź dość jednoznacznie wpisuje się w pytanie, choć bezpośrednio nie pada. W tym przypadku nie tknie optymizmem, niestety.*

„*Przedstawione tu myśli w ten czy inny sposób krążą wokół ducha epoki. Można powiedzieć, że w pewien sposób odzwierciedlają jej kryzys i kryzys człowieczeństwa. Kryzys – należałoby podkreślić – jako stan permanentny. Tak Jakób pisze dzisiaj i naście lat temu. Czas się zatrzymał. Nie straciły także aktualności aforyzmy Leca, choć*

znacznie poprzedzają czas powstania tychże. Czy Lec dzisiaj dotykałby innej problematyki i w jakim zakresie? Można by tylko pogdybać, ale w tyle głowy ciągle brzmią: *Błoto stwarza czasem pozory głębi.; Sumienie miał czyste. Nieużywane.; Burząc pomniki, oszczędzajcie cokoły. Zawsze mogą się przydać.; Gdy nie wieją żadne wiatry – i kurek na kościele ma charakter.; Twórzcie o sobie miły, bogowie nie zaczęli inaczej.; I słowo może być kneblem. ltd., itd...*

„*Aforysta nie uprawia polityki, jest „tylko” bardzo czujnym obserwatorem i/lub analitykiem zdarzeń, ludzkich postaw. Swoje obserwacje obleka w kostium, uniwersalizuje problem, nie osadzając go w czasie, ale pokazując mechanizm działania (a mechanizm tak bardzo się nie zmieniają). Stąd czytanie aforyzmów odbieram jako pewnego rodzaju deszyfrowanie statych kodów. Pewne też dlatego wydają się ciągle aktualne. I, co nie mniej ważne, mimo że jako czytelnicy różnimy się, patrząc na świat ze swojego tu i teraz, to podobnie odbieramy główne sensory, ironię, dowcip, przekazane w tych krótkich utworach. Owszem, od stopnia naszej erudycji i doświadczeń zależeć będzie wnikliwość wy-czytania, ale pozostawać będziemy w tej samej dyskursywnej przestrzeni. Nie bez znaczenia wydaje się fakt, że aforyzmy mają represyjny charakter, bowiem żądają od odbiorcy myślenia, czyli „czynności” spychanej na margines przez współczesne mass-media. Ale w zamian, obnażając różnego rodzaju załgania, uczulają na rozeznanie w rzeczywistości. Ponadto zapewniają znakomity język, w którym zwięzłość i precyzja w formułowaniu myśli zdają się być najważniejsze. Z dobrego aforyzmu nie da się usunąć żadnego słowa, każde ma znaczenie, ba, żeby tylko jedno. Ale nie, bo na znaczenie literalne nakłada się ważniejszy sens metaforyczny. A sens metaforyczny okazuje się częstokroć wieloznaczny, odwołuje do różnych kontekstów. I to, co wydawało się z pozoru proste, prostym nie jest. Nie ma uproszczeń. Nie ma klisz. Jeśli autor wychodzi od frazesu, to niechybnie po to, żeby go zdemaskować. Raz po raz pobrzmiwia ironia, sarkazm, humor obok filozoficznej zadumy. W semantycznych mechanizmach budowy aforyzmów rozpoznajemy siebie i innych. Podglądamy, przytapiujemy. Jakób ostrzega: *Nie wierz lustru. Odbija tylko to, co widać.* (1/109) A co widać? *Tylko to, co chcemy, żeby inni zobaczyli – przebranie. Zawsze dobrane do jakiegoś tu i teraz, przygotowane dla tych a nie innych oczu. Zaplanowaną czy narzuconą rolę gramy naturalnie i jesteśmy grani. Aktorstwo mamy we krwi. Może jedynie pojawić się dyalemat: *I ten ustawiczny kłopot z nadmiarem masek na twarzach uczuć...* (2/52) No cóż, *Tyle wiemy o sobie, ile wymyślimy.* (2/47) Bo w swojej skórze też jesteśmy przebrani. Bycie sobą okazuje się niemożliwe, bo wtedy nie tylko człek sam siebie nie może rozpoznać, ale też ma świadomość: *Nikt mnie nie poznaje, gdy jestem przebrany za samego siebie.* (1/128) Podejrzec, co jest po drugiej stronie lustra – nierealne. Zostaje tylko podejrzewać. Ze stwierdzeniem Szekspira: *Świat jest teatrem, aktorami ludzie, / Którzy kolejno wchodzi i znikają,* nikt już nie dyskutuje – co najwyżej jest ono wielokrotnie parafrazowane, a Jakób zwraca uwagę jeszcze na taki aspekt: *Czasem świat przypomina spiszek suflerów z aktorami: wszyscy wszystkim podpowiadają, jednak swoje role kładą.* (1/71) Ukryty przed widownią sufler podpowiada aktorowi, dbając o to, aby spektakl odbył się zgodnie ze scenariuszem – z tym jesteśmy obeznani. Ale u Jakóba nie tylko aktor może wypaść z roli, tu mamy do czynienia z sytuacją, w której aktorzy i suflerzy wchodzi w sekretne porozumienie i ubezpieczają się wzajemem. Zdawac by się mogło, że to podwójne zabezpieczenie zagwarantuje im sukces, ale nie. Mimo że wszyscy wszystkim podpowiadają, wychodzi kłapa. I gdybyż tylko na teatralnej scenie. Ale jeśli *świat jest teatrem....* Co za ulga, że Jakób w nagłosie aforyzmu zaznacza: *czasami.* Za to już bez czasowego zastrzeżenia powinniśmy mieć świadomość, że *Najtrudniej być błaznem dla samego siebie.* (1/48) Niełatwo (o ile w ogóle) przychodzi nam zmierzyć się z sobą, być swoim prześmiewcą, choć już ponad 180 lat temu Gogol apelował: *Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!* (Rewizor) A Jakób przewrotnie: *Chcesz poznać swoją wielkość? Zaczni od rozpoznawania własnej małości.* (2/26) Ale pewnie to głos wrażliwego na puszczę, bo *Małość niektórych ludzi bywa przerażająca. Ledwo się w niej mieszczą.* (1/36)**

„*Aforyzmy zawierają subiektywne sądy autora, jednak nie można im odmówić znamion prawd uniwersalnych, np. takich (oprócz dotychczas przytoczonych): *Wygrać los na loterii a nim pokierować – dwie różne sprawy.* (2/18), *Łatwiej przekląć los, niż go udźwignąć.* (2/23), *Zawsze to łatwiej leżeć krzyżem, niż wisieć na nim.* (1/32). Do pewnego czasu sami wybieramy sobie nieprzyjaciół. Potem mamy już ten kłopot z głowy.* (1/16)

„*Tak jak aforysta nie ogranicza swoich miniatur do jednego tematu, tak i sposób wypowiedzenia jest przez niego urozmaicony. Wymaga to dużej równowagi, jako że dominuje zasada: minimum słów. Cała myśl zamknięta w jednym, dwóch zdaniach – lapidarnie. Krócej pewnie się nie da przy założeniu, że musi być zachowany zamierzony sens. I tak aforyzm zaskakuje nas nie tylko oryginalnością myśli, ale i sposobem jej artykułowania. Uwodzi tak bardzo,*

że wiele z nich zapamiętujemy „mimochodem” i nasuwają się też „mimochodem”, kiedy chcemy skomentować jakąś sytuację.

„*Najczęściej autorzy aforyzmów wykorzystują paradoksy. Pisząc – *Tak naprawdę nic o sobie nie wiemy. I właśnie owo nic wystawia nam później rachunek.* (1/119) – Jakób tworzy wewnętrzną sprzeczność, zderzając kontrastowe cełości znaczeniowe. Innym razem podstawił jego myśli staje się oksymoron, np. *Stabość jest najmocniejsza – w końcu pokona każdego.* (1/106) W innym miejscu zwraca szczególną uwagę na precyzję frazeologiczną, bo *Zawiesić nadzieje na kotku, a powiesić – istotna różnica.* (1/120), a nawet na różnice słowotwórcze: *Sądziś, że Bóg nie wie, co modlenie, co mydlenie?* (1/112) Z kolei wykorzystując wieloznaczność słowa ponieść, notuje: *P o n i e ś ć odpowiedzialność. To już taka bezwłasnowolna?* (1/21) Zderza znaczenie słowa ponieść, czyli dźwigać, nosić coś „fizycznego” z ponieść w znaczeniu: zostać obciążonym jakimś zadaniem. Tym samym na znaczenie dosłowne nakłada przenośne i tak stworzone spiętrzenie znaczeń podaje ironicznemu wartościowaniu: *niesie się kogoś/coś, jeśli ten ktoś/to coś nie potrafi sam/samo się przemieszczać, co więcej – zgodnie ze swoją wolą. Ale jeśli tym czymś jest odpowiedzialność? Jeśli odpowiedzialność zostanie p o n i e ś i o n a ? – tym samym autor uświadamia niebezpieczeństwo nieponoszenia konsekwencji za swoje czyny, niebezpieczeństwo amoralności. W tymże kontekście nasuwa się aforyzm wskazujący konkretnego odbiorcę (dodatkowo apostrofę i przestrożę wzmocnia wykrzyknik): *Święci! Uważajcie, by aureole nie obsunęły się wam na szyję!* (1/7) Takiej celności i ostrości refleksji trudno się dziwić, gdy krytyk znamienity, a na warsztat została wzięta cała gama człowieczych wad. Jedne aforyzmy są pewnego rodzaju ostrzeżeniem, inne reportażem z codziennego życia, w którym człek przytapiany zostaje na głupocie, obłudzie, kiedy na jaw wywleczony zostaje jego cynizm, gry i gierki na różnych poziomach życia. Ale nie brakuje też humoru. Trudno się nie roześmiać, czytając aforyzmy, w których autor wychodzi od patetycznego frazesu i zestawia go ze zdroworozsądkowym porządkiem, np. *Miłość przenosi góry. Ale po co od razu tak pusć krajobraz?* (1/43), *Być może poznanie zabija miłość. Ale jak wypić wino bez odkorkowania butelki?* (1/69)**

„*Dla mnie zbiór aforyzmów to książka-palimpsest. Jedna myśl nakłada się na drugą, jedna przytoczona sytuacja przywołuje kolejną, a ich rozumienie jest możliwe dzięki znajomości tradycji, kontekstów i języka. To książka, którą teoretycznie przeczytać można bardzo szybko, ot, objętość króciutkiego opowiadanka w przeliczeniu na słowa/zdania, ale w praktyce czyta się bardzo długo, a powraca latami. Na tym, według mnie, polega jej fenomen. Hitchcock powiedział, że *film powinien zaczynać się od trzęsienia ziemi, potem zaś napięcie ma nieprzerwanie rosnąć.* Dla mnie dobre aforyzmy są właśnie jak trzęsienie ziemi u Hitchcocka, a potem, kiedy zderzamy je z własnymi doświadczeniami, wiedzą o historii, kulturze... napięcie rośnie. Demaskując, ośmieszając, ironizując, przekazują nam mądrość, w przewrotny sposób uczą krytycyzmu wobec siebie i innych, uczulają, że należy odróżnić dyskusję od zbioru monologów.* (1/73) To lektura przejmująca, ponieważ nie tylko ukazuje różne przerwaności etyczne, kulturowe, ale wskazuje na konieczność dokonywania takich przerwaności w swoim życiu. W lustrze aforyzmów nie zawsze wypadamy dobrze, a mówiąc precyzyjniej, najczęściej nie wypadamy dobrze – smutne to refleksje, ale konieczne. W dobie bylejakości językowej nie bez znaczenia jest także obcowanie ze znakomitym językiem, bogactwem tropów a zarazem lapidarnością i celnością sformułowań. To niewątpliwie atut. W powyższym tekście skupiłam się na dwóch ostatnich zbiorach Lecha M. Jakóba. Potraktowałam je jako pretekst do myśli ogólniejszej – po prostu: czytamy aforyzmy, bądźmy bogatsi o emocje, przemyslenia, do których nas zainspirują.

ANNA KRASUSKA

#### Przypisy

„*Nawias zawiera dwie liczby. Pierwsza umownie oznacza zbiór aforyzmów, czyli 1) Lech. M. Jakób: Poradnik złych manier. Szczecin-Bezzecze, Wydawnictwo FORMA, 2007; 2) Lech. M. Jakób: Do góry nogami. Szczecin-Bezzecze, Wydawnictwo FORMA, 2018. Druga liczba w nawiasie oznacza numer strony w zbiorze, z którego został zacytowany aforyzm. A jak ten gatunek literacki definiują znawcy? Chyba nie ma drugiego takiego, który wzbudzałby aż tyle kontrowersji w ustaleniu wspólnego stanowiska. Kazimierz Orzechowski mówi wręcz: *Nie pozostaje i nam nic innego, jak [...] zaliczyć aforyzm do tych realności, których najwidoczniej lepiej nie określać. Jednak nauka wymagała zdefiniowania aforyzmu i jego miarodajne określenie zamieszcza np. Słownik terminów literackich (autorstwa Michała Głowińskiego, Teresy Kostkiewiczowej, Aleksandry Okopień-Sławińskiej, Janusza Sławińskiego, Wrocław, 1976, uzup. 2002): Aforyzm – zwięzłe sformułowanie, zwykle jednozdaniowe, ogólnej prawdy o charakterze filozoficznym, psychologicznym czy moralnym, odznaczające się stylistyczną wyrazistością i błyskotliwością Mechanizm wypowiedzi aforystycznej opiera się najczęściej na chwytach antytezy i paradoksu; bywa ona przewrotnym nawiązaniem do prawd obiegowych i zdroworozsądkowych formuł. Aforyzm może występować nie tylko jako utwór samodzielny, ale też jako wyrazista część większej wypowiedzi, np. jako jej pointa [...]* (Por. apoftegmat, gnomia, maksyma, sentencja, złota myśl).*

# Lepsze jutro było wczoraj

W książce „Mitologie popularne” z roku 1994 możemy przeczytać tekst kulturoznawcy Wojciecha Michery: „Nie ulega bowiem wątpliwości, że czerwone oko twardego dysku, reagujące na sygnał biegnący z klawiatury, to dla wielu współczesne oko opatrności, za pomocą modemu i coraz doskonalszej sieci telefonicznej komputer ogarnia natychmiast cały świat, wdzierając się do pamięci kryjących największe tajemnice, niczego nie zapominając, dokonując sprawiedliwego osądu, wskazuje przyszłość”.

Koniec XX wieku był przeniknięty entuzjastycznym oczekiwaniem, niemożliwą obietnicą trwania w szczęśliwej współczesności. Towarzyszyła temu niezachwiana wiara w postęp, bezkrytyczne zaufanie przyszłości, zapatrzenie w utopijne zapowiedzi lepszego jutra. Potem przyszłość została zdyskredytowana, ludzie uświadomili sobie, że ta utopijna wizja to znikający punkt, którego nigdy nie dogonią. Ludzie czekali na przyszłość jak na zbawienie, wypełnieni nadzieją bogacenia się, jakby miał nastąpić jakiś rajski czas nowoczesności. Gdy cywilizacja minęła ten punkt, widmo szczęśliwego trwania znalazło się za nami. Nowoczesność stała się retro.

W XXI wieku świat jutra nie nadszedł. Zamiast wielkich wynalazków mamy odliczanie kolejnych modeli iphona. Jednocześnie cywilizacja nie doznała amnezji, nie zapomniała swoich grzechów, wręcz przeciwnie, przeszłość jak na złość nie chce odejść, a przyszłość nie chce nadejść. Zamiast linii biegnącej w przód, doświadczamy płynnej teraźniejszości. W jakimś zaniechanym czasie utknął świat wyidealizowanego jutra. Maszyny nie wprowadziły nas do świata przyszłości, nie ma zbawienia, jest za to wieczna konsumpcja. Przepowiednie przyszłości zastąpiło poczucie końca.

Współczesne twory cywilizacji od początku skażone są nietrwałością i rozpadem. Do niedawna cykle zastępowania produktów były dużo dłuższe, dziś ich czas jest na tyle krótki, że tkwi w nich unieważnienie. Rytm technologicznej konsumpcji przyspiesza, choć zmiany są często pozorne i kosmetyczne.

Podobnie jak cykle technologiczne, skróceniu uległa też pamięć. Fragmentaryczność i niespójność wspomnień sama w sobie niepokoi. Ziarno saturacji jest coraz mocniejsze, aż w końcu szum przesłania obraz. To, co udało się zapisać na twardym dysku pamięci, staje się niezależnym od nas tworem wyobraźni. Szczątki rzeczywistości gniją tu i tam, medialne symulacje generują nadrzeczywistość, pozbawioną źródła i realności. Świat jest reprodukowany w nieskończoność, nie można odróżnić map od terytorium, które miały opisywać. Zamiast wspomnień pojawiają się widma minionych zdarzeń, zamiast chronologicznie ułożonej historii wykwitają mity, odradzają się dawne mody, ideologie, hologramy rzeczywistości.

Następuje kopiowanie kopii i obsesyjne duplikowanie, które doprowadza do utraty znaczenia.

Ta pustka rodzi nostalgię, która rozrasta się bez końca. Lata 80 i 90 ledwo się wyłoniły, a już są odległą przeszłością. Na peryferiach kultury pojawiła się moda na kolekcjonowanie utopijnych widm, dygitalizowanie wspomnień, odtwarzanie fantazji i wyobrażeń o szczęśliwej dorosłości. W wyczerpanej kulturze dominuje powielanie i stylizacja na kiczowate lata 80 i 90. To poszukiwanie resztek czegoś stałego w zużytych świecie, który przeżywa kryzys nadmiernego wzrostu. Spektra, który odwiedziły naszą rzeczywistość, mnożą się bezustannie, a euforia fin de siecle przeszła w deliryczne halucynacje, w poczucie niemożności zapanowania nad sprzecznościami zawirusowanego systemu.

Dzisiejsza sztuka nie żywi się już utopijnymi wizjami, ale obserwowaniem stanów rzeczywistości. Jak światłoczuła błona analogowego aparatu wychwytuje cząsteczki światła, tak ponowoczesna sztuka, wyczuwa skomplikowane wahania. Na przykład wychwycała nostalgię wielkich centrów handlowych. Echo przyjemnej muzyki, parkingi po godzinach, schody automatyczne sunące bez pasażerów. Takie niuanse lepiej od literatury zapisują dźwięki. Powstał więc kilka lat temu podgatunek, nawiązujący do muzyki granej w galeriach by umilić konsumentom krążenie pomiędzy witrynami. To część gatunku znanego jako vaporwave. Momentami ociera się o kakofonię, lecz tu chodzi raczej o estetykę, o zbiory zapętlonych dźwięków przewodzących określone retro-futurystyczne obrazy – w których wspomnienia z dzieciństwa mylą się ze snami, gramami komputerowymi, ścinkami z kaset VHS, reklamami, popem i abstrakcyjnymi prezentacjami video. Pomyślmy o czołówce starej Sony, o wibrujących uderzeniach ksylofonu z programów edukacyjnym o chemii. Weźmy na przykład płytę Hologram Plaza zespołu Disconscious, która ma chyba wzbudzać wrażenie, że znaleźliśmy się w widmowej galerii handlowej, stworzonej ze światła i jaskrawych obrazów. Przejrzyste dźwięki odurzają, wypełniają przestrzeń echem, równie przyjemnym co niepokojącym. Oto płyniemy pomiędzy witrynami, ale gdy muzyka zaczyna się zacinąć i cichnąć, rodzi się lęk, że oto te wszystkie złudzenia zaraz znikną.

Nad bezkresnym oceanem świeci wieczne słońce, panują ciepłe barwy wiecznego lata i nostalgia końca sezonu. Gdyby zacięcia grafiki nie zmieniły jej w groteskowy symulakron, ta idylla przypominałaby stockowe zdjęcia używane w folderach reklamowych. To element mody na nostalgię sztuki i technologii lat 80 i 90, a w zasadzie pewnych niespełnionych mirażów, które wtedy powstały. Choć niektórzy postrzegają to jako bunt przeciwko późnemu kapitalizmowi, modę tę już dawno podchwycił mainstream.

W sztuce wizualnej eksploruje się estetykę szumów, zacięć i zniekształceń. Biały szum jest wyrazem lęku przez własne rozpiskelizowanie w chaosie informacyjnym albo ma zastąpić go kojącą i bezcelową kontemplacją. Świat jest uproszczony, jak w amatorskiej aplikacji do kartonowych okularów VR.

Te nurty i moda na to co niemodne, wynikają z rozczarowania współczesną estetyzacją. Globalizacja estetyczności miała sprawić, że świat będzie lepszy. Na chwałę dążenie, które miało obdarzyć świat pięknem, kończy się na rozpowszechnianiu ładnego wyglądu. To rodzi z czasem niesmak. Upiększanie wszystkiego jest zgubne dla jakości. Rodzi się w końcu tęsknota za kiczem, brakiem estetyki, ochota na pauzy i zakłócenia, szukanie ruin i pustkowi pośród sztucznie wykreowanej hiperestetyczności.

Zmiany ustrojowe pozostawił po sobie masę nieużytecznych, niemodnych przedmiotów. Można te przedmioty lat dziewięćdziesiątych porównać do kultu cargo. Jakbyśmy obudzili się w samym środku amerykańskiego snu, ale ten sen przeminął szybko wraz z młodością. Może dlatego pamiętki po latach dziewięćdziesiątych są tak cenione. Jakby pochodziły z odległej przeszłości, a nie sprzed kilkunastu lat. Sieć stała się elektronicznym przedłużeniem życia „widmowych” przedmiotów ery kiczu i niedoskonałości. Trwają tam, w swoich limbach, lub są wystawiane na aukcjach, w zakątkach „pawlaczach” Internetu, bezwstydnie archaiczne i ostentacyjnie niemodne, wskrzeszone z martwych. Mamy nieco wyrzutów sumienia, bo wyrzuciliśmy je na śmietnik, upchnęliśmy pod łóżko lub do piwnicy. Być może lepiej by było, gdyby tam pozostały. Są nastawione ironicznym, jakby wiedziały, że kiedyś wrócą do tego wymiaru, dogonią nas i przeżyją. Wraz z historią, przed którą chcieliśmy uciec w błogosławiony ocean nowoczesności. Gdy na tej nowoczesności pojawiła się dystorsja i okazało się, że to hologram, powróciły wygrzebane widma i przedmioty. Są niczym zapowiedź przeszłości, która goni nas jak chmura nanobotów, obracająca wszystko z powrotem w jakiś pra-rasół.

W latach 90 ogłoszono koniec historii, miała się zacząć ciągła era kapitalistycznego rozwoju, odmierzana kolejnymi etapami nowoczesności. Okazało się, że to była fatamorgana, a w idylliczny obraz ledowych wyświetlaczy wdarł się dysonans, defekt obrazu, narastający cyklicznie szum. Następna okazja, na załapanie się na windę do krainy wiecznej szczęśliwości, została przesunięta daleko w przód, w niemożliwy do ogarnięcia ocean transhumanizmu. W najbliższych dekadach będziemy mogli co najwyżej zatopić się w symulacji raj, za pomocą aparatury wirtualnej rzeczywistości. Pomysł ten jest zresztą jak najbardziej retro, wywodzący się z zamierzczłych czasów przed Internetem.

MICHAŁ FRĄCKIEWICZ

Andrzej Walter

# Emilios Salomou – Recepta na życie

Emilios Salomou, cypryjski pisarz młodego pokolenia, o którym miałem już przyjemność pisać jakiś czas temu, swoją nową powieścią „Nienawiść, to połowa zemsty” przekroczył Rubikon powieści wielkich.

Z reguły staram się właśnie zdecydowanie ulegać uczuciom oraz emocjom, aby jednocześnie wystrzegać się jak ognia słów granicznych, tandetnych, pochopnych zachwyków czy pseudoliterackich szaleństw z nadużywaniem słów o pisarzach „wybitnych”, o twórcach, których tak naprawdę oceni (Bóg i Historia) ... ktoś inny, a najrzetelniej czytelnicy, tudzież upływający czas i przestrzeń naszych światów ewoluujących ku światom innym, nowym, jeszcze nieodkrytym. Patyna owego czasu pokryje więc: słowa, znaczenia i przesłania, z jednym wszakże wyjątkiem, a wyjątek ten będzie stanowił

pewnego rodzaju manifest społeczny w czasach de-gregolady wszechobecnej, na użytek troglodytów, ku którym to czasem bezwiednie i nieuchronnie zmierzamy, chcąc tego, bądź nie.

Nowa książka Salomou jeszcze, jak sądzę, nie stanowi jej odezwę, jeszcze bliżej jest jej być może jedynie do zarzewia,

do iskry - owego buntu mas, społeczeństw i pokoleń, ale na kanwie entuzjazmu po lekturze, tych grubo ponad sześćdziesiąt stron powieści utalentowanego cypryjszaka, mogę, mam prawo i mam chęć, i taką głęboką potrzebę - tam ją właśnie ujrzeć, taką ją Wam przedstawić i niejako tak do niej zachęcić, gdyż ja Wam sądzę, że każdy człowiek współczesny powinien poddać się tej lekturze, powinien ulec magii słów, ulec sile przekazu oraz głębi treści czy podrażnienia naszej świadomości poprzez moc postawionych w niej tez.

Fenomenalna powieść. Nowatorska w swej konstrukcji, języku i przeprowadzeniu narracji. Opierająca się na najlepszych wzorcach klasyki literatury światowej, a jednocześnie szukająca bardzo zdecydowanie własnego literackiego wyrazu. Powieść, która niejako, być może bardzo odległe, lecz jednak, może nam przywołać w mgłę skojarzeń twórczość Fiodora Dostojewskiego, albo choć jej wymiar, atmosferę oraz warstwę tamtej estetyki, ale wszystko to jest napisane jakby daleko od nowa, a w zasadzie całkowicie od nowa.

Po prostu, nasza historia, wydaje się, dotarła do podobnego punktu na mapie ludzkich dylematów, przeżyć i do-

świadczeń, która determinuje takie, a nie inne, postawienie problemu wręcz ludzkości dziś, tu i teraz, parafrazując odwieczne człowiecze rozterki opierające się na rozważaniach banalnej zbrodni i kary.

Jednak w tym wszystkim, w jakby całokształcie tej powieści, możemy ową, zarówno zbrodnię jak i karę, od-czytać na nowo, z duchem naszych czasów, z perspektyw naszych dylematów, naszych uczuć i naszego, na wskroś współczesnego spojrzenia na świat. To wszystko, powtórzę dobitnie i wyraźnie, jest przetransponowane całkowicie od nowa, a w zasadzie – warto to podkreślić – samo jądro ciemności, sam problem, dylemat i sedno jest tutaj odwrócone totalnie. Charakteryzuje się to jaskrawym postawieniem dylematu – nie zbrodnia rodzi bowiem karę, a sama kara, ucieleśniona, uwymiarowana kara, sama jakby idea kary, doprowadza do zbrodni, do zbrodni pozornie doskonałej, do zbrodni, o której wiemy prawie wszystko i (o grozo) trzymamy sztamę ze zbrodniarzem.

Ta powieść ma nam dać pełnię psychologicznego wymiaru zbrodni, która rodzi zbrodnię kolejną i która rozprzestrzenia na ten świat całą wręcz epidemię zbrod-

ni, wszelakie jej barwy i odcienie, jej zdemaskowaną współczesność, jej postać denominowaną postawą *homo oeconomicus* i *homo faber* razem wziętych i spotęgowanych degeneracją psuedowolności rodzącej nowoczesne niewolnictwo. Matnia codziennego uwikłania, nici opowiedzianych historii oraz wyrafiniowanie przedstawiony stan ducha i emocji bohaterów tej powieści dosłownie powalają. Wgniatają w fotel. Unicestwiają. Tę jakże potężną objętościowo powieść polityka się w kilka dni. Czas staje w miejscu.

Salomou nie daje wytchnienia. Napisał coś, co może wydać się z bardzo daleka namiastką kryminału, coś co jest świetną analizą stanu ducha współczesnych społeczeństw, jako takich oraz każdego z nas z osobna, również – jako takich. Każdy odnajdzie tu cząstkę siebie, ale i każdy odnajdzie tu sąsiada zza ściany, przechodnia na ulicy, siostrę, brata, vipa i uchodźcę, emigranta cienia i wędrowca poszukującego szczęścia, z góry skazanego na klęskę współczesności, która raczy nas raczej namiastkami szczęścia, ersatzem radości oraz pozorami prawdziwego życia.

Salomou da nam jednocześnie twardą i mocną odpowiedź na naszą potrzebę szczęścia, właściwie określi nam otwarcie czym ono tak naprawdę jest, a czym nie jest. Od wieków. Zrobi to perfidnie i podstępnie. Jak wielki i ważny pisarz. Jak pisarz, którego rola dziś, nie bójmy się tego wyrazić, jest jaka jest. Pisarz, którego zepchnięto do miana dziwaków, w większości ledwo wiążących koniec z końcem.

„Nienawiść, to połowa zemsty”. Książka klucz. Metafora współczesności. Czyrak czasów. Poprowadzona wielowątkową narracją filmową, jakże niezbędną współczesnemu czytelnikowi-widzowi do osadzenia bliskich mu bohaterów, w rozpoznanym i odgadnionym świecie, a jednocześnie w świecie pełnym niepewności jutra i gąszczu pytań o przyszłość. Książka żyjąca z historii, czerpiąca z niej, a jednocześnie jawnie ją oskarżająca i manifestująca nasze historyczne nieuctwo, aby nie rzec niechęć do wyciągania z historii wniosków i uczenia się od niej jak żyć i jak ten świat ulepszyć. Nie chcemy go jednak ulepszać. Naszą ojczyzną są pieniądze, a ich ojczyzną jest władza. Władza nad umysłami. Kontredans tych sił i jawne ostrzeżenie – ależ tak, to załówek diagnozy współczesności – to zacytuj manifestu nowej rewolucji, która może się stać zarzewiem otrzeźwienia niczym nowa wojna łaknących z sytymi. Nie wolność, nie idea, nie światopogląd nam wytyczy przyszłość, ale uczucie i wiara. W co? A, o tym książka Emiliosa Salomou kompletnie milczy zachowując powściągliwość i dyskrecję godną współczesnych zlaicyzowanych społeczeństw, które oddzieliły już sacrum od profanum i być może nawet gdzieś tam jeszcze rozważają czy są dzięki temu szczęśliwsze, lecz nie to z gruntu je przecieży zajmuje.

Zajmuje je bardziej jak przeżyć i się nie zeszmacić, nie ześwinić do reszty, jak przeżyć w demokracji kompromisu, jak przeżyć w tej globalnej szachrajskiej grze z siłami dalece przekraczającymi nasze racje bytu i racje egzystencji?

Ta książka wykracza poza ramy tradycyjnego pisarstwa. Dostarcza nam wszystko to, czego oczekujemy od współczesnej powieści, dostarcza: akcji, *dziania się*, genialnej narracji, wyrazistości, acz i tajemnicy każdego z bohaterów, pełnych natłoku emocji klisz współczesności z całym wachlarzem pytań, dylematów, przeżyć i lęków, a jednocześnie ta powieść po prostu wciągająca, poruszająca i najwyczerpiącej w świecie po prostu świetnie się ... czytająca. Czyta się to tak, że aż zapiera dech. Jakże mało dziś takich książek. Są dziś albo zbyt powierzchowne, skrojone pod mało wybrednego czytelnika romansów czy kryminałów, albo pod *zesnobowanego* egoistę, który mniej czyta, a bardziej obnosi się z tytułem.

„Nienawiść...” to wręcz coś przeciwnego – normalna książka, *duża* powieść, chciałoby się powiedzieć – „jak dawniej”... Bez kiczu, prostoty czy uproszczeń, ale i bez patosu i słów zbyt mądrych, aby były prawdziwe. Czytelnicze wyzwanie (kilku rozdziałów „wciągnięcia się”) zrekomensowane z nawiązką całą resztą. (ale i warto nadmienić, że zrekomensowane perfekcyjnie nostalgicznym i artystycznym stylem, o którym rozprawialiśmy już przy okazji omawiania „Dziennika zdrady” sprzed kilku lat)

To jest bardzo ważna dziś książka. Nie, nie zdradzę Wam żadnych szczegółów, oprócz tych, przywołanych przez Wydawcę. Siła zaskakiwania czytelnika, to siła tej książki. Siła opowiedzianych historii mówi sama za siebie. A Wydawca opowiada o książce tak (jak poniżej przytaczam) i Wydawca mnie nie przekonywa i nie zachęca, a szkoda...

„21 kwietnia 1870 roku w Dilesi, mieście na beockim wybrzeżu, zostaje porwanych czterech prominentnych Europejczyków: trzech obywateli Wielkiej Brytanii i jeden Włoch. Porywaczami są greccy rozbójnicy, a wydarzenie to staje się bezpośrednią przyczyną kryzysu na linii Grecja – Wielka Brytania. Po dziesięciu dniach mężczyźni zostają zamordowani. Wydarzenia te przesyły do historii

jako masakra w Dilesi i zwróciły Europę przeciwko Grecji oraz odsłoniły głęboko zakorzenione mechanizmy korupcyjne greckiego systemu politycznego i jego związki z tymi tragicznymi wydarzeniami.

21 kwietnia 2013 roku: brutalne morderstwo członków europejskiej Troiki w jednym z hoteli położonych w centrum Aten znowu zwraca europejską opinię publiczną przeciwko Grecji. Ta zaś, w samym środku wieloaspektowego kryzysu znowu otrzyma łatkę czarnej owcy. Zakodowana wiadomość zostawiona przez mordercę na miejscu zbrodni powiąże zdarzenie z masakrą w Dilesi. Greccy rozbójnicy z przeszłości powracają do życia po 143 latach.”

Właściwie jestem pewien, że ta „reklama” bardzo źle spełnia swoją funkcję. Ta książka jest po prostu nominalnie o tym. Te wydarzenia stanowią pewną kanwę, sztafaż, szeroko pojęte ramy tej powieści. Jej esencja wkracza zdecydowanie w naszą jaźń, porusza naszą wrażliwość, porusza sumienia i zmusza do myślenia, przeżycia oraz postawienia samemu sobie wielu fundamentalnych pytań. To tak jakby napisać, że „Ziemia obiecana” to książka o Polaku, Niemcu i Żydzie, czy „Quo vadis” to książka jak to lwy zjadały chrześcijan...

A „Nienawiść, to połowa zemsty”. Tytuł jest wyzwaniem. Reszta jest podobno czynem. Czy jest to zatem książka o nienawiści? Tego Wam nie powiem. Nie żebym nie chciał. Sam się nad tym po lekturze zastanawiam. Pierwszy raz dałem się ponieść książce, w której niejako postawiony zostałem kibicowaniu zbrodni, w której stanąłem po stronie złoczyńcy, w której sam siebie pytałem, czy jest to uprawnione, czy mam prawo rozgrzeszać, było nie było, szaleńca. A jednak Salomou napisał to tak, że nie będziecie w stanie przejść do porządku dziennego nad ludzką krzywdą i ludzkim nieszczęściem, że nie otrząsniecie się prędko z myśli o losie tak swoim, jak i swoich najbliższych, że odłożycie tę książkę z poczuciem głębokiej satysfakcji oraz spełnienia, a równocześnie otwartości wielkiego finału. Choć finał wcale nie będzie wielki... A w trakcie lektury jakby podskórnie czuję, że ofiara, faktycznie powinna być ofiarą, że jest winna, że zasłużyła, że żadna lepsza „sprawiedliwość” jej nie sięgnie i że ta ofiara jest doszczętnie: zepsuta, zblazowana i wynaturzona...

Salomou udowodnił, że choć jest cypryjczykiem, to właśnie literatura grecka stanowi ogromny potencjał, że idzie własną drogą, daleką od mód, póż oraz blichtru współczesności, że ma własną, wielką dykcję, że stanowi dla nas jednocześnie wyzwanie, jak również kopalnię rzetelnej pisarskiej propozycji dla zagubionych dziś czytelników. Cypr jest bowiem – to dygresja, taka na marginesie „sprawy” – erupcją grecko-tureckiego odwiecznego konfliktu, a jako taki, jest w zasadzie wykwittem żywej Historii Europy na przestrzeni wielu wieków i jako taki nadal podlega jej procesom i ewolucji. Jest wynikiem działania wielu sił, mocarstw oraz wydarzeń. Jest dowodem na to, że idea Europy jest wciąż żywa i nawet zakopywana pod ziemię, czy deformowana przez brukselskie elity, bądź lewickie pseudoeolity, zawsze będzie dowodem na kontrast kultur Wschodu i Zachodu.

Grecja jest na tym tle państwem granicznym, państwem od zawsze poddawanym swego rodzaju eksperymentom i doświadczeniom, państwem wciągany w grę mocarstw silniej niż jakiegokolwiek inne i państwem kolebką naszej europejskości. Jesteśmy bowiem dziećmi szeroko pojętego hellenizmu, którego korzenie sięgają hen poza horyzont nawet chrześcijaństwa. Ten wymiar greckości zbliża nas do głębszego pojęcia zachodzących tam, w tej przedziwnej Grecji – procesów i traum. Nie da się bowiem jednoznacznie ocenić słynnego już greckiego kryzysu bez wnikanania w kondycję współczesnych społeczeństw Zachodu – ich mentalności, deformacji dziejowej oraz ideowego wynaturzenia. Tym procesom podlegają też, bez żadnych wyjątków zarówno społeczeństwa i polskie jak i greckie, a dziś nawet – we właściwym sobie sensie i tureckie, choć to zdecydowanie odrębna sprawa i nie temat naszych rozważań.

Lektura prozy Emiliosa Salomou skłania do takich właśnie refleksji, daleko snujących się przemyśleń nad: zarówno losem człowieka, pozornie wolnej jednostki, jak i nad emancypacją społeczeństw poddawana grze sił ekonomicznych, za którymi stoją szare eminencje rzeczywistości, o bliżej niesprecyzowanym autoramentcie, acz silne, zwarte i gotowe, aby nam życie i świat urządzić, wtlaczając nas w nowy wymiar niewolnictwa, albo swoistej. ładnie brzmiącej, wolnej niewoli, jak kto sobie tam woli.

Grzech pychy i tolerancji. Grzech samowoli i do woli, bez granic, bez sumień, bez osądów. I w tym wszystkim: beznadzieja, mur, ściana, pozłacana klatka codzienności, z dnia na dzień odzierana za złudzeń, a w Grecji nawet ze środków na przeżycie. To rodzi bunt, to rodzi żal, gniew, rozpacz?... co jeszcze?...

Odpowiedzi na te pytania, rzecz jasna w książce Salomou nie znajdziecie. Tym lepiej. Znakomicie, że nasz

autor do pytań tych doprowadza cichutko, dyskretnie, zdaje się bardzo subtelnie, mimochodem. Te pytania krążą nad powieścią jednak bardzo jawnie. Wyraźnie, mocno i zdecydowanie.

Kim zatem jest autor – Emilios Salomou?...

Emilios Salomou jest cypryjskim pisarzem, dziennikarzem i nauczycielem urodzonym w Nikozji. Studiował na Uniwersytecie Ateńskim. Pracował jako dziennikarz, obecnie jest nauczycielem języka greckiego i historii. Współpracował z literackim magazynem „Anef” i Stowarzyszeniem Cypryjskich Pisarzy. Za swój prozatorski debiut „An Axe in Your Hands” (2007) otrzymał literacką nagrodę Cypru, zaś jego druga powieść „Dziennik zdrady” (Hμερολόγιο μιας απιστίας, 2012) został uhonorowany Europejską Nagrodą Literacką. Jego prace tłumaczone do tej pory na język angielski, niemiecki, bułgarski, albański, serbski, słoweński, węgierski, chorwacki, macedoński i oczywiście polski.

To literat z klasą, którego druga, po debiutanckiej, dość obficie już poznana w Europie książka „Dziennik zdrady” była książką ujmijmy to – bardzo piękną i zwyczajnie dobrą. Wyróżniającą się. Obecna książka „Nienawiść, to połowa zemsty” jest już książką bardzo dobrą (używając terminologii szkolnej, jeszcze nie celującą, na celującą przyjdzie czas po 50tce). Jest powieścią zdecydowanie lepszą i dojrzalszą. Ten postęp jest ważny i znamieny. Ewidentny. Pisarz rozwinął skrzydła. I to jak. To znakomity, jak się okazuje, twórca, którego horyzonty są bardzo gęste, pełne, bogate, różnorodne i hojne w literacki potencjał. Wróżę mu zaszczytną przyszłość... Choć sądzę, że gdyby Parlament Europejski przeczytał sobie oto dziś „Nienawiść...” ów autor tej nagrody by nie dostał. Może to i perwersja odautorska, który w najlepszy z możliwych sposobów odpłaca się hipokrytom.

Co zostawia po sobie Emilios Salomou „Nienawiść...”? Zostawia nam ostrzeżenie. Sygnał ostrzegawczy. Przestrozę. Głęboko wewnętrzzną analizę stanu ducha jednostki wobec świata zepsutego nowoczesnością, cybernetyką, nowym wymiarem rzeczywistości. Do tego wszystko w atmosferze greckiej (ale nie tylko) klęski, upadłości, bankructwa wręcz i końca końców. Zadłużamy się bowiem nie tylko materialnie. Zaciągamy też mroczny, wstydlivy i zdeformowany moralnie dług duchowy wobec przyszłych pokoleń *jaki to wspaniały świat* im zostawiamy... Sami trzymamy „rękę w nocniku”, a tych co po nas uczymy i tresujemy jak w tym nocniku świetnie pływać, jak się dostosować i zaadoptować i jak pokornie ulegać tym naszym, pożałuj Boże, osiągnięciom.

A po nas choćby i potop. Salomou odwróceniem ról określa ten Potop. On już nadciąga, czujemy go podskórnie, podświadomie, wewnętrznym. Czujemy się jak zbójcy (ci dawni, ale i ci współcześni), jak zbiry, najmowane pokątnie do nie swoich ról, ale do ról „społecznie potrzebnych” i daremnie wciągających, stałych, trybów w maszynie cywilizacji... Cywilizacji śmierci, choć to zabrzmie znowu banalnie. Ta śmierć jest tu fantomem. Ułudą dziania się realnego bytu. Ta śmierć, ta krew, odcięte głowy... pachną ty groteską, choć wydarzają się realnie. Kara i zbrodnia. Patchwork postmodernistyczny. Za co kara? Za postęp? A zbrodnia? Czy komuś potrzebna, czy zbędny balast obciążający i tak wyprane już z wątpliwości sumienie? Jakże to na czasie...

Ile jest jeszcze nas w nas? Dokąd zmierzamy? Z kim, po co, dlaczego? Nikt już nie pyta. W ziemskim lunaparku mamy się zapracować, a potem bawić, niewiele myśląc, a wszystko tylko w celach jak największej konsumpcji. To już nie ta bajka opowiedziana nam przez Salomou. To już smutne myśli, z którymi nas zostawił. Choć ta książka jest potężna. Potężniejsza niż te myśli. Jakby mimochodem. Jakby w tle, w cieniu jest ogromna fascynacja człowiekiem – jego miłością, uczuciami, emocjami, wnętrzem, jego duchem i jego abstrakcyjnymi formami egzystencji. Odpowiednością natury i jej praw. Emilios Salomou kocha ludzi. To się czuje na każdym kroku. Nawet ich brudy pokazuje biorąc ich w obronę... To bardzo ważna cecha jego tekstów... one przywołują nadzieję. Nakazują ją niejako. Kierują nas w jej nurt i atmosferę.

Emilios Salomou w „Nienawiść, to połowa zemsty” przekroczył Rubikon spraw najważniejszych. Scalił nasze wczoraj z naszym jutrem i ukazał nam gdzie jesteśmy i co najważniejsze przypomniał nam, że Ziemia, to planeta ludzi. Nikt na niej nie jest samotną wyspą. Znaczymy na niej tyle ile mamy siebie nawzajem... i ile dajemy sobie nawzajem. Taka prosta recepta... na szczęście wbrew karom i zbrodniom.

**ANDRZEJ WALTER**

Emilios Salomou „Nienawiść, to połowa zemsty”.

Wydawnictwo Książkowe Klimaty,  
seria Greckie Klimaty, Wrocław 2018. Stron 652. ISBN:  
9788365595812

– tłumaczenie i przekład: Ewa T. Szyler i Beata Żółkiewicz-Siakantaris

# Pionki w grze – Kazimierza Grochmalskiego „Traktat o marionetkach” (recenzja)

Jak pisał Stanisław Grochowiak „Bunt nie przemija, bunt się ustatecznia”. I zgoda, bo najczęściej ton poetów mających w dorobku trzeci, czwarty i kolejny tomik poezji z czasem łagodnieje, aż do czasu, kiedy jak Miłosz wspominają jako dziewięćdziesięcioletni starcy tyłki powabnych dziewcząt. Tak jest w przypadku „nowych nadziei polskiej liryki współczesnej” na dorobku, ale autora „Traktatu o marionetkach” nie można zakwalifikować jako debiutanta w procederze.

Kazimierz Grochmalski nie jest postacią anonimową; działa na scenie teatralnej Poznania już od połowy lat siedemdziesiątych, kiedy to założył eksperymentalny teatr Maya i do końca lat dziewięćdziesiątych aktywnie działał jako reżyser i animator kultury, dlatego warto posłuchać jego diagnozy bolączek współczesności, które mimo ciągłej zmieniającej się, ciągle przyspieszającej cywilizacji cierpi na tę samą chorobę – kryzysu prawdy jako wartości elementarnej.

Grochmalski ciągle prowadzi krucjatę przeciwko tandeciarstwu: w 2016 roku wstąpił na drogę sądowną przeciw poznańskiej Estradzie, chcąc przerwać organizowanie jarmarków na Starym Rynku, które nijak się mają do oferty kulturalnej miasta. Nazwał ją „przeżytkiem komunistycznej rozrywki dla mas”<sup>1</sup>, w konsekwencji instytucja pozwała go do sądu, gdzie został uniewinniony. Grochmalski nie poddaje się i w dalszym ciągu zamierza protestować przeciwko fałszywie pojętemu podejściu do sztuki i traktowaniu kultury jako rzeczy drugorzędnej. Teraz zamierza z nią walczyć za pomocą słowa pisanego. W 2016 roku wydał debiutancki tomik „Teatr, którego nie było”, obecnie wydawnictwo Naumov CEE opublikowało jego nowy zbiór wierszy pod tytułem „Traktat o marionetkach”, który „próbuję przywrócić prawdziwe wartości, pragnienia i intencje, jakimi kieruje się współczesny człowiek. Nie jest to zadanie łatwe. W poszczególnych częściach cyklu autor próbuje odszyfrować maski, koneksje, zależności, obowiązki, jakie nakłada na nas presja nowoczesnego stylu życia.”<sup>2</sup> Tomik składa się z trzech części: „W sercu piekła”, „Wyprawa do Krainy Konfitury” oraz „Wyzwolenie marionetki”, z których – choć całość tworzy spójną koncepcję artystyczną – najważniejsza i najciekawsza jest ta pierwsza. Grochmalski daje upust swojemu buntowi przeciw komercyjnej rzeczywistości, plątaniu komunikatów, z których coraz rzadziej potrafimy wyłapywać wartościowe informacje. Nie jest to jednak narzekanie w próżnię, oskarżanie bohaterów bez imienia i tożsamości, bo „Traktat o marionetkach” to poetyka konkretnie osadzona w korporacyjnym kołnierzu, który w większości czytający te słowa ubierają codziennie, wychodząc do pracy. Poeta przeprowadza rachunek sumienia dla chciwych przedsiębiorców, koniunkturalnych naukowców i twórców nastawionych na granty a nie własne zainteresowania badawcze:

Bełkot naukowców, którzy w poszukiwaniu grantów postanowili schłodzić klimat, który i tak jest upierdliwie zimny i za chwilę zamrozi nas w okowach skandynawskiej nocy!  
Bełkot twórców, co tworzą programy naprawy świata, aby przeżyć do kolejnej dotacji unijnej, która działa w ramach zaprogramowanych struktur, które z kolei mają programować nowe pokolenia in vitro.<sup>3</sup>

Obywa się też dziełom kultury, mediom, filozofii, pornografii. Krytyki nie unika też kult młodości czy kult ciała. Kolejne, mianujące się przedrostkiem post- epoki zapędziły się już tak daleko, że pozostaje tylko oskarżyć psa o wywrócenie świata do góry nogami – zajęcie miejsca swojego właściciela, który śpi w budzie. Choćby nie wiem jak dalece liryka autora mnożyła absurdalne przykłady nie ulega wątpliwości, że jego ocena jest trafna – w pogoni za nie wiadomo czym dawno zgubiliśmy nie tyle zdrowy rozsądek, co sens. No tak, krytykować korporacyjność jest łatwo,

oczywiście. Szczególnie, gdy stoi się z boku i tylko obserwuje. Co może wiedzieć ktoś, kto prawie całe życie przesiedział na krześle reżysera? Nic z tych rzeczy. Grochmalski po zawieszeniu działalności przez „Teatr Maya” zajął się biznesem: był właścicielem kilku firm zajmujących się obrotem nieruchomościami oraz autorem koncepcji sieci sklepów Żabka, którą opracował na zlecenie firmy Elektromis prowadzonej przez Mariusza Świtalskiego (sic!) powstałej teorii filozofii Jerzego Kmity o interpretacji humanistycznej i społeczno-regulacyjnej koncepcji kultury. Założyciel Teatru Maya doskonale zna mechanizmy robienia kariery, nieszczerych relacji międzyludzkich, klakierów opancerzonych w materialne przedmioty mające dodać im szacunku w oczach rozmówcy, gdyż sam był świadkiem gry o stołki, sam także rozdawał w niej karty i był jej pionkiem, dlatego z łatwością potrafi bezbłędnie rozpoznać fałsz i bezlitośnie demaskować fałszywych satelitów, schlebającym pieniądźowi a nie talentom:

Wieszaki – moi nieodłączni przyjaciele,  
towarzysze kopniaków i asystenci wyniesień,  
ci od garniturów i od koszul nie do zdarcia.  
Od setek nieużywanych krawatów  
i najnowszych kamizelek.  
Nieodłączni, nierozzerwalni, moi przyjaciele!  
Jest ich nawet i ze stu dwudziestu  
i na nich mogę polegać!  
Choć ostatnio skarżą się  
na ciasność bytu  
i strach przed e-wieszakiem<sup>4</sup>.

Owa niechęć do świata współczesnej kultury czy popkultury wyraża się w ciągłym odczuwaniu mdłości („Ohyda” – głosi tytuł jednego z utworów), chociażby z powodu zakłamywania rzeczywistości, podnoszenia wszystkiego do rangi sztuki, z którą kontakt nie pozostawia w odbiorcach żadnego śladu. Jest ona nastawiona na chwilowy sukces, na krótkotrwałe i pozbawiony przestania efekt. Szczytem tego przekonania jest zapis:

Nie ma porządku, w finale jest show parodystów  
w programie  
pod tytułem: „jeden wielki kabotyń”<sup>5</sup>

potęgający wrażenie chaosu i przywiązanie do formy współczesnego, nic niewnoszącego widowiska.

Czy autor poda nam jakieś lekarstwo na całe zło? Czy wartości tak elementarne jak prawda i wolność nie mają racji bytu? Oczywiście, że mają, a poeta na nasze bolączki odnajduje remedium – wie, że musi przestać być tylko pionkiem, że powinien zabrać głos. W jaki sposób? Niektórym starcza mała „Kartka papieru”, na której można nakreślić „z drżącym sercem apel do świata”<sup>6</sup>. Jednak każdy prawdziwy artysta wie, że czasem trzeba czegoś więcej. Trzeba przedstawienia, które umożliwi zabranie głosu; widowiska, które pozostawi jakiś ślad. Zawartej w ostatnich słowa obietnicy powrotu „teatru Maya” nie sposób przegapić. „do widzenia, do jutra”<sup>7</sup> – mówi Grochmalski i ja na to wezwanie odpowiadam. Jego głos uważam za godny zaufania. Jest niczym krzyk młodzieńczego buntu, ale i jak refleksja dojrzałego twórcy, głos pełen rozsządku i ostrej reprimendy, a jednak rozgorączkowany i zrezygnowany. Lecz przede wszystkim – spójny i konsekwentny od wielu lat. Oby jutro okazało się właśnie tym dniem, w którym wszyscy przestaniemy być tylko pionkami w grze, bezwolnymi i pasywnymi, pozbawionymi etycznych standardów, poruszonymi przez mechanizmy korporacji czy popkultury, niczym tytułowe marionetki.

ILONA MIKOŁAJCZAK

<sup>1</sup> Karolina Koziolek, „Komunistyczny przeżytek” o Estradzie to nie zniestawienie, „Głos Wielkopolski”, 17 lutego 2016, <https://gloswielkopolski.pl/komunistyczny-przezytek-o-estradzie-to-nie-zniestawienie/ar/9406138>.

<sup>2</sup> Opis wydawniczy, <http://lubimyczytac.pl/ksiazka/4861242/traktat-o-marionetkach>.

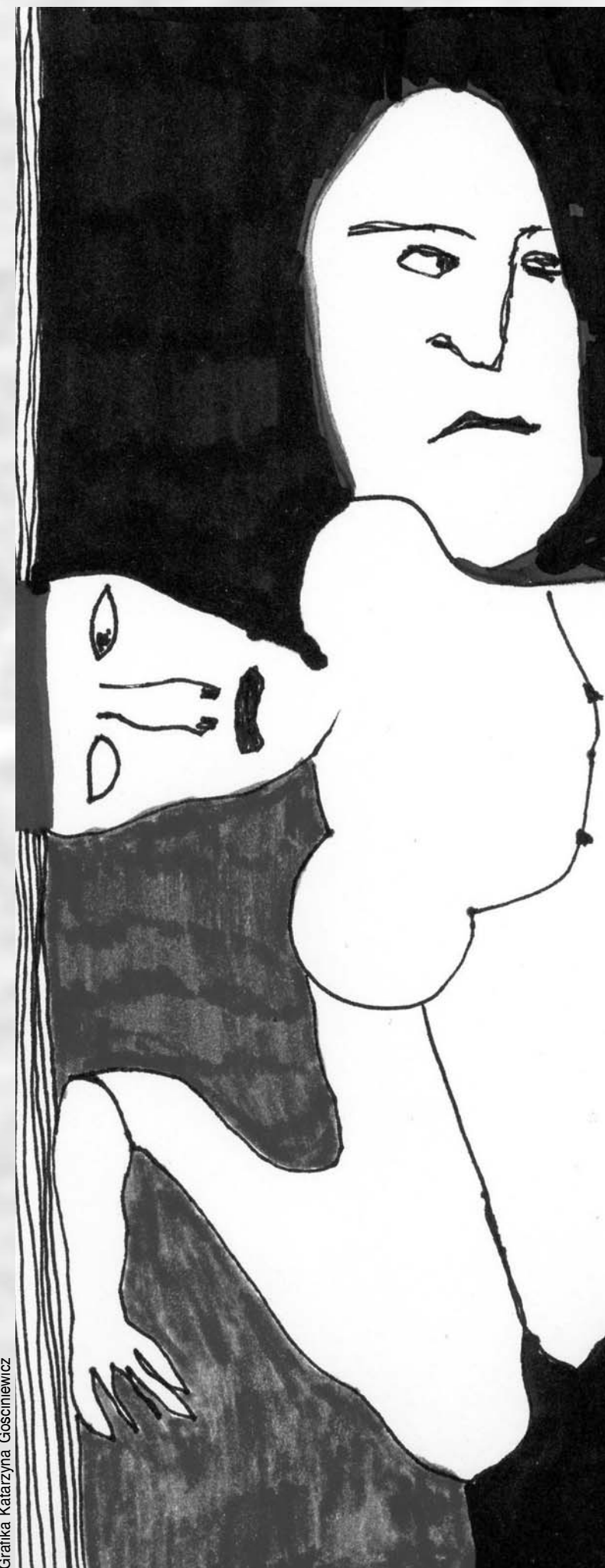
<sup>3</sup> Kazimierz Grochmalski, Traktat o marionetkach, Wydawnictwo Naumov CEE, Poznań 2018, s. 7

<sup>4</sup> Tamże, s. 61.

<sup>5</sup> Tamże, s. 17.

<sup>6</sup> Tamże, s. 86.

<sup>7</sup> Tytuł pierwszego spektaklu, którym „teatr Maya” wznowił działalność w 2019 r.



Grafika Katarzyna Gościńiewicz

## Roman Warszawski

Linda Vilhjálmsdóttir jest poetką niezwykłą. To osoba, która bez pisania nie może żyć. Jej poezja może kojarzyć się ze strofami Czesława Miłosza – ze wersami, w których chodzi o coś naprawdę ważnego, fundamentalnego.

Petka ma 60 lat, mieszka w Rejkjaviku i od czasu do czasu – jak życiowa potrzeba ją przyciska – zatrudnia się jako pielęgniarka. Poza tym pisze – albo poezję albo dramaty. Pisanie jest jej sposobem zmagania się z egzystencją i jej absurdami. Tomik „Wolność” w roku 2015 w Islandii wyróżniony został nagrodą literacką dziennika „DV”. To nie ot, taka sobie nagroda. To nagroda islandzka. A Islandia, jak rzadko który kraj, jest bardzo literacko uświadomiona. To wyspa, gdzie nie tylko masowo się czyta, ale spory procent osób wydał choć jedną swoją książkę. Czyli – Islandczycy to bardzo rozczuty i rozpisany kraj. Chyba nie ma takiego drugiego na świecie. Więc tamtejsze nagrody liczą się w dwój- lub nawet trójnasób. Nie można koto nich przejść obojętnie.

Jakby na tego potwierdzenie, „Wolność” i jej autorka we właśnie kończącym się roku nagrodzone zostały przyznawaną w Gdańsku nagrodą Europejski Poeta Wolności. Podobno jury nie miało większych wątpliwości, choć pozostałe pozycje zgłoszone do konkursu, także były mocne. Ale „Wolność” nie data im szans. Wyjaśnia to jedno zdanie, które znalazło się na obwolucie tomu: „Imponująca jest wytrzymałość zimnych wersów islandzkiej poetki, które potrafią unieść politykę, ekologię i religię, nie tracąc przy tym uroku prostej lirycznej konstrukcji”.

Niepowtarzalna jest konstrukcja tomu. Kolejne jej części można czytać, jak kolejno po sobie następujące sceny niezbyt spieszenie rozwijającego się poematu albo nawet mini powieści. Zaczyna się od stworzenia i od miejsca wolności w tym stworzeniu. Kolejne sceny obrazują proces degradacji wolności. Jej zamykania w chore nawyki i przyzwyczajenia, w religijne doktryny, w ludzkie słabości, w nicość, co kończy się tym, iż wolność przeradza się we własne zaprzeczenie – w niewolę. A ludzie jakby tego nie zauważali. Dalej cieszą się wolnością, nie dostrzegając, iż stała się ona niewolą. Prometejski ogień bezkrytycznie zamieniają na gazowy płomień grilla. I to im wystarcza. Są zadowoleni. Gorzej z planetą – z owym rajskim ogrodem, który przerodził się w parking z przyległościami...

Pomnożyliśmy wolność  
Do harówki

Do żarcia i picia  
I radości

Pomnożyliśmy wolność  
Do wyznaczania godziny

Wolność do pogrzebania się  
Żywcem w ziemi

Ale ideał, prawzór wolności istnieje. Tylko, że nikt nie przekuwa go w realia

Matki i córki  
na północ od gazowego grilla  
ojcowie i synowie

a ostatnia wieczerza czeka  
bardziej boskich czasów i godniejszych  
gości (...)

Jesteśmy niczym Jonasz pochłonięci przez otchłań ślepoty

w podmuchach wiatru znad fiordu wielorybów na tyłach  
ogrodu

## Wolność czyli niewola

i niewiele pomaga nam polityczna poprawność, bo nad nią dominuje egoizm oraz konsumeryzm. Vilhjálmsdóttir punktuje:

choć panuje zgoda społeczna  
aby umarzać grzechy co kwartał

pozostaniemy z mięsem  
o różnym stopniu spurpurowienia

i uzasadnionym podejrzeniem  
że czeka nas siedmiotygodniowy post

a potem siedem popielatych lat  
które napęcznią (...)

i które nawiązują do siedmiu egipskich plag. Ale nie ma przecież co rozrywać szat, bo

nie ma znaczenia czy ludzie są wolni  
jeśli nie potrafią postępować z wolnością (...)

i jeśli wybawiciel pyta  
czy jesteśmy zadowoleni  
niezadowoleni czy ani zadowoleni ani niezadowoleni  
z życia w naszym wzniosłym rajku posłuszeństwa

jesteśmy zachwyceni

I wybawiciel, i raj to ważne tutaj słowa. Bo religie – wszystkie islamy, chrześcijaństwa, katolicyzmy – przecież obiecywały utrwalenie wolności, a w rzeczywistości przyspieszały zagładę i przemianę rajskiego ogrodu w parking lub w ogród z (gazowym) grillem. Ten gaz też jest istotny. Bo niby ekologiczny i niby to oznaka bogactwa, ale w każdym gazie w naszym stuleciu zawsze zawarty będzie cyklon B.

W pędzie do ulepszenia

przeobraziliśmy  
ptaki pisklęta jajka

ikrę narybek i ryby  
wszystko co miękkie i niezwykle

spermę i komórki  
wolność

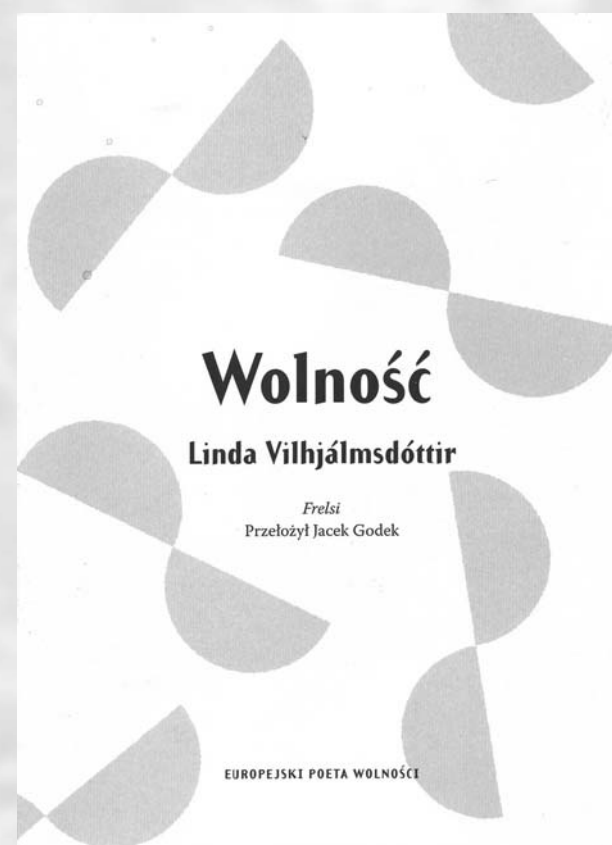
Bo nic nie ma prawa być miękkie, wszystko winno być twarde, pewne, skostniałe. Nie ciepłe ale zimne (choć paradoksalnie ten chłód prowadzi go globalnego ocieplenie, do globalnej katastrofy)

Dodałiśmy  
globalny blask  
do światła na firmamencie

niezmierzone gigawaty  
do godzin pracy świadomości kosztów  
do czasu lata kalendarzowego do średniej życia

zakończyliśmy dzień boży  
światłem płonącym dobę  
za dobą przez okrągły rok (...)

i snujemy się bezradni



po nadfioletowej sieci świata  
w postinformatycznym patriarchacie

a ludzkie dzieci oswajają się  
z przenikliwym zimnem palącym upałem  
i coraz większymi dawkami  
bezdechu.

Dusimy się. To nieuchronne. Bo gdy wolność staje się niewolą, oddech staje się pętlą zadzierzganą na szyi.

Siła tej poezji nie powinna dziwić. Jak na łamach „Przekroju” mówi (wraz z autorką „Wolności” także nagrodzony w Gdańsku) tłumacz tomu, Jacek Godek, który jako dziecko chadzał do islandzkiej szkoły, a dziś jest jednym, z nielicznych w Polsce tłumaczy z tego języka – „w końcu tu [w Islandii – RW] narodziło się „kvaldvara”, które w dosłownym tłumaczeniu oznacza wieczorne przebudzenie, a polegało na tym, że dawniej kiedy nadciągał zmierzch Islandczycy po cały dzień pracy spotykali się we wspólnej izbie, gdzie przy drobnych domowych czynnościach (jak naprawa ubrań, czy narzędzi) wystuchiwali opowieści, recytowali wiersze lub słuchali czytanych na głos książek”.

Linda Vilhjálmsdóttir zaprasza nas właśnie na takie spotkania. Też zapada zmierzch Jest o czym mówić. Jest czego słuchać.

Ten zmierzch to zmierzch cywilizacji wolności.

**ROMAN WARSZEWSKI**

Vilhjálmsdóttir Linda, „Wolność/Frelsi” (wydanie dwujęzyczne), z islandzkiego przełożył Jacek Godek, Europejski Poeta Wolności Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2018

## Paweł M. Wiśniewski

Mateusz Melanowski, ur. 1977 roku, polski poeta, publicysta. Teksty publikował w takich czasopismach jak: „Opcje”, „FA-art”, „Akcent”, „Fraza”, „Migotania”, „Gazeta Wyborcza”, „Rita Baum”, „TOPOS”, „Twórczość”, Tygiel Kultury”, „Inter”. Laureat licznych nagród poetyckich, których w tym miejscu nie sposób wylizczyć, gdyż zajęto by to zbyt wiele czasu. Aczkolwiek wydaje się godne wyróżnienie najważniejszych z nich: Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. H. Poświatowskiej w Częstochowie, Ogólnopolski Konkurs Poetycki o nagrodę im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi oraz Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Dać Świadectwo” w Krakowie. Finalista Konkursu im. Tymoteusza Karpowicza. Autor arkusza poetyckiego *Do wczoraj, od jutra oraz tomików: Święto Kolorów, Test na Obecność* a także *Uwagi do chwili*. Za tą ostatnią otrzymał nagrodę główną w konkursie im. Anny Kamieńskiej na najlepszą książkę poetycką województwa lubelskiego wydaną w roku 2016 i 2017.

Tym razem nie będziemy jednak mówić o *Uwagach do chwili*, lecz o tomiku nieco wcześniejszym, albowiem wydanym w roku 2012, nakładem wydawnictwa Miniatura z Krakowa. Niniejszy tomik zatytułowany, jak wyżej wspomniano, *Test na Obecność* jest drugim, a trzecim w ogóle, autorskim projektem Melanowskiego.

Ów tomik prezentujący się nieco mało efektownie, jest

## Obecne kwestie zastępcze

Mateusz Melanowski Test na obecność Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2012

wyjątkowo ciekawy i intensywnie absorbujący, jeżeli wziąć pod uwagę jego treść. Zastanawiając się nad motywem przewodnim Testu niemal od razu dostrzegamy kluczowe zjawiska dominujące na kartach książki poetyckiej Melanowskiego. Jedną z nich jest z pewnością poszukiwanie własnego miejsca na ziemi, w którym „może nawet gdzieś zamieszkać, to znaczy/ żyć będę, być może umierać nic nie stoi na przeszkodzie” (*Zwrot kosztów*). Peregrynacje przynoszą niejednokrotnie powód do dumy dla osoby poszukującej. Powód, który jest wymierny, ponieważ nie musi być jedynie drogowskazem przyszłych planów i zamierzeń, a jedynie stać się wskazówką wyznaczającą jedyny słuszny kierunek.

Często zdarza się również tak, że na naszej drodze staje ktoś obcy, ktoś kto będzie duchowym opiekunem, zbawcą i mentorem. Taki tym osobowości przewija się w tomiku Melanowskiego. Poeta opisuje go następującymi słowami: „ten człowiek z pewnością odpowie nam/ na wiele pytań. Gdzie jesteśmy? Gdzie jedziemy?/ Gdzie jest centrum? Trudno wszak rozeznaczyć się/ w znakach na niebie i ziemi, a co dopiero w tych/ licznych, umówionych pochopnie. A potem;/ daliśmy się złapać, bo z naprzeciwka nikt/ nie mrugnął!” (*Domino Day*). Nikt nie pokazał nam jak mamy postępować, jakie mamy podejmować decyzje, aby nie wpaść w pułapkę samozado-

wolenia albo co gorsza, pułapkę niewinności. „Złapanie” na chwilowej nieobecności jest niebezpieczne, gdyż prowadzi do swego rodzaju zapomnienia o człowieczeństwie odróżniającym nas od reszty współczesnych gatunków żyjących.

I właśnie to człowieczeństwo bywa nierzadko źródłem problemów. Jedynym wtedy wyjściem jest opuszczenie dotychczasowego meldunku i znalezienie nowego kwaterunku. O podobnym przypadku pisze Melanowski w wierszu *Własne siły pisząc*: „opuszczam obce miejsce./ zostawiając bałagan w piwnicy/ i ubrania schnące na strychu.”. Pozostawienie tego wszystkiego nie jest łatwe. Wymaga „własnych sił” samozaparcia i jeszcze ważniejsze, podjęcia trudnej decyzji, która może zaważyć na przyszłości podmiotu lirycznego.

*Test na Obecność* jest spójnym tekstem zawieszonym gdzieś pomiędzy pytaniem a odpowiedzią. Owe pytanie i owa odpowiedź dotyczą człowieka, jego pobytu na ziemi, sensu jego istnienia. Pytanie i odpowiedź nie dokończony tak, aby każdy mógł je własnymi słowami dokończyć. Nie wytłumaczone wystarczająco tak, aby każdy mógł je sam osobiście wytłumaczyć. I nie współmiernie penetrujące zmysły przyszłych czytelników.

**PAWEŁ M. WIŚNIEWSKI**

Aneta Kielan-Pietrzyk

# Interesuje mnie chropowatość blatu... Jerzy Stasiewicz

Jerzy Stasiewicz – poeta i prozaik z Nysy. Autor i gospodarz literackich spotkań „Z bitwą w tle”. Artysta bardzo aktywny. Bierze udział w licznych zjazdach poetyckich i plenerach artystycznych, co jest także siłą napędową Jego twórczości. Tomik „Powróciłem” to sto stron ciekawej poezji, często nietatwej, osobistej i poszukującej.

„Wędruję śladem Madonn kresowych...”  
„Jestem tu. Powróciłem z miasta nad rzeką...”  
„Szukam słów do wiersza...”  
„Szukamy dróg prowadzących do celu...”

Stasiewicz wraca często do rodzinnych stron, wspomina rodziców, pracę w polu, życiodajną ziemię. Współczesność opiera się na technice, energii, informatyce. „Nie potrafię już żyć bez komórki” – wyznaje autor. „A pola zewsząd targają maszyny”. Praca rąk przestała wystarczać. Stasiewicz z sentymentem wspomina dawne czasy, gdy owoce ludzkiej pracy trzeba było ziemi siłą wyrwać. Przyroda nie zawsze jest sprawiedliwa. Niezależnie jednak od czasów Stasiewicz ma dar znajdowania wokół siebie poezji. Zawsze wierny sobie, wierny literaturze i historii.

Powróciłem do domu dzieciństwa roześmianego  
gwarem ludzkim, rżeniem koni, muczeniem krów,  
chrząkaniem Świn. Ujadanie Reksa oznaczało;  
zbliża się obcy.

Dom to duch matki, ręce ojca.  
[...]

[Jestem tu. Powróciłem... frag.]

Daleki dom rodzinny  
powraca w snach jak bumerang  
szelstem liści drzew przydrożnych  
śpiewem zagubionego skowronka  
nad blokowiskiem.

Tutejsze jabłonie  
mają smak tęsknoty wypędzonych  
i siłą osiadłych  
[...]

[Daleki dom rodzinny, frag.]

Im mocniej zagłębiamy się w słowa Stasiewicza, odnosimy wrażenie, że pomimo wiedzy skąd się pochodzi, pomimo silnych korzeni, poeta i tak czuje się zagubiony, a może właśnie dlatego?! Im człowiek więcej wie, im więcej poznaje literackiego świata, doświadcza życia, tym bardziej jest świa-

domy, jak wiele zostało jeszcze do odkrycia. Tytuły poszczególnych części tomiku: Wieczny koczownik, Zrozumieć. Jestem tu, Powróciłem – układają się w logiczną całość. Świadczą też o podróżach i poszukiwaniach Stasiewicza jako poety i jako człowieka. Najważniejsze podróże to te w głąb siebie i historii. Przeszłość kładzie się bowiem zarówno cieniem jak i blaskiem na teraźniejszości. „Interesuje mnie chropowatość blatu / szpary powstałe latami / krzywizna nóg w służbie pokoleniom”.

Dni bywają posępne - -  
Boję się deszczu, szarości, monotonii.  
Uciekam...Uciekam w głąb siebie,  
zasklepiam w kokon niebytu.  
Cisza jest krzykiem, hukiem,  
Cierniem jęczącym ranę.

[...]

[Bojąc się codzienności uciekam w teatr, frag.]

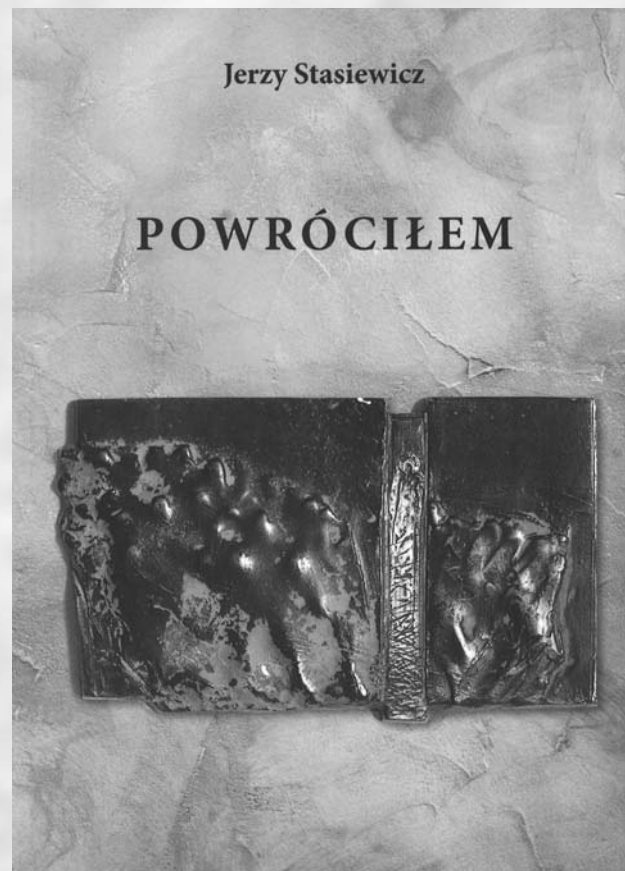
Każdy ma swoje powołanie  
cel, który wyznaczył Bóg

Czasem ludzie gubią się w życiu

Innych uważamy za świętych  
jak to sprawdzić  
Tu zaczyna się mój dylemat

[Tak miało być – pytam sam siebie, frag.]

Stasiewicz nie boi się sięgać do literackich wzorów, nie boi się rozliczać z innymi autorami. W wierszach nyski poeta nawiązuje do Lema, Różewicza, Szymborskiej, cytuje Wojciecha Kawińskiego, wspomina Wojciecha Piotrowicza, pisze o Janie Matejce i Marianie Molendzie. Tu sztuka przenika się z życiem. Życie jest sztuką. Autor ma znakomite wyczuwanie czasu, miejsca, przestrzeni. Potrafi wyciągać z życia i literatury niebanalne i niepopulane wnioski, jak chociażby w wierszu „Brak wzorca”, gdzie słusznie zauważa, że dla człowieka wzorem do naśladowania powinien być Dedal, nie Ikar. Oboje sięgnęli po marzenia, ale przeżył i zwyciężył tylko Dedal, który zachował się rozsądnie i przemie. Ikar utonął w swoich utopijnych wizjach i marzeniach nie do spełnienia. Czytając poezję Jerzego Stasiewicza czas raz zwalnia a raz przyspiesza. Zwalnia, gdy autor obiera kierunek dzieciństwa. Zdecydowanie przyspiesza, gdy oprowadza nas po bliskich jego sercu miejscach: Nysie, Opolu, Broumowie, Wilnie lub gdy prezentuje nam swoich mistrzów. Tomik „Powróciłem” to wyraźny ślad poety i prozaika – Jerzego Stasiewicza. To wyrażone w wierszach „Jestem tu”! Dla mnie znakomitą zakończeniem tego procesu jest wiersz „Życie”:



Dom – krwisty pot  
dłonie szorstkie odparzone  
ciepło, chleb i sól

Kobieta drogą mężczyzny  
dziecko śladem  
w błotnistych koleinach życia

Dym – świadkiem bytu  
jabłoni dorastaniem  
kora twarzą

Sad się wyradza

ANETA KIELAN-PIETRZYK

Jerzy Stasiewicz *Powróciłem*  
Wydawnictwo Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2018

## Jerzy Stasiewicz

Ciekawym przedsięwzięciem jakże potrzebnym w dzisiejszych czasach skonfliktowanym gospodarczo, religijnie i etnicznie świecie jest *Antologia pokoju*. W którym udział biorą trzy kobiety, matki i poetki. Polka Monika Maciejczyk (twórczyni w Polanicy Zdroju przy ul. Kamiennej 7 Saloniku Literackiego Różany Dwór. Gdzie spotykają się pisarze z różnych stron Europy. Prezentując swą twórczość w pomieszczeniach staropolskiego dworu. Tam igłę wbić trudno. Wiem bo kiedyś promowałem *Powróciłem*, publiczność, której zabrakło krzesel siedziła na schodach, dywanie, parapetach). Czeszka Vera Kopecka (organizatorka od lat Dni Poezji w Broumowie, kreuująca świat literatury w pięknych salonach benedyktyńskiego klasztoru. Przekładająca poezję słowiańską na język czeski. Wydająca antologię). Niemka Monika Taubitz budująca twórczością i działaniem mosty pomiędzy dawną ojczyzną – Dolnym Śląskiem a nową w Meersburgu leżącym nad jeziorem Bodeńskim. Łączy te poetki umiłowanie wolności, pokoju, przywiązanie do ziemi ojców.

W przedsięwzięcie zaangażowali się profesorowie Edward Biątek i Karol Czejarok, poeta i pisarz Antoni Matuszkiewicz. Konsultowali teksty niemieckie Erhard Brodner – poeta niemiecki i Helga Walter. Księgę wsparło środkami finansowymi grono ludzi dobrej woli. Czujący przesłanie tej wzniostej publikacji.

Monika Maciejczyk w „słowie wstępnym” podaje własną definicję POKOJU:

„Pokój rodzi się tam, gdzie pachnący chlebem dom. Dlaczego wstydzimy się ciepła, zwykłych słów, prostoty uczuć. Bycia blisko. Ty obok mnie.” I proces powstawania saloniku: „Przez wiele lat, dzień po dniu, rok po roku rodziła się koncepcja Salonu Literackiego we dworze pobielonym, wśród róż kwitnących w ogrodzie. Tam, gdzie kot śpi na zapiecku, pies

# Antologia pokoju – pomost między narodami

u nóg przy biurku drzemie o północy. Tam, gdzie w jesienne wieczory świerszcz gra za kominem swoją senną, spokojną muzykę. Tam, gdzie powiedzenie – Gość w dom, Bóg w dom – prawdziwe. Dzień po dniu powstawała idea w sposób nieuświadomiony. Według jakiegoś tajemnego scenariusza zapisanego w przestrzeni. I nagle, nie wiadomo którego dnia, koncepcja rozpoczęła realizować się w sposób świadomy. A jedno wynikało z drugiego tak logicznie i prosto, jak z ziarna rozwija się roślina, by zakwitnąć i wydać owoc.”

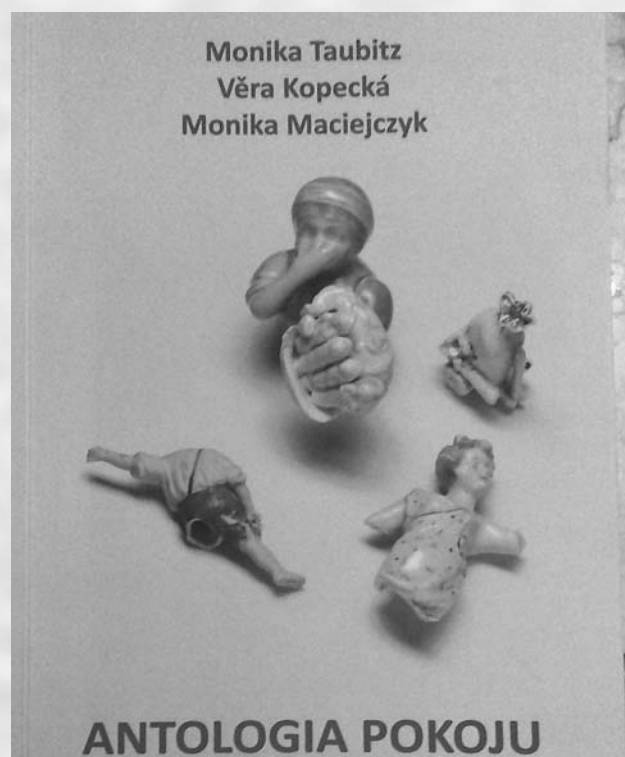
Ludzie swoim działaniem są w stanie tworzyć nowy, dobry świat. Ale czy my tego chcemy? Dlaczego do głosu dochodzi ta mała cząstka zła, która tkwi w nas głęboko. I nie możemy wyrzucić jej ze swojej świadomości i nie pozwolili działać? Pytanie zadawane od wieków. Biblijne oko za oko. Wciąż bez odpowiedzi.

Monika Taubitz ma własną odpowiedź wynikającą z balastu doświadczenia życiowego.

Pokój bierze się  
z uczciwości naszych czynów,  
z otwartego spojrzenia,  
jakim obejmujemy ludzi  
i wyciągamy do nich nasze dłonie.

i dopowiada

Życie  
pomiędzy szynami





chce pozostać  
niezauważone.

Ten straszliwy ból wygnania. Exodus, który i dzisiaj kaleczy miliony ludzi opuszczających gniazda w straszliwym pośpiechu. Przez całe życie myślących o powrocie.

Zbuduj mi most  
w nieznanym,  
ja zbuduję tobie.  
Przez wartki nurt  
pod nami  
przeprowadzimy się  
jeśli myśli nasze  
staną naszymi filary.

Ale jest pełna wiary.

Gołębiowi,  
gałązce oliwnej,  
rzucić kotwicę.

Vera Kopecka z innym bagażem doświadczeń. Urodzona w 1951 roku w Czechach. Nie okaleczona cierniem wojny. Ale rozumiejąca bolesną przeszłość pisze.

Kamienie nagrobne  
już ukryły winę  
odeszła z martwymi  
do ziemi do gliny

Nie ma tu owijania w bawełnę.  
Odsłaniamy przeszłość  
łupina za łupiną  
aż do łez w oczach.

Bo Pokój to przede wszystkim przebaczenie na podwalinach, którego budujemy relacje dobrosąsiedzkie. Pamiętamy apel polskich biskupów. Nie jest łatwo skrzywdzonemu jako pierwszemu wyciągnąć dłoń. Ale tak trzeba. Historia to potwierdza. Bo zatoczmy błędne koło.

Wciąż  
po tylu świętych wojnach  
w imię tego czy innego Boga  
które na cmentarzu wiodły  
Z pól skrwawionych  
wyrastają brzozy  
Białe chustki matek  
kochanek i żon  
Krzyże Krzyże Krzyże  
i groby

Inne, ale jakże ważne przestanie Pokoju niesie nam Monika Maciejczyk. Urodzona w Warszawie, której życie i twórczość przyszła na tzw. ziemiach odzyskanych w Polanicy Zdroju. Poetka gruntownie wykształcona. Angażująca się w działalność polityczną i charytatywną. Już w latach osiemdziesiątych inicjowała spotkania rodzin przesiedlonych za Odrę i Nysę Łużycką z zamieszkującymi ich domostwa polskimi lokatorami. Przetłumaczając wzajemną nieufność było niezwykle trudno. A jednak... Były też i gościna. A w czasach kryzysu paczki słane z zachodu.

a ja chciałabym być niewidzialna  
i matczynymi dłońmi  
głowy synków tulić  
po tej  
i po tamtej stronie

Bo gdy umiera dziecko  
to cicho szepta  
Mamo

Czytając Antologię Pokoju może nasiąknęliśmy uniwersalnym przestaniem. I choć okruszynę staniemy się lepsi. Nie tylko dla drugiego człowieka. Ale dla samych siebie.

JERZY STASIEWICZ

## Jerzy Stasiewicz

# Poeta pytań – Arkadiusz Kiński

Bardzo ciekawym zjawiskiem w literaturze polskiej jest poezja Arkadiusza Kińskiego. Poeta urodzony w 1979 roku w Łęczycy. Dorastał i wychowywał się we wsi Mazew (woj. łódzkie). W 2010 zamieszkał z Zgierzu, ale do Mazewa wciąż powraca, tam gdzie jego mała ojczyzna. Terminował w wielu pismach jako korespondent. Rok 2013 to odważny debiut Kińskiego tomem *Obydwaj*, który odbił się echem w młodoliterackich pismach artystycznych. Ale jego nazwisko pojawiało się wcześniej. Był przecież zauważany w antologiach *Po obu stronach Odry* (wiersze tłumaczone na niemiecki) i *Łódź tkani na wadami*. Uczestniczył w projekcie Piotra Goszczyckiego: *Listy z Wielkopolski*.

Kolejny tom poezji to *Ewangelia absencji istnienia*, w której poeta stawia pytania kim jest:

krzyk nagiej Ewy  
zgasił źródło wieczności

niedoskonały  
stałem się człowiekiem

I próbuję dać odpowiedź wchodząc w głąb siebie. Wyjaśnić sens istnienia

dziś nawet aniołom  
huragan bije  
po brzegi skrzydeł

Co jest powodem, że jesteśmy tacy jacy jesteśmy. Arek jest bestialsko szczery i przywołuje obraz, który aż kluje.

przeszłość  
cóż warta  
już nikt nie kłęczy  
przed kromką chleba

Pamięta z dzieciństwa, że okruh chleba to dar Boży, którego mogli dostąpić tylko ludzie pracujący w pocie czoła. Bo chleb to Bóg. Wystarczająca ilość chleba to spokojne jutro. Wychowanie w tradycji chrześcijańskiej było fundamentem rodziny jej egzystencji.

krzyż  
który śnił mi się w dzieciństwie  
na wyniosłej górze  
milcząco wciąż stoi

A dzisiejszy człowiek zagubił się w otchłani Internetu. Sam sobie wyznaczył czas życia

a przecież drzewo na którym wisisz  
od dawna nie rodzi owoców

Nawet domaga się prawnego uregulowania. Jestem panem swojego życia. Proszę o zastrzyk... jesteśmy utomni, stabi,

a może wygodni. Do własnego życia nie mamy szacunku. A przecież jest to ziemski przystanek, w którym dano nam szansę...

może mieć wiatr  
i ciszę

Poeta dopowiada

stały ląd  
ucałuj  
kiedy dziecko krwawi

Obcowanie z poezją Kińskiego przypomina spotkanie z wędrowcem na górskiej ścieżce, który z namaszczeniem wyjawia prawdy o człowieku różnych kultur na napotkanych w drodze. Z jego dylematami, zagubieniem w świdrującej cyberprzestrzeni. Ale i dobrem rodzycym się na każdym kroku. Rzadko zauważalnym, świadczącym, że nie zatraciliśmy jeszcze człowieczeństwa.

JERZY STASIEWICZ

Arkadiusz Kiński *Ewangelia absencji istnienia*  
*Miniatura Słów, Gdynia 2018*  
Redakcja: Piotr Goszczycki; stron 94.

## Paweł M. Wiśniewski

# Sam na sam

Paweł Tomanek *Sam tu, piesku* Dom Literatury w Łodzi i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich oddział Łódź, Łódź 2013

Poszukując informacji na temat Pawła Tomanka, natrafiałem, czy to poprzez ogólnosiwiatową sieć łączeniową, czy poprzez inne źródła, na skromne dane autora. Udało mi się znaleźć krótką notkę biograficzną. Czytamy w niej: „Paweł Tomanek, ur. 1980. Poeta, pieśniarz, angoleiro. W wolnym czasie pracuje w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Laureat Nagrody Głównej na XVIII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jacka Bierzina za tom *Sam tu, piesku*”. Jest to skąpa wiedza, nie podająca ani miejsca urodzenia poety, ani tym bardziej, miejsca obecnego zamieszkania, ale tego dowiadujemy się ze strony internetowej organizatora konkursu.

Z okładki debiutanckiego *Sam tu, piesku* wynika, że jest on „pierwszą wydaną książką poetycką i trzecią w ogóle”. Oznaczało by to, że pozostałe dwie czekają na odkrycie, albo ukazały się w postaci arkuszy poetyckich.

Debiut książkowy Paweł Tomanek osiągnął w wieku lat 33 (Chrystusowy wiek). W wieku, w którym zdobyte doświadczenie owocuje, wyniesiona ze szkoły „znajomość kartografii” jest jeszcze żywa, a młodzieńczy zapał, nie zabity stagnacją, rozwija się, nie zmaczony „nakazami z góry”. Trzydzięci lat, z jednej strony zamyka pewien rozdział w życiu mężczyzny, by rozpocząć nowy, kto wie czy nie znacznie trudniejszy od poprzedniego.

Patrząc od strony wizualnej, a co ważniejsze, od strony technicznej, mamy nieodowną przyjemność obcowania ze zbiorem trzydziestu pięciu utworów. Nie ma między nimi podziałów na księgi, działy, kategorie; stanowią jednolitą, wspaniałą pod względem literackim jak i odbiorczym całość. Unosząc się nad kolejnym rozciągającym przed czytelnikiem fragmentem poetyckiego „ja” wczuwamy się niejako w istotę przedstawianego obrazu, który wciąż w głąb. Nie jest to

zła, przepastna, ciemna toń, bez wyjścia, lecz toń zawierająca światło życia, powiew świeżości.

Sugerując tytułem nasuwa się wniosek, iż liryczne „ja” jest samotne, same, wyobcowane, lub co najmniej nieobecne dla współczesnego świata. Czy tak faktycznie jest? Opisująca autentyczność pozwala przypuszczać coś zupełnie innego. Przytaczając cytaty z pojedynczych wierszy przekonujemy się o tym na własnej skórze. Bo oto widzimy zbieranie jagód i borówek w towarzystwie znajomej dziewczyny, gdzie autor, w przyływie radości, pisze: „Tymczasem mam zęby fioletowe, | jakby uczestniczyły w barwnej znowie.” (*Szczęście*), lub wcześniej w tym samym utworze: „Jedliśmy borówki na celtyckich grobach”. *Szczęście* nie jest wieczne. Z czasem przychodzi melancholia krzyżująca dobrodusne plany. W wierszu *Czarnobiel*, podczas sennej podróży środkami PKP bohater, obudzony zniechęca, jest poddany wyborowi: „Wolisz Stargard Szczeciński | od Stargardu Gdańskiego?” Wybór nie ma większego znaczenia skoro: „i tu, w pustym nocnym pociągu, | który nie jedzie do żadnego z nich.”

W tomiku odnajdujemy frazy poruszające temat indywidualizmu literackiego jak i osobowego. W wierszu *Naskórkowe historie* Tomanek tak oto pisze: „Lepiej będzie być miernym zamiast niewinnym”. Powyższe stwierdzenie odnieść by należało do postaw ludzkich, które starają się unikać odpowiedzialności, aby tylko nie narazić się nikomu z pracy, ze znajomych, z rodziny, być niewinnym. W *Batałach pod Bagatelą* mamy do czynienia jakby z kontynuacją niniejszej tezy: „Tak to się mówi, by nie powiedzieć gorzej.”. Gorzej tzn. aby nie przedobrzyć, ugryźć się wczasy w język i najlepiej nic nie mówić, ponieważ ludzie

wolą myśleć, że są pępkiem świata, zamiast otworzyć się na pomysły innych.

Jakby odrywając rozważania, ale wyłączenie z porzutu, od *Sam tu, piesku*, skieruje uwagę na drugi człon tytułu. *Piesek*, co to może oznaczać? Odpowiedzi na postawione pytanie udziela poeta w wierszu tak właśnie nazwanym, jedynym, w jakim piesek występuje. Zwierze ma określone zadanie: „Miałeś mi aportować | pałąk pierwszego snu”, lecz on nie usłuchał „chodzisz w moich wytrych butach.”, czytamy. Sytuacja przysparza pana o zdziwienie: „Niepojęte.” i zarazem rozczarowanie czworonogiem.

Czas płynie. Przeistacza się. Raz jest linią prostą, innym zatacza półkola i hiperbole. Czyni otoczenie swojskim. Tomanek chce, by czytelnik był częścią i współtowarzyszem podróży po poezji. Był kimś kto nie zarazi się miłością piękną, ale zacznie ja dostrzegać w najdrobniejszym szczególe otaczającego krajobrazu.

Aby za bardzo nie przestudzić, warto dodać szczyptę gorczy. A bierze się ona stąd, iż w zbiorze zabrakło mi utworu tematycznie nawiązującego do niepełnosprawności. Mieliśmy wiersze o doznaniach cielesnych, duchowych, o dorastaniu, o inicjacjach różnego typu, zaznajomiliśmy się nawet z wesół merdającym ogonem psem. Ów opis nie pojawia się w samej treści *Sam tu, piesku*, ale aż nie można się powstrzymać od przywołania podobnego obrazu. Niepełnosprawność nie ma swojego przedstawiciela. Nie chce niczego autorowi narzucać, bądź co bądź to jego tekst, lecz przy okazji nie zaszkodziłoby czegoś wspomnieć, od tak na marginesie.

PAWEŁ M. WIŚNIEWSKI

## Paweł M. Wiśniewski

Zapoczątkowana pod koniec wieku XX i na początku XXI poezja przybrała odmienne reguły. Różnice widoczne na pierwszy rzut oka wykraczają po za dawniej nakreślony rodzaj ogólnoprzyjętej rozmowy estetycznej. Dzisiejsza poezja nie ma wiele wspólnego z poprzednimi wzorcami. A jednak czerpie z nich pełnymi garściami, uzupełniając samodzielnie rozwiązaniami problemu.

Do przedstawicieli powyższego schematu należy Piotr Przybyta. Urodzony w 1985 r w Karpaczu. Największym sukcesem Przybyty jest bez wątpienia zdobycie Głównej Nagrody i Nagrody Publiczności na XX Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jacka Bierzina za rok 2014. Ponadto karpacki liryk publikował wiersze w „Toposie”, „Arteriach”, „Frazie”. Jego utwory można było usłyszeć w programie 2 Polskiego Radia.

Przybyta w Apokalipsie. After party nakreśla, z jednej strony banalnie prosty obraz rzeczywistości, a z drugiej, po głębszym przeanalizowaniu treści, wręcz nierealny. Idealnym przykładem na potwierdzenie niniejszej tezy jest wiersz, nie zatytułowany jak wszystkie utwory w tym zbiorze, znajdujący się w części After party. Poeta kolekcjonuje w nim najważniejsze dla siebie zjawiska psychologiczno - duchowe: „i konserwuje

gorzyc w płucach dziękiego ptactwa (...) i konserwuje w CV włosy, kurz, ślady po wążkach (...) i konserwuje moją matkę (...) i konserwuje krzyk (w języku migowym)”. Przywoływane czynności wchłanianie są w jego umyśle, jak gąbka nasycana się wszelkimi możliwymi scenkami z życia.

Przybyta porusza tematy ojcostwa, macierzyństwa, „cierierzyństwa”, rodziny, niepewnej przyszłości. Przyszłości, która jawi się dla niego jako dół. Podmiot liryczny ustami poety kłęzący nad rozpadliną mówi następujące słowa: „zakrywam go gumoleum, nazywam/ miłością”. Miłość do nienarodzonego dziecka, do ukochanej żony, do plaży, stojąca w opozycji niebezpieczeństwu przyszłych decyzji. Niejednokrotnie nietrafionych, ale i w równej mierze trafionych, ważnych dla dalszego rozwoju człowieka losu.

Książkę powinno się uważać, nie jako zbiór wierszy, ale jako poemat moralno - duchowy. Gdy po raz pierwszy czytałem tomik Przybyty nie odczuwałem z nim psychicznej więzi. Będąc obok i przypatrując się przeskakującym wyrazom, przekartkowanym stronom, nie uczestniczyłem w realnym dziele narracji, dziele stworzenia idealnie nakreślonej postawy ludzkiej. Z każdą kolejną lekturą mój pogląd ulegał zmianie. Wcześniej zagłuszone przez natłok przydługich linii, triumfalnie masze-

rujących gromadami, wersety stały się czytelne i przemówiły nowym językiem. Językiem zrozumiałym, pełnym piękna opisywanego poetyckiego obrazu. Niesamowicie tęczącym nieskazitelne zjawisko podmiotu lirycznego z namacalnym przedstawieniem oglądu sytuacji.

Najważniejszy krytyczny głos twórczości Piotra Przybyty daje Karol Maliszewski. Juror Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius”: tak oto przedstawia sylwetę liryka z Karpacza: „dawno nie czytałem tak olśniewającego debiutu jak tom Piotra Przybyty. Został wykonany jakiś ważny krok w młodej poezji, którego jeszcze nie potrafię nazwać. Pojawił się duży talent i nazywa się Przybyta”. Będąc w zgodzie z wyżej wymienionym poglądem pozostaje mi tylko życzyć autorowi dalszych sukcesów na literackim polu, niekiedy ustatym mianami niechętnych mu „dobrych”, służących „miłym słowem” rzekomo poprawiającym stworzoną przez nas treść tomiku poetyckiego.

PAWEŁ M. WIŚNIEWSKI

Piotr Przybyta Apokalipsa. After party Dom Literatury w Łodzi i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich oddział Łódź, Łódź 2013

## Andrzej Walter

Niezwykle rzadko zdarza się w przestrzeni polskiej poezji, że jakiś tom doczeka się swojego drugiego wydania. Dokonał tego między innymi Piotr Macierzyński - świetny poeta z Łodzi, można rzecz ryzykownie określić - wciąż jeszcze młodego pokolenia (1971). Jego debiutancki tom z roku 2001 wydany nakładem krakowskiego Wydawnictwa Zielona Sowa zatytułowany „Danse macabre i inne sposoby spędzania wolnego czasu” doczekał się w ubiegłym roku wznowienia przez białostocką Fundację Sąsiedzi. Natrafiłem na niego w warszawskiej księgarni Uniwersytetu Warszawskiego - jaskiniowym relikwie zaopatrzonej wciąż, aczkolwiek przynajmniej -nieco chaotycznie, w tomy współczesnej polskiej poezji...

Polecam go Wam szczerze i serdecznie, gdyż muszę przyznać, że już dawno tak się nie ubawiłem czytając wiersze Piotra, które korzystając z przystępnego, wyrafinowanego i zrozumiałego języka prowadzą nas w bardzo bogaty i pełen metafor kosmos samotności współczesnego człowieka, obywatela tego wielkiego świata pozbawionego jednakowoż jakiegokolwiek sensownego obywatelstwa poza własną pokuszoną świadomością doświadczaną zawilościami i potwornościami tego jakże mocno pokręconego dzieła świata. Mieszanina zdrowego i ożywczego sarkazmu, albo nawet cynizmu wręcz, z bardzo trafną pointą, z ogromną dozą humoru, ale i z przyczynkiem do refleksji oraz z pewnością z wielkim bogactwem treści, tej jakże niezwyklej treści naszego życia, które wypełniamy dziś Ulissesowym zagubieniem oraz poszukiwaniem czegoś, czego już dziś odnaleźć najwycyzej nie sposób. Świat bowiem uległ tak głębokiej deformacji, że wszelkim, niekontrolowanym odkształceniom uległa też i nasza dusza, co do której istnienia posiadamy odwieczne wątpliwości, a co do której bytu toczy się jakże determinujący rzeczywistość spór jednych z drugimi...

Tom Piotra uwypukla to, co w tym życiu jest najważniejsze, a kpi z całej tej maszynerii współczesnego świata, który wciąż nas beznamiętnie w wir szaleństwa i wariactw wszelkich. Jako lekarstwo, czy też panaceum na owo szaleństwo proponując wysublimowaną kpinę ukrytą właśnie w poezji, gdyż to kpina nie dla każdego, to nie kpina dla wszystkich, nie dla mas i ujęcie znalazła właśnie we właściwym dlań miejscu będącym tomem poezji o znamienym tytule... „Danse macabre i inne sposoby spędzania wolnego czasu”. Tytuł jest tu równie ważny. Nasz świat powoli staje się właśnie coraz rzadziej kwestionowaną przez resztę jego elit intelektualnych jawnie rozpowszechnianą makabrą... (mam na myśli prawdziwe elity, popierające swą edukację obficie czytelnictwem oraz rozwojem duchowym, a nie cielesnym)...

Drugi człon tytułu jest jakby społeczną odpowiedzią na tę makabrę - jedynym celem ludzkości (tej za oknem) jest bowiem skuteczne zabicie nudy, podstawowej traumy współczesności, a kiedy spaliło się już na stosie książki, posmakowało się wszelkiej perwersji oraz spróbowało dostownie wszystkiego, to pozostało już niewiele sposobów na zabicie wolnego czasu. Wtedy pozostaje być może kompulsywna kopulacja metodą każdy z każdym, albo wymyślanie coraz to nowych rozrywek związanych z przełamywaniem tabu, albo też szukanie coraz wymyślniejszych prób obtaskawienia ... przemijania. Tak, brzydkie słowo - wykreślane przez współczesnych telediotów - przemijanie, starość, brzydota, utomność, słabość, pokora - słowa i stany chowane „pod dywan”, pojęcia zakazane, antykonsumpcyjne i źle widziane przez lewackich piewców postępu i szczęśliwości powszechnej nowego wspaniałego świata...

Jak pisze Piotr w jednym z wierszy o prowokacyjnym tytule - „Czy Bóg naprawdę się o nas troszczy”:

wyślizgnąłem się z rozmowy  
nakryłem twarz „Extassy” i zasnąłem  
śniły mi się ciepłe ogłoszenia gejoskie  
a później gdy zaczęło padać  
śniła mi się Vicki z cymami jak parasol

rano wymieniłem majowy „Peep Show” na herbatę  
i obmyślałem gdzie by tu zrobić kupę za darmo

# Gdzie by tu zrobić kupę za darmo

a potem przysła Justyna i zaprosiła mnie na kupę u siebie  
i tak już u niej zostałem

Piotr Macierzański - jak widzimy - przyjął bodaj najwłaściwszą postawę wobec paranoi naszej rzeczywistości korporacyjnej niewolnictwa oraz ewolucji społecznych środków produkcji... a jest nią odważna kpina. Jednakowoż w tych ostro zarysowanych wierszach odnajdziemy dość proste recepty na ten świat...

tyle tylko mam ci do powiedzenia w ten wigilijny wieczór  
że razem jakoś łatwiej sikać na to wszystko

To wszystko. Co wszystko? No właśnie to jak nas wszystkich potraktowano. Jesteśmy: przypadkiem, złudzeniem, mało ważnym konsumentem, jesteśmy trybem w machinerii, ostatnim ogniwem teorii ewolucji, przypadkiem, snem, niepotrzebnym zakłóceniem procesów sprzedaży i powszechnych prób wyceńnienia i przewartościowania ... wszystkiego. To wszystko ... jest próbą zaprogramowania świata, jest próbą uszlachetnienia tego świata (jakże specyficznymi metodami), uczynienia zeń plastikowej i przewidywalnej papki, w której kilku cwaniaków będzie żyło pięknie i dostatnio, a całe reszcie frajerów będą na to wszystko ponad siły pracować. Fascynujemy się i zadziwiamy na taką efemerydę jaką stanowi dziś Północna Korea, a sami poddajemy się procesom, które nas do niej prowadzą, nawet nie czując i nie zdając sobie z tego sprawy. Perpetuum mobile eksperymentu społecznego...

Potrzebujemy dziś takich wierszy i takiej poezji bardziej niż powietrza. Jakiej wagi są te wiersze przekonamy się jeszcze nie raz. Będą po nie sięgać wciąż nowe, coraz bardziej opłatane siecią wynaturzeń i kłamstw pokolenia, będą po nie sięgać coraz ściślej zniewalane społeczeństwa, coraz bardziej rozumiejąc ... to wszystko. To wszystko, co dla naszego dobra chce się nam uczynić.

Macierzański nie patyczkuje się z nami, a jednocześnie jego żonglerka słowna wydaje się bliska perfekcji. Przedstawione sytuacje, iluminacje przypadków, dokonane aranżacje wydarzeń, czy w końcu wywołane na scenę literackie postaci zdają się być i zarazem nie być nami. Kreuje się pewien dystans, jakby dysonans poznawczy, nigdy tu nie zacierają się granica pomiędzy dostownością, naszymi realiami oraz wytworzeniem atmosfery przestrogi... Doprawdy nie jest łatwo tak pisać, aby być zarazem blisko, jak najbliższej czytelności, a jednocześnie zachować wystarczającą odległość od nas, aby dać nam do myślenia. To się właśnie Macierzańskiemu udało i sądzę, że w tym tkwi przyczyna, że ten tom po 16 latach wraca na poetyckie salony. Wraca, gdyż jest ważny. Wraca, gdyż ten manifest pokolenia jest nam potrzebny. Nadal aktualny. Może wręcz coraz bardziej „na czasie”...

Oczywiście wartość tej poezji przejdzie jeszcze swoją próbę czasu, jak każda poezja... Jestem jednak pewien, że największą szansą poezji jest młodość, a młodość dziś znalazła się na poważnym zakręcie. Weszła wręcz w wir współczesności. Młodość odarło się dziś z tajemnicy, z wyczekiwania, z niejednoznaczności, niepewności, z romantyzmu i ideałów, ze świeżości i ze snów. Młodość dziś jest wyrachowana i stabilna. Jest namiastką tego, czym była w przeszłości. Na całe szczęście ten stan jest bardzo rozpowszechniony, lecz nie dotyczy jednak wszystkich. I tutaj widać szansę, światelko w tunelu. Co nas nie zabije, to nas wzmocni...

„Danse macabre i inne sposoby spędzania wolnego czasu” Piotra Macierzańskiego jest tomem poezji, który porwa od pierwszego do ostatniego wiersza. Dostownie i w przenośni. Ten tom „się (po prostu) dobrze czyta”. Czyta się go z zaciekawieniem i z ogromną dozą refleksji. To powoduje, że nie da się wobec tych wierszy absolutnie przejść obojętnie... Już od pierwszego wiersza stwierdzamy, ależ on ma słusznosc, tak, tak to właśnie wygląda... szkopuł w tym... Macierzański nazywa to, czego może nawet my sami przed sobą nie chcieliśmy tak właśnie nazwać...



czuję się trochę oszukany przez pana na bazarze  
który sprzedał mi pięć butelek wody po cenie ukraińskiego  
spirytusu

czuję się też oszukany przez Anglię i Francję  
które sześćdziesiąt lat temu obiecywały bronić mojego  
dziadka  
a dziadek od faszystowskich bomb miał prawdziwe urwanie  
głowy  
czuję się oszukany przez sportowca  
któremu biłem brawo w piątkę  
a w sobotę brawa musiałem odwołać bo wysikał całą prawdę

wydaje się jakbym całe życie grał w ruletkę  
którą krupier trzyma pod stołem

lecz wszystkie próby oszukania mnie  
traktuję jako zainteresowanie moją osobą

Tak oto poeta zaczyna naszą wspólną podróż przez wyżej  
opisaną Współczesność.

Jak kończy? W przedostatnim wierszu radzi nam...

###

niebo wisi na włosku  
kto wie czy nie na ostatnim

kto ma oczy - niech patrzy  
kto ma uszy - niech słucha  
kto ma rozum - niech ucieka

No tak. Uciekać... Tylko dokąd ...

a może najważniejszym, niewypowiedzianym dostownie  
najprostszym pytaniem tego tomu jest pytanie z kim?...

ANDRZEJ WALTER

Piotr Macierzański „Danse macabre i inne sposoby spędzania  
wolnego czasu”. Wydawnictwo Fundacji Sąsiedzi, Białystok 2017,  
Wydanie II. Stron 56. ISBN: 978-83-64505-44-7

Zaczerpnięte i sparafrazowane  
na potrzeby tego tekstu z wiersza  
Toast  
(zamiast Epilogu)  
Andrzej Krzysztof Torbus  
Z najnowszego tomu:  
„Obrachunki osobiste” 2018

Nic tak nie ekscytuje i nie ożywia rynku muzycznego, jak sytuacja, kiedy pojawia się na nim kolejna płyta uznanego mistrza, a właściwie twórcy już o tyle legendarnego, o ile nadal nas zachwyca swoją dykcją czy brzmieniem. Spijamy wtedy zachłannie z ich ust nowe rytmy, piosenki oraz środki wyrazu, rzecz jasna oczekując zawsze w sposób jednoczesny (i jednoznaczny) tego, co już znamy i od dawien dawna polubiliśmy. Obserwujemy rozwój i ewolucję tych artystów, zaprzyjaźniamy się z nowymi melodiami, wsłuchujemy w obtąskawione przeszłością nowatorstwo tych utworów. Wiemy też podskórnie, że każde współczesne nam „mistrzostwo” zweryfikuje brutalnie i nieodwracalnie znany nam od lat staruszek Czas... Mało kto dziś jednak kwestionuje jeszcze artyzm i głębokie osadzenie w dziedzinie sztuki (w opozycji do muzyki klasycznej) twórczości Johna Lennona, Paula McCartneya, Fisha, Davida Gilmoura czy choćby najbanalniej – Boba Dylana.

Nie inaczej dzieje się w świecie literatury. To jakby ten sam mechanizm tutaj gra. Każda nowa książka znanego i uznanego już powszechnie autora wzbudza zainteresowanie, ekscytację i silnie podpartą uprzednim doświadczeniem ciekawość, najpiękniej, kiedy popartą nadal utrzymanym wysokim poziomem merytorycznym, treściowym czy wartościowym. Różnicą jest tylko skala, czy też zasięg społecznego odbioru takiego dzieła. Wiadomo – muzyka rozrywkowa przeznaczona jest dla mas, literatura, a zwłaszcza poezja dla elit i to w bardzo zawężonym tego słowa znaczeniu. Po prostu – poezję, jako sztukę najwyższą (bo też i najtrudniejszą w odbiorze) czyta dziś i smakuje tylko elita elit, albo śmiało można suponować, że elita tak zwanych elit. No, zostawmy te elity oraz pseudoelity i wróćmy z entuzjazmem do poezji i nowego, doprawdy świętego, tomu poezji znanego poety...

Tak właśnie dzieje się w przypadku Andrzeja Krzysztofa Torbusa, legendy już wręcz, krakowskiego środowiska literackiego, jednego z najlepszych dziś polskich poetów, człowieka: skromnego, wycofanego, wyjątkowo uzdolnionego i wrażliwego, który zaprasza nas do swojego jakże odrębnego wszechświata wierszy wprost spoza współczesności.

Torbus to poeta bardzo osobny, zatrzymany „w innym czasie”, poeta, rzekłbym „starej daty”, mistrz samostanowienia oraz mistrz podążania własnym literackim szlakiem i takimż też raczy nas dziś tomem, zatytułowanym przewrotnie „Obrachunki osobiste”, które zdają się być takie, jak sugeruje w postawie wydawca (czy też wydawczyni – Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, Wydawnictwo Signo), bardzo wytrawnym oczyszczeniem szuflad z długo wyczekiwanych przez czytelników skarbów poetycznego, ale iście torbusowego słowa...

Andrzej Krzysztof Torbus w tomie „Obrachunki osobiste” obnaża nam bardzo jaskrawo głębię swojego rozgoryczenia. Być może jest to też i nasze rozgoryczenie, z jakimś wspólnym mianownikiem postrzegania rzeczywistości... Na szczęście, jak trafnie zauważa Magda w swoim świętym postawie (tym razem w roli krytyka literackiego) poezję tego autora cechuje potężna doza autoironii, co zdecydowanie umiła nam odbiór całokształtu prawd i sensów zawartych w tej liryce. Nie ukrywajmy jednak. To liryka bólu, smutku, rozgoryczenia, poczucia klęski, przegrania i wycofania się. Oczywiście – wszystko zależy od odbiorcy. Jeden czytelnik zwróci uwagę na ironię, autoironię, zdrowy dystans, a inny, przeniesie jednak akcent na tę potężną dawkę porażki, której doznaje chyba każdy człowiek, pod koniec życia obtąskawiając nieuchronność. Tutaj dochodzi jeszcze porażka „bycia poetą”. Tego już chyba nikt nie zakwestionuje. W czasach „kiedy nie można być poetą”... Człowiek, i to też – oczywiście, mniej lub bardziej potrafi oswoić: starość, lęk, przemijanie i jak już podkreśliłem – nieuchronność końca, a nawet znaleźć w tej kolei losu radość, sens i wiele piękna. Ten mechanizm obronny nie jest wcale zły. Nasza psychika dzielnie walczy z przeciwnościami. I tutaj torbusowe strofy są bezcenne. Autoironia i gorzyc tworzą miksturę oczyszczającą. Zwłaszcza w poezji i twórczości najwyższych lotów, czerpiącej z całego dziedzictwa przeszłości, z dykcji dziś niemożliwej, starodawnej i wyniesionej do lamusa, a jednak na kartach „Obrachunek osobistych” z dykcji żywej, fascynującej i po prostu – naturalnie pięknej.

Zatrzymać się możemy dosłownie przy każdym wierszu. W każdym z nich coś odnajdziemy, czegoś doświadczymy, coś nas pociągnie, w jakiś nasz prywatny rejon. Dobrze czyta się poezję, która zawsze, wszędzie i w każdym czasie stanowi dialog poety z czytelnikiem, stanowi dla czytelnika inspirację, czy też pomost wymiany własnej wrażliwości, przelanej tu i teraz na papier w postaci poezji napisanej i wyrażonej przez poetę, z wrażliwością czytelnika, którą zapładnia do snucia własnych myśli, doznań, czy wręcz ośnień. Podkreślmy też ową specyficzną mądrość poety, poety będącego ponad rzeczywistością, poza nią i z dala od niej. To sen o wolności podany na tacy lektury. Po to się poezję czyta, dlatego się poezji taknie, z tego powodu poezji się szuka... I najbanalniejszym pytaniem jest ... czy ludzie dziś jeszcze nadal chcą być wolni? Cóż dla nich dziś znaczy – wolność? Czy nie zafatyszowali pojęcia, nie zdefraudowali definicji, kontekstów i sensu? Czym jest wolność w dzisiejszym świecie? Poezja, która wiedzie nas do pytań, do myśli i do rozważań – to wielka sprawa. Ważna sprawa. I właśnie dlatego piszę ten tekst. Powinniśmy wyrazić poecie wdzięczność, że nas takim tomem obdarował.

Torbus jest świadom swojej twórczości. Wie, że chciał nam

# Już dawno się winno... (łeb ukręcić tej kurwie)

dać okruszek „balsamu na duszę”... Andrzej oczywiście skrzętnie potem ukrywa warstwy psychologiczne swojego słowa w arcydziełowej kreacji pejzażowej, sielankowej wręcz, czasami aż sztucznej, jakby żywcem wyjętej z przeszłości. W ten sposób jednak jego poezja dociera do pewnego rodzaju pełni, harmonii i zamyka się w kręgu swojego indywidualizmu, swoistej niepowtarzalności i wyjątkowej formie wyrazu. Najlepsze są dla mnie chyba wiersze mocne, wyraziste, a może po prostu ja takie lubię, to odzwierciedlenie mojego charakteru i resztek mojego usychającego powoli buntu ...

Przeczytajmy „Pałę Kraków”.

Motto:

„Ci ludzie, co stoją w Krakowie wysoko,  
po większej części są to lalki i manekiny,  
które same nic nie umieją,  
więc wyrabia się u takich ludzi  
naturalna zazdrość do wszystkich,  
którzy coś potrafią.  
Ja już mam tych manekinów dosyć.  
Manekiny nie przeszkodzą mi w niczym,  
ale mogą tylko opóźnić, co chcę... (...)”  
Czekam cierpliwie.”

**STANISŁAW WYSPIAŃSKI**

Przepraszam Cię Historio,  
że żyję i mieszkam  
w mieście co się rozsiało  
jak kury na grzędzie.  
Co nie daje spokoju,  
do którego wracam,  
które nigdy nie skłoni się  
byle przybłądzie.

Przepraszam Cię Historio,  
nie czekam na względy,  
wszak miasto technie stęchlizną  
pomimo herbarzy.  
Tu się dziury tradycji  
zatyka tradycją,  
tu się winy niedoszłe  
czapką błazna waży.

Przepraszam Cię Historio,  
za tu i za teraz,  
za krew nie przelaną,  
ognia trumnę ciasną,  
za radość, gdy pomyślę,  
że najwyżej stracę  
pomnik,  
który oszpeć  
mógłby znów to miasto.

Jakże mocny to wiersz. I jakże prawdziwy. Przecież zastępuje całe tomy rozpraw napisanych o Krakowie, grodzie królewskim, grodzie uzurpującym sobie miano stolicy Polski, grodzie ... jakże jedynym, wyjątkowym, specyficznym. Kraków się kocha i Krakowa się nienawidzi. Od Krakowa nie można się uwolnić. Kraków wchodzi pod skórę i zagnieżdża się na wieki, w zasadzie do śmierci. Kraków jest wielki i zarazem „zapyziały”. Krakowski zakalec – jak mawia mój przyjaciel, artysta malarz, Leszek Walicki – ma się dobrze. W swej szpetocie – zachwyca... Kraków toczy się wolno, swoim rytmem, obcym się nie kłania. Kraków zapiera dech w piersiach i potrafi tak wkurzyć, że się ucieka. Zawsze się jednak wraca i zawsze się doń tęskni, zawsze się ... ma go pod skórą, w duszy, w sercu, w nostalgii. Jaki by nie był, jest: domem, kolebką, źródłem... inspiracją.

Jednakże ów – powyżej przywołany, znakomity wiersz, jest tylko pewną efemerydą twórczości Andrzeja Krzysztofa Torbusa. Jak odnajdziemy w jednej z recenzji Jego twórczości, u Torbusa natrafimy na ...

„jak zwykle u Torbusa zaskakujące pejzaże. Już przed laty pisano o Torbusie że jest najwybitniejszym pejzażystą we współczesnej poezji. I choć można z tym dyskutować, to jednak jego pejzaże są tak skonstruowane, że chcąc nie chcąc, czujemy w nich nie tylko autentyczny liryzm, ale taki rodzaj refleksji, która nas nie tylko wzrusza, ale i powoduje, że inaczej postrzegamy otaczający nas świat. Przede wszystkim zaczynamy zauważać drobiazgi, których na co dzień nie widzimy. Zwracamy uwagę na słowa, co do których często nie przywiązujemy wagi. Wszystko to za sprawą prostej, choć zaskakującej metaforyki, która trafia do nas nie tylko obrazem, ale zawartymi w niej wartościami, często odwołujących się do naszej tradycji.”

Tak też mawia zawsze o naszym drogocennym Andrzeju Krzysztofie Torbusie – Andrzej Dębkowski – Redaktor Naczelny Gazety Kulturalnej – to wyjątkowy pejzażysta współczesnej poezji polskiej... (ileż razy to słyszałem – wraz z reakcją niektamanego zachwyty...) I tak właśnie toczy się ten tom. Tom zatytułowany „Obrachunki osobiste”. I w pewnym momencie jednak poeta podchodzi bardziej dosłownie do tych obrachunków, przeistacza dyskretnie i niezauważalnie lirykę pejzażu, w poezję rozrachunku, w poezję nostalgicznego buntu oraz ukazania, ba, odkrycia nam pewnej prawdy o sobie, a przy okazji prawdy o nas samych, Jego, przypadkowo jakby postawionych na tej ciemniowej i jednocześnie radosnej drodze życia druchach – poetach wszelakiej maści i wiary... Tom przeistacza się z najpiękniejszej tkanej liryki w swoisty manifest... Muszę powiedzieć, że jest to niesamowite. Wręcz szokujące.

Nie będę Wam zdradzał treści tych wierszy. Jest zabarwiona ogromną dawką gorzkości, rzecz jasna, z właściwą sobie dawką autoironii... Powoduje to jednak sytuację wyjątkową. Z tym tomem po prostu nie wypada się nie zapoznać, to tom bardzo ważny, istotny, i zdecydowany, huczny i wyrazisty głos identyfikacyjny we współczesnej polskiej poezji. Głos, którego nie wolno pominąć. Poeta liryki i marzeń oskarża w nim świat i poezję o marnotrawstwo, o gnuśność, o bezdenną głupotę – wreszcie o infantylizm i bezmyślność obecnych pokoleń wobec: sztuki i ... wieczności... (być może...wieczności, a być może nawet ... czegoś więcej...)

Poeta oskarża też i poezję samą w sobie. O krzywdę jaką nam wyrządziła rozkochując nas w sobie, o klątkę namiętności w jakiej nas uwięziła wobec świata, o te lata dorodnie zmarowane i wszystkie te poświęcone dni czy godziny... tyle, że Autor jest przecież człowiekiem mądrym, dumnym i świadomym. Świadomym konsekwencji swych wyborów i decyzji w życiu. Składa jasną deklarację – wybiera poezję. Zamiast blichtru i bogactw, zamiast wszelkich innych dróg i alternatyw. I poprzez ten wybór i manifest czy heroiczną deklarację – pociąga nas za sobą ku nadziei... że poezja jest wieczna i funkcjonuje poza czasem, że nieważne są nazwiska i pomniki, nieważne laurki i laudacje, odznaczenia czy szable, honory albo zasługi ... ważna jest sama poezja, słowo, które staje się ciałem - sprawa święta i zasadnicza. Podstawowa.

Andrzej Krzysztof Torbus nie czyni tego na pokaz, nie robi tego dla sławy, nie pisze tego pod publikę – wyraża coś, co głęboko tkwi w Jego wnętrzu i poprzez to scala ten najwartościowszy, drobny odłam naszego środowiska w postaci twórców, którzy wierzą choćby w słowa Adama Zagajewskiego:

Tylko w cudzym pięknie  
jest pocieszenie, w cudzej  
muzyce i w obcych wierszach.  
Tylko u innych jest zbawienie,  
choćby samotność smakowała jak  
opium. Nie są piekłem inni,  
jeśli ujrzeć ich rano, kiedy  
czyste mają czoło, umyte przez sny.  
Dlatego długo myślę jakiego  
użyć słowa, on czy ty. Każde on  
jest zdradą jakiegoś ty, lecz  
za to w cudzym wierszu wiernie  
czeka chłodna rozmowa.

I chłodna nad wyraz rozmowa, to jest chyba właśnie to, co jest nam teraz najbardziej potrzebne. Ostudzenie ideałów, ideologii i namiętności. Wygaszenie sporów, dystans, namysł i refleksja ... nad sobą i rzeczywistością – wreszcie nad Po-  
ezją... a może i nad Polską, taką cudowną krainą, w której przyszło nam żyć, trwać i ... tworzyć.

Andrzej Krzysztof Torbus – Toast

Poezjo twoje zdrowie,  
choć choraś i kulawaś,  
choć kiłę masz wrodzoną  
i rak ci wewnątrz strawia.

I wolisz takich gości  
co nie pytają o nic,  
bo wieszasz ich i topisz,  
nerwicą w mózgu dzwonisz.

Poezjo twoje zdrowie.  
Nie śpij! Do ciebie mówię.  
Już dawno łeb się winno  
ukręcić takiej kurwie.

A na koniec, kochani Czytelnicy, odchodząc od zbawiennej autoironii powróćmy do pejzażu... wraz z pierwszymi nitkami babiego lata, albo już nawet smakując wytwornie pierwsze tego roku płatki śniegu...

Poeeci

w szare godziny życia  
poeeci  
przechodzą na drugą stronę rzeki

zostają po nich  
nie napisane wiersze  
i kobiety  
którym nie zdążyli  
wszystkiego wyznać

ich świat  
zbudowany z atomów iluzji  
rozpada się  
wraz z pierwszymi nitkami  
babiego lata

O tak. Nasz świat rozpada się. Jest bowiem i zawsze był, już od pierwszej karkołomnej decyzji „zostania poetą” zbudowany ... tylko z atomów iluzji... a współczesny nam świat takich atomów po prostu nie dostrzega i nie ceni.

**ANDRZEJ WALTER**

Andrzej Krzysztof Torbus „Obrachunki osobiste”.  
Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018. Drukarnia Towarzystwa  
Słowaków w Polsce. Stron 72. ISBN 978-83-60874-89-9.

Zbigniew Joachimiak

## Gdańsk, czwarty dzień Stanu Wojennego.

Co mam powiedzieć? Boję się. Strach. Lęk. Przekraczanie jednego i drugiego. Bać się i ocalać. To jest to, co można i chyba trzeba czynić codziennie. Bać się mądrze. Każde kolejne uderzenie drzwi windy musi budzić lęk, ale nie może przerwać wewnętrznego spokoju, które jestem winien mojemu dziecku przeżywając i zmieniając pieluchy.

Trzeba się bać a jednocześnie podejmować decyzje zgodne z „godnością pokojową”. Bać się a jednak iść do stoczni, na pocztę, pojechać do Gdańska po zakupy, itd.

Czy przyjdą Oni, czy zastukają butami a potem w drzwi? Otworzę. Oni spytają a ja odpowiem. Że ja to ja. Prawie jak Jahwe powiem o sobie, że ja to ja. Może się dowiem, że w imię prawa muszę (kropka).

Boję się. Ale wciąż wiem, że złamać człowieka to nie taka prosta sprawa.

16 grudnia 1981

Żołnierze, milicja, czołgi. Godzina milicyjna. Czarne gazety, Czarne sądy. Stan Wojenny. To wszystko w zasięgu oczu, uszu i myśli. Prawdopodobnie Bożena Ptak internowana. Do Borusewicz strzelano. Fac uciekł ze stoczni w trakcie interwencji ZOMO. Rulowski zbiegł z hotelu Heweliusz. PAN wyprowadzony z akademii. Andrzej G. (rozmawiałem z nim parę tygodni temu) zamknięty. Żołnierz w czołgu podobny do Irka, męża mojej siostry Ilony.

Rodzice przed ogłoszeniem stanu wojennego przyjechali do mnie na Zaspę. W niedzielę 13-ego natychmiast wyjechali. Gwałtownie. Spakowali się w parę minut. Co im się przypominało? Ich sprawność ucieczki była imponująca, to pokolenie II wojny światowej, widać, że ewakuację mają w genach.

Nie wiem z kim jest WOJNA?

A po jakiej ja jestem stronie? Czy to znaczy, że jestem zdrajca mojej Ojczyzny?

Lisa? Lisa to osoba, która pomimo wielkiego lęku i poczucia niebezpieczeństwa jej i naszego dziecka jest TU. Ze mną. Ona boi się, że ją zabiją. Choć może uciec od tego „hałaganu” (to jej słowo określające bałagan i hałas), bo ma paszport amerykański a – póki co – obywateli amerykańskich władza stanu wojennego nie rusza.

Ponoć Bożena P. rozrąbali drzwi, ale sąsiedzi nie pozwolili jej aresztować. A jednak następnego dnia przepadła – uciekła, schowała się, czy jednak ją dorwali?

Blady z emocji żołnierz uśmiecha się. Co chce mi powiedzieć? Nie wiem. Samoloty nad Gdańskiem. Słychać jadące czołgi. Jadą skoty. Jadą bojowe formacje. To jest wojna, naprawdę? Gazy łzawiące czuć w całym Gdańsku, na szczęście na Zaspę (i na moje 10 piętro) nie docierają.

Sybilka ma nowe wypryski na buzi. Uczę się ją przewijać. Kocham ją. Jesteśmy wszyscy w domu, w domu! Sybilka, Lisa, ja. Czy długo?

17.XII.1981

Kopalnia Wujek – siedmiu zabitych górników i wielu pobitych. Wczoraj w Gdańsku poturbowano 350 osób. Centrum zadymione. W urzędach ludzie płaczą. Ulice pozamykane. Śnieg. Dużo śniegu. Mróz. Komunikacja działa na wyrwyki.

Godzina 14.00. Wrzeszcz. Ekipa ratownicza naprawia neon Loterii Państwowej. Ważna sprawa.

Listy i paczki roznoszą żołnierze.

A jednak strzelają! Słychać detonacje. Nad Gdańskiem ciemno, wyłaczyli światło, trwają aresztowania. Bożena się odnalazła. Wolna Europa i BBC wydają się niedoinformowani.

Telewizja polska: „Próbował organizować strajk...”, czytać trzeba tam BYŁ strajk. Jak wiele jest tych strajkujących miast i zakładów? Cała opozycja demokratyczna aresztowana. Dobierają się też do pisarzy.

Kończy się jedzenie. Nie robiliśmy zapasów a teraz praktycznie mamy pustkę w lodówce i kuchni. Mamy trochę kartofli, mąki kukurydzianej (dzięki zapobiegliwości mojej amerykańskiej żony, która lubi wypieki kukurydziane) ze dwa kilogramy. Jest też pół kostki margaryny. Jutro trzeba coś zdobyć (słowa charakterystyczne dla naszych czasów to „zдобыć”, „złotać”, raczej nie „kupić”, to słowo zostało niemal wyparte z codziennego słownika).

Dzisiaj w trybie przyspieszonym wziąłem ślub z Lisą. Sybilka jest teraz zupełnie moja. Ma też moje nazwisko.

W USC nastrój prawdziwie wojenny. Śluby przyspieszone, bez krawatów, gali i radosnej swobody. Ale za to urzędniczka bardzo serdeczna. Dobrze rozumie stan emocjonalny i duchowy swoich podległych. Pani zastępca miała łzy w oczach, gdy wreszcie udało się nam stanąć na jej ślubnym kobiercu. Teraz wojna nasza mała tak łatwo nas nie rozdzieli. Drugi świadek był... z urzędu. Fotograf też.

Godzina milicyjna od 20.00. W TV rupiecie z filmoteki archiwalnej.

Przez miasto ciągnie ciężka kolumna pojazdów. Słyszę to, a raczej czuję, bo drży cały dom.

Dzień szósty

A jednak to nie koszmarny sen. Ten sam głos spikerki mówiącej jeszcze parę dni temu o Odnowie, dzisiaj z takim samym spokojem mówi o aresztowaniach. A ci przystojni młodzi lektorzy *Dziennika* telewizyjnego nagle w wojskowych mundurach,

Upodlenie ludzi z dnia na dzień wzrasta. W gazetach oświadczenia regionalnych przywódców Solidarności, oświadczenia o „lojalności wobec władzy stanu wojennego” i prawa (no, chyba raczej bezprawia).

Cały dzień straciłem na poszukiwaniu choinki na Boże Narodzenie, a też chleba. Udało zdobyć się chleb. I za to dziękuję szczęściu, bo chyba nie władzy. Poczta roznosi, ale listy nie wkłada się do skrzynek a rzuca się na skrzynki lub obok. Mam nadzieję, że moja pocztka nie ginie pomimo tego bałaganu.

Dzisiaj w sobotę nastroje trochę przycichły, ale w poniedziałek na nowo wszystko wybuchnie. W Gdańsku stoi chyba tylko Rafineria. Stocznie zajęte przez wojsko i milicję nie będą pracowały, zgodnie z dekretem wojennym, do świąt. Nie sprzedaje się alkoholu. Ale też niewiele można kupić czegośkolwiek, są buraki, marchew, czasami jabłka (po 70 zł za kilogram), to jednak nie nowości, przed Stanem Wojennym też było cienko w sklepach.

Do redakcji Punktu przyszła paczka ze stemplem „Nie podlega ocenianiu”. A zatem są obszary życia, których WRON nie kontroluje, albo po prostu się nie boi i lekceważy. Lecz o zabi-

# Aneks do kalendarza,

## fragmenty Dziennika (3)

tych w kopalni Wujek w oficjalnych mediach raczej ani mru mru. Schemat. Za to ludzie jacyś tacy lepsi. Jak to w biedzie. Mówią sobie dziękuję, proszę, dzień dobry, znacząco się uśmiechają. Na święta większość rodzin będzie rozdzielona. Jako taką wolność poruszania się po kraju mają tylko ludzie po sześćdziesiątym roku życia, też ograniczoną jednak. I jak głosi się jest to akt dobrej woli WRON. Godzina milicyjna od dzisiaj: od 23.00 Do 6.00, ale nie w Gdańsku, u nas wciąż od 20.00. Co to znaczy? Tak mało wiem, choć nie jestem odcięty od ludzi, ale ludzie mało wiedzą. Rozgłośnie zachodnie też nie grzeszą nadmiarem wiedzy, a już zupełnie o realiach codziennego życia. Kanały komunikacyjne z Polski zostały skutecznie przyknięte.

Zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego, w poniedziałek, byłem w stoczni z nadzieją, że zobaczę siłę, moc i zdeteminowanie. Nic z tego. W pomieszczeniach biurowych niewielu ludzi, w ogóle na terenie stoczni nie ma tłoku. Nie powtórzył się fenomen bram i Sali BHP z sierpnia 1980 roku. Teraz wszyscy pogubieni, żadnej organizacji ani żadnych prężnych przywódców. No tak, przecież większość internowana.

Wczoraj byłem pod Komendą Wojewódzką MO i Prokuraturą. Nie stałem długo, ale w tym czasie przyjechało kilkadziesiąt samochodów, z których wyprowadzono kilkaset co najmniej młodych ludzi.. Aresztantów odprowadza milicja z długą bronią. W tramwaju ktoś powiedział, że to są wytapani młodzi stoczniowcy.

To dzieje się naprawdę.

Ludzie podejmują samoobronę inicjatywy, które na małe chwile wytrącają z absolutnej bezradności i pesymizmu. Tworzy się listy aresztowanych, porównuje doniesienia z innych stron Polski. Widać chęć dokonania oceny – z jak wielkim wydarzeniem mamy do czynienia.

Jutro niedziela, dzień przyczajenia się obu stron

Niedziela, 20 XII 1981

Zasnęłam nad ranem i spałam do 15.00. Nie chciałam się budzić.

Wieczorem słucham radio. Głos Ameryki informował o wysiedzeniu wejścia do jednej z kopalni. W wersji TASS grupa ekstremistów z Solidarności trzyma siłą ponad 1000 górników (ciekawe, czy to czytać, że tylu strajkuje w kopalni, kopalniach?).

Jutro pojedzie do Gdańska (kolejki jeżdżą). Po Zaspie w czasie godzin milicyjnych można chodzić bez przeszkód, ani śladu patrolów. W miejskich „sypialniach” nie kontroluje się ulic.

Poniedziałek

Wszyscy jesteśmy chorzy. Gorączkujemy, kichamy, kaszlemy. Na szczęście to tylko przeziębienie, nawet nie grypa. Rano wstaję i wyruszam zdobyć coś do jedzenia. Dzisiaj mieliśmy kolegium Punktu. Myny raczej niewyraźne. Postanowiliśmy pracować, składać numer niby-nic, a w każdym razie nie zmieniać planów. Czy dadzą nam funkcjonować dalej?

W mieście zrobiło się trochę mniej gęsto. Prawie nie widać wojska a też niewiele jest milicji. Nastrój grozy jednak wisi. W okolicy dworca w Gdańsku nie sposób przejść bez płaczu, wciąż zalega gaz łzawiący.

Ambasador Spasowski „dokonał dezercji”. Ciekawe, co to znaczy? Nie miałem czasu posłuchać Wolnej Europy, BBC albo Głosu Ameryki. Dementowano też sprawę kopalni Ziemowit. A w ogóle to jest „coraz lepiej”: Wątepa ma świetne warunki internowania, a jeśli będziemy (my tzn. społeczeństwo) zdyscyplinowani, to i stan wojenny będzie znosić, przyjaciele z Niemieckiej Republiki Demokratycznej wysłali nam pomoc żywnościową, a ze Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich idą żywności dla niemowląt.

Ale jak na razie po 20.00 musimy siedzieć w domach, a na święta kupić sobie marchew, buraki i kiszonką kapustę, cukru nie ma, mąki nie ma, owoców nie ma... itd. Jak sobie dają radę rodzice w Krępie? Na wsi? Może właśnie na wsi jest nieco bardziej znosić, bo mają trochę swojego... Wierzę, że tak jest.

Intensywnie odwiedzają nas okoliczni znajomi, ale i też Ci nieco dalsi. Rośnie histeria i zmęczenie. Nadal nie ma listów (żołnierze przestali je roznosić) ani paczek. Telegramów nie można wysyłać. Między miastowe telefony też wzbronione. Miejscowe na poststuchu. Plotki i doniesienia mieszają się w jeden pełen grozy szept: *Matcużyński internowany, Kulikow przyjechał i powiedział, rodziny internowanych represjonowane, do XY wyłamano drzwi i zostawiono w domu samą pięcioletnią córkę, ponoć utworzone obozy internowanych w zaprzyjanych krajach, Rafineria padła (w sobotę!), kontrwywiad Solidarności działa...* I w tym pełnym grozy szepcie trzeba żyć z dnia na dzień.

Ta maszyna jest perfekcyjnie zorganizowana. A my mam coraz mniej sił. Dzisiaj po dwóch godzinach stania w kolejce udało się kupić ćwiartkę śmietany dla domowej wegetariarki, czyli Lisy. Chocinki na święta nie będzie, bo nie ma. NIE MA (to też ulubiony zwrot Polaków w obecnej sytuacji).

Nie mam też żadnych wiadomości od rodziców, Ilonki i innych moich spoza Gdańska. Jak oni znoszą brak informacji o mnie i ode mnie?

Święta! Święta! Tym razem każdy osobno. Bez choinki, bez świeczek na choince, bez sztucznych ogni, bez...mięsa i pełnego stołu. Może będzie choć światło, bo jak na razie codziennie wieczorami są wyłączenia po 2-3 godziny.

Piszę ten dziennik z nienawiścią, bo intensywność, codzienność tych ciągłych trwających zrywan budzi we mnie gwałtowne emocje. Stan wojenny to stan trwałości, dzień po dniu, godzina po godzinie, minuta po minucie. Trudno od niego się uwolnić. Naznaczą wszystko. Nawet zdobywanie jedzenia – trzeba godzinami krążyć tramwajami lub autobusami po mieście, bo gdzieś podobna jest coś do kupienia, albo coś „rzucili”. Nieliczni mają samochody, np. Adzik, i to pomaga w codzienności, ale przecież benzyna też prawie nie do zdobycia.

Wszędzie smród gazów. Dobięga eksplozje. Lisa prawie w ogóle nie wychodzi z domu. Porusza się na osi dwóch mieszkań znajomych na Zaspie. Ale pędzimy bimber! Okazało się, że to wcale nie takie trudne. Rysiek- stoczniowiec mnie nauczył.

W polskim radiu gadają tak, jak pokazują w telewizji: polityka, propaganda, polityka, propaganda, kłamstwa, kombinowanie,

ogłupianie. Rozgłośnie zachodnie wciąż niewiele wiedzą. Ponoć sporo protestów we Francji.

Udało mi się kupić pierwszy tom *Transgresji*, to seria antropologiczna pod redakcją Marii Janion. W książce mnóstwo znajomych i świętych autorów. Głównie związanych z konwersatorium i seminariami Marii Janion na UG. Jest też mój wiersz „Pełni róż obłądu”. Dobre towarzystwo, jestem obok Fromma, дума mnie rozpiera! Gdy przeglądałem książkę, udało mi się przez chwilę wyrwać z tego napięcia, które mnie zżera od iluż dni. Książka jest kapitalna, ma świetne ilustracje (dobierał je Staszek Rosiek). On zawsze miał zamiatowanie do różnych ikonograficznych form wypowiedzi. Chyba nie planował być polonistą, pamiętam, gdy poznałem go w 1974 roku na WSN w Oliwie, że był niespełnionym kandydatem na plastyka, ale też teatrologa (rozmawialiśmy sporo o Peterze Brooku). Ciekawe, czy seria *Transgresje* wytrzyma próbę historii i czasu, czy nadal będzie się ukazywać, ale czarno to widzę.

Tom pierwszy *Transgresji* jest po prostu wspaniały, ale teraz, gdy konkurencją intelektualną jest Trybuna Ludu, Żołnierz Wolności (uuuuu!) albo Rzeczywistość, wszystko inne jest znikomitem. Nawet Konopnicka i krasnoludkowie są wybitnymi intelektualistami i głębo-

kości w swych rozumkach. Sybilka skończyła dzisiaj cztery tygodnie. Ma niezły wjazd w życie! Uśmiecha się coraz częściej, reaguje na tembr i ton głosu, a mnie aż zatyka ze strachu, jak byłbym bezradny, gdyby zachorowała, albo Lisa straciła pokarm. Groza. Trzeba teraz modlić się za polskie dzieci i to całym sercem. Potrzebuję wsparcia losu.

Jestem zmęczony. W ciągu dnia nie ma czasu na normalne życie. Wieczorami pranie pieluch (w resztkach proszku lub po prostu gotowanie w mydlinach), gotowanie-kombinowanie na następny dzień. Kapuśniak, kartoflanka, ziemniaki gotowane, ziemniaki smażone, kluski lane, kluski ziemniaczane, ol będzie jajecznicza, zupa pomidorowa z makaronem, zupa pomidorowa z ryżem, kasza manna, kasza gryczana, placki ziemniaczane, racuchy z dżemem, z miodem (sztuczny), ogórkowa. Z zapasów Lisy będzie ciasto kukurydziane a też marchewkowe.

Zaspa nocą wyglądając jak bezudne, opuszczone miasto. Ciemne okna. Nic nie jeździ po ulicach, ani śladu przechodniów. Całun śniegu pokrywa wszystkie nieliczne ślady ludzkich kroków. Cały czas śnieży. Jest pięknie! I tak będzie do rana. Do końca godziny milicyjnej. Chyba, że... ktoś wbrew porządkowi, na przekór i bez celu postanowi podeptać ten biały żatobny welon.

Gdańsk 27.XII. 1981

### Ich słowa

Jeśli nawet umieramy,  
jeśli głodujemy,  
jeśli nocą nasłuchujemy,  
czy przychodzą wyważyć nam serca?  
Jeśli nawet biją nas.

Jeśli przychodzą i rozbijają nam drzwi,  
jeśli ich twarze przykryte są pleksiglasem,  
jeśli nawet mają bardzo ostre kule,  
jeśli nawet są one przeciwko nam.

Jeśli nawet widzimy ich uśmiech,  
nawet jeśli są panami naszych chłap,  
jeśli boją się bardziej niż my,  
jeśli nawet już nas zabili.

To nie mają nic ponad  
puste słowa.

I rozumiem już, że nie ma nic straszniejszego  
niż te właśnie ich  
puste słowa.

Mineły dwa tygodnie

tej nocy. Naszej polskiej wojny.

Dostałem wreszcie informację od rodziców. Wysłali telegram, ale im zwrócono. Telegram o treści bardzo niebezpiecznej „Dojechaliliśmy do domu bez kłopotów”. Informację, list przywiózł brat ojca, wujek, który ma ponad 60 lat i tylko tacy starzy ludzie mogą podróżować po kraju. Rodzice spędzili wigilię i święta absolutnie sami. Po raz pierwszy w życiu. Musiało to być bardzo smutne i przejmujące przeżycie, sami w domu na skraju lasu, naokoło śnieg, szczekania psów, w telewizji jazgot kłamstwa, odcięcie od wszelkich wiarygodnych informacji. Raz na pięć godzin słychać przejeżdżający pociąg... A może ktoś dojedzie? Im wolno poruszać się w granicach gminy, czyli np. do Wątcza mogą pojechać. Ojciec na pewno słucha Wolnej Europy, ale tam tyle wstycha, ile ja tutaj, a więc niewiele.

Od przedświątecznych dni na ulicach pojawiły się watahy ZOMO, milicji i wojska – w patrolach, po wiele osób. Wcześniej byli tylko w strategicznych punktach miast. Teraz są wszędzie. Chłopcy mają dobre humory i raczej nie boją się nikogo, a na pewno nie ludu polskiego. Musiałem pójść na komisariat milicji (szukałem kontaktu z pogotowiem kaloryferowym, a telefony wciąż nie działają, ogrzewanie u nas nie działa już od 9 dni), najbliższy posterunek jest na ul. Białej. Widziałem tam sceny, których nie zapomnę nigdy. Wszedł jakiś zdeteminowany człowiek i prosił o rozmowę z komendantem komisariatu. Reakcja zebranych milicjantów jak z dobrego filmu okupacyjnego. Pierwsza reakcja na prośbę: *A wpięrdol nie dostałeś jeszcze? Zaczem podedknęto facetowi pałę pod brodę i zepchnięto do kąta.* Lali pałami, kopali, wyzywali. Chwile potem wzięli go do sąsiedniego pokoju i już tylko słyszałem, słyszałem, słyszałem... Choć nie chciałem tego słyszeć.

Z tego komisariatu zwiadałem równo, klnąc, że jestem durną pchając się w paszczę zła, pomiędzy nakręconych nienawością ludzi. Rura mi zmiękła i stałem się grzeździłki, ale o dziwo zadziałało, potoczyli mnie z pogotowiem hydrauliczno-grzewczym. Sybilka ma teraz ciepło.

Nie dostałem ani jednego listu napisanego w czasie stanu wojennego. Ograniczając ruch pocztowy trafił we wrażliwy punkt. Ostatnio zasłyszany ponury dowcip: *Nie będzie kłopotów opałowach, w Polsce rośnie wydobycie górników węgla kamiennego.*

Tymczasem nic nie wiadomo o akcji w Ziemowicie. Stocznim przesunięto czas wznowienia pracy do 4 stycznia – „z powodów organizacyjnych i braku materiałów”.

**Poniedziałek 28. XII, 1981**

Obrazek z ulicy: idzie grupa 15-18 milicjantów-zomów-romów-wojskowych. Nagle słychać: *z drogi!!!*. Zaskoczeni funkcjonariusze rozstępują się nieco stropieni, ale jeden z nich szybko się odzywa: *kultura wymaga, aby powiedzieć przepaszam..* Przechodzień, nie oglądając się nawet, odpowiada: *tylko do Polaków mówię przepaszam*. Powiem, gość mi zaimponował.

Wreszcie grzeją w kaloryferach bez przerw. Od jutra nie mamy pieniędzy. Liczę, że może jakieś zaległe honorarium wpadnie. Poszerzono nam wolność. Od teraz możemy wysyłać telegamy, oczywiście, cenzurowane, ale tylko pomiędzy miastami wojewódzkimi. Zastanawiam się skąd to ograniczenie, może nie mają dość cenzorów w matych i mniejszych miejscowościach a nie chcą popuścić na wolności informacji.

W Piaście górnicy wyszli z kopalni.

Pierwsze wyroki sądowe (nie tylko cywilne, ale i wojskowe) za organizację strajków (od 6 miesięcy do kilku lat).

„USA doprowadziły Polskę do kryzysu, ale tylko kraje socjalistyczne nam pomagają”.

Coś wybuchło dzisiaj w Gdańsku, słychać było aż we Wrzeszczu i na Zaspie.

Była radość, przyszedł list do Lisy z USA z pieczątką „Nie ocenizowano”. A jednak kogoś się boją. Lecz ta pieczęć, skąd tyle kurtuazji?

Boli mnie żółtek, Lisa wciąż ma pokarm. Sybilka zasypia tylko przy dźwięku odkurzacza. Mało płacze, cudna dziewczynka.

PS. W radiu: „przyszły paczki z Bułgarii w ramach pomocy zaprzyjaźnionemu społeczeństwu”. Wyc tylko.

**Grudzień, ostatni dzień roku 1981**

Zimno. Ale w domach pełen zapach sylwestrowy. Każdy jakoś chce zorganizować parę wesółych chwil. Z jęzieniem kruchem, ale sytuacja alkoholowa została przez smutne społeczeństwo opanowana. Okazało się, że zapasy cukru w domach są przepastne, a to oznacza, że pędzimy, pędzimy, pędzimy.... Co czuje się nawet na ulicach, gdy idzie się bliżej domów, zapach bimbru dociera tu i tam.

Przeżyłem komiczną chwilę grozy. Próbowalem zeszej nocy swoje wyroby. Aż zrobiłem się wesóły i gościnnie. W tym bimbrowidzie, nagle bez wyraźnego powodu, otworzyłem szeroko drzwi na korytarz, wołając, proszę, proszę, może koledzy z ZOMO chcą też się napić? Głupie i straszne, bo rzeczywiście za drzwiami stało trzech mundurowych chłopaków. Na szczęście to byli żołnierze. Bardzo się zmieszali i szybko odeszli. A ja wytrzeźwiałem.

**2 stycznia 1982**

WRON - a data nam na sylwestra wolność. Zawieszono (ale nie odwołano) na tę noc godzinę milicyjną.

**Parę dni później**

Ich przewaga jest taka, że są nie tylko profesjonalnymi żołnierzami, ale również mentalnie. Potrafią zabijać. Zdecydowali kiedyś, że może będzie trzeba zabijać. To jest ich przewaga. My, cywile tego nie potrafimy, niezależnie od tego jak wielka jest nasza racja i wściekłość. Byłem zaskoczony, a może nawet lekko rozczarowany brakiem czynnego oporu ludzi. Teraz rozumiem, że taka była zbiorowa decyzja, lub może lepiej powiedzieć mądrość, taki jest duch tego społeczeństwa – pokojowy. Niektórzy mówią, że to nasza słowiańska cecha wzięta górę, skłonność do pokojowych rozwiązań. Ja jednak myślę, że ta „mądrość”, to po prostu wyciągnięcie właściwych wniosków z historii, nie tylko obecnej, najnowszej, ale też i starszej, nawet powstaniowej. Walka z silniejszym przeciwnikiem musi być dobrze przygotowana a taktyka i strategia dopasowana precyzyjnie do warunków. Inaczej dochodzi do rzezi, kłeski i dramatu. Z czym mamy iść na zomowców i wojsko? Ze sztachelkami, gwoździakami, kamieniami? Ponoć były przygotowane do wersji aktywnego oporu w niektórych, co bardziej ostrych zakładach pracy, ale na szczęście nie doszło do walk. Wystarczy ofiar w Wujku, wystarczy, ofiar na ulicach, komisarzariatach... Przyjdzie właściwy czas i znajdą się właściwe środki, aby odkręcić ten ślepy załek historii.

Nie rozumiem logiki biernego oporu (ja, niby zawodowy humanista) i jego wysokiego moralnego sensu: nie można na złoto odpowiadać złem. Za żadną cenę nie wolno używać broni Złego. Przypominają mi się z całej jaskrawością dylematy polskiego romantyzmu i wampiryzmu. Cierpienia Wallenroda i Konrada osuwają ich w zło, a potem w piekło. Rozmawialiśmy o tym w Punkcie, w numerze 13 albo 14. Próbowaliśmy tam przesunąć sens wampiryzmu poza kategorie moralne. Dzisiaj bym tego nie uczynił. Polskie społeczeństwo wie, czego chce. Wie, czego nie chce. Nie chce być przedmiotem polityki, chce być podmiotem. Nie chce być instrumentem ideologii, frazeologii... Nie chce być sowieckie (nawet jeśli w jakimś stopniu mentalnie zostało zsowietyzowane). Nie chce być zachodnie w takich objawach jak terroryzm, anarchizm, lewackość, ale też skrajna prawicowość. Polskie społeczeństwo miało się w swojej naiwnej moralności, pomiędzy miatką i groteskową codziennością, a intensywną potrzebą wolności. Za wolność wszystko! W historii (np. sarmackiej, że się skończyło), dlatego tym razem wolność tak, ale nie za cenę sprzeniewierzenia się podstawowym wartościom.

Nauczyłem się wiele o społeczeństwie w którym żyję w tych dniach wojny, „naszej wojny” (jak napisałem w jednym ze swoich wierszy).

**8 stycznia 1982**

A oto inny wojenny obrazek rodzajowy: Trzech facetów po zwyciężeniu wojennym bimbru. Sylwest. Noc. Jeden doktor, drugi poeta, trzeci sędzia sądu wojewódzkiego. Pierwszy rozrywa guziki przy płaszczu, bo postanowił coś namalować na ścianie klatki schodowej wielkiego bloku (oczywiście to „coś” to sprzeciw), drugi wyciąga puszkę z farbą, trzeci śmieje się i chichocze, oj, oj w mojej klatce, w mojej klatce? Akcja się kończy. Dnia następnego okazuje się, malowali lakierem b e z b a r w n y m

Jest w tej grotesce nauka, może nawet wiśka.

Ala.

Jestem osobą „uchylającą się od pracy” (wszak w PRL nie ma bezrobotnych), bo właśnie zlikwidowano mi Punkt, pismo, w którym pracowałem. Już nie pracuję. Zawieszono działalność wielu innych pism i gazet. W tym też trójmiejski Czas. Punkt został bardzo źle oceniony przez czynniki i WRONĘ za numer 12, będący swoistą i pierwszą monografią *Sierpnia 1980*. A już wręcz do wściekłości doprowadził towarzyszy wiersz (to z następnego numeru) Antka Pawlaka o *Dzierżyńskim, który lubił las, bo tyle tam drzew do wieszania*. Prawda jest taka, że prowadząc tam dział poezji byłem zbyt mało odpowiedzialny i dopuściłem, że wiersz ten był wydrukowany. Czyli sprawiedliwość jest: było przestępstwo, jest kara.

Mariusz Wilk jest na wolności, ale na wszelki wypadek, co noc śpi gdzie indziej. Ukrywa się też Heniu Szabata, filozof z UG. Zygmunta Matackiego wzięli do wojska i teraz ponoć musi chodzić z ROMO i ZOMO.

Wciąż można znaleźć ulotki w różnych dziwnych miejscach. Przetrwają też sporo napisów na murach i publicznych ścianach, te jeszcze z czasów sierpniowych strajków, ale i też te późniejsze. Większość jednak zamalowano, a jeden z nich na wejściu do tunelu na Zaspie „KOR – Żydzi” trwa nie naruszony.

**9 stycznia 1982**

Dostałem od Joli przesyłkę a w paczce nowojorska reedycja Punktu i Przegląd, a też list wraz dziesięcioma dolarami. Oj, przydadzą się. Przesyłka Joli wzruszyła mnie, coś zostało pomiędzy nami z tych dawnych czasów, gdy mieliśmy po nieco więcej niż dwadzieścia lat i byliśmy bez pamięci zakochani w sobie.

Wszystko trzeba upolować. Nawet kartki na dają gwarancji, że coś uda się zdobyć. Trzeba krążyć po mieście, sprawdzać różne miejsca. Wracam z jabłkami, to sukces. Wracam z jajkami, to jeszcze większy sukces. Mięso trafia się z kartek też od czasu do czasu i pewnym sensie nie jest z tym źle, bo Lisa wegetarianka, a więc trzy kartki mięsne mamy na dwie osoby. Przy jako takim życiu trzymając nas niewielkie zasoby dolarów Lisy (a przelicznik jest piorunujący, więc bywa, że jesteśmy wielkie paniska i stać nas na to, o czym inni tylko mogą pomyśleć (np. dobre czerwone wino z peweksu).

A tymczasem nasze dzieci tutaj uśmiechają się, ziewają, są głodne, niecierpliwe, zadowolone i wcale nie chcą brać poprawki w swym życiu na stan wojenny.

**Nasze dzieci**

One

nasze dzieci,  
dzisiaj bezradne potomstwa krew z krwi naszej ponad naszą krew  
powstaną z dzieciństwa  
silne i okrutne,  
i pójdą

Pójdą nasze kości,

przemaszczą nasze potomstwa  
przez noc krwi i gwałtu i przemocy,  
staną się stałą i pociskiem i słowem  
I umrą w marszu i w trwodze  
I pozostawią

dzieci swoje,

krew z krwi ponad naszą krew,  
które wstaną z dzieciństwa.  
I staną się stałą i pociskiem  
I będą ocalone  
naszym słowem, potem i znojem

**15 stycznia 1982**

Stąłem w oknie patrząc na czerwone dachy Wrzeszcza i odległe dźwigi stoczni. Karmiłem mewy i zauważyłem, że te ptaki już nie krzyczą, tylko kraczą.

Kra, kra..

Znowu poszerzono wolność, można odpiąć jeden guzik więcej w płaszczu, można też wysłać telegram, jeśli masz zaświadczenie, że umieras.

Tradycyjnie już frontami utarczek ulicznych są okolice kościoła św. Brygidy, Targ Drzewny i Węgłowy, dworzec kolejowy. Miastem pędzą, a to kolumny czołgów, a to wielkie budy pełne ZOMO a też nowej formacji, ROMO (z tego, co mi wiadomo, w mundur quasi milicyjny wsadzają żołnierzy. Gonią, legitymują a czasami od razu biją. Kra, kra...

Zmęczenie. Zmęczenie, ot co bije z twarzy ludzkiej. Nie wiem jak długo można znieść te bezprawie, zakłamanie i głupotę. Głupotę chyba najtrudniej. Głupotę propagandy telewizyjnej najbardziej. Czy oni naprawdę uważają, że jesteśmy tak głupi, by wierzyć, że gospodarka została zniszczona przez Stany Zjednoczone i zachodnie kraje? I że pomogą nam Rosjanie, Enerdownicy i Bułgarzy. Wyczerpujące są te wymysły organizacyjne, jak np. kartki. Najpierw były tylko kartki na mięso. Ale można było je realizować tylko w wybranym sklepie. Potem to zmieniono i mogło kupować gdzie chcesz i kiedy chcesz, potem kazano nam rejestrować kartki na wykup konkretnego dnia (czasami i godzinę) i trzeba było wykupić wszystko z miesięcznego przydziału na raz, teraz nadal pozostawiono rejestrację, ale wykupić kartki trzeba w dniu rejestracji. Kra, kra..

Sybilka ma już 4 kilogramy i jest zdrowa.

To wszystko skończy się bardzo źle. W co się przerodzi to żmudne ucieranie ludzi na miazgę? Poza trudem codziennym coraz trudniej znosić ciężkie zniewagi i obrazy aparatu wojennego.

Dzieci dostają w enerdownskich paczkach suchary, zużytą odzież, bzdety i bibeloty. Mamy obiecaną pomoc z Rumunii i Libii. Groteska. Przedstawiciele rządu oświadczyają, że nie boją się głodu. Czy chcą nam powiedzieć, że mają jakiś plan dla społeczeństwa, czy raczej, że dla nich jedzenia starczy? Mówią, że rośnie produkcja, ciekawe jak to możliwe skoro tyle zakładów było pozamykanych po wprowadzeniu stanu wojennego. Ceny wciąż rosną. Nawet telewizja jakaś taka cherława. Propaganda bez ognia. Dzienniki krótkie, coraz krótsze, filmy stare i starsze. Dzieci na podwórkach bawią się w gazy łzawiące. Życie towarzyskie wypełnia się w domach, prywatnych mieszkaniach, tam dyskusje są gorące i ostre. Z tego, co mi wiadomo, moi koledzy pisarze są sparaliżowani i nic nie piszą. Aktywność ludzka wypala się na woli przetrwania. Często fizycznego przetrwania.

**18 stycznia 1982**

Jak wiele incipitów tego dziennika i ten rozpoczyna się podobnie i rozwija się w linię skargi? Ale chce się być też ironiczny, bo dobra ironia daje. Żyjemy w świecie szaleńców: hitlerów, napoleonów, breźniewów, jaruzelskich. Wszyscy oni rozumują podobnie: to my lepiej wiemy, a nie oni, lud nasz. My ich nauczymy, bo wiemy jaka jest racja, a jest po naszej stronie. I w imię tej racji mamy prawo zrobić wszystko. Jesteśmy przedstawicielami narodu, który nas wybiera i kocha. Zmusimy ich do przyjęcia tego, co jest dla nich dobre, nawet, gdy tak nie uważają. To jest trochę sytuacja ze szpitala psychiatrycznego, z jednej strony mądry (i silny) doctor, a z drugiej pacjent (głupi albo wariat). Tylko, że, jak powiedział Samuel Coleridge: „To, co w polityce zaczyna się łękiem, kończy się szaleństwem”. Bywa, że szaleństwem mordowania, bywa że niesprawiedliwością, okrucieństwem, wszechobecnym świństwem i przemocą. A Polska cała może już być takim szpitalem psychiatrycznym.

Jechałem dzisiaj z Markiem R. jego zastawą i niespodziewanie wpadliśmy w tapankę. Nagle wszędzie budy milicyjne, skoty z oznaczeniami MO, ale też wojskowe z oznaczeniem LWP, mnóstwo żołnierzy i zomowców. Jakaś większa akcja. Kogoś ewidentnie szukali. Sprawdzali wszystkich, dokładnie bagażniki i wnętrza samochodów. A my mieliśmy bibułę, niewiele tego, ale jednak.

Podszedł do nas funkcjonariusz i pyta groźnie, co mamy a następnie nie czekając na odpowiedź każe otwierać bagażnik. Marek błady otwiera, a zomowiec wybuchając śmiechem. Wzięliśmy z tyłu dużą taflę lustra. Ona nas wykpiła z sytuacji. Kilometr dalej, już na Zaspie całkowicie spokój, ani śladu patrolów. A my trochę śmieszni, trochę mokrzy.

**20 stycznia 1982**

Jeszcze jedna sytuacja (oczywiście mi opowiedziana, bo nie mogłem być przy tym), rzecz dzieje się w szkole podstawowej, klasy szóste i siódme.

- *No dzieci, teraz czasy są trudne, ale musimy w nich żyć. I właśnie, dlatego teraz ważne jest abyście oglądali Dziennik Telewizyjny. Wasi rodzice nie zawsze wszystko rozumieją właściwie i wy musicie pomóc w zrozumieniu obecnej sytuacji. Sklepy są puste, ale przecież wiecie, że dzieci mają lepiej, a nie gorzej, że w jednych domach jest dużo rzeczy, a w innych mniej. Mówcie o tym. A sklepy będą pełniejsze...*

Oto fragment pogadanki pedagogicznej pedagoga w mundurze wojskowym w ramach projektu „Debata o Stanie wojennym”.

**23 stycznia 1982**

Jutro sobota. Wolna sobota. Choć teraz w moim przypadku to ironicznie brzmi, bo przecież nie mam pracy. Ale fakt, że cały dzień jestem zabiegany. Ta wolna sobota będzie wolna od biegania po mieście. Będzie rodzinna. Będzie mieszcząca, spokojna i pełna nadziei. Będą rodzinne rozmowy, zabawy z dzieckiem, słuchanie muzyki, obiad a nawet podwieczorek ze stoliczkami, bo trwa

teraz, to nie tylko nie dać się zgnieść przemocy, wojsku i milicji. WRON-ie, to przede wszystkim niezgoda na zabicie podstawowych wartości, odruchów, takich jak rodzinność, kultura i uczciwość. To codzienne ocalanie przed zmęczeniem. Bo właśnie zmęczenie jest naszym największym wrogiem i sojusznikiem Stanu Wojennego. Nie strach, nie lęk, nie zagrożenia. Zmęczenie to sprzymierzeniec tych, którzy wprowadzili nam tu wojnę.

Dlatego tak znaczące są wysiłki ocalające nasze poczucie osobności, wyłączości, a takie poczucie można odzyskiwać tylko w rodzinie, przy książce, własnej pracy umysłowej, w miłości, codziennym godnym życiu domowym.

Tu u nas, w nowym Zaścianku Centrum Świata, wszystkie teorie socjologiczne, utopie społeczne, mętne ideologie biorą w łeb. Tu w Polsce kończy się obłąkane dziedzictwo dwudziestego wieku i jego komunistyczna utopia. Pozostają tylko nagie pytania. Nie można się dziwić, że zatem wracamy do rodziny, do kościoła, do metafizyki, bo tylko tam trwają katagoryczne wartości, wciąż w miarę jeszcze oczywiste. Prawdziwe. Wszystko poza jest dekadencją, albo groteską, albo snem pełnym generałów – wizjonerów, obłąkanych kontrrewolucjonistów, durnych charyzmatyków, neurotyków.

A jednak to nie jest snem. Dzisiaj słyszałem komentarz zachodniej rozgłośni. Na temat zarzutów, jakie stawia się Polakom Kościotowi, że politykuje, że jest kunktatorski i zbyt ostrożny. Komentarz broniący postawy Kościoła argumentował, że ma on w odwodzie potężny ruch: pielgrzymkę do Częstochowy. Że niby, co? Miliony ruszą pielgrzymką przeciwko stanowi wojennemu? Naiwność.

Zachód niewiele rozumie, zresztą i my nie wszystko pojmujemy. Ale świat zachodni nie pojmuje jednej rzeczy na pewno: przemocy. Bo przemoc tylko pojmujemy w pełni ten, którego ta przemoc dotyczy. Ten ból bez odzwierciedlenia go jest niezrozumiały. Przemocy należy się bać i przeciwdziałać w porę, bo gdy już jest, paraliżuje. Przemoc jest milcząca, zatem nie bardzo można się z nią dogadać. A na dodatek ta niemowa jest głucha.

Słyszałem, że ma być kolejna fala aresztowań. W Gdańsku do 190 osób. Są ponoć takie listy proskrypcyjne. Ponoć, chodzi o podwyżki. Ponoć chodzi o „drugiego garnitur” działaczy. Ludzi kultury mają oszczędzać, chcą ich wracać do współpracy, łatwo na nas oddziaływać, większość redakcji nie pracuje, pisma polikwidowane, wydawnictwa uspione.

Z telewizji gdańskiej odpadło 12 osób. To dużo, albo mało, zależy jak na spojrzeć. Bo tylko 12 osób nie zyskało akceptacji WRON-y? Bo aż 12 osób wywalono pracy?

**Radosne wiadomości!**

Odowiedział nas kolega mojej siostry, Agaty. Ponoć ma się dobrze, choć brak pieniędzy i jedzenia coraz bardziej zagląda im w oczy. Michał już chodzi.

Nie mam wiadomości od młodszej siostry, Ilony.

Dają sobie radę psychicznie tylko dlatego, że mam Sybilkę i Lisę. Ta pierwsza coraz większa i wciąż pogodna. Lisa mądra, pewnie więcej czuje niż rozumie. Ale jak ma Amerykanka rozumieć rzeczywistość takiego kraju jak Polska, a tym bardziej Stan Wojenny, Marshall Law? Jest takie pojęcie w języku angielskim, ale tu jest rzeczywistość. Ta młoda kobieta, moja Lisa, jest niesamowita w tym, jak daje sobie radę z tym tak obcym jej porządkiem. Gdy przyjechała do mnie z Cincinnati nie mogła wiedzieć na jakie naraża się niebezpieczeństwa. Będę jej wdzięczny za jej dzielność i opiekę nad naszym dzieckiem do końca życia.

Na Zaspie nowy napis: *Wrona orta nie pokona*.

Marek Radke namalował świetny obraz: na granicznej barierze w paski biało-czerwone siedzi czarna wrona i typie ironicznym okiem na widza. Wszystko utrzymane w ciemnych, czerwono-granatowo, czarnych barwach.

Śniło mi się, że kradłem. Ciekawe, co to oznacza?

Czas mi się wyślizguje. Czasami zaskakuje mnie, że minęły już prawie dwa miesiące, a czasami wydają się niemilosierne. Czasami zapominam, co było wczoraj. Co myślałem? Co robiłem? Piszę, więc ten dziennik trochę w akcie mnemotechnicznym, choć wcale nie jestem pewny, czy warto ten czas zapamiętywać. Chwilami boję się, że zapominam rzeczy istotne, że nie będę już tym kimś sprzed wojny. Z pewnością zagubiła mi się ta tak hodowana przez mnie naiwność. Już nie na piszę tak wolnego od rzeczywistości wiersza, jak pisałem przed wojną. Czy w ogóle jeszcze będę pisał wiersze?

**27 stycznia 1982**

Jutro jadę Szczecina. Mama w szpitalu, ma mieć pilnie operację. Krytyczne zwięźlenie tętnicy w okolicy biodra. Telegram o konieczności wykonania operacji dostałem w sobotę, ale pojechać będę mógł dopiero w środę, bo i na wyjazd w takich okolicznościach jest wymagana zgoda reżimu, miejscowych władz stanu wojennego.

**Powtarzam datę, bo data bardzo smutna, 27 stycznia 1982**

Dzisiaj sejm zaakceptował Stan Wojenny.

A byli tacy, którzy wierzyli, że sejm nie przyjmie tej uchwały. Jutro ostatnie kolegium Punktu, wiem, że ostatnie, pomimo że niby pismo jest tylko zawieszono. Koniec fikcji. Koniec pisma. Koniec planów.

Oceń kosztuje 43 złote. Deska do prasowania 1700. Galaretki owocowa 17 zł. Telewizor kolorowy 120 tysięcy.

**10 luty 1982**

Mamy ponownie godzinę milicyjna od 20.00. Gdy pojechałem do mamy na jej operację do Szczecina, w Gdańsku doszło dużej manifestacji ulicznej. Mówiono o 5, 10 tysiącach ludzi, głównie młodych i studentów. Gdańsk jest traktowany szczególnie, bo w oczach Wrony jest szczególne, a może w ogóle jest szczególne. Akcje zapalania świeczek w oknach udają się bardzo. Sam wdziałem jak w nieomal wszystkie oknach bloków na Zaspie palily się ogniki świec.

**15 luty 1982**

Lisa ma zapaleni piersi. Koniec pokarmu dla Sybilki.

Mniejsze racje żywności na kartkach, wieloletnie wyroki. Znajomi się ukrywają. Nie mam czasu dla siebie. Powrót do normalności: godzina milicyjna trwa już tylko 7 godzin, można telefonować (ale rozmowy zaczynają się komunikatem, że rozmowy są kontrolowane (= cenzurowane). Ta „wolność” telefonowania to wielka ulga, można się wreszcie komunikować, a to, co niecenzuralne zawsze łatwo ukryć lub zasyfrować. Na ulicach już nie ma czółgów po 3 miesiącach. Tylko zomowcy wszędzie.

**18 luty 1982**

Czas pustoszysy wszystko i wszystkim. Najbardziej dotyczy to naszych umysłów. Stan Wojenny bierze w panowanie nasze myśli i sposób myślenia. To, co nienormalne wydaje nam się zwykłe. To, co jest zwykłe, jest nienormalne. Niewielki zmiany w reżimie wojennym traktujemy jak wielkie zdobycze wolności i ulgę. Za chwilę gotowi będziemy chwalić WRON-ę, za to że taka ludzka, że tylko bije a nie zabija. Że tylko trochę głośujemy Najboleśniejście zwycięstwo Rzymu to że w nas, w naszych duszach, wnętrzach. Zaczynam pisać. Może będzie to tom poświęcony właśnie Stanowi Wojennemu, Naszej wojnie. To nic, że chwilami zajmowanie się zadaniami humanistycznymi, pisarskimi wydaje się nieomal śmieszne i komiczne. Bo to jest moja najcichsza i najbardziej osobista wojna z reżimem.

To prawda, że wiele tych humanistycznych idei i zagadnień, przemyśleń nabiera pewnej jednokierunkowości, jednokolorowości, a obszarem specjalnie wyróżniającym staje się interpretacja wspólnotowych przeżyć. Coraz mocniej akcentują się społeczne wymiary problemów. Poezja parnasistowska, akademicka, estetyczna, itd. staje się błaha. Wiem, że tak nie jest, że sztuka nie może być tylko w służbie idei społecznej. Czytam moje przedwojenne wiersze, są dla mnie dzisiaj nieistotne. Mam nadzieję, że dzisiaj tylko, że wróci Światło, które zatonoło w mroku Stanu Wojennego. Jest jednak pewny tęcznik pomiędzy tym czasem przed i obecnie wojennym. Wtedy i dzisiaj czuję, że najistotniejszy jest pojedynczy człowiek, każdy z nas w swojej komórce istnienia, w swoich miłościach i lękach.

Sam napisałem niewiele wierszy. Z nich przebijają doraźność. Nie jestem zadowolony. Wiersze może zyskują na dramatyczności, ale tracą na głębi. Czuję, że mój oddech jest zbyt szybki i płytki.

Wygląda na to, że jestem historycznie heroiczny historycznie!

Trzy dni temu w TV wystąpił Krzysztof Gąsiorowski. Poruszyło mnie to i zareplikowałem (nieco chaotycznie)

**Niesprawiedliwa czy odcięta ręka Cendrarsa**

Nie ma mądrości  
Sprawiedliwszej od niesprawiedliwości

Najbardziej zawile ścieżki myśli  
Nie zwrócą ręki Cendrarsowi

Nawet samotność mędrca  
Nie usprawiedliwia jego wobec ludzi obojętności

Gruzy Imperium Rzymskiego  
Uczą tylko, że przemoc, wszelka przemoc

Wiedzie do upadku  
Znalezione po latach hełm

Odsłania puste  
Wnętrze przemocy

Chyłkiem malowane nocą hasła  
Rano już zamalowane jednolitą farbą  
Wciąż znaczą

Świat ociemniałych nigdy  
Nie może tłumaczyć świata oślepionych

Racji nie wytłumaczy się  
Prawem spadania jabłka Newton

A ręka Cendrarsa,  
gdy dotkną ją czule  
nie niesprawiedliwa jest  
ale odcięta

**1 marzec 1982**

Trudno zrozumieć to miasto nocą, gdy spoglądam ze swojego dziesiątego piętra na lśniące wilgocią dachy Wrzeszcza, pulsują spokojem. Tak jakby nie było na ulicach tych ponurych mundurowych patroli. Mówią tym samym językiem co ty, ale jakże są inni ze swoimi pałami i karabinami. I bezwolnością. Ogarniam czułością wspomnienie miasta, lokalnych pijaczków, prostytutki i dziwaków. Teraz tam tylko chyba nie potrzebujące przepustek psy, koty. Zazdroścuję im. Nie ma mojego słodkiego miasta, nie ma dancingu Pod Kominkiem, Wariatki z Wrzeszcza, Pani Isi, która ma zawsze otwartą mecie z Żołądkową Gorzką.

Już nie jesteś moim miastem? Jesteś już tylko kupą kamieni? Gdzie się włości Jan Ledóchowski, Arek Kajzer, Olek Jurewicz, Oskarek od Grassa, duch Schopenhauera? Kaszubki nie wyruszą dzisiaj na targ.

Miastu założono na przeguby rąk kajdanki. Godzin milicyjna jest. Oskar śpi. Nie krzyczy. Szyby nie pękają w pancernych oknach pojazdów. Dlaczego nie wybuchą poranek, dlaczego wybuchają kamienie? Może tylko śnieg?

**Kamienne miasto**

Zamknięto kamieniom usta,  
zamknięto ustom kamienie,  
ukamienowano otwarte usta.

Wykluto roślinom oczy,  
wykluto rośliny oczom,  
wyrwany wzrok pustka patrzy.

Związano rzeczom ręce,  
związano rękami rzeczy,  
choćby te rzeczy to miłości gesty.

Zapchano uszy piaskom,  
zapchano piaskiem uszy,  
zasypały się nasze czasy.

Ubrano ciszę w czapkę,  
czapkę ubrano w ciszę,  
lecz kto tam krzyczy?

Zabrano wodę powodzi,  
zabrano ludzi ludziom,  
zabrano czasy czasom.

A wiersz wciąż się pisze,  
a w nocy wciąż budzimy się z krzykiem,  
a rano spokojnie dopisujemy nową cyfrę.

**8 marca 1982**

Wiadomość z ostatniej chwili: Jak podaje Polskie Radio, Przywódca Republiki Kongo. Generał wyraził poparcie dla dziejowej misji Generała Jaruzelskiego. Ufff.  
To nie jest żart.

**26 marca 1982**

Muszę zatławić wizy i Lisie, i Sybilce, bo się już kończą. Zmarła babcia, mama mojej mamy. Smutna okazja do spotkania, ale radosna, po pierwszy raz w Stanie Wojennym spotyka się tak szeroko cała rodzina. A więc trzeba smutku, aby była radość? Wracałem samochodem przez Bydgoszcz. Trzy razy zatrzymywano nas na zaporach drogowych obsadzonych przez wojsko. Chłopczy pachnieli wódką i mieli sporo wigoru, ale w sumie życzliwi, choć zasugerowano mi, że podobny jestem do Lisa i obejrzano moje dokumenty dokładniej.

W Gdańsku zrobiło się sennie. Ponoć w Warszawie życie podziemne wrze. Ale nie tutaj. To miasto zostało ogtuszone. Czasami tylko ludność się budzi i zjawia pod kościołem w kilkadziesiąt tysięcy, ale to raczej tylko wielkie manifestacje obecności, a nie jakieś aktywne protesty. Sennie, czasami tylko spada „z nieba” deszcz ulotek, albo zaszeleszczą pod stopami w korytarzach publicznych budynków. Kolejki w sklepach krótsze, bo nie ma pieniędzy. Ogórki po czterysta, sałata 25 zł za sztukę, fromage 50g, 36 zł., Chudy twaróg 65 zł, rzeszowska 350 zł, kawa po 3500, piwo 25 zł, gorzałka 380 za pół litra. Radio, które kosztowało 16 tysięcy, teraz już jest za dwa razy tyle (a radia są pożądane bardziej niż telewizory, toż to nasze okna na świat). Tak, jest coraz lepiej, a przynajmniej tak napisano w gazecie za 10 zł.

**Zmęczenie Heroda**

Nie ma czułości dla dzieciątek,  
gdy Herod w imię Rzymu  
zarządza porządek.

Na nic utajone moralne kajania kata,  
gdy ojciec naucza, że dla ocalenia innych  
musi zabić brata.

Na nic ten stalowy porządek  
pojazdów, suk, czółgów,  
gdy i tak zwycięża szeptany obrządek.

Jest czas jest  
niedostępne dno oka,  
jest nikomu niepojęta wolność snu  
pokazująca pozorność założonego pęta  
I jest śmiertelne zmęczenie  
Wstającego od stołu Heroda

**31 marca 1982****Bezgłós**

Z miesiąca na miesiąc żyjemy, choć zniewoleni.  
Z ciała do ciała przekazujemy zmęczenie,  
z rąk do rąk podajemy nieme uściski nadziei,  
od upadku do upadku wstajemy coraz pewniejsi.

Od goryczy do goryczy buntowniczo śmiejemy się na głos.  
Od słowa do słowa piszemy optymistyczne wiersze,  
od milczenia do milczenia głośno wykrzykujemy niezgodę.  
Między nami a nimi coraz pewniejsza klęska.

Tylko upiór niewoli – racja stalowej obręczy na gardłach  
zamyka się sama w zaklętym kole obłędu,  
w uporze oszalałej z pragnienia władzy,  
nie od do, ale w ciąglym rozpaczliwym staczeniu

na pochyłej równi, na której końcu stoi twarda ściana  
Niemoty, ślepej na dyktatora próby rozmowy,  
któremu nawet oko lufy rewolweru wymierzonego we własne usta  
jest ślepe, bezzreniczne i bezgłownie uchyla się od strzału.

Życie teraz stale miesza codzienność i patos, wielkie sprawy z małymi, wiersze ze sklepami mięsnyimi, krzyk z szeptem. To chyba nie tylko moja perspektywa. Nie ma co jej zmieniać, jest właściwa dzisiaj. Przyzwyczajam się do tego. Przyzwyczajam się do siebie. Chwilami tandetnie patetycznego, niespodziewanie statusiałego. Dziecko i wojna. Miłość i głód. Bimber i los. Strach i pragmatyzm. Akceptuję te skrajności egzystencji, bo tylko tak mogę być efektywny, skuteczny i bronić SWOJEGO, czyli mojego dziecka, żony, siebie. Stan wojenny postawił mnie w sytuacji pojedynku: Oni – ja. Muszę wygrać. A ta wojna coraz bardziej jest wyblakła, niedorobiona.

Rozpocząłem ten zapis od wiersza, bo szukałem znaleźć jakiś wspólny mianownik dla obu stron. Bo jest wspólny mianownik. I tamta strona może go widzi, albo dopiero zobaczy. Mianownikiem obu stron jest godność, uczciwość i czystość serca.

Żło w każdym momencie można wyłaczyć.  
Póki co nie wyłaczają. I upodlają nas. Odbierają lub próbują odbierać godność. Chcą nas poniżyć. Ich studzy, ZOMO, milicja, wojsko, działacze partyjni, dziennikarze, są jak diabły niskiego szczebla, małe złe cwaniaki z chytrymi pyszczkami. Ale niestety gryzą. Żło jest planowane przez innych. Ci, którzy wymyślili nam kontrole korespondencji, telefonów, ograniczenia w komunikacji, np. telegraficznej, konieczność ubiegania się o zgodę na wykonanie podstawowych czynności życiowych, ci są prawdziwymi Sługami Żła. Myślę, że Oni nawet cierpią, że cierpią nawet teraz, ale będą cierpieć jeszcze bardziej.

A nasze poczucie godności będzie wzrastać.  
Kiedy pytam po raz kolejny, co to jest za wojna? To wiem, że w mniejszym stopniu operacja milifarna, i polityczna, a batalia o panowanie z jednej strony, a z drugiej o godność. To prawda, że WRON-a zorganizowała Stan Wojenny, ale wojnę wypowiedzieliśmy my, bo my musimy bronić naszego sensu życia, lub sensów życia, gdy im zagrażają nieudacznicy Stanu Wojennego.

Wojna z 13 grudnia już się zakończyła. Teraz trwa walka i wojna przeciwko okupantowi, najeźdźcy naszych dusz i zaborcy naszego poczucia godności..

**Wojny już nie ma (II)**

Wojna jeszcze trwa

Nie, wojny już nie ma,  
trzeba tylko spojrzeć gruzy pośród blag,  
trzeba zobaczyć w czasie który  
jeszcze stary obraz trzyma,  
kruszące ramy i zwiędłe tło.

Trzeba zobaczyć krach  
pięści, która nie ducha w szponach trzyma  
I ślepym tańcu uderzeń,  
- jak papierowy ogień – kona.

Wojny już nie ma,  
choć trwają jeszcze defilady.  
Trzeba tylko usłyszeć  
zdławiony szept pośród krzyku  
I podłości zdrady.

Trzeba podnieść głowę,  
oderwać wzrok od wizerunku wroga,  
trzeba spojrzeć na ręce swoje i cudze,  
jak szybko zawiązują się w życia wieńce

Nie, wojny już nie ma,  
trzeba tylko spojrzeć na tanku  
rdzę i na mundurze pleśń  
i zacząć normalnie żyć,  
i przechodzić pomimo wojennego porządku

**19 kwietnia 1982**

Przez dwa dni nie było godziny policyjnej (a ffu: milicyjnej). Uczciłem to i pojechałem taksówką do Anki Czekanowicz. Okazało się jednak, że źle policzyłem czas, gdy dojechałem, już było po „odpuście” i znowu była godzina milicyjna. Ale wypiełem herbatę. Porozmawiałem i wziąłem od niej Sulfaguanydynę i ruszyłem z powrotem. Brakowało mi Anki, brakuje mi innych weteranów naszego młodzieńczego życia literackiego. Anka świetnie mnie inspirowała do pisania wierszy. W końcu napisaliśmy wspólnie tom poetycki z motywami Androgyne, Mefistofelesa, ogólnie rzecz ując, mocno modernistyczny.

Drugą radością ostatnich dni była książka Faulknera, Lights In August. Wielka pochłaniająca lektura. Oderwała mnie od codzienności. Znowu mogłem zanurzyć się w istotność, bo rzeczywistość Stanu Wojennego na miano rzeczywistości słabo zastępuje. Uderzył mnie ogromnie fragment... No, właśnie, tak tam nie było, ale olśniewająca potencjalność tego momentu starczyła. Otóż w pewnym momencie do jednego z bohaterów przychodzi obcy człowiek i prosi go, aby się przyznał za kogoś innego, obcego, do winy za zabójstwo. To jednak nie chrześcijaństwo tego pomysłu mnie zachwycało, a wręcz odwrotnie, to pogańska, grecka(?) wrażliwość na Fatum, na los i na Absurd, Czytam teraz zdanie poprzednie i widzę, że słowa „olśniewające”, „zachwycające” są tu nieprecyzyjne. Znacznie lepiej powiedzieć, że to mnie „tak dotknęło” (tak dotknęło, jak dotyka się palcem), że usłyszałem stan własnej duszy i umysłu. Cały Faulkner, opisuje bohaterów, a sięga do dusz czytelników. I tym razem palec Faulknera wlaź we mnie głęboko. Niestety, książka się skończyła. Umarła. Znowu czuję mur swojego losu i bytu, a też ciała. Ale i niezależność własnej duszy, jej niepodległość.

Zmysły mnie denerwują. Nie mogę nad nimi zapanować. Śmierdzi mi wojna naokoto, jakaś egzema wojenna gryzie delikatnie skórę na brzuchu, błony śluzowe szeleszczą, kąciki ust uciekają jeszcze bardziej w ką. Ręka pisze ten dziennik, ale jej nie kontroluję za bardzo. Co rusz chce odbić od wiersu, od linii, wyrazu.

Ta gra ciała i umysłu wymęcza.  
Jestem głodny, ale jeszcze bardziej chciałby dobrej herbaty  
**26 kwietnia 1982**

Jest cholernie zimna noc. Lisa i Sybilka śpią. Parę dni temu mieliśmy atrakcje i radość, bo nadawała niezależna rozgłośnia radiowa. Krótko, bo krótko, ale nadawała. W Gdańsku w stoczni cichy strąk. Ludzie chodzą z wpiętymi w klapy opornikami. Cicho, cicho, aż huczy w głowie.

Kończy mi się ten notatnik. Nie było jeszcze o miłości? Wiem niewiele, ale tego, że kochać warto jestem pewny. Miłość to chyba najtrudniejszy, bo wyrafinowany stan pożądania życia. Tak właśnie zawsze czułem miłość. Jako pożądanie życia. Kochać trzeba tak, aby nic nie wykluczać. Można namiętnie, może spokojnie, ale nie wykluczająco. Inaczej nie mówimy o miłości, ale o egoizmie.

Tak Kocham dzisiaj w tym świecie niepokoju Stanu Wojennego To prawda, że jest to nieuporządkowane uczucie, nieco szalone.

Miłość do dziecka wiele porządkuje. Kocham Lisę i to bardzo, ale w tej miłości jest poszukiwanie, w miłości do Sybilki jest odnajdywanie. Dziecko jak nikt uświadamia, że miłość to nie posiadanie. Uświadamia, że nieustannie jesteśmy na początku i na końcu życia. Obecność Sybilki to trzymanie mnie w ryzach normalności.

**ZBIGNIEW JOACHIMIAK**

## W numerze grafiki prezentuje Katarzyna Gościńiewicz

(ur. 15 kwietnia 1980 r. w Łańcucie)

Jestem absolwentką Edinburgh College of Art, University of Edinburgh (Szkocja), gdzie otrzymałam tytuł Bachelor of Arts w 2015 roku. Studiowanie na kierunku Intermedia art dało mi możliwość eksperymentowania z różnymi materiałami

i metodami tworzenia, co z kolei pozwoliło mi na przekraczanie progów myślowych i wychodzenia z „programu definicji” tego, co znane. Pięć miesięcy spędzonych w SUNY Purchase College (Nowy Jork, USA, 2014) jako uczestnik programu wymiany studenckiej umożliwiło mi dalszy rozwój umiejętności. Lubię czasami podzielić się moją twórczością. Ostatnim przykładem jest publikacja kilku moich prac w jednym z wydań fotograficznego magazynu online F-Stop Magazine. Obecnie przebywam w Rzymie, gdzie pracuję w zakresie usług turystycznych.

Kocham mocną kawę o poranku, rzęsy deszcz w upalny dzień, konie pędzące w galopie i ten moment przedziwny, kiedy świat nagle się zatrzymuje, jak w stop-klatce, bo znowu myśl jest, bo znowu piękno spostrzeżone kątem oka, a może raczej kątem serca.



WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc!  
Redakcja



## Prenumerata!

Cena „Migotań” 25 zł,

za numer podwójny 40 zł,

prenumerata za 4 kolejne numery 90 zł.

Koszt przesyłki kurierem za pojedynczy numer 15 zł, podwójny 18 zł.

Na życzenie wyślemy przesyłką poleconą, koszt dodatkowo 5 zł.

### Jak zamawiać? To proste! Jest na to wiele sposobów:

- 1) Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złoż zamówienie;
- 2) Wyślij zamówienie mailem na adres: zdanowicz.karolina@migotania.pl;
- 3) Wyślij zamówienie na adres: Fundacja Światło Literatury, ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk.

W tytule przelewu proszę podać adres, na który ma być przesyłana prenumerata, oraz numer „Migotań”, który ma zapoczątkować prenumeratę. Prenumeratę otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty na konto: Bank Millennium 74 1160 2202 0000 0001 7019 5866

lub za pobraniem pocztowym (koszty pobrania ponosi prenumeratę).

gazeta literacka

# Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 4 (61) 2018

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**  
Dział PR: **Adam Buszek**  
Dział tekstów, redakcja i korekta: **Agata Foltyn**  
Dział fotografii: **Sybilka Storie**  
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa),**  
**Andrzej Wołosewicz (Warszawa).**

Stale współpracują:

**Anna Frajlich (Nowy Jork),**  
**Piotr Goszczycki (Warszawa),**  
**ks. Janusz A. Kobierski (Warszawa),**  
**Adam Majewski (Gdańsk),**  
**Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),**  
**ks. Jan Sochoń (Warszawa),**  
**Leszek Szaruga (Warszawa),**  
**Olga Śmiechowicz (Łódź),**  
**Roman Warszewski (Gdynia),**  
**Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),**  
**Krystyna Śmiechowicz (Łódź),**  
**Zofia Beszczyńska (Warszawa),**  
**Sławomir Majewski (Miechów),**  
**Leszek Żuliński (Warszawa)**

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

**Baltox Jolanta Rakowska**

Wydawca: Fundacja Światło Literatury  
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,  
ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk

tel. 782-022-502

601-840-302

[joa@migotania.pl](mailto:joa@migotania.pl),

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

**Migotania.** Gazeta literacka sprzedawana jest w salonach Empik w całym kraju w cenie 15 zł. za pojedynczy egzemplarz (numer podwójny w cenie 25 zł.). Możliwy jest również zakup za zaliczeniem pocztowym. Łaskawe zamówienia proszę składać w Redakcji dowolną drogą. Redakcja uprzedza, iż nie odpowiada za zamówienia nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:

[joa@migotania.pl](mailto:joa@migotania.pl)



WOJEWÓDZTWO  
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW  
SAMORZĄDU  
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



Debiut

Joanna Wójtowicz

## Koniec świata

Gwieździste niebo  
spadło i roztrzaskało się  
na ziemi  
na tysiące małych lusterek!  
Obłoki dryfują po morzu,  
unoszą się puchowe łódeczki czekając  
na swych marynarzy.  
A nad lasem  
Pustka,  
A nad miastem  
Pustka,  
Nad górami  
Pustka,  
Podusiły się motyle,  
opadają mdlejąco piersi  
ucichły na widok spadającego słońca.

## Obrazy

Błękitne duchy Wróblewskiego  
ciała martwych do żywych tulone,  
ciała żywych do martwych zbliżone  
rozpadają się w ciszy.  
  
Do ścian od śmierci lepkich przyklejone  
wpatrują się w przestrzeń, oczekują.  
  
Już koniec,  
już tylko uwiecznić upadek  
rozcłunkować pozostałości,  
tylko zatrzymać chwilę.  
  
Strach, którego w oczach brak, przyjąć  
z godnością,  
odejść czyli zaistnieć.

Leszek Szaruga

# WYPRASOWANIE (27)



Wicepremier Piotr Gliński, minister kultury (i dziedzictwa narodowego), podjął odważną decyzję finansowania kwartalnika „Napis”, którego wydawcą są Polskie Wydawnictwa Muzyczne, co o tyle zadziwia, że ma to być organ poświęcony literaturze. Jakoś mi to przypomina inicjatywę tegoż ministerstwa za panowania SLD, gdy to powołano do życia finansowany przez podatników tygodnik o dumnej nazwie „Wiadomości Kulturalne” (1994-1998) redagowany przez Krzysztofa T. Toeplitza. Warto przypomnieć, że winieta tego tygodnika wzorowana była na winiecie międzywojennego tygodnika skamandryckiego „Wiadomości Literackie”, przy czym nie po raz pierwszy po wojnie nawiązany do periodyku Mieczysława Grydzewskiego. Podobne zabiegi towarzyszyły powierzonym przez komunistów Jarosławowi lwaskiewiczowi tygodnika „Nowiny Literackie” (1947-1948) – też podobna winieta. W obu wypadkach miały to być pisma zaświadczone troską władzy o rozwój kultury i mające – w nawiązaniu do elitarnego tygodnika z międzywojnia – skłonność do współpracy z władzą autorów pozostających wobec niej nieufnymi. Liternictwo, jakim złożono w obu wypadkach tytuł, miało przemówić do niezdecydowanych: „Patrzcie, przecież dbamy o ciągłość”.

Jak widać, zarówno władza komunistyczna, jak postkomunistyczna z lubością kokietowały sceptycznych wobec niej intelektualistów. Nie wykluczam, że „Napis” jest inicjatywą o podobnym charakterze. Lecz, jak się zdaje, minister i wicepremier Gliński nie bardzo się orientuje w biegu ruchu prasowego w naszym kraju i nie wie, że rocznik o tytule „Napis” istnieje, i to od roku 1994, jego naczelną redaktorką jest Barbara Wolska z Uniwersytetu Łódzkiego, zaś właścicielami tytułu są pospół Uniwersytet Warszawski i Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, który też, ów Instytut, jest wydawcą tytułu, co może być zaskoczeniem dla profesora Piotra Glińskiego, wieloletniego pracownika PAN. Powinien jednak o tym wiedzieć redaktor naczelny tego organu Józef Maria Ruszar, choć zapewne będzie tłumaczył, że nie tytuł, ale podtytuł pisma – „Liryka – epika – dramat” – stanowi o oryginalności propozycji. Na wszelki wypadek warto poinformować zainteresowanych, że trwa nabór tekstów do numeru na rok 2019 poświęconych problemowi: „Literatura polska i rosyjska w kontekście gatunków literackich”. I może nie od rzeczy będzie przypomnienie o tym, że w ciągu trzech kilka w wcześniej dotowanych przez ministerstwo tytułów pism literackich znalazło się bądź na skraju egzystencji, bądź tej egzystencji zostało pozbawionych. To ostatnie dotyczy też redakcji miesięcznika „Nowa Polska”, pisma powstałego z inicjatywy Jerzego Giedroycia w roku 1999 i adresowanego do inteligencji rosyjskiej, w którym miałem zaszczyt prezentowania panoramy współczesnej literatury polskiej: tytuł został przejęty przez innego wydawcę działającego pod opieką ministerstwa, które jest formalnym właścicielem tytułu, pozornie zatem wszystko jest w najlepszym porządku, po prostu wpisuje się w linię dobrej politycznej zmiany.

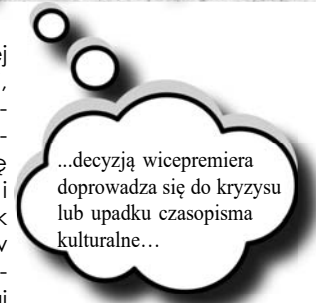
Tymczasem weekendowy dodatek do „Rzeczpospolitej” zatytułowany „PlusMinus” (nr 47/2018) przynosi obszerny blok materiałów z „Napisu”, przede wszystkim zaś wstępniak redaktora naczelnego zatytułowany, a jakże, „Literatura, niepodległość, sprawiedliwość”. Nurza on polską kulturę (przypomnijmy Borowskiego: „Kultura ty, polska kultura./ Pojedziesz ty kiedyś za Ural”) w kombatanckim sosie: „Nie otrzymaliśmy wolnego państwa za darmo. Wielu z nas zapłaciło za nie uczciwą monetą: bezrobociem, relegacją z uczelni, złamaną karierą zawodową, emigracją czy więzieniem. To powód do dumy. Nie powinniśmy zapominać o bohaterach, zwłaszcza tych, którzy zapłacili najwyższą cenę. To dzięki ich ofierze świętujemy dzisiaj wolność w suwerennym państwie, wspominając stulecie powstania Drugiej Rzeczypospolitej bez obawy, że zostaniemy pobici przez oddziały specjalne peerelowskiej milicji. Dzięki determinacji milionów Polska znów jest w Europie, poza rosyjską strefą wpływów i bezpieczna w ramach euroatlantyckiego sojuszu”. Ale jest jednak „ale”: „Ani Pierwsza, ani Druga, ani Trzecia Rzeczpospolita nie gwarantowały sprawiedliwości społecznej wszystkim obywatelom. Ten projekt jest wciąż niedokończony”. I wreszcie najważniejsze: „Nowo powołany kwartalnik kulturalny „Napis” (...) ma służyć upowszechnianiu współczesnej literatury. Zaczynamy też wydawać serię popularnych monografii i antologii poświęconych współczesnym poetom, prozaikom i dramaturgom. Zamierzam nowego wydawnictwa (finansowanego – jak wiele – przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego) jest kształcenie kompetentnego czytelnika, uczestnika kultury wysokiej, potrafiącego zaznajomić się z wielością propozycji literackich. Dobór dzieł i artystów

nie jest ograniczony do żadnej poetyki lub grupy literackiej, nie chodzi bowiem o narzucanie gustów albo środowiskowe interesy, lecz o promocję niekomercyjnej twórczości i pogłębienie jej lektury. Jak wielu wybitnych wydawców i redaktorów, których uosobieniem do dzisiaj pozostają dwaj wielcy – Mieczysław Grydzewski i Jerzy Giedroyc – niechaj wspiera nas wiara, że artystom niepodległość jest potrzebna, a swobodna przestrzeń ekspresji niezbędna do prawidłowego funkcjonowania”.

Jakby kto pytał, skąd tytuł pisma, to o odpowiedź nietrudno: to hołd złożony Zbigniewowi Herbertowi, którego twórczością zajmował się przed laty redaktor Ruszar – wszak to powtórzenie tytułu jednego z tomów poety. Nie wiem natomiast, co ma wspólnego z dumą „martyrologia” działaczy niegdysiejszej opozycji: owszem, odsiadka, relegowanie z uczelni, emigracja czy bezrobocie to były nieprzyjemne dość szykany – wszystkich ich zaznałem, wiem więc o czym mowa, bo przez to cholerstwo nie jestem dziś specem od logiki matematycznej a tylko pracownikiem coraz bardziej pogardzanej humanistyki, w dodatku nieprzydatnym na froncie walki o „lepszą Rzeczpospolitą”, która pokona ograniczenia trzech pierwszych – ale szykany te traktowałem jako przewidywalne przez dorosłego człowieka ryzyko podejmowania samodzielnych decyzji. Z uwagą natomiast przyglądam się systematycznemu ograniczaniu „swobodnej przestrzeni niezbędnej do prawdziwego działania” dziś, gdy decyzją wicepremiera z teką ministra kultury niszczy się dorobek twórców Muzeum II Wojny Światowej, obcina dotacje na działalność Europejskiego Centrum Solidarności, demoluje zespoły teatralne, doprowadza do kryzysu lub upadku dotowane dotąd czasopisma kulturalne, często o wieloletnim dorobku, próbuje wprowadzać tylnymi drzwiami cenzurę pozbawiając pieniądze Festiwal Malta itp.

Czas na Białą Księgę dorobku pana ministra. A jednocześnie zdumiewa rozrzutność resortu – przykładem choćby powołanie wspomnianego przez redaktora Ruszara nowego wydawnictwa: czyżby pan profesor Gliński zapomniał o tym, że już takie posiada i że jest nim Państwowy Instytut Wydawniczy? Aż się prosi o zastosowanie brzytwy Ockhama... Tym bardziej, że wszystko to opłacane jest z moich pieniędzy! To wszystko wygląda na ponury żart. No ale niech będzie, i to wszak przemienie. A tymczasem: „W grudniu 2018 roku ukaże się „Kwartalnik kulturalny Napis. Liryka. Epika. Dramat”, zawierający również wkładkę tematyczną, poświęconą grafice Jacka Sroki. Publikacja ukaże się wraz z trzema książkami – są to monografie wraz z antologiami tekstów – Andrzeja Sułkowskiego: „Rynek i coraz dalsze okolice. O twórczości Janusza Szubera”, Adrian Gleń „Języki rzeczywistości. O twórczości Juliana Kornhausera” oraz Maciej Woźniak „Podróż przez rzeczywistość. O twórczości Marka Nowakowskiego”. Darmowy pakiet tych czterech pozycji otrzymają wszystkie biblioteki uniwersyteckie i szkół średnich, a w sprzedaży ukażą się w styczniu przyszłego roku”. Dodać też warto, że w próbnym numerze „Napisu” opublikowano wyznanie Andrzeja Niewiadomskiego „O pożytkach wynikających z nietłumaczenia (się) poezji i z poezji”: „Zjawisko poezji (...) powinniśmy przyjmować jako coś naturalnego, tak jak przyjmujemy wiele innych zjawisk i zajęć, bez których trudno wyobrazić sobie to wszystko, co składa się na dziwność naszego bycia. Widocznie w moim mózgu zachodzą procesy umożliwiające zestawianie słów i zdań w taki sposób, który nazywamy wierszem. I to jest podłoże mojego pisania, niewiele więcej na ten temat mam do powiedzenia, bo wszelkie dywagacje o użytkowych funkcjach poezji są mi z gruntu obce”. Uff, ja tylko litery składam, czasem z nich wychodzi coś, co nazywamy słowem bądź zdaniem, moim własnym zresztą.

Próbowałem coś wyszukać w moich ulubionych periodykach „Sieci” i „Do Rzeczy”, ale zabrakło pobudzających refleksję tekstów Wencla i Zybortowicza. Natomiast w obu pismach (nr 48/2018) odnalazłem teksty poświęcone twórczyni książek kucharskich Lucynie Ćwierciakiewiczowej, w tym jeden wywiad z pisarką Martą Sztokfisz zatytułowany „Kucharka narodowa”: „Bo nie mamy służby ani czasu, by te smakowite (...) potrawy przyrządzać. (...) Gdybym była zamożna, nie kupowałabym torebek od Prady, lecz zafundowałabym sobie taką pomoc”.



...decyzją wicepremiera doprowadza się do kryzysu lub upadku czasopisma kulturalne...



# Katarzyna Gościńicz



# alina biernacka zamknięty czas

## Świat jest sklepem

Świat jest sklepem, w którym zjawiamy się  
po urodzeniu.

Grzechotki i butelki mleka  
ustępują miejsca małym rowerkom  
i kolorowym książeczkom.

Potem przychodzi czas pakowania  
ludzi na wynos – uśmiechnięta przedszkolanka  
przewiązana ozdobnym sznurkiem.

Pan od historii zawinięty w papier pakowy.

Pierwszy ukochany – tu na zdjęciu  
w niezgrabnych bermudach –  
odesłany za poświadczeniem odbioru.

Wydział Chemii świetnie się prezentuje,  
kiedy otrzymałam go na własność.

Domy, kwiaty, zwierzęta – przesuwają się  
jak w *Très Riches heures de duc du Berry*.

W końcu zostaje zakup,  
o którym wszyscy mówią – dobra śmierć  
w aureoli lekkiego bólu  
i uśmiechu przez łzy.

Dla niej zdobywa się na aukcjach  
zorce polarne,  
pozuje się do obrazów piekła,  
walczy z niewiedzą o niewiadomym  
i kupuje ją wychodząc ze sklepu  
w jasną przestrzeń podarowanej nicości.